

P.9786 chr. Arch.

ISSN 0023-5148

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ **Nr 7/502 - 8/503** **1989**



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

K. CHYLIŃSKA :

40 LAT - NIE-ROZNICOWA ROCZNICA

K. CZABAŃSKI : **SPOD STOŁU**

W. CHARŁAMP : **DZIENNIK ZEWNĘTRZNY**

A. POSPIESZALSKI :

O CHRZEŚCIJAŃSKICH PODZIAŁACH I JEDNOŚCI

M.HELLER: **WYWIAD Z WŁADIMIREM MAKSYMOWEM**

SPIS RZECZY

Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Siena i okolice</i>	3
Czesław Miłosz:	<i>Ksawery, Jane i inni</i>	11
Marek Nowakowski:	<i>Bożydar</i>	26
ARCHIWUM POLITYCZNE		
Krzysztof Gawlikowski:	<i>Sześć tygodni pekińskiego wiosny</i>	73
Kamila Chylińska:	<i>Czterdzieści lat — nie-rocznicowa rocznica</i>	83
Józef Garliński:	<i>List z Londynu (19)</i>	95
Michał Heller:	<i>Rozmowa z Władimirem Maksimowem</i>	100
Krzysztof Czabański:	<i>Spod stołu (rozmowa z Krzysztofem Wyszowskim)</i>	110
SPRAWY I TROSKI		
Maria Rodowicz:	<i>Biblioteka Polska w Paryżu</i>	126
Małgorzata Dziewięcka:	<i>Z innego punktu widzenia</i>	134
K R A J		
Witold Chałcamp:	<i>Dziennik zewnętrzny</i>	141
Zygmunt Saloni:	<i>Jestem na żołdzie imperialistów</i>	145
Jerzy Przystawa:	<i>Atmosfera na Uniwersytecie Wrocławskim</i>	150
O RELIGII BEZ NAMASZCZENIA		
Antoni Pospieszalski:	<i>O chrześcijańskich podziałach i chrześcijańskiej jedności</i>	157
Metropolita Mstysław:	<i>List do Mieczysława Rakowskiego</i> ..	167
Prof. dr hab. Maciej Giertych,	<i>O poszanowaniu światopoglądów</i>	169
Józef kardynał Glemp:		
SĄSIEDZI		
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	173
J. Brodskij, G. Władimow,	<i>Do Niezależnego Społecznego Komitetu</i>	
A. Zinowiew, W. Maksimow:	<i>Pisarzy-Zwoleńników „Pieriestrojki”</i>	180
(amp):	<i>Kronika czeska i słowacka</i>	181
KRONIKA KULTURALNA		
Renata Gorczyńska:	<i>PEN i świat</i>	183
CI, CO ODESZLI		
Jerzy Korezrak:	<i>W smudze blasku</i>	190
KSIĄŻKI		
Andrzej Dobosz:	<i>O kaszy mannej</i>	194
L.S.:	<i>Polski Berlin</i>	200
—	<i>Nadstawane nowości wydawnicze</i>	202
◆		
—	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	203
Lech Wałęsa:	<i>Wypowiedzi oraz List do wyborców w sprawie mniejszości narodowych i wyznaniowych</i>	206
Zespół Promocji Wyborczej	<i>O mniejszości ukraińskiej w Polsce</i> ..	207
KO „Solidarność”:		
Jerzy Grot-Kwaśniewski:	<i>Kronika australijska i nowozelandzka</i>	210
Z OSTATNIEJ CHWILI		
Andrzej Szczypiorski:	<i>Z „Gazety wyborczej”</i>	214
◆		
M. de Hernandez-Paluch,		
J. Hurwic, M. Łatyński,		
M. Michalski, P. Mitzner,		
A. Pomorski, M. Siekierski,		
I. Szczepowska-Szychowa,		
S. Szyszman:	<i>Listy do Redakcji</i>	216
—	<i>Odpowiedzi Redakcji i Sprostowanie</i>	223

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Lipiec/Sierpień - Juillet/Août 1989

INSTYTUT  LITERACKI

PO TYLU LATACH...

W październiku bieżącego roku minęłoby 37 lat, jak zaczęliśmy pracować z drukarnią Richard w Paryżu, która — jak wszystkie mniejsze drukarnie — ulega obecnie likwidacji. Z żalem się z nią rozstajemy i chcemy tutaj podziękować tym wszystkim, którzy harmonijnie współpracowali z nami przez tyle lat — a więc właścicielowi drukarni Władysławowi Langzamowi, szefowi atelier André Marchand'owi, naszemu znakomitemu linotypiście Mikołajowi Kudłykowi, Michel Binois, maszynistom i całemu personelowi drukarni.

REDAKCJA KULTURY

WPLATY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Dla uczczenia pamięci ukochanej Idy Jurysiowej-Spira — Cecylia Federman i syn Jerzy Bitter, New York — \$ 20,00	F. 136,00
Elżbieta Mink, Paryż — dla uczczenia pamięci Leny (Gi) Grudowej, zmarłej w Warszawie w maju 1989	F. 200,00
Edward L. Salamoński, St Petersburg, FL (USA), po raz 12-ty — \$ 20,00	F. 136,00
Stowarzyszenie Polskich Kombatantów, Koło 35 w Newark, NJ (USA) (nadesłał Skarbnik J. K. Jordanowski) — \$ 100,00	F. 680,00
Jan Strelcyn, Paryż	F. 50,00
Zamiast kwiatów na grób Anny Winczakiewicz, autorki wspomnień „Przeżyłam”, zmarłej w Paryżu 29 maja 1989 — Adela i Władysław Żeleńscy, jako wyraz wiernej pamięci	F. 200,00

DZIĘKUJEMY!

WPLATY NA POMOC DLA WALCZĄCYCH W KRAJU „ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ”

Andrzej Jakubiec, Brooklyn, NY (USA) — na rzecz walki z komunizmem w Polsce — \$ 100,00	F. 680,00
E.M., Paryż — na rzecz prześladowanych w PRL	F. 200,00
Tadeusz Ostrowski, Elizabeth, NJ, (USA) — na walkę z komunizmem w Polsce — \$ 42,00	F. 286,00

(Dalszy ciąg Wpłat na str. 224)

Siena i okolice

Zbigniewowi Herbertowi — Sieneńczykowi

*W tym cała piękność snu, że krew nie płynie,
ale zastyga w znak, gdy dotknie miecz,
w tym cała piękność snu, że w ciemnej glinie
jest odpoczynek wśród anielskich rzesz.*

Czesław Miłosz: *Sienna*

Sieneński dzień, sieneńska noc. Siena jest dużą sceną z muszlowatym wklęsnięciem *Il Campo* po środku. Sceną będąc architektonicznie, bogato przy tym dekorowaną, budzi często wrażenie udziału w spontanicznym, tłumnym widowisku teatralnym. Spadzystymi zejściami spływają na *Campo*, na Pole, turyści, mieszkańcy miasta, wycieczki szkolne. Rodowici Sieneńczycy przecinają pośpiesznie plac, by wspiać się za kulisy po jego przeciwnej stronie. Turyści i młodzi ze szkół rozsypują się na nim, okrążają go pochyłym obrzeżem muszli, zadzierając głowy ku wysokiej wieży Ratusza, po czym obsiadają w słońcu *Fonte Gaia*, Wesołe Źródło na dnie muszli. Nawet w moim króciutkim opisie tkwi coś teatralnego. Ale gdzie w Sienie kulisy? Wydobywszy się z Pola, stajesz na bocznej scenie przed połączanym frontonem Katedry. Albo wstępujesz w sceniczny strumień przechodniów na głównej *Via di Città*. Więc może Siena jest swoistą wielosceną obrotową? Chyba tak. Łatwo utwierdzić się w tym przekonaniu u wylotu którejs z uliczek na granicy miasta, gdzie naraz z cudowną naturalnością i swobodą, bez jakichkolwiek stadiów pośrednich przedmieścia, otwiera się szeroko krajobraz toskański. Za plecami obraca się wieloscena Sieny, urzeczona oczy przywierają do wiejskiej oprawy miasta (nie zwykłego tła). Siena staje się wtedy małym *teatrum mundi*; sieneński dzień miniaturowym

obrazem świata, niezmiennego wśród ciągłych zmian. Co ujrzał i namalował w XIV stuleciu Ambrogio Lorenzetti.

„W tym cała piękność snu, że krew nie płynie, ale zastyga w znak...”. Zapada sienieńska noc. Posmak truizmu ma stwierdzenie, że widok księżycy zależy zawsze od miejsca oglądu. W lesie, na przykład, toczy się między drzewami jak ogromna kula bilardowa; trzeba za nim biec, zatrzymywać go, zanim o świecie zniknie błądy i zbielały w dziurze umykającej nocy. Nad uciszonym morzem nocnym bywa zagwiał, z której opadają, gasnąc i rozpalając się, iskry i ogniste odpryski na fałdy i bruzdy fal. Nad sienieńskim *Campo* jest nieruchoma, przypięta do nieba perła. Siena zastyga w śnie i bezruchu. Zastyga jak twarda perła w znak trwania, nieprzemijalności. Wszystko się tu starzeje, nic nie umiera. Nigdzie nie słyszałem tak głębokiej ciszy snu; i tak równocześnie żywej, podskórnie pulsującej (choć „krew nie płynie”), gotowej do ocknięcia. W *Fonte Gaia* nie odzywa się najłżejszy plusk wody; gołębie sfruną do Wesołego Źródła u progu dnia, oderwą się z trzepotem od czarnych, zwijanych powoli skrzydeł nocy, szybkim bryzgiem obudzą fontannę. Czy zegar ratuszowy stanął na noc i dopiero brzask popchnie naprzód jego wskazówki? W frontonie Katedry śpi utajony, złoty blask. Na Ulicy Miejskiej domy i pałace są jakby zabarykadowane od wewnątrz, nie dochodzi z nich żaden dźwięk. Kościół Świętego Dominika, masywny i ciężki niczym twierdza, przygniata urwisko nad zejściem w rozpostarte ramiona ciemnego jeszcze pejzażu toskańskiego.

Dobranoc, martwa teraz Sieno. Wkrótce, za chwilę już, dzień dobry wieczna Sieno.

Maestà: Duccio i Martini. Pierwsza *Maestà* to Duccio di Buoninsegna (1308-1311), świeciła po powstaniu w półmroku Katedry, dziś króluje w Muzeum Katedralnym. Drugą namalował w kilka zaledwie lat później Simone Martini, jest klejnotem *Palazzo Pubblico* czyli Ratusza. Codziennie przechodziłem od jednej do drugiej, niezdecydowany którą otoczyć pełnią zachwytu. Pytanie niezbyt sensowne, jeśli dotyczy wyboru między arcydziełami, stawiane jest w sferze trochę mniejszego lub trochę większego olśnienia i uniesienia. Lecz wybór nie odbywa się (co uprzytomniłem sobie w końcu) w kategoriach artystycznej maestrii, nie jest tylko odważaniem odpowiedzi na szalach malarskich stylów. Mistrzami byli obaj, nierównanymi mistrzami. Wybiera się różne u obu odcienie spojrzenia.

Duccio, jeszcze uwieczony w konwencji bizantyńskiej, namalował czarną Madonnę hieratyczną z Dzieciątkiem o rysach dorosłego mężczyzny. Jej hieratyczność rzuca cień na wieniec albo diadem Świętych, Apostołów, Aniołów. *Maestà* Duccia tchnie spokojną,

dostojną sztywnością. Takie Madonny malowano, choćby i gorzej, przed nim. W Pinakotece sienieńskiej można zobaczyć dzieło jego poprzednika: z roku 1290 pochodzi *Maestà* pędzla anonimowego Maestro di Badia a Isola. Dramatyczną tonację ludzką wprowadził Duccio do towarzyszącego głównemu obrazowi *panneau* trzydziestu sześciu małych obrazów z życia Chrystusa i Marii. Podziwia się w nich malarskie snycerstwo splecione mocno z niewiarygodnym wprost zmysłem realizmu, wyzwolonego z pętów hieratyczności, czy wydobytego z jej cienia, ale centralna *Maestà* zachowuje wobec tej ornamentacyjnej konstelacji swój dystans i swoją odrębność. Chciałoby się wręcz powiedzieć: swoją wyniosłą suwerenność. Nawiasem mówiąc, bizantynizujące korzenie Duccia z *Maestà* odzywają się w jego *Zjawie podczas wieczerzy*. Warto ją, dla uzyskania perspektywy, porównać z późniejszą o cały wiek *Ostatnią wieczerzą* Sassetty.

A oto *Maestà* Martiniego: „w ciemnej glinie jest odpooczynek wśród anielskich rzesz”. Martini śpiewa pochwalną i radosną pieśń, gdy w udrapowanej uroczyście kompozycji Duccia rozlega się głęboki, sakralny hymn. „Glina” Martiniego jest raczej jasna niż ciemna, wystarczy jednak że oznacza ziemskość. Anielskie rzesze, anielski chór, głosy cienkie i czyste jak nitki, wysnute z ziemi ku niebu w adoracyjnej kantacie. Głosy dziewczęco świeże, nie zestrojone, wolne każdy po swojemu w akcie uwielbienia. Brodaci Święci i Apostołowie wtórują chórowi w sposób tak żywy, jak gdyby odzyskali nagle młodość. Wiotka i delikatna Madonna siedzi na tronie, który mimo królewskich inkrustacji jest zwykłym krzesłem podstawionym dla odpoczynku. Nad grupą wyobrażającą przeciwieństwo glorie Majestatu wisi, wsparty na drążkach, jeden z tych baldachimów, jakie widuje się na festynach ludowych.

Ale nie mam wątpliwości, że pogodna *Maestà* Martiniego zawdzięcza także swoje piękno i swój wyraz ostremu kontrastowi na przeciwległej ścianie. Tenże Simone Martini namalował na niej portret konny sienieńskiego kondotiera Guido Riccio (bądź Guidoriccio) da Fogliano. Portret siły, nagiej i samotnej siły. Po lewej miasto z wieżami, po prawej zamek warowny. Jeździec posuwa się na koniu niby żywy taran. „Pejzaż jest suchy jak klepisko”, pisze trafnie Herbert. Niebo nad nim jest ciężkie i geste, skłębione w czarnych, burych i niebieskich płatach, zwiastujące burzę. Pejzaż i niebo tworzą razem obraz pustki, chwilami prawie metafizycznej: jeździec między nimi jest zdobywcą czy więźniem? Patrząc to na słodką *Maestà*, to na marsowego i okrutnego pewnie kondotiera, wchłania się wizję przeciętego w pół świata: obraz chwiejnej równowagi Ducha i Miecza. *Sala del Mappamondo* powinna może zmienić swą tradycyjną nazwę na *Sala dello Spirito e della Spada*.

Zły rząd, dobry rząd. W przyległej sali freski Lorenzettiego z tej samej epoki oparte są również na przeciwstawieniu: zły rząd, dobry rząd. *Alegoria złego rządu* jest tak uszkodzona, że w ocablach fragmentach uderza przede wszystkim bakalarska schematyczność, która być może występowała mniej jaskrawo w pierwotnej całości fresku. Nie jestem zresztą tego pewien, gdyż łatwiej wytykać grzechy złego rządu niż wskazywać cnoty dobrego. Grzechów ma zły rząd wiele, a wystarczyłyby dwa główne: podeptanie Sprawiedliwości i władztwo Tyranii. Pozostałe (Okrucieństwo, Oszustwo, Perfidia, Pycha, Chełpliwość) są pochodnymi, o których podwładni wiedzą lepiej i więcej od władców.

Za duży też jest bukiet cnót w *Alegorii dobrego rządu*, skoro podstawowym tytułem do chwały dobrego rządu jest to, że nie czuje się zanadto jego istnienia. Róg obfitości wszelkich cnót grozi więc przeoczeniem naprawdę istotnych. Ale Lorenzetti uratował *Alegorię dobrego rządu* uzupełniającym freskiem obok, który przedstawia *Skutki dobrego rządu w mieście i na wsi*. Ten jest wspaniały, opromienia i oczyszcza z dydaktycznej drętwy swego sąsiada, którego ma ilustrować. *Alegorię* ilustruje mit. Sienę i dokoła niej sienieńską wieś wyczarował Lorenzetti w formie mitu powszechnej szczęśliwości. Nie ma ani krzty przesady w słowie „wyczarował”, co oznacza że zatrzymać się tu musi pióro, usiłujące odtworzyć lub przybliżyć bodaj fantazję, rozmach i precyzję mistrzowskiego pędzla. Dość powiedzieć, że dobry jest ożenek alegorii z mitem pod auspicjami i na cześć dobrego rządu. Oraz powtórzyć marginesowo, w roli współczesnego podróżnika, że po tylu stuleciach błąka się jeszcze w mieście Lorenzettiego cień sienieńskiego *teatrum mundi*.

Stendhalowski papież. Rozkosz i wytchnienie, po długim zanurzeniu się w ogromie Katedry, ofiarowuje jej niegdysiejsza kaplica boczna, przerobiona na Bibliotekę Piccolominich. Enea Silvio Piccolomini, obrany papieżem w roku 1458 jako Pius II, został w niej unieśmiertelniony przez swego siostrzeńca Francesco Todeschini Piccolomini, arcybiskupa sienieńskiego, później kardynała i wreszcie papieża Piusa III. Biblioteka jest zatem pomnikiem rodzinnym. Zawiązkiem był zbiór iluminowanych manuskryptów, ukoronowaniem żywot Enea Silvio w dziesięciu freskach, które Francesco zamówił u umbryjskiego malarza Pinturicchio (bądź Pintoricchio). Wśród pomocników sławnego wówczas Umbryjczyka, ucznia wielkiego Perugino, znajdował się młodzieńcy Rafael.

O freskach w Bibliotece Piccolominich przeczytałem sporo, począwszy od profesorskiej cenzurki Berensona, kończąc na pięknym opisie Herberta w *Barbarzyńcy w ogrodzie*. Jednym tylko

zdaniem pokwituję moją w niej wizytę: dla kogo Pinturicchio jest wyłącznie „dekoratorem architektury”, choćby z wiązką należnych superlatywów, temu nie dostaje wrażliwości i wyobraźni w obliczu malarskiej opowieści biograficznej o nutach bajkowych.

Wyszedłem z Katedry z pilną potrzebą ponownej, po dwudziestu zdaje się latach, lektury noweli młodzieńczej Piusa II *Storia di due amanti*. Ale jak ją w Sienie natychmiast znaleźć? Los mi sprzyjał. Leżała na wystawie pierwszej napotkanej księgarni, w nowym oryginalnym wydaniu Sellerio z Palermo.

Oryginalnym, bo Enea Silvio Piccolomini występuje w nocie palermitańskiego wydawcy jako „postać stendhalowska *avant la lettre*”. Uczony humanista, dyplomata i poeta, napisał *Historia de duobus amantibus* (okazuje się, że istnieje przekład polski Krzysztofa Goliana z roku 1570) przed definitywnym wkroczeniem na drogę kariery eklezjastycznej. Był wtedy stosunkowo młody i wyjątkowo urodziwy, przypuszczalnie więc podjęte do *Historii dwojga kochanków* czerpał z własnych przygód miłosnych. Nowela o namiętnych amatorach niemieckiego rycerza Euriala i sienieńskiej damy Lukrecji jest pełna wdzięku, polotu i psychologicznej przenikliwości, nie pozbawiona też śmiałych i dosadnych akcentów (Eurial pożycza swego rumaka mężowi Lukrecji, uśmiechając się do siebie w myślach: „Cwałuj, cwałuj na moim wierzchowcu, ja tymczasem będę cwałował na twojej żonie”). W dziejach papieżstwa Enea Silvio był jedynym chyba (przyszłym) Ojcem Świętym, którego czoło ozdobił (za młodu) złoty laur poetycki. Otrzymał go z rąk cesarza Fryderyka III, co Pinturicchio uwiecznił na jednym z fresków.

Stendhal znał tylko ze słyszenia *Historię dwojga kochanków*, wspominał o niej mimochodem w *Promenades* w związku z Rafaelem, pomocnikiem umbryjskiego mistrza w pracy nad freskami na ścianach Biblioteki Piccolominich. Same freski skłoniły go do osobliwej refleksji, że postać ich protagonisty obudziła w nim pragnienie posiadania takiego jak Enea Silvio przyjaciela. Nie myliła go intuicja. *Historia dwojga kochanków*, dziełko autora który wiedział jak dalece miłość kobiety góruje intensywnością i niepohamowaniem nad miłością mężczyzny, było rzeczywiście stendhalowskie *avant la lettre*.

Mistyka krwi. Stromą ulicą Katarzyny Sienieńskiej schodzi się do *Fontebranda*, gdzie urodziła się Święta. W miejscu jej przyjscia na świat Sanktuarium z dość pospolitymi malowidłami hagiograficznymi, na dziedzińcu popiersie arcybiskupa sienieńskiego, który w roku 1939 uzyskał zgodę Piusa XII na proklamowanie Patronką Włoch urodzonej w roku 1347 Katarzyny Benincasa, córki sukiennika, analfabetki, oblubienicy Chrystusa umartwiają-

cej się zawzięcie i bardzo często do krwi aż po dzień śmierci w trzydziestym trzecim roku życia, autorki arcydzieł prozy mistycznej. Za takie uważa jej dyktowane teksty Francesco De Sanctis w *Historii literatury włoskiej*.

Lepiej chwilowo usiąść u stóp Sanktuarium, koło *Fontebranda*, studni wykutej w skale i osłoniętej dachem. Tuż przed zmierzchem, w ostatnich chwilach gasnącego popołudnia słonecznego, rozlega się w górze stukot młotków; ulica pozostała z tradycji rzemieślnicza. Z dołu płynie wiosenny, odurzający zapach pól. Katarzynę odurzał zawsze inny zapach (sama to wyznaje): urojony czy zachłannie przyzywany, albo prawdziwy zapach krwi.

„Jej życie da się streścić w dwóch słowach: miłość i śmierć”, powiada De Sanctis. Ale westchnienie „umieram i nie mogę umrzeć” łączy ją z wieloma mistykami, natomiast „krew, krew Chrystusa” przybiera u niej charakter dominanty i szczególnej i wszechwładnej, ociera się niemal o pożądanie. Kończyła zazwyczaj listy okrzykami: „Kapcie się, syćcie się krwią, pijcie z krwią miłość i uczucia”. De Sanctis dostrzega w tym „liryzm” mistycznej ekstazy. Bliższa prawdy byłaby delectacja (może nawet *morbosa*) w dążeniu do zupełnego samounicestwienia, roztopienia się w Bogu. Fra Raimondo da Capua, współczesny Katarzyny, opowiada o jej widzeniach. Ukazuje jej się Jezus, mówiąc: „Wiesz córeczko kim jesteś, a kim ja jestem? Jeśli się o tym dowiesz, będziesz błogosławiona. Ty jesteś tą, której nie ma; ja jestem Tym, który jest”. Z drugiej strony, w innym widzeniu, Bóg wyjmuje jej z piersi serce i zastępuje je swoim, zostawiając w dowód cudu bliźnę na skórze. Między ludzkim Niczym i boskim Wszystkim rozpięta była, skąpana w krwi Ukrzyżowanego i własnej, sienneńska mistyczka.

Zmarła w Rzymie po ośmiu tygodniach agonii. Wspólne świadectwo doglądających ją zakonników mówi, że „w nieustannych bólach za każdy kolejny spazm dziękowała radośnie Bogu, a w dniu zgonu, szkieletem już będąc, twarz miała rozświetloną życiem”.

Z *Fontebranda* do *Fonte Gaia* na *Campo* droga z postojami jest uciążliwa, lecz trwa jeszcze przyćmione światło dzienne i dookoła Wesolega Źródła dzieci uganiają się za gołębiami.

Volterra. Autobus wiezie nas do Voltery w ulewny deszcz. Woda strugami obmywa widoki, nie rozmazuje ich, nadaje im soczystość i lustrzany połysk. Rzadko krajobraz potrafi się obronić przed ulewą. Tu pomagają mu krótkie interludia przejaśnień, gdy kłęby pary wypęczają leniwie z wąwozów i zaraz znikają zdmuchnięte wiatrem, przyduszone do ziemi.

Długi podjazd do Voltery daje przedsmak miasta pęsnego, otoczonego urwiskami, wydźwigniętego na wzgórze z głębokich i ciemnych czeluści. Powstało na cmentarzysku etruskim, przyciąga dziś w dużej mierze wykopaliskami z Nekropolu. I samo jest jakby Nekropolem odkurzonym i odczyszczonym, zachowując atmosferę żałobnej nieco surowości i powagi. W Muzeum Etruskim przeważają groby i urny, sarkofagi i portrety trumienne, sceny „pożegnań pogrzebowych” i „podróży do piekieł”, przystrojone maskami pośmiertnymi, wizerunkami demonów i zwierząt fantastycznych, zagadkowymi symbolami. Podłużną i cienką figurkę męczyzny, podobną do rzeźb Giacomettiego, nazwał D'Annunzio „cieniem wieczoru”.

A przecież ta zbiorowa maska pośmiertna cywilizacji etruskiej, tajemniczej cywilizacji o której wciąż wiemy za mało, nie odpowiada zaginionej i zamierzchłej przeszłości. Rzymski oręż pokonał i zburzył, a zwały wieków pokryły, cywilizację wyrafinowaną i dość beztroską, o wysokim stopniu sprawności technicznych, wytrawną w rolnictwie i w handlu, zakochaną w przyjemnościach stołu i w igrzyskach sportowych, wynoszącą na wysoki piedestał wdzięki niewieście, niedoścignioną w sztuce biżuteryjnej. Któryś z archeologów ochrzcił ją mianem „cywilizacji miłości”. Inni, na podstawie pozycji męczyzny i kobiet w grobowcach, przebakują nawet o „kolebce feministycznej”.

Jakkolwiek było naprawdę, Volterra zachęca do napomknięcia o śmiesznym trochę epizodzie w życiu miłosnego rzeczoznawcy, autora *De l'amour*. Czytam w *Pamiętniku egotysty* Stendhala: „Langres położone było jak Volterra, miasto które wtedy uwielbiałem. Było widownią jednego z najzuchwalszych przedsięwzięć w mojej wojnie przeciw Matyldzie”. Matylda Dembowska („kobieta którą uwielbiałem, która mnie kochała, lecz nigdy mi się nie oddała”) wyprawiła się do Voltery w odwiedziny do syna, kadeta w szkole wojskowej. Stendhal pojechał w sekrecie za nią i niewidziany śledził w zielonych okularach jej poruszenia na ulicach miasta. Zuchwały, zaiste, fortel wojenny...

Cortona. Zamknięciem podróży jest Cortona, śliczne miasto dokładnie na granicy Toskanii i Umbrii. Bywałem tam wielokrotnie, za każdym razem wynosząc pod powieką dwa zestawienia: rozparty w mieście, gwarny targ sobotni i cmentarz za murami miasta, wpisany łagodnie w pejzaż o niezwyklej, przejrzystej urodzie; Luca Signorelli i Fra Angelico, Brat Anielski.

Luca Signorelli urodził się w Cortonie (używał także imienia Luca da Cortona) i w Cortonie umarł. Urodził się w pięć lat przed śmiercią Brata Anielskiego. Postawiła ich obok siebie kaplica *San Brizio* w katedrze orwietiańskiej. Obok siebie wystę-

pują w Cortonie. Tutaj widać, że Brat Anielski miał młodszego, mrocznego brata, Luca Tenebroso. W Cortonie przychodzi na myśl, że było to braterstwo dwóch odmiennych religijności: naiwnej, nieskazitelnej w swej prostocie i niebiańskości, nie przesłoniętej żadną chmurką wahania; i dramatycznej, uchwytem silnych rąk wczepionej w ziemię i piekło. Luca Signorelli, malarz *Potępiionych w piekle* z Orvieto, oplakuje bez słowa w Cortonie martwego Chrystusa. Fra Angelico jest cały w cortońskim *Zwiastowaniu*, w skrzydłach Anioła wchodzącego lekkim krokiem z dobrą nowiną między kolumny domu-świątyni.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Kwiecień 1989

Ksawery, Jane i inni

Tkanina czasu. Ruchoma siatka współzależności zjawisk, które nie mają ze sobą nic wspólnego poza tym, że są równoczesne. Ledwo dostrzegalne zmiany mody, również zmiany języka, tak że pewne zachowania się i pewne zespoły słów są przytwierdzone do dat i nie mogłyby pojawić się ani wcześniej, ani później. Nie obala to podziału na wysokie i niskie, złe i dobre, ale oglądając się wstecz, już przebywając w innym momencie tej tkaniny, w innych okach sieci, mamy dużą trudność z odtworzeniem mnóstwa ówczesnych powiązań.

A może i ludzie są powoływani w którymś czasowo określonym skrzyżowaniu osnowy i wątku, równoległe z takim a nie innym stylem, językiem, barwą wydarzeń? Czy na przykład umiem sobie wyobrazić Ksawerego Pruszyńskiego później, po dniu, w którym Parki zdecydowały, że pora na niego i zrobiły użytek ze swoich nożyc?

„Bałowien' sud'by” Pamiętam jak na wieczorze poetyckim *Żagarów* w Wilnie Pruszyński pochylił się do Jerzego Wyszomirskiego i powiedział tak, po rosyjsku — o mnie. Dotknęło mnie to, choć właściwie znaczy to tyle co „pieszczoch losu”, z odzieniem „igraszki losu”. Dwudziestoletni, utalentowany, nic innego może Pruszyński nie chciał powiedzieć, ale ja wtedy nie oczekiwałem, że los będzie się mną bawić jak miał się bawić i najeżyłem się na trafną przepowiednię. Pruszyński przyjechał wtedy do Wilna, bo był współpracownikiem konserwatywnego *Słowa*, Wyszomirski był *Słowa* stałym felietonistą. Pierwszy, który nasze zdolności ocenił. Sam był autorem paru tomików słabych wierszy. Mały człowieczek w binoklach, melancholijny, bardzo rosyjski (ojciec jego był oficerem zawodowym w armii carskiej), samotna postać nocnego pijackiego Wilna. Wiele lat później, w okupacyjnej

Warszawie, kupiłem dla Ryńcy jego autobiograficzną powieść o dzieciństwie w garnizonowym mieście (Zambrowie?). Nie wiem, czy po wojnie wyszła. Wyszomirski popełnił samobójstwo w 1955, miał dosyć, nie doczekał „odwilży”.

Pruszyńskiego właśnie można by było nazwać „pieszczochem losu”. Miał dobre urodzenie, był utalentowanym publicystą i jego bardzo męska uroda podbijała kobiety. Złośliwi utrzymywali, że jego wystające kości policzkowe, zielone oczy i skośne brwi były zanadto hajdamackie i że ktoś z ukraińskiej służby musiał jego matkę albo babkę dogonić. Tak czy owak, ziemiańsko-arystokratyczne pochodzenie było mu pomocne i ustawił się dobrze, bo nie na głupawej prawicy, ale przy konserwatystach z *Czasu i Słowa*. Sensacją były jego korespondencje z Czerwonej Hiszpanii. Pojechał akredytowany przy rządzie Franco, ale po drodze zmienił zdanie i został w Hiszpanii lojalistów.

Życiorys Pruszyńskiego jest dostatecznie znany i nie muszę go powtarzać. Krajowi służył żołnierskim czynem, walcząc pod Narwikiem i w Normandii, piórem, jako autor wojennych opowiadań, i znajomością języków jako radca czy *attaché* ambasady londyńskiej w Kujbyszewie. Życie bujne, rycerskie, romantyczne (sam musiał dziwić się, że aż taka trafiła się jego pokoleniu gratka, choć zdawało się, że czas legii polskich we Włoszech bezprowrotnie minął) i zawsze na ścieżce honoru. W opinii wielu jego towarzyszy broni splamił honor, przechodząc w 1945 roku na stronę satelickiej Polski. Co prawda, żeby świadomie wybrać kolaborację wzorem margrabiego Wielopolskiego, trzeba było mieć niemało cywilnej odwagi. Nabytkiem dla Warszawy był niezwykle cenny i nikt tego lepiej nie rozumiał, niż władca udzielny prasy i literatury Jerzy Borejsza, który stworzył swoje państwo w państwie i rządził nim razem z Zosią Dembińską, wdową po naszym wileńskim Henryku.

Więc Pruszyński zjawia się w 1945 roku w Krakowie, ze Słonimskim i Margaret Storm Jameson. Następnie spotykamy się w Ameryce. Stosunki nasze były kordialne, ale nie zasługiwałyby na miano przyjaźni. Prowadziliśmy czasem zupełnie szczerą rozmowę, ograniczoną jednak do polityki, inny wymiar, który mnie interesował, był Ksaweremu obcy, czyli nie mogła błysnąć ta iskra, która przebiega między słowami ludzi znających te same książki i drażących te same filozoficzne czy religijne problemy. Pruszyńskiemu mogłem zazdrościć, bo był w pewnym sensie królem życia, ale chronilem strefę dla niego niedostępną, jako że niestety miałem za sobą wyższą szkołę komplikacji.

Jednak Pruszyński był przecie moim kolegą literatem? Opowiadania jego były ładnie pisane, wzruszające i bardzo sentymentalne. Gdyby nie ich patriotyczna łezka, byłby może nie tylko

wybitnym publicystą. Choć Jane w ogóle nie traktowała jego pisarstwa poważnie. Ukazuje się ona w moich zapisach, bo myślę o niej zawsze, wiele lat po jej śmierci, jako o osobie łączącej wyjątkową dobroć z dużą inteligencją, co rzadkie. Przy tym można było z nią prowadzić istotne rozmowy, a jej trochę cyniczny humor i otwartość dodawały tym rozmowom smaku. Otóż Jane była przez pewien czas kochanką Pruszyńskiego i mówiła później o nim serdecznie, ale dużo się śmiejąc. Zdaje się, że bawił ją (jak bawi wiele kobiet) kontrast pomiędzy samczym wigorem i tym, co partner ma w głowie, a co zasługiwało, jej zdaniem, na pobłażliwość. Nie znaczy to, że uważała go za człowieka głupiego, bo przecie był znacznie mądrzejszy niż atakujący go nieprzejednani. Raczej, jeżeli wolno mi sądzić, bawił ją szczególnie wypadek polskiej fantazji czy pióropuszu. Możliwe zresztą, że jej śmiech pokrywał prawdziwe zaangażowanie. W każdym razie przez wiele lat starała się zbierać świadectwa, zdolne naprowadzić na ślad okoliczności, w których zginął.

Jane pochodziła z Filadelfii, z zizin społecznych, bo ze środowiska polskich robotników-imigrantów. Jej ojciec był biskupem Kościoła Narodowego, jednak ten tytuł o niczym nie świadczył, było to nadal getto. Z domu wyniosła znajomość języka polskiego, ale jej umysł był już najzupełniej amerykański. Wyróżniła się zdolnościami w szkole i na uniwersytecie, magisterium z anglistyki na Columbii zdała tak celująco, że na pierwszą posadę trafiła do Smith College w Northampton, czyli do znakomitej uczelni. Jej związek z Ksawerym przypada na okres (przed i po) kiedy ten jeździł z New Yorku do Rzymu, żeby tam próbować montować układ pomiędzy PRL i Watykanem. Była taka próba, w którym roku, nie pamiętam, ale można sprawdzić. O ile sobie przypominam, Ksawery miał nadzieję, że Jane będzie tłumaczyć jego opowiadania i jej opór wynikał z nieprzychylniej oceny ich treści, bo przecie są oparte na patriotycznym porozumieniu autora z czytelnikiem, to znaczy wydobyte z tej otoczki, czytane nie przez Polaka, przestają być zrozumiałe.

Jane dostała stypendium Fulbrighta i wyjechała bodaj w 1948 roku czy w początku 1949 do Paryża. I natychmiast po przyjeździe tam ciężko zachorowała. Śpiączka, przenoszona przez muchę tse-tse czy komara, ma dwie formy: albo pacjent ciągle śpi, albo cierpi na chroniczną bezsenność i choroba Jane miała tę drugą formę. Prawdopodobnie przywozła ją ze Stanów, gdzie zdarzały się jej wypadki. Choroba ta jest albo śmiertelna, albo wprowadza tak duże zmiany w mózgu, że wychodzi się z niej o zmniejszonych władzach umysłowych. Latem 1949 roku, w

drodze do Polski, zatrzymałem się w Paryżu i pojechałem odwiedzić Jane, wtedy rekonwalescentkę, w Cité Universitaire. Wyciągnął ją i opiekował się nią młody lekarz, Francuz, który stopniowo zaangażował się uczuciowo i chciał się żenić. Jak się później okazało, jego praktyczna mama założyła stanowcze veto przeciwko małżeństwu z cudzoziemką, w dodatku chorą. Potulny syn wyjechał z ekspedycją naukową na Grenlandię.

Z Jane mogłem mówić szczerze o wszystkim, o polityce i literaturze, a bardzo potrzebowałem tego w moim ówczesnym osaczeniu. Przynajmniej była osoba pewna, która nie poleciała opowiadać o mnie Polakom czy Amerykanom, w dodatku mogąca mnie czytać po polsku. Jej gatunek humoru mnie odpowiadał i na ogół mieliśmy dobre porozumienie, z niejakimi przeszkodami, które stwarzała jej amerykańskość. Mieszkańcy mojej części Europy zawsze idealizowali Amerykę, tym bardziej po nieszczęściach, jakie spadały na nich od roku 1939. Z tego też powodu ulicami Krakowa, w kilka dni po wkroczeniu Armii Czerwonej w 1945 roku do tego miasta, maszerował oddział polskiego wojska śpiewając piosenkę, której celem było uspokoić zatrwożoną ludność przy pomocy miłych słów pod adresem zachodnich Aliantów. Być może piosenkę ułożył ktoś z literatów wracających z Rosji jako oficerowie polityczni. A nie wątpię, że żołnierze, którym rozkazano ją śpiewać, robili to z zapałem. Słyszę ją jak dziś:

*To jest Ame-ry-ka,
To słynne U.S.A.
To jest kochany kraj,
Tam ziemi raj.*

Ten raj był jednak nieco wątpliwy dla kogoś, kto urodził się w dużym amerykańskim mieście slumsów, nędzy, bezrobocia i rasowych konfliktów, a zwłaszcza jeżeli dzieciństwo jego przypadło na lata kryzysu. Jane była naznaczona radykalizmem społecznym późnych lat trzydziestych i wczesnych czterdziestych, co sprawiało, że naiwne obrazy dobrodziejstw gospodarki wolnorynkowej niezbyt do niej przemawiały. Na pewno słuchała uważnie świadectw o komunizmie, jej odbiór był jednak nieco neutralny, to znaczy połączony z wiedzą o dwóch szalach, obu więcej czy mniej obciążonych, ale obciążonych. Dla mnie Jane stanowiła część mego amerykańskiego wtajemniczenia, jak książki Henry Millera czy reportaże o imigracyjnych dołach Louis Adamica. Czyli z naszych rozmów korzystałem, zachowując drobną nieufność, jeżeli chodziło o jej cechy typowe dla tzw. amerykańskich liberałów, którym najtrudniej jest wytłumaczyć demoniczność niektórych ustrojów. Jane głosowała na lewicę Partii Demokratycznej. Czy na Henry Wallace'a (tego, który jeździł na Kołymę i zobaczył

tam, że więźniowie żyją w znakomitych warunkach) nie wiem, pamiętam jednak, że później czynnie działała na rzecz kandydata intelektualów, Adley Stevensona.

Jane mieszkała jeszcze w Paryżu, kiedy znalazłem się tam w 1951 roku jako uciekinier ze wschodniego imperium i jej obecność była dla mnie ważna, bo wyglądała na to, że pomimo moich zastrzeżeń co do jej amerykańskich „ślepych punktów” była mi mentalnie bliższa niż emigracyjni Polacy, choćby ci najsympatyczniejsi i z najlepszą wolą. Jej rekonwalescencja postępowała powoli i ciągle żyła w strachu, że sprawności umysłowej w pełni nie odzyska. Pisałem wtedy *Zniewolony umysł* i zaproponowałem jej, żeby przetłumaczyła tę książkę na angielski. Zgodziła się i tak zaczęła się jej wielka przygoda, to znaczy dosłownie walka o powrót do życia. Uznała ten przekład za próbę: jeżeli uda się jej, będzie to znaczyło, że chorobę pokonała i że może żyć i pracować normalnie. Z końcem 1951 roku mój tekst był prawie gotów, zaczęła wtedy tłumaczyć, i tłumaczyła dalej po powrocie do New Yorku, który nastąpił bodaj około Nowego Roku 1952.

Nasza współpraca układała się dobrze, nie dawała mi najmniejszych powodów do wątpliwości o jej wnikliwym rozumieniu tekstu i ceniłem jej krytyczne uwagi. Niemniej nie miała ze mną, jak się to mówi, łatwego życia. Przyjaźń przyjaźnią, ale tam gdzie chodziło o dokładność, byłem nieubłagany. Czyli przeczyłem ją, co wyszło nam obojgu na korzyść. Przekład okazał się znakomity, czyta się jakby po angielsku książka była pisana, a więc próba, którą wyznaczyła sobie Jane, wypadła jak najpomyślniej. Kosztowało to ją jednak mnóstwo wysiłku i mimo wielu ofert otrzymywanych po ukazaniu się *The Captive Mind* w 1953 roku, nie została zawodową tłumaczką. Zdaje mi się, że jedyną drugą jej pozycją był przekład esejów Leszka Kołakowskiego, w tym słynnego eseju „Kapłan i błazen”, które ukazały się w New Yorku w 1968 roku pod tytułem *Toward a Marxist Humanism*.

Losy zagnały Jane do Genewy, gdzie mieszkała wiele lat i została nawet obywatelką szwajcarską. W swoich podróżach urzędowych (a pracowała dla szwajcarskiego biura turystycznego) odwiedziła nas w Berkeley. W 1980 roku na moje zaproszenie pojechała do Sztokholmu na Nobla i uznała to za najszcześniejszy dzień swego życia. W parę lat potem umarła w Genewie.

Pruszyński przedstawiał dla rządu w Warszawie wartość fasadową, ale okres fasad trwał niedługo i z Waszyngtonu czy z Narodów Zjednoczonych w New Yorku spadł na stanowisko posła w Hadze, co było odstawieniem na boczny tor. W Polsce stalinizacja postępowała szybko, a zaczęła się zaraz po 1948 roku, po międzynarodowym Kongresie Pokoju we Wrocławiu, pomysłem i

dziele Borejszy, który dał w ten sposób blokowi wschodniemu cenną broń. Kogo tam nie było na tym Kongresie, intelektuały i literaty zachodnie prześcigały się w gorliwości. Spowodowałem memoriał Einsteina, ale ponieważ wzywał do utworzenia rządu światowego kontrolującego broń atomową, memoriał na żądanie Rosjan nie został odczytany. Czy to czy co innego (dotychczas sekret) było przyczyną upadku Borejszy. Postać ta zasługuje na obszerną monografię, ale prawdziwe życiorysy komunistów prawdopodobnie nigdy nie będą napisane.

W Hadze Pruszyński był należycie obstawiony, kichnąć nie mógł, żeby nie dostało się to do raportu o jego zachowaniu, jako że wszystko musiało mieć sens polityczny. Rok 1950 był złowrogi, z aurą oskarżeń o dewiację, procesów, wieszania niewinnych ludzi i śmierci w niewyjaśnionych okolicznościach. Na placówkach w Ameryce tego jeszcze się nie czuło, ale znalazłszy się w ambasadzie w Paryżu jesienią tego roku, orzekłem: mordownia. W tych warunkach każdy miesiąc za granicą był zyskiem. Pruszyński jednak wybrał się latem do Warszawy, głównie chyba z powodu Julii, z którą zamierzał się żenić, a rozwód z pierwszą żoną de domo Meysztowicz (z „Żubrow” wileńskich) miał już przeprowadzony. Nie pamiętam od kogo słyszałem, że kupił pas słucki i chwalił jego użyteczność, bo jedna strona na ślub, druga na żałobę.

Jechał samochodem przez Niemcy, sam, nocą. Gdzieś koło Hanoweru zderzył się frontalnie z ciężarówką i zginął na miejscu. Szoferowi ciężarówki nic się nie stało. Być może w innym, mniej politycznie straszącym okresie, uznano by to za zwykły wypadek, ale wtedy miliony nieszczęśników wychodziły codziennie do pracy w gułagach, na tym samym kontynencie, i morowe powietrze szło ze wschodu na całą Europę. Oficjalnie Ksawery zginął w wypadku samochodowym, jednak krążyły różne wersje i to zarówno za granicą, jak i wśród oficjalew w Warszawie. Podaję tutaj, co słyszałem.

Przede wszystkim od Cecylii, pięknej Angielki z zawodową karierą, jedynej osoby której on, obstawiony w Hadze, mógł się zwierzać. Cecylia specjalnie odbyła ze mną w Paryżu tę rozmowę, zależało jej na tym, żebym wiedział. Według niej Ksawery jechał do Warszawy w pełni świadomy niebezpieczeństwa, na jakie się narażał, był to akt odwagi czy wyzwania; jak na froncie, wierzył w swoją szczęśliwą gwiazdę. Bo został ostrzeżony. Przez kogo? Ni mniej ni więcej, przez Jerzego Borejszę. „Oni tobie tam chcą zrobić proces o Hiszpanię, że byłeś tam z ramienia polskiej dwójki”, miał mu powiedzieć Borejsza — i wątpię, czy Cecylia mo-

głaby to wymyślić. Wierzę, że tak było i że Borejsza odradzał mu przyjazd. Ktokolwiek wie, jak Hiszpania powtarzała się w procesie Rajka, Slanskiego etc., uzna pomysł jeszcze jednego oskarżenia za prawdopodobny. Natomiast zachowanie się Borejszy było zagadkowe. Odstawiony przez partię i chory (zdarzył mu się jakiś tajemniczy wypadek samochodowy) mógł przechodzić poważny kryzys filozoficzny i zacząć kierować się zwyczajnymi ludzkimi odruchami. Inna jednak hipoteza też jest możliwa. Borejsza działał w interesie partii, czy też tych polskich komunistów, którzy pokazowych procesów jak w Czechosłowacji i na Węgrzech woleli uniknąć i starali się działać przeciwko innej grupie czy też organom, prącym do zgęszczenia podejrzeń. Pruszyński byłby pokazany jako podstępny wróg klasowy, który cały czas, również na placówkach, pracował dla dwójki londyńskiej.

Wynikało z tego, że komuś zależało na tym, żeby Pruszyński albo nie zdecydował się na podróż, albo nie dojechał. Jakie nici były tutaj zaplątane, jakie działały siły, chyba nigdy nie będzie wiadomo. Zauważmy, że łatwo zbudować logiczny system poszlak, podczas kiedy rzeczywistość rzadko bywa logiczna. Z tego, że został ostrzeżony, nie wynika jeszcze, że coś złego musiało mu się przytrafić.

Jane przeprowadzała w New Yorku rozmowy bodaj w późnych latach pięćdziesiątych, po słynnej aferze wysokiego urzędnika UB, Światły. Nie pamiętam, na kogo powoływała się, bo przecie do samego Światły, starannie ukrytego gdzieś przez Amerykanów, nie miała dostępu. Według niej Światło miał oświadczyć: „ta sprawa została przekazana towarzyszom niemieckim”, czyli odpowiednie wschodniemieckie organy zrobiły co trzeba.

Jeszcze jedna osoba wkracza na scenę. Towarzysz Skrzyszewski. Był wtedy ministrem Spraw Zagranicznych po Modzelewskim, chorym na serce. Spełniło się, co podejrzewałem, tzn. Paryż okazał się pułapką. W grudniu 1950 roku zjawiłem się w Warszawie na krótką wizytę świąteczną. Ufając w moją szczęśliwą gwiazdę, jak Pruszyński. Kraje dzielą się na te, do których trudno wjechać i te, z których trudno wyjechać. Zważywszy na strach w powietrzu Warszawy, mój przyjazd tłumaczono w cichych rozmowach albo moim obłędem, albo wyjątkowo mocnymi plecami w wywiadzie czy w UB — w każdym wypadku lepiej było mnie unikać. W ministerstwie dowiedziałem się, że już nie wyjadę. Prosiłem o widzenie się ze Skrzyszewskim. Ten oświadczył, że postanowili mnie zatrzymać w moim interesie, żeby nie spotkało mnie to, co Pruszyńskiego. „Co spotkało? — zapytałem. — Przecież to był wypadek”. „Nie, według naszych danych zos-

tał sprzątnięty przez dwójkę londyńską". „Ależ ja w czasie wojny byłem w Polsce, nie za granicą, i żadnych londyńskich powiązań nie miałem". Zastanowił się. „Tak, to prawda. Niemniej postanowiliśmy Pana zatrzymać".

Czy kłamał i wymyślił na poczekaniu tę historijkę z dwójką, czy też w partyjnym wyższym aparacie tak wierzone? Jak pogodzić to z „przekazaniem sprawy towarzyszom niemieckim"? Czy postanowione było, że w razie udanego zamachu londyńska dwójka posłuży za kamuflaż? Na żadne z tych pytań nie ma odpowiedzi.

Zdaniem Jana Meysztowicza (brat eks-żony Pruszyńskiego i mój kolega szkolny z Wilna) był to po prostu wypadek i tak utrzymywała rodzina.

Pruszyński był w Hadze początkującym i niezbyt wprawnym kierowcą. Jechał nocą, był zmęczony. Prawdopodobieństwo wypadku jest duże. Można też założyć, że kapryśna rzeczywistość spletała figla planującym. Czyli uprzedziła to, co i tak by się zdarzyło, np. przy przejeździe przez Niemcy Wschodnie. I może ten wypadek, nie przez towarzyszy niemieckich spowodowany, tak zdumiał bezpośrednich czy pośrednich zamachowców, że doszukali się w nim dzieła konkurencji, czyli dwójki?

Opowieść o Pruszyńskim daje pojęcie o ówczesnych trwogach i metodach. Nie żenowano się. Nieraz dyplomatom podejrzanym o zamiar ucieczki dawano odpowiedni zastrzyk i ładowano do samolotu.

Przeczytałem w nowym wydaniu zbioru *Kraj lat dziecinnych* znakomity tekst Ksawerego Pruszyńskiego. Jakże jasną miał świadomość, że tamta Polska, której rdzeniem były „kresy" i nadal jeszcze szlacheckość, wtedy już, w 1941 roku, mijała na zawsze. Czy miał rację zrywając ze swoimi towarzyszami broni i z londyńską emigracją, biorąc na siebie dobrowolnie piętno zdraycy? Był bystry i międzynarodowo otwarty, nie łudził się jak inni, że zaraz wybuchnie nowa wojna. Inny konserwatysta, Stanisław Mackiewicz, zrobił to samo, tylko później. Myśląc historycznie a trzeźwo, trwająca kilka stuleci rywalizacja pomiędzy Polską a Rosją o panowanie nad środkiem Europy została zakończona całkowitą przegraną Polski. Należało stąd wyciągnąć wnioski i nie oddawać się mrzonkom, tj. nadziei, że Imperium szlachetnie wypluje, co raz połknęło. A zarazem mylił się, bo decyzja zakładała, że dokonuje wyboru pomiędzy jednym a drugim światowym mocarstwem. Wybór do tego się jednak nie sprowadzał. Tam należało zostać komunistą albo nikim, pajacem, który udaje, że nie ciągną go za sznurek. Niestety, tylko wiara

w komunizm mogła uzasadnić zmienianie niepodległego kraju w prowincję pod kontrolą obcych. Myślenie planetarne przeciwstawiało się myśleniu niepodległościowemu. Polska prawica spod znaku Dmowskiego przyjmowała niegdyś poddaństwo wobec Rosji carskiej z powodów geopolitycznych i Pruszyński, przeciwnik endecji, nagle został wtrącony w towarzystwo zwyczajnych kolaborantów.

Do czego zmierzam? Do odsłonięcia rąbka kurtyny, bo tragedia Polski, mało mająca sobie równych, dotychczas pozostaje zakryta. A to z prostego powodu, że podział na kraj i emigrację zmuszał do przyjęcia jednej albo drugiej wypaczającej perspektywy. Należało wiele przemilczać, „żeby nie dostarczać argumentów wrogowi". I niektóre straszne prawdy nie są dotychczas głośno wypowiedane.

Dla Polski nie ma miejsca na ziemi. Powodów trzeba szukać w działalności romantycznych przyjaciół ludu:

*Przebrani w kozuch, idąc od wioski do wioski,
Chuchali na folklor i tp. pierwiosnki.
Aż namnożyli dziwnych nacjonalnych znaków.
To był haczyk — i sami wiszą na tym haku.*

(„Toast")

W istocie Niemcy i Polska były około roku 1820 rozsądnymi politycznego romantyzmu, czyli, nazywając rzecz bardziej przyziemnie, nacjonalizmu. Żeby folklor i „duszę ludu" podnieść do drugiej potęgi i otrzymać pojęcie narodu, trzeba wykształcenia (studenci, Filomaci) i poniżenia (którego w pobitych przez Napoleona Niemczech i w rozbiorowej Polsce nie brakowało).

Jeszcze w ciągu całego XIX wieku wieś francuska na południe od Loary mówiła językiem *oc*, ale nikomu nie przychodziło do głowy powoływać się na naród okcitański. Być może to Rewolucja Francuska, wprowadzając zupełnie inne pojęcie narodu niż tamto wywodzące się od Herdera (patrz Alain Finkielkraut), skutecznie wzmocniła patriotyzm ogólnofrancuski.

Romantycy wileńscy, gdyby zastosować do nich kryteria późniejszego nacjonalizmu, byli jeszcze narodowo chwiejni. Kochali lud, ale lud mówił po litewsku albo białorusku. Książki wychowanków Uniwersytetu Wileńskiego, pisane po polsku, miały jednak wykrystalizować dwa nacjonalizmy, polski i litewski, jak również przyczynić się, dzięki poezji, do narodzin nacjonalizmu ukraińskiego i białoruskiego.

Żeby język uznać za wskaźnik czyjejs przynależności do grupy zwróconej przeciwko innym grupom, trzeba było nie lada prze-

wrotu. Ludzkość obywatela się bez takich wyraźnych rozgraniczeń, a tym bardziej bez idei narodu, który chce mieć własne państwo.

Gdyby po pierwszej wojnie światowej dokładnie stosowano zasadę samostanowienia narodów, wschodnia granica Polski przebiegałaby wzdłuż tzw. linii Curzona. Zapomnę na chwilę o rzeczywistych układach sił, tak czy owak sąsiadami będą Polska, Litwa, Białoruś i Ukraina.

Również zasada samostanowienia musiałaby podyktować po drugiej wojnie światowej obecną wschodnią granicę w wypadku tak całkowitej przewagi zachodnich Aliantów, że nie doszłoby do ugody w Jałcie. Polska oznaczałaby wąski pas wzdłuż Wisły, zbyt gęsto zaludniony, żeby dawało to jakieś szanse.

Żaden rząd zachodni nie wpadłby na taki pomysł jak Stalin, żeby wysiedlić miliony Niemców z ich wielowiekowych siedzib i oddać ten obszar Polakom. Tym samym rzecz można, że Polska istnieje z woli i z łaski Stalina.

Amerykańska Partia Komunistyczna w okresie międzywojennym przez pewien czas miała w programie szczególne lekarstwo na tzw. kwestię murzyńską. Oto proponowała uznać południowe stany, z większością czarnej ludności, za stany murzyńskie i przesiedlić tam czarnych z innych stanów. Projekt został zarzucony jako „nieamerykański”, a także dlatego, że zbyt przypominał o rezerwach dla Indian, o „Szlaku Łez”, kiedy plemiona z Georgii i Północnej Karoliny, dziesiątkowane przez głód i choroby, wędrowały na wyznaczone im tereny w Oklahomie.

Projekt zresztą musiał podobać się Stalinowi, który lubił rozwiązania proste, gładkie i definitywne. Wywiózł przecie na Syberię całą niemiecką republikę nadwołżańską. Trzeba przyznać, że zbrodnia wysiedlenia zawarta jest *implicite* w podziale terytoriów według języka czy rasy ich mieszkańców. Tak więc Polacy, których podczas drugiej wojny światowej Hitler wysiedlał z terenów włączonych do Rzeszy, którzy w miastach musieli przemieszczać się na wyznaczone im ulice, po wojnie zostali zmuszeni (strachem przed deportacją) do wędrowki z miast, gdzie stanowili większość, jak Wilno i Lwów, czy z licznych okolic o ludności mieszanej i do przyjęcia na Ziemiach Zachodnich współnictwa w dziele Stalina.

W roku 1945 polscy komuniści mieli rację: Polska mogła istnieć albo w kształcie nadanym jej i gwarantowanym przez Związek Sowiecki, albo przestać istnieć. Kiedy Jakub Berman w książce *Torańskiej* *Oni* krzyczy, że gdyby nie komuniści, z Polski zostałby placek, trochę fałszuje, bo przed 1939 wcale nie leżała w ich zamiarach obrona terytorium, choć trzeba mu o tyle przyznać słusność, że żaden rząd pochodzący z wolnych wybo-

rów nie dostałby Ziemi Zachodnich w podarunku od Wielkiego Brata.

Kraj, Ojczyzna, naród: *les choses vagues*, rzeczy mgliste, jak je nazywał Paul Valéry, to znaczy wymykające się definicjom, zbyt naładowane uczuciowymi znaczeniami. Lepiej więc w tej dziedzinie niczego nie dociskać. Tyle, że nie bardzo dobrze, kiedy przynależność do danego narodu określa człowieka jako jego główna, dominująca cecha. Valéry nie musiał zajmować się Francją ani nawet zastanawiać się, co to znaczy być Francuzem, francuskość była powietrzem, którym oddychał. Ale Polak jest przede wszystkim Polakiem, Litwin Litwinem, Ukrainiec Ukraincem. I ciekawe, że kiedy chce służyć narodowi swoim umysłem, swoim piórem, swoją sztuką, to co robi jest dotknięte skazą proporcjonalnie do jego narodowej gorliwości.

Ksawery Pruszyński czyli powroty. Bo nie on jeden stanął wtedy przed skrajnie trudnym wyborem. Dlatego trudnym, że, nie owijając rzeczy w bawełnę, powrót był naturalny, skoro naród był tam, natomiast pozostanie oznaczało, że daje się spokój całemu temu narodowi i swojej narodowości, zajmując się zawodem, rodziną, przyjaciółmi. Zmieniając się w obywatela świata. Jak to, zakrzykną, a misja emigracji, wypróbowana od pokoleń, ulice paryskie, którymi chodzili Mickiewicz, Słowacki, Norwid! Otóż w 1945 roku nie było żadnych danych, które by mogły uzasadnić emigrację jako akt polityczny, chyba, że ktoś nie chciał rozumować trzeźwo. To dzisiaj rzutuje się późniejsze wypadki wstecz i przyznaje się sens wytrwania na pozycjach straconych, przyjmując milcząco dodatkowe założenie o ciągle tej samej walce narodu o niepodległość.

Wyobraźmy sobie Pruszyńskiego jako biologa czy malarza czy fizyka. Mógłby zostać za granicą, nie popadając w sprzeczność. Ale on był politykiem, a jako taki nic nie miał na Zachodzie do roboty, a poza tym był publicystą. A tam gdzie wchodzi w grę pisarstwo, wszystko zaczyna wyglądać inaczej.

Nie widzę wielu podobieństw między mną a Pruszyńskim, toteż nie załatwiam za jego pośrednictwem swoich porachunków. Jego wypadek jest klinicznie czysty, skoro o żadne lewicowanie nie można go posądzać. Ani o chciane czy mimowolne zaślepienie. O Rosji wiedział wszystko, patrzył na nią w Kujbyszewie i wyciągał ludzi z łagrów. Jego wiedza obejmowała masowe wywózki po pakcie Hitler-Stalin, Katyń, Powstanie Warszawskie. A jednak przeszedł na stronę Warszawy. Ze względów geopolitycznych.

Ten schemat: byli zaślepieni, bo tak im było wygodniej, a potem przejrżeli, nadal pokutuje, jakby wolno było mówić o nas jak o Francuzach czy Anglikach. W Warszawie rozporządzałem niezłymi informacjami o archipelagu Gułag, czyli nie musiałem czekać, aż oświeci mnie kilka dziesiątków lat później Sołżenicyn. Miałem za sobą ucieczkę z sowieckiego Wilna, na co niewielu się decydowało, bo stawka przy złapaniu na granicy była mniej więcej (osiem lat) wiadoma. Poza tym znajomość rosyjskiego pozwalała mi na poważną lekturę gazety emigrantów rosyjskich wychodzącej w Berlinie, o wiele bogatszej w wiadomości, mimo cenzury, niż jakakolwiek inna oficjalnie dozwolona prasa. Docierała do Warszawy *La Gerbe* francuskich kolaborantów, ale żałośnie pusta. Rosyjska gazeta dawała mnóstwo świadectw, listów, dokumentów, o których autentyczności nie można było wątpić, a pochodzących z ogromnych obszarów Związku Sowieckiego. Zresztą intencje redaktorów najwyraźniej nie pokrywały się z celami niemieckiej propagandy, lawirowali. Kroński, który rosyjskiego nie znał, robił mi awantury z powodu tych niezdrowych lektur.

Niedawno przeczytałem wydany przez *Puls* tomik wspomnień i opinii o paryskiej *Kulturze* i zrobiło mi się przykro. Że też muszę zawsze być karany za moje przekorne wygłupy. W początkach mego pobytu w Maisons-Laffitte uważano tam, że trzeba mnie doksztąpić, więc robiłem wielkie oczy i udawałem dziecię: „Jak to, więc tam są łagry?”. A biedna Zofia Romanowicz w swoim wspomnieniu z 1951 roku wzięła to dosłownie.

Wszystko to działo się dawno, ale oto koniec stulecia i zbliża się pora bilansów tego naszego wieku. Mnóstwo zasłon, mgieł, woali zakrywa widok i trudno się rozeznąć, gdzie co jest, co ważne, co mniej ważne. Ktokolwiek parał się trochę historią literatury, wie jak złudne są podziały na szkoły, kierunki, i jak mylne po upływie kilkudziesięciu lat okazują się wieńczenia laurem. Ostatecznym kryterium będzie może doza rzeczywistości obecna w danym dziele, wymagająca przywiązania do prawdy. Wtedy wielkiej rehabilitacji zaznają książki rozpraszające mgłę, za którą ukrywał się potwór leninizmu-stalinizmu. Przez wiele dziesięcioleci obserwowałem, jak niechętnie były przyjmowane i jak szybko zapominane.

W Wilnie we wczesnych latach trzydziestych Białorusin Olechnowicz, eks-więzień na Sołowkach, znalazł się wobec czytelników w podobnej sytuacji, co później Polacy wypuszczeni z łagrów wobec publiczności angielskiej: współczucie, ale i niedowierzanie, bo przecie ów świadek musiał coś przeszkrobać, przecież nikt nie jest karany bez winy. W tychże latach trzydziestych *Powrót z ZSSR* André Gide'a i Panait Istrati dają okazję do

zorganizowanej kampanii przeciwko rozczarowanym czyli „zdrajcom”. Na tej liście umieszczeni są zaraz Victor Serge, Artur Koestler, Ignazio Silone, George Orwell, wkrótce też Albert Camus. Szeptaną propagandę, skuteczniejszą jeszcze niż oszczerstwa w prasie, uprawiali intelektualści postępowi, nie tyle co prawda szeptaną, co gestykulowaną; w swoim przyjętym na zasadzie milczącej umowy systemie grymasów, prychnięć, gestów lekceważenia, załatwiali się bez słów z niewygodnymi pisarzami jako sługami burżuazji.

Mógłbym wymienić tytuły wielu książek nigdy nie wydanych albo skutecznie przemilczanych. Również tych, które, wydane w jednym języku, nie mogły znaleźć tłumaczy i wydawców w innych językach. Na przykład *Na nieludzkiej ziemi* i *Zapiski starobielskie* Józefa Czapskiego i *Inny świat* Gustawa Herlinga-Grudzińskiego. Czy *Dark Side of the Moon*, książka świadectw Polaków wywiezionych po 1939 roku.

Mój *Zniewolony umysł* pisany był w najgorszym może roku, 1951, kiedy kult Stalina we Francji osiągał szczytu, wkrótce po zgoła nieprawdopodobnym, patrząc na to dzisiaj, a głośnym procesie. Komunistyczna *L'Humanité* oskarżyła mianowicie Davida Rousseta, byłego więźnia niemieckich obozów koncentracyjnych, o to, że w swojej książce *L'Univers concentrationnaire* mówi o istnieniu obozów koncentracyjnych w Rosji. Równocześnie Jean Paul Sartre i Francis Janson gotowali się do obrzucenia błotem w *Les Temps Modernes* Alberta Camusa za jego książkę *L'Homme révolté*, w której utrzymuje to samo (prze-czytałem tę książkę zdaje się już po napisaniu *Zniewolonego umysłu*). Tak więc jedyne słowo, jakiego można tu użyć, będzie chyba: psychoza. Choć także władza, na szczęście bez policji. Artykuły Sartre'a i Jansona były po prostu denuncjacjami, wołaniem o karę dla Camusa. Kiedy szukałem tłumacza i polecono mi młodego człowieka, początkującego literata, pochodzenia żydowsko-polskiego, ten oświadczył, że bardzo chętnie, ale nie może, bo nikt by mu potem nic nie wydrukował. Pracy ze mną podjął się André Prudhommeaux, anarchista, który był w Hiszpanii. W Paryżu zarabiał jako korektor stylu w *Preuves*. Ale Prudhommeaux nie znał polskiego i cały *Zniewolony umysł* przedyktowałem mu zdanie po zdaniu, on tylko stylistycznie poprawiał.

Napisanie *Zniewolonego umysłu* kosztowało mnie za dużo, żebym się nim chwalił. To znaczy wymagało szeregu warunków. Wyjazdu z Ameryki, bo tam Joe McCarthy urządzał polowanie na komunistów, co rzuciło groźbę na środowiska intelektualne i

oczywiście nikt szanujący się nie mógł przyłączyć się do antykomunistycznej kampanii, która była interpretowana jako początek faszyzmu w Ameryce. Poziom umysłowy łowców usprawiedliwiał takie przypuszczenie. Czytałem gdzieś stenogram zeznań Bertolda Brechta przed odpowiednią komisją Kongresu. Bawił się nimi jak kot myszą. Wkrótce wyjechał do Berlina Wschodniego. Nieszczęsny Whittaker Chambers może być przykładem, co spotykało śmiałków łamiących obyczaje środowiska. Długoletni redaktor *Daily Worker*'a zerwał z komunizmem z powodu rzeczywistego wewnętrznego kryzysu i występował jako kluczowy świadek oskarżenia w procesie Algera Hissa o szpiegostwo. Odtąd, do śmierci, był wyłączony spośród ludzi godnych podania ręki, stracił wszystkich przyjaciół, a jego ogłoszone pośmiertnie listy świadczą o dnie rozpacz. Był mocno przekonany, że nikt nie rozumie istoty komunizmu i niebezpieczeństwa, jakie niesie dla ludzkości i że on, decydując się po długiej wewnętrznej walce na publiczne wystąpienie, przegrał. I, oczywiście, był zafascynowany Historyczną Koniecznością zwycięstwa Związku Sowieckiego. Środowisko tępiące Chambersa bynajmniej nie składało się wyłącznie z marksistów i ich sympatyków różnych odieni, obejmowało także szerokie koła opinii liberalnej, zjednoczonej przez swoją wrogość do antykomunizmu. „Co by było gdyby” jest zawsze ryzykowne, ale myślę, że gdybym został w Ameryce, nie mógłbym *Zniewolonego umysłu* napisać nie narażając się na ostracyzm ze strony jedynych kół, na jakie mogłem w tym kraju liczyć. We Francji było jeszcze gorzej, ale swoją obcość zakładałem niejako z góry, trędowaty, jak sądziłem, na stałe.

W 1954 czy 1955 roku w foyer paryskiego teatru, gdzie wystawiano jakąś sztukę polską, natknąłem się na Jarosława Iwaszkiewicza, który odwrócił się, rzuciwszy: „Z tobą, złotko, nie mogę się przywitać”. Opowiadano mi, że Iwaszkiewicz na jakimś spotkaniu z Sartrem w Berlinie rozmawiał z nim o *Zniewolonym umyśle*. Sartre: „Nie wystarczy być inteligentnym, trzeba jeszcze mieć *sagesse*”. *Sagesse* oznacza i mądrość i roztropność. Rzeczywiście nie byłem roztropny. Książka ta wlokła się za mną długo. Ściągnęła denuncjacje Polaków do ambasady amerykańskiej w Paryżu (bo kryptokomunistyczna) czyli zaprzepaszczanie wizy do Ameryki na dziewięć lat, „piętno zdrajcy” wśród postępców, a także, co bynajmniej nie przypadało mi do smaku, zaliczenie mnie do prozaików, szkolarzy z zakresu *political science*. *Nota bene* nie pomogła w dostaniu posady wykładowcy literatury, raczej przeciwnie.

Drugim warunkiem niezbędnym był mój stan umysłu, godny pożalowania. Dużo teraz rozmyślam nad ideologią, to znaczy nad

niemal nieograniczoną zdolnością ludzi do wpadania w korkociąg, z którego nie ma ratunku. „Ukaszanie heglowskie” może po prostu tłumaczyć się traumatycznym przeżyciem słabości, słabości własnej czy kraju wobec siły posuwającej się jak żelazny walec. *Jeuropa nasza*. Przecie w latach 1945-1950 nikt nie wierzył w samodzielną kapitalistyczną Europę. Pisałem, żeby wydostać się z korkociągu. Choć dopiero inna autoterapia, *Dolina Issy*, wydobyla mnie spośród abstrakcji i oddała mnie z powrotem poezji.

Czesław MIŁOŻ

Jedyna w Bawarii POLSKA DRUKARNIA OFFSETOWA

KONTRAST

BREITENSTEINSTRASSE 33 · D-8209 SCHLOSSBERG-ROSENHEIM
TELEFON 08031/7777

WYKONUJE:

książki, broszury, czasopisma, katalogi, prospekty,
odezwy, ulotki, blankiety, karty świąteczne i wizytowe
oraz wszelkie inne
prywatne, społeczne, naukowe i przemysłowe druki.

Skład elektroniczny we wszystkich językach europejskich,
głównie w polskim i rosyjskim.

Solidne wykonanie — ceny umiarkowane!

Dla P.T. Autorów aktualny niezmiennie długoterminowy kredyt.

Bożydar

Czas przelotu gawronów. Przed zmierzchem czarne chmury płyną niebem. Nisko nad domami. Tutaj zniżają lot. Park stanie się ich nocnym biwakiem. Historyczny ogród Krasińskich. Granica dzielnicy żydowskiej. W pałacu biblioteka narodowa. Dawniej Wincenty, generał Krasiński. Syn jego trzecim wierzchem. Stary ogród, stary park. Mamusie z wunderkindami spacerowały alejkami. Młodzieńcy z Nalewek. Chichotliwe panny. Kipiało życie. Potem getto, powstanie. Szli kanałami do śródmieścia. Właz pozostał. Dymią ruiny. Całe miasto cmentarzem. Odbudowa. Bierut wśród murarzy. Socjalizm. Kawalek torów tramwajowych. Szyny i kocie łby. To zostało po Nalewkach.

Kotłowanina, ptasi wrzask. Gawrony siadają na topolach. Później przestaną się odzywać. Znieruchomieją na gałęziach. Czarne winogrona. Żalobny obraz. Okno jak ekran. Wypełnione wędrówką ptasich hord.

Myśli ciężkie, mętne, pełno szlamu. Jedyne ulgą bliskość nocy. Już od rana wszystko było przykre i przynębiające.

Ledwo wylazłem z domu, oszczekał mnie pies. Żeby chociaż był to brytan, wielki i groźny. Skąd! Stary kundel, wiekowy człapak, łysawy na grzbiecie, z dyndającym workiem jąder. Starcza ohyda. Podniósł osiwiwały łeb i ruszył do ataku ze wściekłym charkotem. Bulgotał i spływał śliną. Zaropiałe, czerwone oczy. Dlaczego mnie wybrał? Bliżej miał tego chłopaczka, co hawił się przy trzepakach. Ciecica z szuflą tuż obok. Co wyczuła ta sobaka? Psy cenią ludzi silnych i zdecydowanych. Według praw przyrody uważają ich za przewodników stada. Dla niego byłem galareta! Pecherzem z przelewającą się breją. Pędził i oszczekiwał aż do skrzyżowania ulic. Jego pan, pokureczony dziad wspar-

ty o łaskę, nawet się nie obejrzał. Trochę musiałem ochłonąć. Papieros, gorycz dymu, kaszel.

Ustawilem się w kolejce po pieczywo. Tam pomyłona ludzi błogosławiła. Pызata, w nieokreślonym wieku, paltot z króliczym, wytartym kołnierzem. Każdego w kolejce dłońmi lekko muskała. Szepcząc czyniła znak krzyża. Jakaś baba posądziła ją o kradzież portmonetki. Wrzask, szarpanina. Interwencja ciężarnej sprzedawczynie. Baba znalazła swą portmonetkę na dnie torby z zakupami.

— Przepróż ją, szantrapo — inna baba do niej. Pomyłona chyba mieszka gdzieś w pobliżu. W te ostatnie, siarczyste mrozy modliła się naprzeciw pralni „Alba”. Żarliwa, szalona modlitwa. Z bramy obserwował ją milicjant. Przysadzisty, wsiowy parobas. Zdumiony.

Pralnia Alba. Książę Alba. Schiller. Wielka literatura. Co za degradacja!

A co z tą drugą stukniętą? Przychodziła tu latami i regulowała ruch uliczny. Fachowo, płynnie manewrowała to prawą, to lewą ręką. Fascynujący balet rąk. Tłusta i zaniedbana, o twarzy tępej i skupionej na tej tylko czynności. Dozorca twierdził, że to była milicjantka, bardzo popularna w latach 60-tych, urodziwa Łodzianka. Chyba bujda. Milicjantki, milicjanci. Zdrowa rasa, bez stressów. Tak samo nomenklatura. W innych kręgach ludziom nerwy wysiadają.

Pomyłone, pełno pomyłonych. Dobrodziejstwo dotyku. Harris. Był taki cudotwórca. Leczył dotykiem. Tłumy wyczekiwały. Już nie przyjeżdża. Powinien. Naród zdewastowany. Dużo wariatów. Nie wytrzymują ludzie ciśnienia. Chlają. Ale gorzała coraz mniej pomaga. Niektórzy w przyrodzie szukają oparcia. Podobno brzoza posiada właściwości. Wtedy jeszcze nie wiedziałem. Stałem jak wryty. Obraz jak alegoria jakaś. Dziewczyna przywierzała czołem do pnia. Koścista uroda tych drzew opiewanych w poematach. Cały zagajnik. Niżej mogiły sowieckich bojów, betonowe słupki z czerwonymi gwiazdami. Było to na cmentarzu żołnierzy przy alei prowadzącej na lotnisko. Ta dziewczyna ze swoją udreka czołem do pnia. Zadek wypięty był prowokacyjnie. Niezłą miała prochnię, jak powiadała Regina, sąsiadka Leszka.

Optymistyczny dysonans w tym zadku. Chłodno jeszcze wtedy patrzyłem. Chłodno i z dystansu. Gdzie się podziała moja odporność? Zanika. Siły mi trzeba. Siły i odporności.

Plaga brzoź ciągnie się od Syberii po Mazowsze. Może i dalej... Artyści chętnie szukają w nich natchnienia. Wybrać się cichaczem na cmentarz i tak czołem od pnia do pnia.

Zafrasowany pijaczek trafnie się wyraził. To wczoraj. Ku-

pował *Ekspress*. Rozłożył płachtę gazety. Trząsał się, szczeć na brodzie.

— Tonący brzytwy się chwyta — tak powiedział ni stąd ni zowąd.

Kac go siepał, dręczyły wyrzuty sumienia.

Stary pies na osiedlowym podwórzu. Jeszcze o jego charakterze nienawistnym.

W dzieciństwie zatłukłem psa. Wraz z kilkoma rówieśnikami. Podobno był wściekły. Mglista pamięć tego wydarzenia. Jaki był w nim mój udział? Kara za grzechy. Nie tylko za psa. Młodość miałem zachłanną. Posmakować zakazanego, zobaczyć diabła, wejść z nim w konszachty. Pomyłona pod mostem po praskiej stronie. Na imię miała Matylda. Upalny dzień, gorzała. Igraszki okrutne z tą nieszczęśnicą. Dziś ta dotkaczka w kolejce po pieczywo. Ona, pies. Wyrzuty sumienia. Czkwaka grzechów, garb, udręka. Tyle z przeszłości wyłazi. Osacza. Paskudny dzień. W dodatku błoto, deszcz, wiatr. Bóg pogody zakpił z ludzi. Zimę przemienił w jesienną szarugę. Bóg!

— Talent to dar od Boga dany — powiedział Albin, gimnazjalny nauczyciel polskiego.

Było to wiele lat temu. Odprowadzałem go do przystanku E.K.D. Stary pan, kraciaste pumpy, buty sznurowane z wysokimi sztylpami. Samracka twarz, bulwiasty nos. Podejrzewaliśmy go o skłonność do alkoholu. Szczególnie cenił Berenta. Sam też pisywał w młodości. Panegiryk o Piłsudskim, rozprawę o wieszczach.

— Takie tam ulotne rzeczy... — machnął ręką. — Nie miałem...

Dalsze jego słowa zagłuszył łoskot nadjeżdżającej kolejki.

Popas w małej kawiarni nie poprawił samopoczucia. Krzykliwa rozmowa za plecami. O jakimś niezwykle korzystnym interesie, popijawie wieńczącej finał przedsięwzięcia. Niezmordowana żywotność rodaków. Kiedyś lubiłem takie miejsca. Rytuał popasu ochoczo stosowany podczas łącegi po mieście. Rozmowy, tworzywo, inspiracja. Więż z narodem. Tak pisałem opowiadanie „Ludzie”. Początek w kawiarence na Pradze. Za oknem kipieli ulicy Targowej. Pojawiła się para śmieciarzy. Rozmowa tych dwojga, pieszczoty. Małpie to było jakieś. Kobieta szczypała mężczyznę w nos, targała za uszy, sięgała krocza. Chichoty, pisk. Co to jest człowiek? Nagłe pytanie. Wiele takich migawek. Od tego zaczynało się pisanie. Teraz pustka, znużenie. Kawiarnia tylko z musu. Trzeba dać wytchnienie zmęczonym nogom. Bolały łydki, kolana, stopy. Nawala cała konstrukcja. Nic nie elektrykuje. Raczej męczy. Ani śladu Pegaza. Zakisłość, niski pułap.

— Czym przyjechałeś, koniem? — tak niedawno zapytała matka.

Zaskoczyła tym pytaniem. Dopiero po chwili pojąłem jego sens. Cofnęła się do bardzo dawnych czasów, kiedy to do jej dwóch młodszych sióstr przyjeżdżał bryczką albo wierzchem urodzieli leśniczy.

— Koniem — odpowiedziałem więc.

Biedna matka. Przestała już korzystać z lodówki. Stoją tam garnki z zupą, półmiski z mięsem. Nie rusza.

— Nie moje — powiada.

Gotować też zapomniiała. Soli herbatę, słodzi zupę. Najchętniej siedzi w oknie i spogląda na świat martwym, pustym wzrokiem.

Achtung! Słowo jak dźwięk dzwonu na trwogę. Niebezpieczeństwo zbliża się milowymi krokami. Jaka będzie moja starość? Kto niedołęzemu pełzakowi poda talerz zupy? A co z pisaniem? Pegaz, dychawiczna chabeta.

Wychodząc z kawiarni, zobaczyłem wściekłą twarz kanalarza. Wychylał się ze studzienki w chodniku.

— Kurwa! Dawaj! Kurwa! Nie tu! Tam! Kurwa! Ślepy jeste! Kurwa! — wołał do swego pomocnika, powolnego młodzieńca o krostowatej twarzy.

— Kurwa! — powtórzyłem za kanalarzem.

Powolna droga do śmierci. Ciemny tunel najeżony niedołęstwem, rozkładem i demencją. Jünger nie bał się śmierci. Bohater spod Verdun, Somma, Marna, kilkanaście razy ranny. *Pour le Mérite*, najwyższy order za odwagę. Podczas nocnego bombardowania Paryża wychodził na taras hotelu i patrzył. Spoglądał na ognistą iluminację miasta. Popijał białego szampana, wrzucał do kielicha krwiste poziomki. Sycił oczy pięknym widokiem trunku i nieba. Wyzywał kostuchę, gardził nią po pańsku. Dożył późnej starości, pisuje nadal. Wspaniały dziad, jego wysokość Jünger.

Jeszcze miałem awizo. Już dochodziłem do poczty. Na murku siedział śmieciarz. Klasyczny. Brudny i brodaty. Torby swoje wędrowne postawił obok, podniósł z ziemi peta i zapalił. Tutejszy Diogenes. Od takich minimalistów uczyć się sztuki życia. Jaki tam Diogenes! Pusta retoryka. Twarz kretyna, zwierzęce oczy. W osiedlowym śmietniku spłonęła kobieta z tej branży. Zasnęła z papierosem.

— Od tego denaturatu co wychłała ogień był zupełnie niebieski — opowiadał dzielnicowy, sierżant Makaruk.

Po co opisywać to upadłe, przegrane życie. Mechaniczny nawyk. Niewola skrobania po papierze. Awizo! Szansa na ekstralist. Coś ważnego. Wiadomość o przekładzie. Drukują w *Partisan Review*, *Atlantic Monthly*, *New Yorker*. Pragnienie rozgłosu, ssące głody sławy. Ci pisarze... Niskie pobudki. Czyżby najsilniejsze te niskie pobudki?

— Zwyrodniałe kręgi szyjne — orzekł lekarz, specjalista od schorzeń kostnych. Wykazał bezpośredni związek między tym kalectwem i siedzeniem przy stole w skrzywionej pozycji. Poradził, żebym jak Hemingway na stojąco.

— Wysoki pulpit — powiedział z całą życzliwością.

Przed okienkiem listów poleconych nie było ludzi. Przegródki pełne kolorowych, zagranicznych przesyłek. Otrzymałem szarą, urzędową kopertę. Krajową. Wydział spraw lokalowych. Wzywali w sprawie meldunkowej. Sprawdziłem ponownie. Nazwisko zgadzało się, ale inne imię i adres inny. Zwróciłem list.

— Pomyłka — przyznała obojętnie panienska z okienka. Może sięgnąć do Berenta. Albin z takim nabożeństwem o nim mówił. O drodze kamienistej i owocach tego trudu. Klejnotach literatury.

Leżałem na tapczanie pod mongolskim kocem Gobi. Gorący ten koc. Z wielbłądziej wełny. Jakiś dromader z pustynnych szlaków dał swoją sierść na ciepłą, miękką materię. Nosił na grzbiecie przemyt do Tybetu, Chin. Może jeździł na nim skośno-oki pogranicznik. Były takie w domu towarowym na Woli. Polecam innym miłośnikom sztuki pisania. Berent mógł także odpoczywać pod kocem. Pledem, mówiło się wtedy.

Świetne są jego szkice o jakobinach Sejmu Czteroletniego, księciu Konstantym, starym generale Dąbrowskim. A powieści jak zakalce! Hańdy martwych słów. Wysoko mierzył. Zdradzieckie są te wysokie miary.

Z kąta pokoju helleński chłopiec wyciągał dłonie w słonecznym, miękkim geście. Pękła mu lewa ręka poniżej barku. Od przesuwania. Służy do przytrzymywania uchylonych drzwi na balkon. Żeby kot mógł wybiegać do swojego kibla. Ten posążek z brązu to podarunek od starego Sidora w testamencie. Napisałem o nim opowiadanie. Zdążyłem dać mu do przeczytania przed śmiercią. Nie był zadowolony.

— Głupka ze mnie zrobiłeś — stwierdził.

Poszliśmy na wódkę. Sidor nieraz opowiadał o mojej ulicy. Dostojne kamienice, knajpy, hotel. Jedną knajpę szczególnie sobie w tamtych czasach upodobał. Właściciel nazywał się Duch. Kiedyś wyciągnął z portfela poźółką fotografię. Drzwi, na szybie jakiś napis — młodzi, rozbawieni mężczyźni oparci o ścianę. On jednym z nich.

— U Ducha — objaśnił. — Gdzie potem poszliśmy? — zawiesił głos.

— Do Wróbla — zażartowałem. — A na koniec do Adrii. Zaśmiał się.

Całe miasto na cmentarzu dawnego stoi. Dziwne uczucie. Niedobre. Poznikały nawet nazwy dawnych ulic. Powymierały wraz z ludźmi i murami. Duch. *Nomen omen.*

Helleński chłopiec. Sztuka dawnych Greków. Ład i harmonia. Śródziemnomorski akwen. Sidor był pedałem. Dyskretnym, nie nachalnym. Te dni niedobre, trujące. Wspomnienie ostatniego dnia roku. Aura podobna do dzisiejszej. Miasto wyglądało szczególnie francowato. Kałuże i strumienie na jezdniach. Liszaj popękanych murów. Grube od chmur niebo, kipiało niezdrową gorączką przed zbliżającą się nocą. Nocą pożegnania starego roku i powitania nowego. Już pojawili się sinonosi pijackowie, sprzedawcy karnawałowych balonów. Jednego z nich rozpoznałem. Rówieśnik. W upojnych czasach naszej młodości ze szczególnym upodobaniem wyśpiewywał rzewną pieśń — „Nie dla mnie jest wiosna i maj, nie dla mnie czarowny ten kraj”.

Ilu takich? Kończą jako baloniarze, wraki, żebracy!! Przy nich bez wątpienia byłem dzieckiem szczęścia. Ci baloniarze mieli swój dzień. Wszyscy kupowali. Trzęsła się galareta na długich kijach uformowana w kształty ludzkich twarzy, zwierzęcych pysków, ryjów, dziobów. Balony wydmuchuje się też z prezerwatyw. Kościół winien chwalić użytek czyniony z wszetecznej gumi.

O, kulwa! Kulwa! Tak mawiał świętej pamięci Irek. Nie wymawiał litery „r”. Dostałem potężną dawkę błota. Samochód przejechał blisko chodnika i chlupnęło spod kół. W samochodzie dwaj w futurzanych czapach. Soc-bydło. Celna nazwa na nową rasę. Ekspansywni, brutalni i prostacy. W szczególnej pogardzie mają pieszych pariasów. Polonez jako luksus srebrzysty w szarościach tamtego dnia. Stałem i otrząsałem się z bryzgów błotnistej wody. Soc-bydlaki bardzo się spieszą. Ostatnie przygotowania do sylwestrowego balu. Bale najbardziej modne w dewizowych kurwidołkach. Victoria, Forum. Soc-bydlaki! Może to przyzwoci ludzie? Może moje oczy są krzywym zwierciadłem? Zniekształcają, deformują obraz bożego świata.

Wsunąłem się na krótki postój do bramy i zapaliłem papierosa. Patrzyłem mętnym wzrokiem na ludzkie rojowisko pograżone w konwulsji ostatniego dnia roku. Znajomy sprzedawca balonów i ja. Skojarzenie nieodparte. Dwaj chłopcy z tamtych lat. Nazywał się Kotulski. Zasztynął udaną kradzieżą w C.D.T., pierwszym socjalistycznym uniwersytecie. Zaraz po uroczystym otwarciu schował się tam na noc w dziale szaf i tapczanów. Spenetrował piętra, załadował walizy i wraz z rannym tłumem opuścił sezam. Wyprawy do C.D.T.-u powtarzał kilka razy. Zawsze z dobrym skutkiem.

— Ja mam fart! — śmiał się zaraźliwie; usta pełne białych zębów.

Siła, brawura i optymizm. Tak go wtedy widziałem. Stał w odległości kilku metrów ode mnie. Plecami oparł się o ścianę, kij z balonami trzymał oburącz. Stary, zmęczony facet. Sinawa twarz, bezzębne usta. Pewno trunkowy. Cwaniackim, dawnym

sposobem głowę miał wtuloną w ramiona. Był bez czapki. Posiwał włosy cesał w plerezę, czub nad czołem, skrzydełka z tyłu. Zachował dawną fryzurę. Musi dbać o nią.

On i ja. Obaj gonimy resztkami sił. Uporczywe nawroty do młodości.

— Tonący brzytwy się chwyta — zabełkotał pijaczek pod kioskiem z gazetami.

Odarta z tynku, posiekana śladami po pociskach kamienia w okolicach Pałacu Kultury.

Wspinaliśmy się drewnianymi schodami bez poręczy na czwarte piętro. Kwaśny zapach kapusty, jakiejś smażeniny. Co najmniej dwadzieścia pięć lat temu. Jola miała zamówioną wizytę u wróżbity. Rozpętała się burza. Walały pioruny. Niebo rozdzielone fioletowymi błyskami potęgowało nastrój wróżb, jasnowidzenia, tajemnicy. Wróżbita nazywał się Mustafa. Miał twarz bonzy z tybetańskiego klasztoru. Mówił głuchym szeptem, przesuwając karty pokryte dziwnymi znakami. Wychodziliśmy stamtąd w milczeniu.

Osacza przeszłość szyderczym chichotem. Pojawia się nieoczekiwane. Piwniczne okienko introligatorskiego warsztatu. Zatrzymałem się z myślą o kilku książkach wartych twardej oprawy. Tam we wnętrzu kolega z młodości! Oparty o kontuar, zapalał papierosa. Powiesił się wiele lat temu. Jego śmierć jak piorun. Był to wesołek. Nie tylko. Twardziel, realista. Dlaczego to zrobił? Podsunąłem się bliżej do okna piwnicznego warsztatu. Mężczyzna oparty o kontuar już przestał być podobny do tamtego. Widziadło!

Spojrzenie w okno. Gawronów już nie ma. Siedzą na drzewach w parku. Rozpoczęły nocny biwak. Widok z tamtego roku. Wieczorem przez jezdnię przebiegał sznur. Gonili go dwaj chłopcy. Uciekał bardzo powoli, niemrawo jak na sznur. Ogon miał płaski, brzuch bardzo wzdęty. Chłopcy nie zdążyli go dopaść. Schował się pod betonową misę na kwiaty, ustawioną przy tablicy upamiętniającej miejsce męczeństwa Polaków podczas okupacji.

— Gruby taki — dziwili się chłopcy. — Chyba samica. Musi być kotna.

Spróbowali wypłoszyć kijem. Kij za krótki. Nie dali rady.

Zajrzałem pod misę. Szczur robił bokami, bardzo zmęczony. Ogon miał płaski. Wciśnięty w kąt pod mur. Dokąd dażył? Jeżeli piźmowiec, to do wody. Gdzie tu woda w pobliżu? Ten przykry widok uporczywie powraca.

Jak łatwo utożsamić się z zagonionym szcurem. Niezmordowany kronikarz. Rejestrator naszej bolesnej rzeczywistości. Jego książki od lat... Śmiechu warte! Kolejne wyprawy w Polskę. Notes pękał od zapisków. Nieuchronnie jednak następowała powtarzalność tych obserwacji. Ludzka szarpanina. Protesty.

Żelazny szczękościsk władzy. Protesty nabrzmiewają. Rysują się szczeliny. Pęka skorupa. Uścisk rozluźnia się. Tak latami. Faza wlotu. Czas upadku. Cementują szczeliny. Cisza. Nic nie słychać. Czasem tylko groźne pomruki gdzieś w głębi.

Ostatnia podróż pociągiem. Tłok, zarzuty kłozet. Milczenie w przegrzonym przedziale. Umykające spojrzenia pasażerów. Pejzaż za oknem. Te pola płaskie, trochę jeszcze śniegu, wiejskie zagrody. Fabryki, dymią kominy. Wielkie litery hasel na murach i płotach. Dworzec. Tłum w mroku poczekalni. Patrol milicyjny. Ciągną pijaka. Bezładny, workowaty kształt. Opadły mu spodnie. Chude ciało ze smugami brudu. Ciemne ulice. Rozpadające się domy. Szkaradne bloki, najeżone antenami. Ostatni przechodnie. Życie w mieście zamiera wcześniej. Smutek. Dławiący smutek. Spotkania z ludźmi. Też smutne.

Emerytowany sztygar ze swoim pamiętnikiem.

— Koniecznie należy zrobić z tego użytek — powtarza namolnie. — Opracować i wydać.

Spisywał zatargi z władzą. Skargi, odwołania. Wyrzucony z partii. Usunięty z kierowniczego stanowiska. Zaciekły w tych walkach.

Chwyta mnie lekko pod łokieć i dodaje intymnym szeptem: — Mam jeszcze drugi brulion. — Uśmiecha się oblesnie. — Życie uczuciowe mężczyzny. Trzydzieści narzeczeństw i cztery małżeństwa.

W barze samoobsługowym zgarbiony mężczyzna z rozetką jakiegoś odznaczenia w klapie. Chudy, rzadkie, szare włosy ulizane w przedzialek. Zamówił danie składające się z kotleta pożarskiego, ziemniaków i buraczków. Wszystko to zagarnął z talerza do gazety. Bylejaki jeżdżenie do bylejakiej gazety. Poszedł ze swoim pakunkiem w ciemność martwej ulicy. Pewno do smutnego, pustego mieszkania. Zasiadzie do wieczery w gazecie. Rencista, wdowiec. Dzieci wyjechały w świat. Albo nie ma dzieci. Jego samotny wieczór. Papieros w szklanej lufce. Nastawia rozklekotane, stare radio. Agę. Tak go widziałem.

Droga powrotna do dworca. Jeszcze w publicznym kłozecie podпиты z teczka. Kłozet bardzo uczyszczony, w podziemnym przejściu. Ten z teczka stał obok przy szczalniku. Zerknął raz, drugi. Sondaż. Aż zagadał serdecznie: — No jak, żyjesz jako?

— Jakoś — odparłem.

— A masz ochotę na jednego?

W teczce musiał mieć flaszkę; trzymał ją bardzo troskliwie, niemal czule.

Trzydziestolatek mniej więcej. Urzędnik, rzemieślnik, zaopatrzeniowiec na delegacji.

— Zaraz mam pociąg — odmówiłem z pewną przykrością.

Pokiwał ze zrozumieniem głową i powiódł wzrokiem po innych zebranych w kłozecie.

Dotarłem na dworzec. Znow zapelniony pociąg. Poborowi w korytarzu. Ryki, przekleństwa, śpiewy. Długa droga przez wagony do bufetu „Warsu”. Kolejka po piwo. Zarcia brak. Wyjedzone. Znajomy do znudzenia pejzaż za oknem. Szyderstwo optymistycznych haseł. Dobro ojczyzny wspólnym celem. Partia motorem reform. Wydajna praca warunkiem odnowy. I raz po raz wściekła złość mnie brała. Dlaczego godzą się na taką wegetację, bydłce trwanie. Nie zerwą się, nie ruszą jak lawina... Absurdalne pragnienie. Byłem przecież jednym z nich. Ten sam ciężar dźwigałem. Tę samą czułem bezradność, zniewolenie. O, kulwa! Kulwa! Jak mawiał Irek. Zmęczenie, pustka. W czym szukać oparcia? Nagle zapragnąłem uciec gdzieś dla wytchnienia. Piękna, polska przyroda. Dawniej Bieszczady. To była ostatnia enklawa. Leśne, górskie ostępy. Przypomina się Vincenz. Szum Prutu, Czeremoszu. Swoboda Ringurska. Krzyworównia. Tak samo szumił San, Wołosaty. Cerkiewki na wzgórzach. Niedźwiedź, król karpackiej puszczy. Tam przecież jedyny raz widziałem niedźwiedzia na wolności. Autobusem do matki. Zaczytany facet. Zajrzałem mu przez ramię. Płachta gazety, artykuł wybitym drukiem. Coś o zagładzie przyrody. Odwrócił głowę. W moim wieku, bardziej wysuszony.

— Zatruli wszystko — powiedział wysokim, ostrym głosem. Miał rację. Tamtą jesienią podążyłem pośród umarłego lasu grzbietem sudeckich Rudaw. Gołe kikuty drzew na zboczach. Trupi szlak. Kilometrami. Ginie piękna polska przyroda. Brzoza także przestała emanować życiodajną siłę. Był taki pisarz. Jan Brzoza. Poznałem go kiedyś. Dawno już nie żyje. Podobno miał ciemne sprawy z dziewczynkami. Buszował po parkach i ogródkach jordanowskich. Z występku czerpał życiodajne siły.

Przyrodą mego dzieciństwa były glinianki. Pewnego razu z wody wychylił się wzdęty brzuch padłego konia. „Priroda” Bogdanowa, ulubiony podręcznik ucznia wileńskiego gimnazjum. Nazywał się Józef Mackiewicz. Ostatni co tak drapieżnie pisał o przyrodzie. Urodę miał wilczą. Pojedynek. Też go dopadli.

Dojmujące poczucie zagonienia. To moje mieszkanie jak klatka. Zawszą cisną nie dobre wspomnienia, brzydkie obrazy. Ruina, bezkształt. Z zawiścią pomyślałem o naszych mazowieckich konkwistadorach. O tych wszystkich, którzy w ostatnich latach rozpełzli się po antypodach świata. Ruszyli na podbój Złotego Runa. Dlaczego tak jak oni nie uciekłem stąd? Nie wiem. Zagapiłem się. Może z lenistwa. Bezruch, wschodnia bezwładność. Otworzyły się im rozległe przestrzenie. Całe kontynenty, oceany. Jeden jest akwizytorem. Jakaś firma, zbiera zamówienia. Zupełnie jak w powieści Caldwell. Komiwojażer z walizeczką. Wdo-

wy, dziewczyny z kompleksami. Czy tak jest w istocie? To jedynie moja imaginacja. W każdym bądź razie szybko nauczył się języka i podobno świetnie daje sobie radę. Jeździ wozem marki Chrysler. Te setki mil, motele. Gdybym był młodszy... Choć on znow nie taki młody. Czterdzieści kilka lat. Drugi w kraju pisywał mgliste prozy poetyckie. Chłop jak dąb i te miniaturowe noweletki. Liryzm, kunsztowne metafory. Tam za oceanem jest taksówkarzem, a w wolnych chwilach pracuje nad scenariuszem. Krzysztof czytał konspekt. Losy emigranta. Rus albo Polus, zależy od późniejszych wymagań producenta. Bojownik o prawa człowieka w swojej ojczyźnie. Męczony i więziony. Nostalgia i mroczne wspomnienia z kazamatów. Romans z azjatycką dziewczyną. Ona dźwiga na swych wątłych barkach ciężar krwawych doświadczeń Kambodży, Wietnamu. Rzecz cała oplątana pajęczą siecią sowieckiego wywiadu. Plaże nad Pacyfikiem, zbrodnia w motelu. Musiał nazywać się Chandlera i sowietologów. Wynajął już sobie agenta literackiego. Tam bez agenta ani rusz. Trzeci kolega mieszka w Kalifornii. Zahaczył się blisko Hollywood. Kupił starą furgonetkę, wynajął dom w kanionie pośród kaktusów i palm. Tam łatwo wynająć dom! Na polską miarę to niezrozumiałe. Nocami wyją mu kojoty i te psy Komancze! Jak z lektur w dzieciństwie. W tej scenarii pisać pragnie. Tak informował w liście. Zazdrościłem tym sukinkotom energii, dynamizmu i życia pełnego nieznanych wrażeń.

A kto to jest Kosiński? Król pisarskiego powodzenia. Pierwsza pozycja wśród przybyszów ze wschodniej Europy. Wstępny bojem zdobył rynek czytelnicy. Kosiński może do reszty wpuścić w beznadzieję. Tak się poczułem. Dno małości i poniżenia. Gdzie mnie do niego! Swój los najwyżej mogę porównać z losem sprzedawcy karnawałowych balonów.

„Jam złodziej czarodziej, przede mną wielki otwarty jest świat” — śpiewał niegdyś Wojtek, wielki chojrak, teraz sprzedawca balonów. Niezły w tym skrót. Biedna, przydeptana karykatura prawdziwego życia, świata, wszystkiego.

Ostatnio z Warszawy do Gdańska nie mogłem polecieć samolotem. Przyczepił się okienkowy milicjant. Patrzył na dowód osobisty, przenosił spojrzenia na brode.

— Dowód bez brody — powiedział. — Pan z brodą.

Papież znow dostał nagrodę za twórczość poetycką. Żeby coś dostał. Miałość mego myślenia. Miałość, próżność. Ale nie mogłem powstrzymać tej logorei. Więc żebym coś dostał. Jakieś miasto, miasteczko funduje nagrodę. Baden-Baden. To brzmi. Albo wyspa jakaś. Nagroda Majorki na przykład. Jeszcze lepiej Wysp Liparyjskich. Tak, tak. Tych wysp, gdzie Mussolini więził swych przeciwników.

Listonosz wyciąga z torby depezę.

— Gratuluję — powiada przymilnie.
 Od razu rozhuštałem się na czarodziejskim dywanie słodkich pragnień.

Oto moja fabułka, gotowa natychmiast, zapięta na ostatni guzik. Posłuchajcie! Wydanie w twardych okładkach (*hard cover*) migiem rozsprzedane. Następny rzut to *paperback*. Idzie jak woda. Rynek wciąż nienasycony. Moim wydawcą Doubleday. Bankiet z okazji sukcesu. Niech będzie Waldorf-Astoria. Hotel z wielu lektur. Panie w wieczorowych toaletach. Skrzy się od złota, platyny, brylantów. Kamery telewizyjne, żurnaliści. Interview to moja specjalność. Skończyła się sieroca dola. Jeszcze w antrakcie intymna rozmowa w gabinecie wydawcy. Łysy, białozęby (oni słyną z pięknego uzębienia), gentleman. Sączymy przednią whisky. Jack Daniels oczywiście. Przedmiotem rozmowy warunki kontraktu. Niebagatelna suma. Kupują prawa do filmu. Tak rozkołysałem się na falach sukcesu za pomocą żółtego długopisu Bick. Rozkoszne uczucie. Aż spadłem na łeb i szyję. Tak to się musiało skończyć! Wyszła kiczowa inwencja. Cztery popękane ściany mego pokoju, pomalować trzeba, takie szare, łuszczą się brzydtko. Pod jedną ze ścian biurczko — spadek po zmarłym wuju szwagra. Szczerzy zębiska smutna rzeczywistość, ha, ha!

Głowacki zajął moją pozycję z kiczu. I to była prawda. Jak to mówią rodacy? Taka jest prawda, niestety. Nic nam nie wychodzi, każda prawda kłeską. Oto sens tego budującego powiedzenia. Więc Głowackiego premiera w Nowym Jorku. Jego sukces. Kontrakty i filmowa przeróbka. Kroczy złotym mostem sławy. Szczelniej owinąłem się kocem, wcisnąłem w kąć tapczanu. Poczuję się zdeptanym robakiem. Na pocieszenie pozostało tylko przekonanie, że niemało podobnych do mnie dewiantów błąka się po manowcach pisarskiej profesji. Ile skrywają paskudztwa w tych nigdy nie wietrzonych, zaśmierdłych zakamarkach duszy. Żałosna bajeczka o sławie i sukcesie. Skąd ona wzięła początek? Kiedyś przypadkiem zawitał w moje progi nowojorski wydawca, niejaki Holt. Dziarski przystojniak. Wraz z nim seny, wiotki młodzienc nazwiskiem Copper. Pedały? Nie wiadomo. Objędzali egzotyczny dla nich Wschód. Byli w Pradze, Budapeszcie. Holt szukał towaru dla swego wydawnictwa. Zarzucił lawiną naiwnych pytań. Pakował do przepaścistych kieszeni swojej jadowicie zielonej bluzy gazetki, broszury, plakietki, ulotki. Wziął także tomik moich opowiadań wydanych w podziemiu. Bardzo go zainteresowała ta chałupnicza robota; miniaturowy druk, ręczna zszywka itp.

— *Very nice* — powtarzał.

Czułem się wtedy wytracony ze spokojnego bytowania. Ten Holt zapewne w moim wieku. Zabrał książeczkę, pojechał. Tak

było. Pewno już dawno zapomniał o peerelowskim pisarzu. Tymczasem odezwały się ssące głody próżności. Nieuleczalna choroba. Głowacki to rzeczywiście sukces. Dla niego „wiosna i maj”.

Pociechą pozostała poniżająca imaginacja. Bankiet w Waldorf-Astoria, gabinet rzekomego wydawcy.

Stary chłop i taka iluminacja! Nieudacznik, który wzniósł się osłania małość swych pragnień. Przykra dla ambitnego pisarza konstatacja.

Śmiesznie brzmiały w tym kontekście rozmaite brednie o sztuce, świętej dziewicy. O arcydziełach tworzonych w niebiańskim natchnieniu. O artystach, którzy nie będą kłaść swych rąk brudnym popytem i brudną podażą. Bzdura! Też czekam na sławę i możnego protektora. Tak jak kurwa na swego sutenera. Cuchnąłem zdeprawowaniem i obłudą. Śniły mi się żarłoczne sny o potędze. Niedopieczona kokota. Wieczne czekanie. Gnije w tym czekaniu literatura. Lęgnie się w niej robactwo.

Już tyle lat czekam. Nikt nie puka do moich drzwi. Biczowałem się z masochistyczną zajadłością. Gdzie to wtedy pojechaliśmy? Zbyszek niedawno przypomniał. Pokładał się ze śmiechu. Aha! Do Stoczka. Na wieczór autorski w miejskiej bibliotece. Mała, zagubiona miejscina. Ten sam Stoczek, gdzie historyczna bitwa. Prądyński, grzmiąły armaty i tak dalej. Spóźnił się. Z budynku wybiegła do nas zdenerwowana bibliotekarka.

— Nareszcie! — zawołała. — Pan piskorz przyjechał! Poczzerwieniła, opuściła głowę.

— Przepraszam — wybałała. — Takie przejęzyczenie.

Pisarz, piskorz, pisuar. Śliskie skojarzenia. Coś w tym nieczystego. To prawda. Ci polscy pisarze. Ze Stoczka do Kocka! A Głowacki? To jest kolec, cierń. Boli, uwiera. On naprawdę uwolnił się od powikłań tutejszych. Jednym cięciem przeciął gordyjski węzeł. Może czuł, że nie da rady. Kurwa albo wieszcz. Tak mało możliwości wyboru.

Wodziłem osowiałym wzrokiem ptaka bez skrzydeł po klatce pokoju. Grzeje wielbłądzi koc jak piec. Moja jurta. Duchota i woń starych papierów.

W 1837 roku Gogol dotarł do Rzymu i tak pisał o słonecznej Italii. — „Ona jest moja! Nikt na świecie mnie jej nie odbierze. Tutaj się urodziłem. Rosja, Petersburg, podlecyc, katedra, teatr — wszystko to sen”.

Ojczyści Wschód gniótł Gogola. Ruszył w świat i ulga. Racja po stronie Głowackiego. Bryknął! Dobrze zrobił. Jak przewietrzyć zatechły czerep? Ile miazmatów musiało się w nim zebrać. Pojemny ten czerep. W dzieciństwie ze względu na wielką głowę przezywano mnie Donicą. Cieszył się ojciec.

— Kardynalik, generalik... — powtarzał.

Wielki mój łeb był dla niego zapowiedzią świetnej przyszłości. Te pisarskie początki odległe! Pisanie uskrzydlało. Ale raczej mieli rację ci koledzy z dzieciństwa, którzy wołali za mną uporczywie: — Donica! Donica! Czym ta Donica się wypełniła? Powiniennem zająć się czymś pożytecznym. Uprawiać ogródek, matka już nie może, ziemia leży odłogiem, inspekty, pomidory pod folią. Może boazerię zacząć robić. Wszyscy w tym domu zabrali się za boazerię. Kują, klepią, przybijają. Jedni ściągają fachowców. Inni sami. Dziś ten z parteru, chłop o posturze pruskiego feldfebla — okrągły łeb, siwy jeź — tak walił i walił. Przedpokój okładał deskami. Przystanąłem. Podziw fajtlapy dla zmyślnego majsterkowicza. Odłożył młotek. Wyglądem przypominał niezapomnianego dozorcę z powieści Canettiego.

— Nie za bardzo hałasuję? — zapytał.

— Skąd! — odparłem. — Piękna robota.

— Dziękuję — powiedział.

Robią ludzie rzeczy pożyteczne, trwałe. W tym kontekście moje zajęcie wydało się czymś wstydlivym, żenującym.

— Przestań pisać te duperele! — powiedziała kiedyś ciotka Zofia, osoba impulsywna i obdarzona ostrym językiem.

Dotknęła boleśnie lekceważeniem pisarskich wysiłków. Ale właściwie komu to potrzebne? Dla kogo może to mieć jakieś znaczenie? Gdybym tak nagle zaprzestał. Nikt by tego nawet nie zauważył. Żeby chociaż pisać w duchu społecznie pożytecznym, wzniosłym. Opowiedzieć się z całym impetem po jednej stronie. Bóg i ojczyzna. Walka o prawa obywateli. Pisanie zagrzewać do czynu. Budzić nadzieję. Misyjne posłannictwo literatury. Tak głęboko osadzone w tutejszej tradycji. Czułem to ciśnienie wszędzie. Oto pouczający obrazek: zdarzyło to się dwa lata temu w pewnym warszawskim kościele. Ksiądz zatarł dłonie. Był zadowolony z frekwencji. Zebrał się tłum. Początkowo zamierzał przeznaczyć na spotkanie z pisarzem salę parafialną.

— Nie mieszczą się — zdecydował. — Musimy w kościele — uśmiechnął się do mnie serdecznie. — Przedstawię pana jako pisarza katolickiego — zerknął do karteczki, na której miał wypisane tytuły moich książek.

Zaprotestowałem stanowczo.

— Jak to! — wytrzeszczył niebieskie, zapalczywe oczy.

Wytrzymałem napór jego spojrzenia i dodałem twardo: — Tylko pisarz. Bez żadnego przymiotnika.

Piliśmy herbatę. Papież Polak spoglądał na nas z ogromnego płótna w refektarzu.

— No więc... — odezwał się ksiądz — na początku opowiem o pana męczeństwie.

Krew uderzyła mi do głowy.

— O jakim męczeństwie ksiądz mówi? — zdołałem wykrztusić.

— No, pisał pan te raporty o stanie wojennym pod nazwiskiem. Śmiało, otwarta przyłbica. Te rewizje, przesłuchania, więzienie. Namęczyli pana przecież.

Uspokoilem się i już dosyć logicznie uzasadniłem swój sprzeciw.

Ksiądz pokręcił hałaśliwie łyżeczką w szklance.

— Ma pan rację — powiedział po namyśle. — Też siedziałem w stalinizmie dwa lata i wcale tym się nie chwale.

Poklepał mnie po plecach. Rosły, ogorzała twarz ze smugami mrocznego zarostu na policzkach. Wyglądał jak kawaleryjski kapelan. Obiecał zapoznać się z moją twórczością.

Optymistyczna scena. Zachowałem swą suwerenność i on to zrozumiał. Ale co tak naprawdę pomyślał? Ten Nowakowski to anarchista, wolnomyśliciel, masoneria jakaś. Mógł takie spostrzeżenie przekazać swoim kościelnym zwierzchnikom. Znow co się tyczy tego tłumy zebranego w kościele... Potrzebny im był określony rodzaj literatury. Czekali na trybuna, namiętnego oratora. Czułem się jak wzięty w kleszcze. Słowa więzły w gardle. Mówić, pisać dla nich, czy być sobą?

Kiedyś chcieli, żebym głodował. Jako pisarz niezależny miałem reprezentować swoją profesję. W ten sposób mieliśmy przeciw czemuś teraz zaprotestować. Śpiwory, boczna nawa w kościele, wszystko było przygotowane. Z tą propozycją przybył młody człowiek o bladej, wychudzonej twarzy. Zaskoczył mnie zupełnie. Ledwo zdołałem się wymówić brakiem kwalifikacji. Na poczekaniu wymyśliłem niezbyt zgrabną historyjkę o owrzodzeniu żołądka i nieustannych bólach głodowych. Młody człowiek patrzył na mnie nieufnym, zimnym wzrokiem.

Także to spotkanie z przywódcą opozycji. Bardzo charakterystyczne. Lubiłem go, owszem. Kipiel energii, optymizmu i hartu. Zazdroszczyć takim. Prawdziwe życie, sens, cel, wszystko. Czy może być lepiej? On wyraźnie zapragnął zająć się moim pisarskim gospodarstwem. Musiał mieć poważne zastrzeżenia. Zbyt naturalistyczne, brak jednoczącej idei. Chaos, margines społeczny, nieudacznicy i wykolejeńcy. Chciał pomóc z dobrej woli. Przydać memu Pegazowi natchnionego lotu. Opowiedział o młodym robotniku, który zмага się w fabryce z partyjno-dyrektorskim samodzierzawiem i odsłania istotę propagandowych kłamstw. Chcą go zmusić do pokory, złamać. Stosują rozmaite naciski. Młody jak bohater westernu samotnie przeciw tej hałastrze.

— Istny zagończyk — kuśił przywódca opozycji. — Wymarzona postać dla twego pióra!

Tak dosłownie powiedział. Nie znoszę takich stereotypów. Wyjątkowo źle to odebrałem.

— Może pojedziesz do niego. Pogadasz. Na pewno przypadnie ci do gustu. Nowa tematyka, nowe obszary.

— Może — powiedziałem.

Wiedziałem, że nie pojedę tam. Nie poznam go. Czułem się wtedy jak w szkółce pisarskiej pod najgorszymi auspicjami. Gorki. Fadiejew. Żdanow.

— Może — powtórzyłem, unikając jego spojrzenia.

Był bystry i przenikliwy. Wyczuł mój opór. Nigdy już niczego nie zaproponował. Ale co sobie pomyślał, co innym mówi o mojej pisaninie? Rzadko się widujemy, nie rozmawiamy już o literaturze. Zły czas nastał. Czego oni chcą od pisarzy? Szczerku broni, Bogurodzicy... Czystej, krystalicznej wzniosłości muzyki ze sfer niebieskich. Ostatnio dostałem list od redaktora najlepszego pisma katolickiego w kraju.

„Przykro, że muszę sprawić panu zawód... — tak zaczął redaktor. — Czytaliśmy — kilka osób w redakcji — pańskie opowiadanie. Nasza jednomyślna opinia, że nie jest to tekst dla nas. Nie muszę Panu mówić, że jest to znakomita proza...”. Ośladzali odmowę porcją komplementów. Zaraz potem sztych w sedno: „Ale stopień brutalności, słownictwo, a zwłaszcza nihilizm postawy bohatera, to wszystko, że tak powiem, przekracza wytrzymałość naszego czytelnika”.

Czytelnikiem się zasłania! Przejrzałem ten fortel. Pokrzepić, uszlachetnić, podnosić. Takiej pragnie stawy dla swej owczarni. Wyobraziłem sobie zatroskaną twarz redaktora. Starannie budował epistołę. Nie chciał urazić, odtrącić. Łagodnie, po chrześcijańsku wyrażał swój sprzeciw.

Może to i dobrze. Mało pochlebców, wpływowych protektorów. Brak pokus. Więcej oponentów.

— Degenerat — mówią cichaczem. — Depcze święte wartości, imponderabilia.

Podążą jednak wątpliwości. Może rację ma Kościół — opoka nasza? Zaleca troskę o czystość duszy. Literatura winna stać na fundamencie Boga, rodziny, ojczyzny.

Może górą bojownicy niezłomni? Pragną, żeby literatura pokazywała ludzkie wyżyny. Orlą wzniosłość. Śmiałe porywy do wolności.

O czym ja piszę? Śmietnik, lament, bzdury. Czy to literatura? Konwulsje, padaczkowe bredziarstwo.

Fascynujący widok młodego mężczyzny, który często przemierza Krakowskie Przedmieście. Chudy, ciemny, o ponurej, fanatycznej twarzy. Już z wygląduznaczony. Atak chwyta go z nagle. Chyba to padaczka. Jakaś jej odmiana. Wtedy zarzuca lewym ramieniem. Zawsze lewym. Jego ramię nabiera niesamo-

witego impetu. Wali jak taranem. Zawsze celnie. Nigdy nie chybia. Młóci mijających przechodniów. Jedni już go znają. Wiedzą o przypadłości. Milczą. Inni wrzeszczą i przeklinają. On nic nie słyszy. Działa w ekstazie. To jest w nim. Wybucha bez udziału świadomości. Czy to ma związek z pisaniem? Święta, przemożna potrzeba pisania. Impuls nagły. Spada jak grom z jasnego nieba. E tam, brzmi to zbyt pretensjonalnie... Niech już wróci Jola. Ona niekiedy przynosi z sądu zabawne historie. Posłuchać, oderwać się... Ciekawa była opowieść o szczurze Ignacu. Tam w podziemiach sądowego gmachu istniała plaga szczurów. Są wszędzie. Jeden zaczął pojawiać się w pakamerze malarzy. Polubili go i nazwali Ignacem. Stukali w kaloryfer i od razu wychodził z jakiejś dziury. Kładli mu posiłek na podłodze. Dobrze wychowany. Wałówek ze stołu nie ściągał.

— Ignac — mówili pieszczotliwie malarze.

Szczur podnosił łepkę i bystro spoglądał paciorkami oczu.

Pewnego razu Ignac okazał się Ignacową. Przybył z dwoma małymi szczurętami. Zawód dla malarzy. Ale przeboleli to jakoś i nadal nazywali go męskim imieniem. Gwoli prawdy należy powiedzieć o finale. Malarze zatłukli Ignaca. Znudził się im, ściągnął ze stołu wałówkę, rozczarowanie z powodu płci, nie wiadomo.

Zająć się czymś neutralnym! Odciążyć łeb, dać mu pauzę, relaks, wakacje. Bardzo żmudne wysiłki. Rozpaczliwe przywoływanie na pomoc życia, jego przyjemności, rozkoszy. To jest przecież. To musi być!

Kaletnicza pracownia kolegi. Kiedy tam przyszedłem, akurat zmywała podłogę. Nowa pomocnica. Rosła dziewczucha, niezbyt umyślowo rozwinięta.

— Mongolizm — powiedział kaletnik.

Kłęcząca, zad wypięty, wyciągała brudną wodę ze szmaty do miski. Małe oczka, niskie czoło. Fizycznie Kariatyda. Ogromne piersi kolebały się w rozpiętej bluzce. Widok uderzył w oczy, rozgrzał krew. Była to scena jak z filmowej adaptacji opowiadania Lwa Tołstoja o ojcu Sergiuszu, świętym anachorecie. Uzdrażał ludzi, wierzyli w jego moc. Tłumy zbierały się przed lepianką mnicha. Zrozpaczeni rodzice przyprowadzili córkę. Idiotka o bujnych kształtach. Prowokowała świętego. Nie mógł się oprzeć. Ogarnęła go żądza. Spędził z nią noc.

— Świeżego mięsa ci trzeba — mawiał Karol Baleciarz. — Powinieneś zapieścić swą pisarską zastawę krew.

Gdzie podziewa się Karol? Podobno też w Nowym Jorku. Jest portierem w luksusowym domu przy Park Avenue. Tytuł wyruszył w świat. To jakiś znaczący symptom. Tonący okręt. Świeżego mięsa mi trzeba! Karol nie rozstawał się z notesikiem, gdzie miał adresy i telefony swych odalisek.

Może w tym rzeczywiście szansa. Łajdacka, nieczysta. Ale bardzo absorbująca. Dysząca, bujna, kosmata... Kipiel przepastna. Ruja, chucia, bydlęctwem zagłuszyć męczący wir we łbie. Do zatracenia! Nie dałbym już rady. Siły brak. Wiek przecież. Te rozterki w dodatku. Czystość i brud. Duchowość i zwierzęcość. Uczucie i żądza. Jeszcze strach. Nędzny strach. Co sztos to pędziłbym do wenerologa. Miałem niegdyś takiego stałego opiekuna. Domowy lekarz, śmieszne, co? Był to felczer starej daty. Interesował się literaturą. Przed wojną prenumerował *Wiadomości Literackie*. Lubił pogadywać. Wyglądało to tak: wyciągam ze spodni pokurzoną męskość, a doktor na przykład opowiada o sporze Nowaczyńskiego ze Słonimskim...

— Rudy do budy! Wie pan, tak napisał o nim Słonimski! To Żydek, wie pan? — Doktor był rudawy. Jakby antysemita. Upodobanie do szponcesów. Rżał jak koń.

— Dobrze, co?

GORLIWIE MU WTÓROWAŁEM. Wpatrzony w jego krótkie palce przesuwające szkielecko z moim śladem pod lupą mikroskopu.

Raz nastąpił moment szczególnie dramatyczny. Doktor mówił wtedy o Grydzewskim.

— Wie pan, jak właściwie nazywał się ten Grydzewski... — naraz urwał. Niżej pochylił głowę i pilnie wpatrzył się w moją męskość. Ogarnął mnie strach. Zimno i gorąco na przemian. Syf! Ostrzegał mnie przed tym niebezpieczeństwem ojciec.

— Weneria... — powiadał — gubiła nie tylko poszczególne jednostki, ale i całe narody.

Wiedzę czerpał z „Krzyżowców” i podawał jako przykład tragiczną śmierć kolegi, ochotnika w kampanii 20-go roku, który odkrywając chorobę powiesił się na pasku od spodni w wychodku.

— Zatarcie — odezwał się wreszcie doktor. — Nic groźnego. Zasypimy... Tylko nie używać przez tydzień.

Przyjmował pacjentów w samym sercu śródmiejskiej dzielnicy. Po kilka hotelowych ladacznic wyczekiwało zazwyczaj w poczekalni. Także Arabowie. Arabów i ich damską obsługę miał mój el-hakim w pogardzie.

— Za te parę dolarów od fellahów — mówił o losie jednej z prostytutek — naraziła się na tak dokuczliwe schorzenie.

Siedziałem wtedy w fotelu przy biurku. Wysunięta szuflada — pełno w niej banknotów. Cisza. Daleki sygnał pogotowia. Odróżające ryciny przedstawiające osobników naznaczonych wenerią na ścianach. Doktor mył ręce nad umywalką. Krzepkie ramiona, fartuch poplamiony krwią i gencjaną.

Zachowałem pamięć tych wizyt. Karykatura życiodajnej erotyki. Odaliski, słodkie czasy, Mongołka i dewiant! Dewiant i zboczeniec! To ja. Puścić się w erotyczne harce. Święty mnich

z opowiadania Tołstoja. Jego żądza. Moja żądza. Won! Nędza. Wszystko podłego gatunku. Smrodliwa mulistość bytu. Kibel symbolem tej konstatacji. Dokładnie: kibel miejski przy placu Konstytucji. Był etapem moich wędrówek po mieście. Te wędrówki latami. Miasto. Ludzie. Moje życie. Dewiant, zdobywca, perypatetyk, pisarz. Tak łącząc kilometrami (tysiące kilometrów, dziesiątki tysięcy kilometrów) zachodziłem do miejskiego pisuaru dla opróżnienia pęcherza. Schodami w dół. Schody strome, wyślizgane. W kantorku przytulnym czuwa władczyni tego przybytku. Pracowita. Dzierga na drutach szalik, sweterek. Maszynka elektryczna, gotuje coś w garnuszku. Z dwóch okienek posiada widok na damską i męską stronę. Często nad kobietą pochylał się facet w lansadach. Raczej marny, szemrany. Splajtowane wraki miasta starają się o względy klozetowych dam. To dosyć korzystna forma zabezpieczenia bytu.

Natrętna ta widokówka. Wierna w najdrobniejszym szczegółzie. Dagerotyp. Utrwalony w tysiącach odsłon. Stoję nad muszlą szczalną. Rzędem inni siusiace. Niektórzy popierdują z cicha. Wśród nich może być łowny pedał. Grasują tacy w szaletach. Plusk oszczywanych ścianek. Zapach środków dezynfekcyjnych. Dlaczego ten kibel? Metafora w tym jakaś. Wredna, rozkładowa. Kiblowy charakter życia, pisania. Kibel, kibel! Wylęgarnia muszek. Kibel, kibel! Chyba się uduszę. Piosenka punków. Dalej nie zapamiętałem słów.

Zacisnąłem szczęki. Bolesny ucisk górnej protezy. Pulsowanie w dżiąśle. Czyżby ropień? Powiniennem na noc protezę do szklanki. Dawać odpoczynek zmasakrowanym dżiąsłom.

Poczułem się sponiewierany, nędzny i podszyty gnilnym rozkładem. Zupełnie jak ci zalotnicy w miejskim klozecie. Zapełdony na samo dno egzystencji. Dokoła kipi życie. Jeden dom sobie stawia. Drugi rzucił żonę i już znalazł sobie kochankę. Trzeci młodej dziewczynie dzieciaka zmachał. Czwarty uczy się angielskiego.

— Czy wiesz, jak kaszanka po angielsku?

Nie wiedziałem.

— *Black pudding*.

Dynamizm, krzepa, wilczy głód... A ja w nieruchomym, zaklętym kręgu. Ta proteza pewnie nadłamana, dlatego ciśnie. Dlaczego przez tyle czasu nie zdobyłem się na jej zamianę? Wyzbywam się złudzeń o niezbedności swego pisania. Nie chcę nikomu i niczemu służyć. Ten wywód przeprowadzam dla celów prywatnych. Jestem jaki jestem. Próbuje dotrzeć do dolnych pokładów. Jak już, to już! Tak mawiał Milczewski Bruno. Też nieboszczyk. Więc jak już, to już! Świdrem coraz głębiej. Czy coś z tego wyniknie? Czy dam radę? Znow o Głowackim. Jego wędrówki. Moje wędrówki. Po tych Stanach podróżuje

od oceanu do oceanu, od śniegów północy po słońce południa. Tu stypendium, tam wykłady lub premiera sztuki.

Znajoma anglistka wyciągnęła z torebki pomietaną kartkę wdartą z nowojorskiego tygodnika.

— Chcesz sobie przeczytać? — zapytała. Recenzja z jego sztuki. „Stranger...”. Dalej nie pamiętam. Sztukę wystawiono na Manhattanie. Theatre Club. Dlaczego mi dała? Prześladuje mnie ten Głowacki. Ani przyjaciel, ani konkurent. Tak się przyczepił. Recenzję wziąłem. Ozdobiona fotografią pisarza. Wyraz twarzy zdecydowany; stwardniał wyraźnie. Tu w Warszawie był bardziej miękki, błazeński. Zobaczyć swoją twarz w lustrze. Na pewno gorycz w ustach, mętna złość wypełnia oczy. Nie warto wstawać z tapczanu. Same pasywa, żeby chociaż trochę aktywów. No, chociaż w sprawie paszportu zachowałem się godnie, chyba tak można powiedzieć. Co za bilans! Kibel, paszport. Właściwie logiczny. Paszport od biedy może być synonimem wydobycia się z kibla. Przez pięć bez mała lat nie dawali. Nie dla psa kiełbasa. Tak to się mówi. Składałem podania i odmawiali. Doświadczeni znawcy przedmiotu radzili, żebym napisał list do ministra. List należy wrzucić do białej skrzynki ustawionej w portierni ministerium. Uproszczona procedura dla petentów. Minister łaskawy. Niektórych zaprasza. Dobre manieiry, inteligencja i dowcip. Darzy estymą Marszałka Piłsudskiego. Artyści lubią być podejmowani przez możnych tego świata. To im schlebia. Dytyramby wygłaszali o ministrze, dbając przy tym jednocześnie o pewien dystans i ironię. To nawet dla pisarza pouczające. Tak mówili. Poznać szefa policji w jego kameralnej odsłonie. Jeden został zaproszony w piątek i minister polecił mu się zgłosić następnego dnia po paszport. Zaskoczył go. Przecież w sobotę urząd nieczynny. Dla niego był czynny. Przeszedł i otrzymał wolnościową książeczkę. Nie wysłałem listu do generała-ministra. Tylko szkicowałem na brudno. Kilka razy. Szkicowałem i darłem. Podarte karteczki paliłem starannie. Godne to niby. Narowisty, nie chce się ukorzyć. Niezupełnie tak. Nie-stety. Bo jednocześnie była we mnie wątpliwość natury praktycznej. Można przecież zostać wystrychniętym na dudka. Loteria. Zaprosi. Nie zaprosi. Jeżeli nie zaprosi, to co wtedy? Zagoniony pełzak. Przycupnąłem i robię bokami. Wodny szczur. Wpędzony pod betonową misę. Na bezwodnej pustaci. Pustac tu jednak. Wschodnia pustac. Ciemno, brak światła. Coś wskrzesić, przywołać. Szukać w minionym jakiejś wskazówki. Guśła, zaduszki. Starzy ludzie, pamięć, wspomnianie.

Bywam często u pana Zenobiusza. Gaduła. Świetnie opowiada. Ostatnio o tym jak Anatol Mühlstein pojął za żonę Rot-szyldównę. Diana miała na imię. Stała w „Europejskim”. Tłum Żydów otaczał hotel. Dla nich to było wielkie wydarzenie.

Jeden z nich pojął za żoną córkę magnata fortuny. Stali i patrzyli w jednakowe, niedostępne okna hotelu.

Podczas okupacji pan Zenobiusz był kurierem AK. Na trasie Warszawa - Lwów. Wozził bibułę.

Już któryś raz wspomina tego gestapowca, swego wybawcę. Piękny, młody. Nordycki anioł. Lodowaty blask jego oczu. Tak z emfazą go nazywa, jakby miał skłonność do tej samej płci. A przecież nie ma. Nordycki anioł dłonie miał w obcisłych, skórzanych rękawiczkach.

— Tak oblepiały jak własna skóra — powiedział pan Zenobiusz.

Wytwornie ściągnął. Złożył i niby szpicrutą uderzał się nimi po udzie. Rewizja na małej stacyjce. Twarz tej dziewczyny z przedziału.

Gestapowiec znalazł wszystko. W walizeczce z podwójnym dnem. Dlaczego puścił go wolno? Dotąd się zastanawia. Nie znajduje odpowiedzi.

Łącznicy z przeszłością, żywe korzenie. Coraz ich mniej. Pan Zenobiusz też szykuje się na tamtą stronę. Zżera go nieuleczalna choroba.

To wszystko rzeczywiście jak zaduszki, obcowanie z marami. Kola Chatizow, bookmacher służewieckiego toru. Wywodził się z legendarnej rodziny koniarzy. Osetyńcy, wolni jeźdźcy Kaukazu.

— Przypominam sobie to nazwisko — powiedział kiedyś Kazimierz Brandys. — Mój wuj był graczem. Miał stajnię. Madame Pompadour, Chersoń i Bajadera.

Kola opowiadał o podchorążówce w Grudziądzu. Rok 1936, może '37... Wyprawa na dziwki, ktoś strzela. Kto? Do kogo? Tyle pozostało po Koli. Czerwona, czerstwa twarz. Siwe, krótkie włosy. Stary kawaler. Mistrz Podoski w swej pracowni na Pankiewicza. Secesja, alkohol, panienki. Bezzębne usta mistrza. Porusza nimi jak żarłoczna mątwą. Budowniczy Spokojski, złote binokle, w szpic bródka. Podobny do Kalinina. Narady z ojcem. Wznosił szkołę we Włochach. Miecio „Łapka”, żydowski złodziej z Gęstej ulicy. Relikt. W przepełnionym autobusie poczułem dotyk obcej dłoni na piersi. To on. Pracowity doliniarz. Przepaszał za pomyłkę.

Inni. Wielu. Cały korowód. Cienie. Jeszcze ten, który mieszkiał na ostatnim piętrze kamienicy przy rogu Pięknej i Mokotowskiej. Ilekroć tam przejeżdżam, patrzę na brudnoszary masyw tego domu. Widzę ślady po pociskach z ostatniej wojny. Głębokie dzioby na murze. Jego okna. Piękna postać. Miał znaczny udział w historii kraju. Zdobywanie niepodległości, dwudziestolecie między wojnami, okupacja. Bystry umysł, dobrze pisał. „Szał jak czarna rozpacz” — śpiewała tłusta, złotoblond

barmanka. Głos miała niski, z głębi wydatnych piersi. Gdzie to było? Czerwone kanapki, burdelowe wnętrza.

Co oni mogą powiedzieć, ci starzy zmitologizowani? Jaki dać eliksir?

Zaznali smaku zwycięstwa, wolnego kraju, walki, nadziei. Była ciężkość, było miasto. Mieszkali w murach pamiętających tyle historii.

Pan Zenobiusz jeszcze coś o panu Sozańskim. Był praktykaniem w jego majątku. Bogacz z Podola. Piękne lasy. Dąb, 5 tys. ha. Polowania, jelen karpacki. Oryginał. Pracował nad jakimś wynalazkiem.

Z nagłą przerwał opowieść. Oczy zasnuły mu się łzawo. Jakby kurze, z bielmem.

— O czym ja to mówiłem? — ocknął się i zapytał nieprzytomnym głosem.

Ci starcy! Omszałe stwory. Kłapią sztucznymi szczękami i bajdurzą. A mój wenerolog? Przechodziłem obok kamienicy, gdzie miał swój gabinet. Nie było już tabliczki.

Rozgrzebywanie wystygłego pokoju. Poszukiwanie ostatnich, żarzących się węgielków. Przeszłość milczy. Nie daje żadnej wskazówki. Nieudany rok. Nie było urodzaju. Stosy zapisanego papieru. Ryzy, kajety, notesy. Pióropusze wypisanych długopisów.

Spacerowaliśmy z kolegą W. po parku. Mrowie gawronów. Wisiały nad naszymi głowami. Czarna chmura. Kolega W. także pisarz. Spacer fachowców. Skrzyptał śnieg. Mroźno i biało.

— Tak niewiele już pozostało w moim życiu spraw osobistych — wyznał kolega W. — Gorączki, pragnień, uniesień. Pisanie stało się najważniejsze. Nienasycona potrzeba. Pożarła wszystko.

Przytaknąłem mu skwapliwie. Dwóch rozbitków. Naznaczonych piękną chorobą pisania. Nie ma ratunku. To nasze przekłete pisanie. Czy damy radę? Czy nie daremny to wysiłek, omam jakiś? Kolega W. optował za koniecznością dystansu w pisaniu. Spojrzenie z perspektywy. Rzecz dojrzewa. Odcedza się ważne od nieważnego.

— Twoje pisanie... — powiedział — przypomina chirurgię bez znieczulenia. Idziesz kosą w żywe mięcho.

Nie zgodziłem się z tym poglądem.

— Życie tak pędzi i kipi. Nie ma w nim miejsca na dystans, chłód i symetrię. Mam czekać jak królik na rzeź! — tak mu jakoś odpowiadałem. — Pisząc atakiem odpowiadam na atak. Wypluwam knebel, zrywam więzy. Dystans, wyważenie racji. Nie dla mnie te reguły. Nie jestem sędzią. Nie chcę korzystać z wagi!

W nosie zlepiły się włosy. Para buchała z ust. Gawrony wisiały na gałęziach drzew jak kiście czarnych winogron. Mro-

wie. W zupełnej ciszy. Ani jeden nie zakrakał. Tylko nasze głosy. Ferwor dyskusji wygasł nagle. Poczuliśmy przenikliwy ziąb. Ziąb i bezsens naszych słów. Niemożliwy do wypowiedzenia ciężar pogmatwanych pragnień.

Zamilkliśmy. Wkrótce kolega W. popędził do autobusu. Czeakała go podróż na dalekie przedmieście. Ulica Z.W.M. Tam mieszka. Zapewne nazwa ulicy przypomina mu entuzjazm wczesnej młodości i późniejsze rozczarowanie. Może dlatego tak sceptyczny wobec gorącego pisania?

Popatrzyłem na biurko zaścielone papierami. Pisanie jako obrona. Odpowiedź na atak. Strefa wolności. Tylko to moje!

Niegdyś nie chciałem mieć biurka. Była to głęboka niechęć przed profesjonalną stabilizacją. Biurko, gabinet. Symbole zagrożenia. Strach przed dławiącym gorsetem. Utratą prawa wyboru. Jeszcze dotąd odzywa się historyczną czkawką.

Przypadkowe spotkanie ze Zdziśkiem. Kumpel z Włoch. Wspólna młodość. Jej ruiny odślaniają się raptownie. Klepał się po plecach. Dorobił się własnego warsztatu. Chaotyczna gadanina.

Aż powiedział: — Wiesz co, mam dla ciebie okazję!

— Jaką?

— Pałacyk nad Narwią. Można tanio kupić.

— Na co mi pałacyk! — zachnąłem się gwałtownie.

— No, jak to? Artyści kupują sobie pałace. Taki Siemion na przykład. Masz pojęcie, jak ten chamek mieszka!

— Nie chcę! — prawie krzyknąłem.

Popatrzył na mnie dziwnie jakoś. Porzucił ten wątek. Jeszcze kilka zdawkowych słów. Pożegnaliśmy się wkrótce. Wstydziliśmy się swego wybuchu. W tym proteście dziecinne pragnienie. Zagłuszenia tego, co już dokonało się nieodwołalnie.

Zdzisiek miał rację. Rozumował właściwie. Tyle napisałem książek. Pisarz z dorobkiem. Powiniennem więc mieszkać w jakimś pałacyku. Mieć z okien gabinetu widok na ośnieżone wierzchołki Tatr lub ołowiany bezkres Bałtyku.

Domy pisarzy. W tych domach gabinety. Bardzo dawne odwiedziny w pewnym gabinecie. Młodzi wtedy byliśmy. Zgraja debutantów. Gospodarz starszy od nas. Miał już znaczny dorobek. Wpadliśmy do jego gabinetu jak Hunowie. Pijani i beztroscy. Jeszcze życie brało górę nad pisaniem. Rozbawiła nas dostojność tego wnętrza. Najokazalszym meblem było biurko. Z tyłu regały i oszklona szafa pełna książek. Dębowy parkiet błyszczał miodową żółcią. Kanapa, okrągły stolik, miękkie fotele. Lampa z dużym abażurem rzucała zielonkawę światło. Kilka stosownych obrazów na ścianach. Abstrakcje i sceny patriotyczne. Chyba też portret gospodarza. Wykonany manierą deformującą.

Pisarz w tej scenerii wyglądał jak biskup przy ołtarzu. A my czyniliśmy rozmaite złośliwości starszemu koledze po piórze.

Rozlewaliśmy wódkę na szklanej tafli pokrywającej biurko. Niedbale przeglądaliśmy książki, gniotąc i załamując stronicę. Bebeszyliśmy rękopisy i maszynopisy. Pamiętam, jak jeden z nas pastwił się nad zdaniem wybranym na chybił trafił z jakiegoś tekstu.

— ... Firanki jej rzes... — powtarzał te słowa w różnej intonacji.

— To przecież satyryczne ujęcie! — bronił się pisarz, dotknięty do żywego.

Popiół strząsaliśmy gdzie bądź i na parkiecie deptaliśmy niedopałki.

W taki oto prymitywny sposób protestowaliśmy przeciw rutynizacji szczytnego powołania, co darem Boga miało być. Odprawialiśmy swoje zaklęcia, pewni, że nam to nie grozi. Pyszni i wolni. Nie chciałem biurka ani gabinetu. Najchętniej wtedy pisywałem w mieszkaniu rodziców przy kuchennym stole. Stary, wyslizgany blat, pełen sęków i dziur. Potrzaskiwał ogień w fajerkowej kuchni. Bury kot wygrzewał się na opuszczonych drzwiczkach piekarnika. Idylliczny obraz. Czasy wolności i rękodziela. Jeszcze zaznałem pióra i atramentu. Stalówki! Rondówka, serek, z krzyżykiem.

Od tamtego czasu tyle się zmieniło! Wyliniałe, ogołoczone życie. Zgodni jesteśmy z kolegą W. w tej kwestii. Tylko pisanie. Papierowy świat. Pogoń za uciekającymi słowami.

Czy dam radę? Czy to nie mechaniczny nałóg już? Siły słabnące. Talent! Grecy w talentach mierzyli złoto i srebro. Kopalnia szlachetnego kruszcu w Laurionie. Może pokłady już wybrane. Puste miny. Nie ma kruszcu. A on jak daje sobie radę z tymi dręczącymi pytaniami? Też był wtedy w gabinecie starszego kolegi po piórze. Pastwił się wraz z nami nad rutyniarzem. Muszą go borować te pytania. Inteligentny i wrażliwy. Świadomy mielizn i pułapek pisarskiej gry. Mam kilka jego książek. Z dedykacjami. Nonszalanckimi w treści, z lekkim poklepek. Od początku zachowywał się drażniąco. Zaznaczał swoją wyższość. Obaj jednocześnie zaczynaliśmy. Był obdarzony wielkim talentem. Szafował nim bez wysiłku. Zazdrościłem mu bujnej łatwości życia i pisania. Wybraniec bogów. Od początku sukcesy. Przy nim czułem się jak wyrobnik bez polotu. To był prawdziwy Bożydar. Choć równocześnie miał w sobie coś pospolitego. Żarłoczna potrzeba pieniędzy. Pokery, libacje, szeroki gest. Stawiał, płacił. Próżność i głód łatwego uznania. Wcześniej też rozpoznał, kto u nas ustawia artystów lub strąca ich w niebyt. Pławił się w szybko rosnącej sławie. Z drapieżcy stał się barankiem. Wytrawnym zawodowcem. Zręczne fabułki, dużo drastyczności,

miłosne dramaty w efektownym wydaniu. Pustka otoczona kokonem pięknych słów. Co on myśli o tym wszystkim?

Prześledzić proces pokornienia talentu. Jak to się zaczyna. Często chyba bezwiednie. Za wszelką cenę wydać tę książkę. Pielęgnować swą popularność. Zabiegać i krzątać się jak komiwojażer. Nie dotykać pewnych tematów. Inne znów kamuflować i zacierać z kuglarską zręcznością. Spowijać w maskujący kostium. Niebezpieczeństwo czyha z różnych stron. Także ci szlachetni, uczciwi. Mogą wykończyć. Oni to przecież zagarnęli tego znakomitego poetę. Obwołali swoim wieszczem, sumieniem. Wsadzili na cokół. Każda racja potrzebuje swego piewcy. Kamieniał poeta w miłosnym uścisku swych wielbicieli. Już tylko patos, wniosłe tony. Ocknął się wreszcie. Próbuje zleźć z marmurowych wysokości. Ciężko schodzić z kamiennego postumentu. Schody gładkie i wyslizgane. Może nawet nie bardzo chce złązić. Rozdarty. Przyzwyczał się do swej roli. Wymagają, ale pieszcza. Pomniki czekają na Bożydarów!

Czy nie pobłądziłem? Może też wpałem w sidła.

— Twoje pisanie takie wspaniałe — powiedział Ryś Krynicki.

Popatrzyłem na niego z przyjemnym zaskoczeniem. Komplementował ostatnie moje opowiadanie, „Sierota Europy”.

— Jak na początku opowiadania wystąpił kostur... — ciągnął cichym głosem — to musi on zastukać w finale.

Tą dwuznaczną pochwałą uzadlił boleśnie. Byłem dla niego tkaczem papierowych historyjek. Wyrobnikiem. Składaczem. Bajczarzem.

— Czym ty się właściwie zajmujesz? — zapytała nieoczekiwane matka.

Ocknęła się z odrętwienia. Cerowała akurat huculski kilim pocięty przez mole. Poruszyła bolesne struny. Zajączwały dysonansem. Chimera, nałóg, choroba. Niech czczona artyści! Opełtańcze iluzje. Ilu takich Kolumbów wyrusza w odkrywczą podróż. Tak mało pokory, tyle pychy. Piękna choroba! Kogo ta zmija ukąsi, ten nie znajdzie lekarstwa w aptece.

— Nie mów tak!

Strzęp namiętnej dyskusji.

— Dlaczego mam nie mówić? Chcę powiedzieć wszystko jasno i bez niedomówień. Tu nie ma miejsca na wolną literaturę. Ze wszystkich stron czyhają. Zgnoją, zdławią, omamią, uspią, zeżrą!

Zakrzyczeli go oponenci. Kto to mówił? Jakiś młody, gniewny. Nie pamiętam. Z odległych głębin przeszłości. Jakieś mieszkanie. Wrocław, Warszawa. Młodzi twórcy. Pełni pasji, obrazoburczych pragnień. Co z nimi teraz? Pokorne, tłuste ślimaki. Łatwo mogę sobie wyobrazić naganę widoczną w oczach Berenta. Waclaw Berent. Wytworny pan. Powściągliwy i małomówny.

Nie znosił takiego ekshibicjonizmu. Światły Polak. Dziedzic kilku kultur. Studia w Zurychu. Rozprawa doktorska o rybach, ichtiolog. Poznał do głębi nasze bredziarstwo, niedorozwój, infantylizm. Cały ten niewydarzony los, zwichrowaną historię. Z cierpliwym uporem przekopywał śmietnik. Szukał pereł. Diogenesa w kontuszu. Nurtu w tej leniwej rzece. Czy jego też nie pozarli? Zastanawiająca martwica jego powieści. Umierało tam wszystko. Słowa, myśli, obrazy. Mają swoje sposoby. We śnie podejść potrafią i powyjmują kły. Zostaniesz bezzębnym, bredziarzem. Międlącą słowa paszczą. Kłaskanie, świst, bełkot. Jak to mówić Witkacy? Jaguary Miąskousty. Tak się nazwał z powodu braków w użebieniu.

Szarpie bebechy dylemat polskiego pisarza. Nie ma w tym jasności. Brak drogowskazu. Podejrzana sprawa. Nieczysta. Pisarze to swołocz. Trzciny na wietrze.

Jeszcze zastała nudą tu wieje.

„Ta sama nuta nudą osnuta serce mężczy. Dyszący siny, czasu godziny...” i tak dalej. I tak dalej. Piękna rytmika. Ile to lat temu odkryłem tomik przekładów z Verlaine'a na półce bambusowej etażerki. Etażerka stała w pokoju stryja kolegi. Wkradaliśmy się tam podczas jego nieobecności. Wyniosłem stamtąd zaczytany tomik, popstrzony wykrzyknikami i podkreśleniami czerwonym atramentem. Stryj kolegi później zwariował. Już wtedy chwytali go dziwne napady. Znienacka wychodził na balkon i wyrzucał rozmaite przedmioty. Najchętniej książki. Ciskał je z furją, coś wykrzykiwał. Może z czytania zwariował? A może pisać pragnął?

Olśnił Verlaine swą trującą modą. Wędrowki po knajpach i zabawa w przekłętym poe. Pewna dziewczyna wdzięczną słuchaczką moich recytacji. Jak ona słuchała! Inspirowany swą z jej oczu popadałem w pełne swady improwizacje o życiu przekłętym poety. Absynt. Wiersze pisane na bibułkowych serwetkach w knajpach. Upadłe kobiety. Mroczny związek z Rimbaudem. Igrałem z ogniem. Wiersz o jesiennej nudzie nabrał złowrogięgo znaczenia. Stał się uporczywym refrenem dni, miesięcy, lat. Cieknie czas. Dni, miesiące, lata. Nijakie, brzydkie, ogołoczone. Żadnego przełomu, olśnienia. Ten sam odgłos kłaskającego błota. Coś uciekło bezpowrotnie. Najważniejsza treść zniszczona. Zdycha pisanie. Zarażone niewolą. Brak głębi, odwagi. Racja po stronie Rysia Krynickiego. Opowiastki, tyle tych opowiastek. Skostniały arsenał chwytów, sposobów, efektów. Nuda z Verlaine'a. Stojąca woda. Przestało bić źródło.

— Bida i parodia! — nagle tubalny głos z tyłu.

Obejrzałem się. Mężczyzna niestary, zadbany. Stał na chodniku i toczył wokół ciężkim spojrzeniem. Grymas twarzy też był

wymowny. Po prostu szedł i stanął. Rozejrzał się i powiedział. Przyszła taka potrzeba. Nazwać, określić miejsce, w którym się żyje. Bida i parodia. Nieźle zostało powiedziane.

— Bida i parodia.

Przez kilka dni używałem tego określenia.

Wędrowki po świecie. To zawsze było polecane jako odtrutka. Hotelowi pisarze. Walizki oklejane kolorowymi nalepkami. Orient-Express. Jumbo-Jet. Z miejsca na miejsce. Inne powietrze. Inni ludzie. Ostatnio paszport dać obiecali.

— Nie widzimy przeszkód — powiedział jeden z funkcjonariuszy.

Paszport. Bez paszportu. Dawkowane prawo wyjazdu. Próbowałem ożywić się szansą podróży.

Ulubione Bałkany. Tam się wybrać. Wędrowki po górach Bośni. Dzicy pasterze. Wieśniaczki w czarnych strojach. Minaret meczetu w Foca. Cypryśskie rosny na zboczach gór wokół Sarajewa. Równina za Somborem. Białe domostwa. Studzienne żurawie. Topole nad kanałem. Kawiarnia Terazije. Godziny przy kawie i lozie. Południowi Słowianie. Może jeszcze Turcja, Grecja. Słoneczny żar. Lazurowe niebo. Poczłótkowe widoki. Bez-troska, plaża, morze. Nic. Mało ożywienia. Radość podróży zgaszona. Poczucie znieruchomienia. Obojętność na uniwersalne impulsy. Obawa przed każdym ruchem. Może oni już wygrali? Co podpowiada intuicja? Nie daje żadnego sygnału.

— Widzę go, widzę! — wołał mazowiecki wróż zamroczony eterem.

Co on widział? Kogo? Nastawiłem kubek od Herberta. Melody Mug. Grający kubek. Przyjemny walczyk. Prezent od kolegi pisarza. Gwarancja opiewa na 5000 razy.

Niech już wróci Jola! Miała być na Lwowskiej u rodziców. Jej matka wskrzesza czas dawno umarły. Patrzy gdzieś daleko i opowiada. Beztroskim, infantylnym głosem dziewczynki. Powróciła do domu swoich dziadków. W salonie fortepian, ćwiczy pasaż. Czarny, smolisty warkocz i oczy pustynnej gazeli. Tak musiała wyglądać. Wymknęła się do ogrodu. Skacze na jednej nodze. Wsłuchuje się w cykanie konika polnego. Spogląda na drogę. Tętent, turkot. Powóz zaprzęzony w dwa konie. W powozie chłopczyk. Wołają do siebie, klaszczą w dłonie. Ona biegnie. Stangret z powagą pomaga jej wsiąść do powozu. Przejazdzka wśród pól i zagajników mazowieckiej równiny. Zatrzymują się. Biegna na łąkę. Szukają czterolistnej koniczyny. Kto to był tamten chłopczyk? W dalszej opowieści zanika zupełnie. Szczegółowo opisuje jak była ubrana. Sukienka z organdy, białe pończochy, lakierowane buciki, czerwony kwiat wpięty w warkocz. Przeszło osiemdziesiąt lat temu. Czy to opowieść prawdziwa? Zapewne mieszanina. Natomiast do czystej fikcji należy

zaliczyć wizytę Artura Rubinsteina. Znał jej miłość do muzyki i przyszedł z kwiatami. Rozmowa tych dwojga. Dialog podany dokładnie. On. Ona. Bajki z tysiąca i jednej nocy. Starość jako byt fantastyczny, lekki, oderwany od rzeczywistości. Samo-wystarczalny.

Niekiedy matka Joli jeszcze czuwa. Reaguje. Pokazywali w telewizji „Agonię”, film o Rasputinie.

— Też tytuł! — oburzyła się. — Bezcelność!
 Czy skojarzyła to słowo ze swoim podeszłym wiekiem? Ciężarem tego wieku. Nie wiadomo. Za chwilę zapadła w nirwanę.

Ojciec Joli rozkłada bezradnie ręce. On umysł zachował jasny. Przepytuje się z hebrajskiego, języka nieużywanego od kilkudziesięciu lat. Nie zapominał. Streszcza poglądy Petrażyckiego. Jego filozofię prawa itd. Wspomina proces Beylisa. Dużo mówiło się o tym w domu jego rodziców. Światła Rosja poniżona tą haniebną sprawą.

„Księżę Nocy”, „Hades”, „Dwa dni z Aniołem”. Niezłe mam tytuły. Żeby tak coś wydano w Ameryce, Francji, Anglii. Od razu poprawa samopoczucia, życie uskrzydłone twórczym sensem. Gdybym był Ruskiem. Oni to mają wzięcie na świecie. Taki Jewtuszenko, eksportowy picer. Koryfeusz Słowiańszczyzny. Polska to pyszałek malutki, zagracony przedpokój sowieckiego giganta.

Najlepiej być rosyjskim Żydem. Podwójny glejt. Pisarz, piskorz, pisuar. Zgłodniały kundel. Warczy i merda ogonem na przemian. Ile w tym kręactwa, błazenady, nieczystych intencji.

W moim kraju nie lubią osobnych pisarzy. Aspołeczna jednośćka. Celinista, ateusz i nihilista. Tępią takich jak chwasty. Wietrzą w tym wiarołomstwo. Tylko kupą, mości panowie! Więż z narodem. To opoka. Życiodajne siły z tego płyną. Ja i naród. Bracia rodacy. Oni mówią. Ja mówię. Żadnego porozumienia. Przekłęta obcość. Wstyd o tym pisać. Kim jestem? Jednym z nich. Taką samą amebą. Galaretowatym stworem.

Gdzieś, może jadąc autobusem, może w kawiarni, posłyszałem te słowa — Rosjanie są najpodlejszym narodem Europy. A my, Polacy, na drugim miejscu. Męski głos, nabrzmiały gniewem i bezsilnością. Tak się biczujemy, lżymy. Ciągłe widmo sąsiadomocarza.

Rozważamy. Bezsilność, złorzeczenia, fobie. Tyle zdrady, podłości. Marne namiastki wolności. Gorycz kłęski, nieosiągalne marzenia.

Tak latami brodzę w błocie, przeganiam hałdy śmieci. Szukam szlachetnych kamieni, twardej opoki. Ciągłe grząsko. Te karteluszkę, te bazgroły pokrywające dziesiątki, setki stron. Jak to napisać! Żałosny Kolumb. Karykatura odkrywcy.

— Widzę go, widzę!

Żeby zobaczyć.

Odwiedziny kolegi. Przyszedł pożegnać się, leci do Ameryki.

— Może na stałe — powiedział.

— Rosja i Ameryka. Na niezłym krzyżu jesteśmy rozpięci — wymamrotałem do swoich myśli.

— Co mówisz? — nie dosłyszał.

— Nic — zwiesiłem głowę. — U mnie bez zmian. Wegetacja.

— Co ty, stary! — pocieszył wspaniałomyślnie. — Przecież piszesz. To jest boks z życiem.

Akurat! Boks! Wszystko jest obok. Tytuł pierwszego tomu wierszy Irka. Te strzały nie trafiają do celu. Ciągłe chybiają. Ilu w tej chwili strzelców zagorzałych napina swe łuki. Dyszą z wysiłku, rżęzą, pot zalewa im oczy. Międzynarodówka skrybów. Księgi, tysiące ksiąg. Gigantyczna składnica wypocin. Butwieją tony zapisanego papieru, rozsypują się w proch. Idą na przemiał. Wracają na powrót w dziewiczej postaci. Nałogowcy chwytają swą broń i znów pokrywają papier znaczkami w kilkuset językach. Życie jako surowiec do pisania. Czy dałbym jeszcze radę żyć naprawdę. „Jam złodziej, czarodziej, syn życia ulicy, przede mną wielki otwarty świat...” — śpiewał Wojtek Kotulski.

Słuchałem go chwiei. Dopiero rozpoczynałem wędrówkę. Jak to się skurczyło!

Czy Wojtek, sprzedawca karnawałowych balonów, śpiewa nadal tę pieśń?

Nieudany rok, wegetacja, niski pułap. Pewnym poruszeniem w tej zneruchomiałości była wizyta w M.S.W. Dzień przed wigilią przyjechali. Mieli wezwanie, zielony paperek. Samochód z dwiema antenami czekał przed domem. W trakcie jazdy zapamiętałem bałwana ze śniegu. Mróz trzymał w tym dniu. Bałwan miał wetknięty patyczek zamiast nosa i dwa węgle jako oczy.

W ministerstwie panował ożywiony ruch. Mężczyźni i kobiety różnego wieku pędzili korytarzami. Trzaskały drzwi. Dzwoniły telefony. To ministerstwo naprawdę wyteżonej roboty.

Oczekiwałem na korytarzu w asyście jednego funkcjonariusza. Staliśmy milcząc i omijaliśmy się spojrzeniami. Cerber i pilnowany.

Na tablicy ogłoszeń zauważyłem nekrolog. Zmarł pułkownik w wieku 56 lat.

Zapytałem, w jakiej przyczynie ta wczesna śmierć.

— Zawał — wyjaśnił cerber. — Zawodowa choroba.

Dalszej rozmowy już nie prowadziliśmy, gdyż pojawił się drugi funkcjonariusz i poprowadził mnie za sobą. Standardowy pokój przesłuchań: zielonkawego koloru ściany, metalowa szafa, stół, kilka krzeseł.

Było ich trzech. Trzej specjaliści. Departament twórców. „Musi być taki. Artystów mają w swej pieczy. Paternalistyczny

charakter bezpieki. Koty i mysz. Dziwią się zapewne. Głupi rodak przed nimi. Gryzi piórek, coś pisze, protestuje. Arabowie tuzają Murzynów. Z nagła wyskoczyło to słowo! Osobliwe. Od Sienkiewicza. W „Listach z podróży do Afryki”. Tuza! To musi znaczyć gnębić, poniewierać. Ludzie tuzają ludzi. Silniejsi słabszych. Rzadkie słowo. Regionalizm jakiś. Najbardziej nas wytuzala Moskwa. Trzyma w swoich cęgach. Nie jesteśmy Wschodem. Należymy do świata śródziemnomorskiego. Powiada Kundera. Rzym, hellenizm, chrześcijaństwo. Europa środkowa. Godna przynależność. Fakty przemawiają za Moskwą. Oderwała nas od tamtej przynależności. Wgniotła w bagnistą nizinność, obsadziła brzoza. Ludzie snują się tutaj niemrawo, coś bełkoczą. Co żwawi uciekają. Taka jest prawda, niestety. Ulubione powiedzenie wytuzanych. Policja polityczna na straży wschodniej przynależności. Pisarz podlega ich czujnej pieczy. Słów się boją jak zarazy. Pisarz i policja. Poczuję się wywyższony. Anachroniczne skrobanie po papierze w centrum wagi. Co za kraj! Gospodarka w ruinie. Złotówka leci na głowę. Dolarowe długie rosną. Zatruta przyroda. Policja polityczna zaś niezmiennie czuwa. Przesłuchują. Grożą. Perswadują. Czy to nie parodia jakaś?

Patrzyłem na trzech swoich braci, Polaków. Czy oni myślą o tym poważnie? Czy nic nie myślą i tylko wykonują polecenia? Koło musi się obracać. Resort musi się wykazywać efektami czuwania. Trzymać za pysk rozbrykanych rodaków. Tyle lat tej tresury. Resort niezbędna służba.

Trzech moich rozmówców. Tęgi, elegancki, najstarszy wiekiem i rangą zapewne; oczy pobłyskiwały zza okularów w złotej oprawie. Drugi, łysawy o oliwkowej cerze, mógł mieć pod czterdziestkę.

Najmłodszy, kędzierzawy o miłym, chłopięcym uśmiechu, bardzo sympatyczna powierzchowność. Wiedzę i odczytanie posiadali na dobrym poziomie. Wrażliwi na wartości estetyczne. Przerzucaliśmy się impresjami z rozmaitych lektur.

— Nieźle, prawda?

— Zbyt manieryczne. Ale czytałem jednym tchem.

— Wyrazny epigonizm konwencji, choć z dużą siłą wyrazu.

— Wpływ Latynosów. Momentami żywcem wzięte ze „Stu lat samotności”.

Lekko i błyskotliwie toczyła się rozmowa, zupełnie jak w literackiej kawiarni.

Tak powoli wkroczyli do sfery będącej przedmiotem ich zawodowego zainteresowania. Została rzucona teza o poprawie atmosfery w kraju. Zaczynają wydawać w państwowym obiegu utwory pisarzy zbuntowanych. Opozycjonistów zaprasza się do

udziału w organach przedstawicielskich. Władza życzliwie wyciąga ręce.

— To są fakty — powiedział najstarszy. — Otwierają się nowe perspektywy.

Milczałem. Dziećcinadą jest bowiem wdawanie się z policjantami w autentyczną wymianę poglądów.

Ale raz zapragnąłem swoje stanowisko wyrazić i już miałem na końcu języka pytanie: Dlaczego w takim razie nie dajecie mi paszportu? Jednak się powstrzymałem. To pytanie miało zbyt osobisty charakter.

Buta i podchalimstwo. Tak pisał w swoim pamiętniku Wacław Lednicki. Tym się wyróżniali Polacy w carskiej Rosji. Dumni. Z wyższością traktowali Rosjan. Tkwiła w tym pyszna buta. Ale zarazem skłonni bywali do podlizywania się barbarzyńcom. Załatwić swój interes. Ochłap jakiś wyrwać. Podchalimstwo. Podlizywanie się i jeszcze coś więcej. Może brak godności.

Niekonsekwencja wobec dumnej buty.

List do generała-ministra mógłby być owocem buty i podchalimstwa. Również pytanie w sprawie paszportu. Na razie niewypowiedziane.

— Wybitni pisarze... — mówił najstarszy; zdjął okulary i przetań chusteczką, oczy miał niebieskie, twardego polsku — powinni wydawać swoje utwory w oficjalnych wydawnictwach. To leży w interesie szerokiego obiegu kultury. Jak pan chyba wie, znaczna część nakładów podziemnych dostaje się w nasze ręce.

Najmłodszy, kędzierzawy, wyciągnął z szuflady stołu egzemplarz mojej książki wydanej w Paryżu. — Tam znów dają niskie nakłady. A ile z tego dociera do kraju!? Dwieście, powiedzmy trzysta egzemplarzy.

Pogładził okładkę, uczynił to delikatnie, jak prawdziwy miłośnik książek.

Miny mieli zatroskane. Martwili się o swobodny ruch drukowanego słowa.

Przypomniałem im o cenzurze. O jej kastracyjnej roli.

Oponowali, wykazując na przykładach zmniejszoną aktywność cenzorskiego urzędu.

Byłem pesymistą. Oni optymistami.

Policjanci. Po drugiej stronie stołu pisarz.

Nieźle to się komponowało.

W tej rozmowie stosowano też dygresje. Któryś z nich wspomniiał, jak to niedawno odwiedził Moskwę. Widział dużo młodych ludzi w cerkwi. Zaskoczony renesansem religii w ateistycznym imperium. Inny znów był w Berlinie Zachodnim. Przywiózł stamtąd złą opinię o najnowszej polskiej emigracji.

A potem zaczęli się dopytywać o moje plany podróży.

— Pisarz powinien jeździć po świecie — tak wyraził się ten najstarszy.

Wtedy już nie wytrzymałem. —
— Przecież od lat odmawiacie mi paszportu!
Przyjęli to z pokornymi minami. Nic nie odpowiedzieli.

Ale czy z mojej strony był to odruch spontaniczny? Buta i podchalimstwo. Sam siebie o to podejrzewam. Co na to Głowacki? Nie ma już takich problemów. Z tamtej perspektywy muszą wydawać się żałosne i miałkie. W moim bredziarstwie kryło się kilka pytań natury fundamentalnej. Co to jest pisanie i jak tą umiejętnością gospodarować? Czyich słuchać rad? Co bywa inspiracją? A co pułapką? Jakie spełniać powinności? Opór, dawanie świadectwa. Słuchać bogoojczyźnianych wezwań. Ulegać policyjnej perswazji. Zając pozycję ponad targowiskiem walk i ślepych dążeń. Nie dotykać kotłującej się mierzwy. Być parnasistą. Drażnić wieczne, ponadczasowe. Albo nikogo nie słuchać. I z uporem, obsesyjnie grzebać w swoich bebechach cuchnących. Wywlekać te kichy pętami. Wydobyć na światło cały gąszcz zależności, dewiacji. Tragicznych. Komicznych. Wzniosłych. Małostkowych.

Rozhulać to pisanie. Dźwignąć się na ostatek. Zerwać pęta, zrzucić jarzmo obywatelskich obowiązków, policyjnego dozoru. Hasać do zatracenia po swoich Dzikich Polach. Pędzić manowcami, bezdrożami. Być dla siebie sterem i okrętem.

Tam w ministerium policji najstarszy z moich rozmówców wygłosił następujące zdanie: — Fazy wybuchów i wyciszeń są typowe w przypadku ruchów stochastycznych...

Nie znałem tego pojęcia. Miały to być procesy występujące w grach losowych, przeniesione w dziedzinę społeczną. Czy można to sobie wyobrazić za pomocą hazardu? Rozbicie wielkiego banku w pokerze. Potem karta może już nie służyć, jałowa, zmęczona. Zrobiła swoje. Wielki wybuch, następnie pustka. Poker, ruletka, loteria, co bądź. Czegoś takiego zapragnąłem. Wielkiego rozbicia banku. Na koniec życzyliśmy sobie z funkcjonariuszami dobrych, zdrowych świąt. Polacy w tym dniu przedwigilijnym tradycyjnie składają sobie życzenia. Najmłodszy doprowadził mnie do portierni.

Tego dnia byłem jeszcze umówiony z kolegą W. Przybyłem do kawiarni nieco spóźniony i opowiedziałem pokrótce przebieg rozmowy w M.S.W. Kolega W. ożywił się i zaczął monologować. Czy to są sygnały poprawy. Rzeczywiste lub pozorowane. Tam w Rosji coś się dzieje. *Głasność*. *Pieriestrojka*. Dynamiczny Gorbaczow. Gorbaczow i Raisa. Uwodzicielska para. Zwalniają więźniów politycznych. Zakazane książki zaczynają publikować. Namiętny rozrachunek ze Stalinem. Przecież został nazwany zbro-

dniarzem. Ruchy narodów nadbałtyckich. Jakim echem odbije się to u nas. Musi się odbić.

Kolega W. Umysł posiada dociekliwy. Nowy stan rzeczy analizował z pasją politologa. Słuchałem go obojętnie i nieuważnie. Byłem zmęczony. Każda rozmowa z policją polityczną męczy. Napięcie, czujność.

Kelnerka uśmiechnęła się do nas sympatycznie. Bardzo zgrabna. Szczególnie nogi. Smukłe w pęcinach, lekko zaokrąglone pod kolanami. Chwila ożywienia urodziwą kobietą.

— Ciekawy czas... — głos kolegi W. — Tyle się dzieje.

— W kółko to samo — burknąłem. — Na razie zresztą to tylko puste słowa, potok gadulstwa.

— No tak... — zgodził się kolega W. — Wygląda na to, że naszym wcale nie zależy na ruskiej odnowie. Dotąd przecież wielkie pragnienia wolnościowe likwidowali przy pomocy kremłowskiego straszaka.

— A tak policzyć... Ilu ich jest, tej całej nomenklatury, tych związanych z utrzymaniem dotychczasowego porządku? Będzie kilka milionów — powiedziałem. — Oni są jak kleszcze. Jak kleszcze — powtórzyłem i była we mnie głęboka niewiara.

— Ale mimo wszystko to musi wpłynąć na cały blok — znów kolega W.; nadzieja w jego głosie.

— Po pierwsze... — mroziłem go nieubłaganie — nic nie wiemy, jak głęboko sięga ta *pieriestrojka* u nich.

Po drugie, jak dotąd naszej władzy tak bardzo nie zależy na polskiej *pieriestrojce*. Raczej tumanić, obiecywać i nic konkretnego nie czynić. Utrzymać swój stan posiadania kosztem niewielkich ustępstw, raczej gołosłownych deklaracji.

Kolega W. zmarmotniał. Wlepił wzrok w ścianę. Smętnie musieliśmy wyglądać. Dwie sieroty Europy. On i ja. Wyliniate, udreżone. Stare i znużone. Zaczopowane niemożnością. Spętane zniewoleniem. Okazy do gabloty. W przyszłości wycieczki oprowadzać i wyjaśniać: gatunek już wymarły, rodzina, rząd, czas bytowania na ziemi.

Może zbytnio wszystko uprościłem. Skorzystałem ze starego schematu. Nie wziąłem pod uwagę nowych elementów sytuacji. Nic się przecież nie powtarza. I społeczeństwo obdarzone wyższą świadomością. I młodzi mają dość tej bzdury. Gdzie to było? Też w Hadesie. W tym podziemnym przejściu pod Alejami. Tam napis bardzo wymowny. *Fuck off polish state!* Nieźle, co? Może kolega W. bardziej wnikliwie widzi przyszłość. Trzeszczy i pęka skorupa. Groźne pomruki nabrzmiewają. Wzbiera lawa. To niewątpliwe. Takiego wrzenia, takiej ruiny jeszcze nie było. Ale tyle lat to już trwa. Trzeszczy, trzeszczy... Pęka, pęka... I co z tego! Mija życie. Coraz mniej życia. Męczące te rozważania. Tak można w nieskończoność. Mnogość kombinacji, wariantów,

oczekiwań, nadziei. Jak wreszcie to opisać! Europejskość, azjatyckość. Wschód, zachód. Hulają przeciągi. Na ile już jesteśmy przeżarci zarazą. Na ile jeszcze zdrowi i wolni.

— Podwójny nelson! — to przecież kolega W. tak powiedział kiedyś.

Było to nocą nad mazurskim jeziorem. Dzień odpoczynku na łonie przyrody. Pływaliśmy, łowiliśmy ryby, aż wieczorem rozpoczęła się trująca rozmowa o dramacie postaw.

W miarę wypijanej wódki stawaliśmy się coraz bardziej bezsilni, spętani wschodnią niemocą. Ile tych rozmów! Ile tych bredni!...

Przyziemne to pisanie, płaskie. Dlaczego nie idzie w głąb? Rzeczywistość gniecie. Żaden dramat. Chlupot, bylejąkość. Rozkładający się nawóz. Sami stajemy się nawozem.

Talent to dar od Boga dany. Tradycyjny patos w tym brzmi. Wysokie mniemanie o wybrańcu. Bzdury!

Przesunąłem palcami po brodzie. Rośnie. Kłuje i swędzi. Kostur i broda. Zebracze połączenie. Kostur ważny w opowiadaniu „Sierota Europy”. Gra rolę kontrapunktu.

— Jak wystąpi na początku, to musi zastukać w finale — szydził Ryś Krynicki.

W opowiadaniu skorzystałem ze swojej brody. Wszystko surowcem do pisania. Brodaty pisarz ze wschodu. Już markiz de Custine pisał o brodacach w Rosji. Pełno ich tam było. Jola szykanuje moją brodę. Znienacka ciągnie za kosmyki. Kiedyś Słowianie targali za pejsy Żydów. Jola bierze rewanz.

Śmiejemy się. Atawistyczny rewanz. Musi być sprawiedliwość. Jeszcze jeden komunał. Gdzie zostało powiedziane, że górą ma być sprawiedliwość. Tylko w pragnieniach bezsilnych. Marny tu los pisarza. Kurwa albo kapłan. Pojawiają się wciąż nowi dumni adepci tego boskiego powołania. Na początku niby orły. A potem...

Co ma czynić ten nieudacznik, wyrzutek, ofiara genetycznego zbiegu okoliczności? Pisarz, piskorz, pisuar...

— Polityka na złe wychodzi pisarstwu — powiedział jeden z moich rozmówców w ministerstwie policji. — Dzieła doraźnym sporom poświęcone umierają bardzo wcześnie.

Pięknie powiedział. Spluwa na szelkach, kajdanki w kieszeni mu brzęczą; taka szlachetna retoryka.

Polityka, aktualia, zaangażowanie. Pułapki dla literatury. Wikła się w płaskiej przyziemności. Traci oddech. Wielu tak uważa. Nieprawda! Wszystko przeżarte polityką.

Ta kobieta z gęstym, czarnym trójkątem na łonie. Gdzie to było? Kiedy?

Letni, piękny dzień. Zieleń bujna, jeszcze nie spalona słoncem. Buchało świeżym latem. Wszystko dojrzewa, kipi. Ko-

biety ubrane skąpo i rozleniwione. Nawet zmęczenie żon i matek objuczonych zakupami mniej widoczne. Objuczone i zalotne. Odpowiadały na pożądlive spojrzenia mężczyzn.

Szliśmy we dwoje. Każdy ruch jej dużego, gotowego ciała odbijał się w moich głodnych oczach. Podążaliśmy do wypożyczonego mieszkania. Ale w tej drodze po rozkosz też nas dopadli. Cała sfera tajniaków. Nie mogliśmy się od nich uwolnić. Tropione zwierzęta. Oczy zagasty. Ciała zwiotczały. Wyschło poządanie. Ponury postój z jakiejś kawiarni. Unikaliśmy swoich spojrzeń. Potem długo prześladował mnie taki oto imaginacyjny widoczek: Jesteśmy już w łożku. Obnażeni i dyszący. Spoczone zwierzęta. Natarczywy łomot do drzwi.

— Otwierać! — brutalny głos.

Stanęli nad nami plugawie uśmiechnięci. Mogli jeszcze sobie na jakieś sprośne żarciki pozwolić. A tak na domiar złego byłem pedałem! Czy nie może niezależny pisarz być pedałem? Pedałem hipokrytą. Łowcą chłopaków na dworcach i w publicznych szaletach. Zagonionym przez tajniaków i sekretną żądę.

W tym rozważaniu zanikł zupełnie widok bujnego, krzaczatego trójkąta na jej łonie. Zszarzał, wyłysiał. Nie powoduje niespokojnego pulsowania w skroniach.

Kryjacja erotyka po kątach i dziurach, szczurza ruja. Ukoronowaniem rudy wenerolog. Stoї w tym swoim poplamionym, rzeźnickim fartuchu.

— Pokazać — mówi krótko.

Czy on jeszcze żyje?

Dysgust widoczny na nobliwym obliczu Berenta. Nie aprobuje takiej literatury. Nie znosi takiego ekshibicjonizmu. Nic nie wiemy o jego żądach, słabościach, subtrekach. Choć napisał „Próchno” przecież. Tam używał trzeciej osoby. Dystans prawdziwego artysty.

A jednak tak trzymać, dzielny sterniku! Chlupocze wokół gnojem. Co tam Olimp! Gęsty, cuchnący szlam moim tworzywem. Może to już klęska nieodwołalna. Skowyt pokonanego. Wypalił się do reszty. Gdzie podział się Marco Polo, śmiały sternik, co chciał odkrywać nieznanne lądy.

— Nieźle sobie wymyśliłeś! — powiedziała Jola. — Pisarz! Nic zrobić nie umiesz. Nawet zmienić przepalonych korków nie potrafisz.

Może to racja. Z ułomności i niechęci do czynnego życia zostałem pisarzem. Pisarski lament. Ten mężczyzna z Włoch. Dziwak, samotny gaduła. Mieszkał w domu naprzeciw ogródka. Czarny, wąsaty, podobny do Cygana. Zazwyczaj w niedzielę wychodził na balkon i zaczynał. Lekko podpity. Opierał się o poręcz i mówił w przestrzeń. Szeptał, to znów podnosił głos do krzyku. Tak na przemian. Raz nawet zaryczał. Wszyscy byli zdziwieni.

— Dotąd nigdy to mi się nie zdarzało — powiedziała sąsiadka z parteru.

Wtedy zwrócił się bezpośrednio do Boga. Zarzucił twórcy wszechświata obojętność. Stworzył to wszystko i pozostawił własnemu biegowi.

— Czy tak można — zadał pytanie.
Przeważnie jego monologi dotyczyły zwykłej, niedużej codzienności. Kłócił się ze swoim zwierzchnikiem w robocie. Jadłkę nazywał zdzirą. Wyrzucał nielojalność kumpłom. Czasem napomykał o nastrojach trudno uchwytnych.

— Tak jakoś... — powiadał przeciągle. — Kurwa!
Nie pragnął wcale słuchaczy. Sam targał się ze sobą. W chaosie szukał sensu, porządku. Dobrze go rozumiałem. Nieznany mój brat. Czy mieszka tam nadal i wygłasza niedzielne monologi? Słowa, słowa...

W podziemnym przejściu zwanym Hadesem rozkwita sztuka sgraffitto. Chodzę tam często. Górą dolina. To bardzo celne. Skończyły się wyżyny. Coraz niżej. Po co żyć? Żeby tyć? Dwa znaki zapytania. *Bad, mad, totally rad.* To najlepsze. Gorzkie, szydercze słowa. Te trzy angielskie i pointa polska rad! Zadowolony, pogodzony. Zły, szalony, ale ogólnie zadowolony. Bardzo trafne. Niewolnicza dewiza. Nic nie zmienisz. Żyj cicho i pokornie. *Totally rad!* Może pokrzepić się jakimś kiczem, tandetą wyobraźni. Przesunąć przed oczyma kilka kolorowych klisz. Tak było podczas ostatniej jazdy pociągami. Siedziała naprzeciw. Lalkowata piękność. Oczy owcy. Bezmyślne jeziora. Wyobrażałem ją sobie jako swoją żonę. Zdrowa dziewczucha. Rodzi zdrowe dzieci. Nareszcie normalność. Ale wątek urwał się zaraz. Zabrakło inwencji. Te pociągi! Dawniej dostarczały wrażeń. Pani inspektor budowlany. To już ćwierć wieku temu bezmała. Niebrzydka. Mówiła ordynarnie jak murarz. Moje zaloty. Długa podróż do Szczecina. Pusty przedział. Zepsuło się ogrzewanie. Grzałem jej stopy. Ręka powędrowała wyżej. Chichot. Czym przydać sobie krzepy, równowagi? Rzucić się w wir codzienności. Nazbierało się różnych spraw. Przystąpić wreszcie do zamiany mieszkania na większe. Ogłoszenie w gazecie. Albo pośrednik. Pośrednik lepszy. Postawić płytę z nazwiskami na grobie ojca. Trzeba dwie tablice. Podzielić zmarłych na dwa rzędy. Marmur czy piaskowiec. Marmur bardzo kosztowny. Stara tablica była z piaskowca. Podobno tańsi kamieniarze są na Bródnie. Sprawdzić.

Sprawa z Z.U.S.-em ślimaczy się zbyt długo. Renta. Zabezpieczenie schyłku. Mieć forsę na opiekunki, pielęgniarki, samarytanki. To niezbędne. Powiniennem zapłacić zaległe składki! Wystarczy najniższa. Dopiero na dwa, trzy lata przed emeryturą podwyższyć wysokość składki. Miesiąc temu zaszedłem do

Z.U.S.-u i życzliwa urzędniczka poinformowała o wszystkim. Nawet wypisała potrzebny formularz. Wysunęła szufladę, szykując pieczątki i wypadły stamtąd dwa plastikowe kieliszki. Zacerwieniła się jak pensjonarka. Dosyć młoda.

Następnym razem przyjdę tu z butelką — zażartowałem.

— Co też pan! — obruszyła się.

Przy sąsiednim biurku siedział drugi interesant, który zastanawiał się akurat, czy zacząć płacić wyższe składki. Dochodził bowiem do wieku emerytalnego.

— Jestem poważnie chory — mówił jakby do siebie. — Czy dożyję?

— Warto zaryzykować — radziła urzędniczka.

Emerytalne ubezpieczenie przyszłości, interesy na cmentarzu. Eh! To raczej przygnębia.

A paszport! Uchylona furtka. Łaska podróży. Ta furtka uchylona była w kilka dni po mojej wizycie w ministerstwie. Ranek. Pracowałem. Mówię z rozmysłem: pracowałem. Pragnę przydać swemu zajęciu powagi i normalności. Odezwwał się telefon. Nie odbierałem. Był natarczywy. Podniosłem słuchawkę.

— Dzień dobry! Mówi kapitan Barski.

— Kto?

— No... z M.S.W. — odpowiedział po chwili wahania głos w słuchawce. — Czy mógłby pan wpaść do nas?

— Niestety. Jestem przeziębiony.

— W takim razie czy możemy wpaść do pana? — Wyraziłem zgodę. Nawet byłem ciekawy przyczyny tak nagłej wizyty. Zwykle przecież pocztą wysyłają wezwania lub przychodzą bez uprzedzenia. Przygotowałem kawę. To może być źle ocenione przez niezłomnych; kawą częstować ubeków. Tak jednak było.

Resort policji politycznej to sfera mało zbadana. Opisywana nader ubogo i schematycznie. Babel na miesiąc przed uwięzieniem zwierzył się zaufanej osobie ze swojej ostatniej skłonności. Najchętniej popijał i gawędził z policjantami. Taką myśl wyraził w pokątnej stylistyce rodem z Odessy. Mógł uśmiechnąć się melancholijnie. Z tą mądrością tysięcy widoczną w oczach za grubymi szklami. Czy miał grube szkła? W każdym bądź razie nosił okulary. Wyznanie Babła zastanawiające.

Przyszli we dwóch. Chętnie przyjęli kawę. Wymieniliśmy kilka banałów o pogodzie, grypie. Dosyć szybko przystąpili do rzeczy.

— Nie widzimy przeszkód — powiedział jeden. — Może pan jechać do Norwegii.

Siedzieliśmy przy biurku. Pisarskie papiery złożyłem w stosik. Miałem ich w korzystnej pozycji pod światło. Obaj w podobnych garniturach, białe koszule, pęta krawatów. Urzędnicy.

— Nastała tęga zima — odezwałem się po chwili. — Mróz idzie od Skandynawii. A ja miałem tam jechać jesienią.

— Można i teraz — powiedział drugi. — Tam zdrowy klimat. Góry i morze. Te fiordy...

Milczałem. Oni też. Milczenie przeciągało się. Wstali. Jeden rzucił okiem na zapisane papiery.

— Coś nowego na warsztacie — zapytał.

— Nowela — odpowiedziałem. — Będzie miała tytuł „Żydowski hrabia”.

— Zawsze miał pan skłonność do tego tematu — pokiwał głową.

Skłonność do tematu. Nieźle zostało powiedziane. Pamiętam, jak przed laty weszliśmy z Jolą do jakiejś knajpy. Na nasz widok dwaj rodacy wzniesli swoje kielichy i zawołali: — Precz z Żydami i Żydówki z nami!

O czym piszę? Dwa błahe spotkania z bezpieką. Wezwali, pogadali. Rutynowy sondaż, badanie nastrojów w środowisku pisarzy. Przyszli i obiecali paszport. Nic w tym szczególnego. Grzeczni, kulturalni funkcjonariusze. Ani śladu tortur, kazamatów, wymuszonych zeznań. A jednak tkwi to jak ropiejący cierń. Trująca pożywka. Wsąca się w każdą kartkę. Funkcjonariusze to sympatyczni rodacy. Żadnego w nich fanatyzmu, nienawiści. Raczej tolerancyjni. Wykształceni fachowcy. Podobno też ich za granicę nie puszczają. Ze względu na tajemnicę służby. Też zniewoleni. Urlopy w kraju, może jeszcze w K.D.L.-ach. Mogą się męczyć. Chandry, depresje.

Nie czułem żadnego uniesienia z powodu paszportu. Dalej pełzak. Może już za późno. Minął czas podróży. Oderwać się, nabrać dystansu. Śladem Herberta. Rumowiska starych kultur. Nic. Spławik nawet nie drgnął.

Tamtej nocy rozmawiałem z ojcem. Tak patrzył i patrzył. Z wielkim zawodem w oczach. Nieudany syn. Nie tego oczekiwał. Nie spełniłem jego najgorętszego marzenia.

— Dlaczego zwlekasz — zapytał. — Czasu zostało tak niewiele.

Patrzył z bólem. Małeńkie oczy niebiesko jarzyły się w głębokich oczodołach.

Oczekiwanie na cud. Wróżby, magia, znaki tajemne. Brzoza. Pomyłona dotykaczka. Najnowsza wiadomość z sądowego bufetu. Tam dopiero rodzą się bajdy! W gronie adwokatów, sędziów, radców. Pewna starsza pani, emerytowany mecenas, zajmuje się badaniem blizn na policzku Matki Boskiej Częstochowskiej. Pokazywała kilka fotografii z czasów dawniejszych i ostatnich. Jej zdaniem blizny z policzka spłynęły niżej.

— To musi coś znaczyć — powtarza wibrującym histerycznie głosem.

W czym szukać oparcia? Pozostał tylko papier. Puścić się w śmiałą podróż po arkuszach formatu A-4. Monolog z balkonu. Wielki świat wyobraźni. *Achtung!* Pisanie w niebezpieczeństwie. Sraczka słów. Brak właściwych, celnych. Wszystkie wodniste. Spęczniałe pustką. Rozpadają się i gniją. Widok padłego konia w dzieciństwie. Już wtedy pojawiały się pierwsze ostrzeżenia. Leżał w płytkiej gliniance. Nogi sterczyły do nieba. Te ambicje literatury wysokie. Szyderczo szczyrzył zęby. Miał rozpruty brzuch i wzdęte kiszki. Zielono-niebieskie balony poplątanych kich. Nagle rozległ się huk, potem przeciągły świst. Pękły bebechy. Uszło powietrze.

Bezsilność słów. Pękają z hukiem. Flaki, nicość. Wszystko jest obok. Tytuł tomu wierszy Irka. Grzało słońce. Siedziałem z matką na ławeczce. Obok w piaskownicy bawiły się dzieci. Matka patrzyła na dzieci. Potem spojrzała na mnie. Z baczną uwagą jak na kogoś obcego. Zatrzymała wzrok na moich nogach.

— Ładną masz sukienkę — powiedziała z uznaniem; poprawiła się po chwili — spódniczkę. Taką wyprasowaną, czystą.

Nie jestem Szkotem. Byłem w spodniach. Ale nie sprostowałem. Zabrakło jej słów. Powymierały. Oderwały się od rzeczy i pojęć.

— Kolor taki... — znów głos matki nabrzmiały zastanowieniem — ...zielenisty.

Uciekają słowa. Pozbawione siły i ciężaru. Nie chwytają istoty zjawisk. Bańki mydlane. Żłuda.

— Suchy branzel — jak powiedział Sewek z Bud. Myślał o tym jałowym wprawianiu chuja w sztywność, kiedy zabrakło już nasienia.

Miota się bezsilny Bożydar. Czułem się jak gasnący płomyk. Ledwo pełga, zanika. Konie, czy wichry macie w grzywach? Rosjo, Rosjo, dokąd tak pędzisz? Odpowiedz! Dlaczego nie odpowiadasz? Tak wołał Gogol. Też nie dał rady. Jego konie przestały gnać.

Ojciec nad tapczanem. Zawsze taki był uparty. Żąda spełnienia elementarnych powinności człowieka na ziemi. Kłuje spojrzeniem. Tyle w nim niemego wyrzutu. Chce ciągłości, przedłużenia rodu. Małego następcy. Pragnie nosić go na rękach. Tak jak mnie w dzieciństwie. Nosić i powtarzać: — Mój kardynałik, generalik!

— Posłuchaj stary jeszcze raz! — próbowałem mu odpowiedzieć. — Spróbuj rzecz całą zobaczyć z mojej strony. Wysyłać kolejnego wędrowca w tę niepewną przyszłość. Obarczać go swoim kalekim dziedzictwem. Tyle odpowiedzialności, żeby doprowadzić do wieku dojrzałego. Nie mogę. Naprawdę! Po tobie przecież dostałem w spadku to cholerne poczucie odpowiedzialności... — zaciąłem się i dalej brakowało słów. Nie byłem

pewien, czy mam rację. Nigdy tego nie byłem pewien. Goniłem resztkami sił. Choćby w tej cukierni. Niedziela. Pogodnie. Niby normalnie, nic złego się nie działo. A przecież nie do wytrzymania. Stałem w kolejce do lady po ciastka. Wybierałem się z wizytą do któregoś z moich starców. Przede mną brodacza w futrzanej czapie. Okazała miał brodę, bujną, dziką i poskręcaną. Zaśmiewał się. Nie wiedziałem z czego. Wesoły, żywiołowy śmiech.

— Z czego tak się śmiejemy — zapytałem agresywnie. Celowo użyłem protekcyjnie brzmiącej liczby mnogiej.

— Wie pan, śmieszy mnie, jak ludzie używają tego infantylnego zdrobnienia — odparł ochoczo. — Mówią: kawka, chlebek, ciasteczko...

Miał dobroduszną twarz i wesołe oczy. I nagle nasunąłem mu czapkę na czoło. Uczyniłem to bez chwili namysłu. Powodowany przemożnym impulsem. Pozazdrościłem mu pogody ducha.

Nie zachnął się nawet. Spokojnie poprawił sobie czapę i wyszczerzył zęby w niepokonanym uśmiechu.

— Tylko praca daje równowagę — mawiał ojciec ze śmiesznym patosem. — Wszelki sens w niej zawarty.

I była to jego święta prawda. Już na emeryturze, już nawet nie dawał korepetycji, a ciągle godzinami rozwiązywał zadania z trygonometrii, algebry. Pokpiwałem z niego. Wcale się tym nie zrażał. Tyle lat widywałem go pochylonego nad stołem. Pracował. Więc chociaż w tym staram się go naśladować. Czas ranny poświęcam pisaniu.

— Wstawaj! — budził mnie ojciec, kiedy rankiem zbyt długo wylegiwałem się w łóżku. — Do roboty!

Więc siedzę rankami nad papierem. Często jałowo i bezmyślnie. Ale uparcie. Czy to jest praca? Masochistyczne odkrywanie udreń, słabości. Maniackie bebeszenie. Dla kogo, po co?... Wirowanie, rozkład, atomizacja. Czy świder nie idzie za głęboko? Przebija ostatnią warstwę ochronną. Głębiej już tylko bezbroną nagość. Niemożliwa do wyrażenia w słowach. Ta wpędzona pod betonową misę szurczyca. Jej zagonione ślepia. Ledwo się tam dowleka. Pewno później ją dopadli. Dopadli i zatłukli. Niech ktoś zapuka do drzwi! Kto bądź. Zapragnąłem człowieka. Edzio często zachodzi o tej porze. Sąsiad z pobliskiego wieżowca. Siada na brzegu krzesła, długie nogi zwija w pętlę. Cały jakiś nadmiernie elastyczny, węgorzowaty.

— Tworzysz? — pyta rytualnie, spoglądając na rozłożone papiery. Pobrzmiewa w tym pobłażliwość. Edzio traktuje życie lekko i niepoważnie. Właściwie jako nieustający absurd. Alkoholik. Finezyjny destruktor. Sprawność umysłu zachowuje zadziwiająco. Makabryczny dowcip. Opowieści o romansach ze sta-

ruszkami. Wymyślił sobie Kamila. To jego druh urojony. Siedzi w nim i podpowiada. W kacowych depresjach namawia go natarczywie do skoku z XI piętra.

— No! — kusi Kamil. — Na co czekasz? Skacz!

— Już, już... — opowiadał Edzio. — Spojrzałem w dół, magnetyczny przymus. Ostatkiem sił odmówiłem jednak Kamilowi. Opór ciała wziął górę nad duchem.

Trochę boję się Edzia. Coś wyzwała, maści, jakieś ciemne siły pojawiają się wraz z nim. Bywa też przebiegłym realistą. Ostatnia jego wizyta przed świętami. Miał torbę pełną mięsiwa. Opowiadał o pokonaniu kolejki pod sklepem. Była bardzo długa.

— Przepraszam! Przepraszam! — śmiało dążył prosto do lady.

Podniósł się wrzask.

Wtedy skłonił się rozjuszonym ludziom i oświadczył: — Mam uprawnienia. Jestem inwalidą drugiej kategorii. Z powodu głowy — dodał i bez przeszkód osiągnął cel.

Nie odwiedzi mnie już. Za późno. Może zadzwonić do Weroniki. Jej miły, melodyjny głos. Spokój i pewność. Mieszka w Londynie. Dużo podróżuje. Zawitała na jakiś czas do ojczyzny. Elegancka dama. Popielate futro w odcieniu niebieskim. Kobiety się oglądają. Wóz z angielską rejestracją, kierownica z prawej strony. Mężczyźni podchodzą, patrzą. Weronika chętnie mówi o pieniądzach. Coś kupiła za dwieście funtów, sprzedała za pięćset. Sprawa rozwodowa. Jej adwokat postawił twarde warunki finansowe.

— To dobry prawnik — Weronika śmieje się drapieżnie. Odsłania równe, nieskazitelne zęby. Przed laty miała inne, bardziej nierówne i rzadkie. Czy jej bezwzględność pociąga mnie przede wszystkim? Pewność i bezwzględność. To bardzo potrzebne. Po co?

W „Topie” ogłoszenie o sprzedaży domków w segmentach. Powtarza się co tydzień. Sami składają. Kupić i postawić we Włochach. Świętej pamięci ojciec marzył o tym. Domek na włoskim placu. Może w tym cały sens. Patrząc z okna swego domku na małą, senną uliczkę. Człapią emeryci do sklepów. Pijackowie stoją w przechodniej bramie. Któres już pokolenie kirusów. Pani Piotrowska podąży na obiad do stołówki. Ostatnia z grona nauczycielskiego szkoły ojca. Ładnie się kiedyś mówiło. Grono nauczycielskie. Domek we Włochach. Końcówka. Brrr!!

Przykra świadomość odpływu sił. Potrzeba transfuzji. Niektórych energia rozpiera, góry mogą przenosić. Jakże takim nie zazdrościć! Siedział facet u fryzjera. Musiał mieć 60-tkę. Fizycznie niepokąźny. Blizna na łysej czaszce. Zwierzał się fryzjerowi ze swoich dziennych zajęć. Od piątej rano na nogach.

Cały czas w pędzie. Na początku w Mińsku Mazowieckim. Okazyjnie zdobył eternit. Buduje pieczarkarnię. Eternit na dach potrzebny. Potem Praga. Czegoś szukał na bazarze. Sklep z farbami na Bagnie. Jeszcze musi być w Sochaczewie. Dwa razy zrywał się z fotela i telefonował. Raz przymilnie.

— Czy to firma Loran? Proszę z panem Wojtkiem.

Drugi raz władczy, niecierpliwym głosem. Jeszcze dowcipy nam opowiadał. O Jaruzelskim, Gorbaczowie, damsko-męskie plugastwa. Potwór żywotności. Chociaż ta jego energia niezdrówka, jakby z rozkładu czerpała soki. Ale jednak energia, napęd. On, Weronika... A ja? Niepokoił się ojciec o moje losy. Nie-wydarzony płas przez życie. Te papiery! Miała rację ciotka Zofia.

— Prześtań pisać te duperele!

Impulsywne, ale szczerze.

Zapisane papiery. Raz wydają się niezłe, innym razem szajs. Ciągłe to pytanie. Pisarz i jego żenujące rozterki. Po pijaku, na trzeźwo, dzień i noc. Trudno samotnemu żeglarzowi w tym bermudzkim trójkącie. Racja walki. Racja władzy. Racja wiary. Ile jeszcze tych racji, dogmatów, imponderabiliów. Dusicielskie macki. Potężne jak twierdze kościoły. Policyjne perswazje. Spór lewicy z prawicą. Postępu z ciemnotą. Ciasne i zagrożone podwórko. Gąszcz frakcji, koterii, zaciekleń zmagają. Niewidoczny horyzont. Buntownicy, niewolnicy. Szarlatani, tytani... Jady o smaku małmazji. Nie bierz ani kropelki! Stado węży wypełzło spod kamieni. Huk trąb, zgrzyt krat, tupot podkutych butów. Własny głos tak słaby, zanika.

Czy dalej pędzić tą grafomańską galopadą? Robaczku ty mój! Kochany mój robaczku! Ulubiony zwrot mistrza Przybyszewskiego. Nawiedzony geniusz znad Gopła. Grzmiał i bluźnił. Ołtarze wznosił demonom, chuciom. Rozmył się całkowicie w logorei płaskich, tanich słów. Myszy pożarły króla Popiela. Śladu nie zostało po tej młodopolskiej eksplozji. De profundis. Synowie ziemi. Synagoga szatana.

Jak nazywa się tratwa w języku Hucułów? Daraba. Flisak to kieremanycz. Wiedza z Vincenza, tego Homera Czarnohory. Łatwo roztrzaskać wąż tratwę na porohach górskiej rzeki. Męka ślepego pisania. Szyderstwo losu. Kara od Boga. Widmo psychicznej choroby. Pisarze zatkani niemocą.

Wycieczka zawędrowała pod kolumnę króla Zygmunta. To było w te ostatnie dni złotej jesieni. Wsiowi. Mężczyźni w sztywnych kaszkietach, brązowe szyje wystające z ciemnych marynarek. Kobiety w chustkach. Patrzyli na mury królewskiego zamku w kolorze barszczu ze śmietaną.

— Symbol wielowiekowej historii... — mówił przewodnik. Nagle urwał, odepchnięty przez mężczyznę średniego wzrostu, mimo ciepła w grubej kurtce i filcowych butach.

— Na kolana! — zawołał intruz. — Robactwo smrodliwe! Oczy wezbrane pasją. Złorzeczył długo i wymyślnie.

Od razu go poznałem. To jeden z mojej gildii. Kolega po piórze. Kiedyś pisał. Miał ambitne zamiary. Chyba coś mówił o wielkiej epice.

Często z nim rozmawiałem. Bardzo sugestywny. Od lat zamilkł zupełnie. Teraz lżył zaskoczonych wieśniaków. Klasyczny pomylenieć. Coraz częściej napotykam na swych szlakach szaleńców. *Achtung!* Należy czuwać. Następuje niezauważalnie. Lekkie przesunięcie i już!

Dużo racji miał Attaché. Z nim w kawiarni Grand Hotelu. Wkroczył tam jak gwiazdor na scenę. Był w kremowym garniturze, czarny kapelus z ocieniał twarz, pozłacany łańcuch ze znakiem koziorożca na piersiach. Plantator, nafiarcz z Texasu. Tak wyglądał. Attaché nazywany ze względu na biegiłość w obcych językach; grywał często rolę dyplomaty w celach uwodzicielskich. Był to więc niegdyś nicpoń z fantazją. Z czasem stał się częstym pensjonariuszem zakładów dla nerwowo chorych.

Tego dnia był na przepustce. Tak oświadczył. Więc przebywał w „wariatkowie”, tam wydają łżejszym przypadkom przepustki. W szarym, brudnym wnętrzu kawiarni wyglądał co najmniej osobiłwie. Mimo delikatnej sugestii kelnerki nie chciał zdjąć kapelusza.

— Brak tolerancji — powiedział — we wszystkim.

Miał silną potrzebę rozważań natury ogólnej.

— Smród i duchota! — tak zaczął swój monolog. — Usiadł i zapalił papierosa, powiódł ciężkim spojrzeniem po wnętrzu kawiarni. — Nie tylko tutaj. W całej Polsce... — Zionął żywiołową odrazą do wszystkiego. Wysztywał ciężar gatunkowy polskiej problematyki, jej retorykę, nicość i grandilokwencję. Tak to nazywał. Wszędzie wietrzył prywatę, koterie, sitwy, grę interesów. W każdym działaniu brak wyższych wartości.

— Świat pozorów! Udawacze! Życie na niby! Toniesz w tym jak w szambie — krzyczał.

Dewizowe dziwki i Arabowie patrzyli na niego z leniwym zainteresowaniem.

Co go tak wzburzyło? Zbyt mało go znałem.

— A ty! — skierował na mnie swoje wściekłe oczy. — Dla kogo piszesz? Dla tych głąbów, cwaniaków, oszustów. Jeżeli dla nich, to też sprzedajesz już swój talent. Dla nich pisać nie warto.

Myslałem o tym, co powiedział Attaché. Rozgłos, pisarskie fawory. Pisarz i jego publiczność. Ulubieniec, pieszczoch zbiegający miód. Dość tego zniewolenia! Postawić wszystko na jedną kartę. Ni Boga ni Pana! Wściekłe oczy Attaché, jak latarnie

w mojej ciemności. Napisać i schować. To brzmi jak zakłęcie. Prywatność. Niezłomna prywatność. W tym szansa. Jedyna ostoja. Wolny człowiek. Wolny pisarz. Jeszcze jedno złudzenie. Zniewolony człowiek. Zniewolony pisarz.

Urzędniczka była czarna jak kruk. Chuda i opryskliwa. Od początku byłem pogrążony w wysiłku zdobycia jej względów. Żeby chociaż ta gra warta była poniżenia! Któraś z kolei wyprawa do urzędu paszportowego. Składałem kwestionariusz. Spodziewałem się odmowy. To był czas jeszcze przed liberalizacją. Pustawo. Bez długiego wyczekiwania znalazłem się przed biurkiem urzędniczki. Tak stałem pochylony. Przymilny petent. Kundel. Na ścianie zauważyłem kalendarz z obnażoną kobietą w siatkowych pończochach. Modne są takie pół-porno kalendarze.

— Niezły eroticon — powiedziałem głosem nasyconym potrzebą nawiązania prywatnej konwersacji z urzędniczką.

— Mężczyznom to się podoba — odburknęła, nie unosząc głowy znad biurka; porównywała rubryki kwestionariusza z moim dowodem. — Lubią takie maszyny.

Wydałem z siebie gulgot, który miał być aprobatą dla jej odpowiedzi.

Dopiero po chwili pojąłem, dlaczego tak powiedziała. Był to kalendarz przedsiębiorstwa budowy maszyn. „Budomex”, brzmiał skrót.

Odchodząc pokłoniłem się nisko urzędniczce i cicho zamknąłem drzwi za sobą. Na ulicy poczułem wstręt do siebie. Wstręt i pogardę. Marnie z kondycją człowieczą. Nadpsuta. Po co się tak do niej łąsiłem!

Już na dobre zapadł wieczór. W ciemności bieleją pochyłe dachy domów po przeciwnej stronie ulicy. Ludzi nie widać. Pusto. Cicho. Z rzadka tylko odgłos przejeżdżających autobusów. Życie miasta zamiera wcześniej.

W podobny wieczór poszliśmy z kolegą W. na spacer. Zachciało nam się jak z dawnych lat. Było ponuro i obco. Tak niewiele pozostało dawnych miejsc. Ani domów ani knajp. Nawet rekonstrukcja sprawiała trudność. Przystając tu i ówdzie zastanawialiśmy się. — Czy tu był „Smakosz”? Chyba tu. A tam „Wyścigowy”? Nie! Trochę dalej... A gdzie redakcja *Współczesności*? Ciemność gęstniała. Ludzi coraz mniej. Snuliśmy się smętni i zawiedzeni. Poczucie pożegnalnych obrzędów, cmentarnego obchodu. Wreszcie wstąpiliśmy do jednego z ostatnich szynków dawnych lat. Pozostał prawie niezmienny. Dużo wspomnień. Przychodziliśmy tu niegdyś z pierwszymi honorariami za literaturę i piliśmy młodą, huczną wódkę. Zamówiliśmy ćwiartkę, śledzia i próbowaliśmy po dawnemu.

Przy sąsiednim stoliku młodzi ludzie też przy fłaszce i śledziach, rozmawiali o Szwajcarii.

— Bogaty kraj — powiedział jeden. — Tych banków tam do chuja! Demokracja i najmocniejsza waluta świata.

— Dolar najmocniejszy — sprzeciwił się drugi.

— Frank szwajcarski lepszy — upierał się pierwszy.

— Czy nigdy nie myślałeś, żeby wyjechać stąd na zawsze?

— zapytał nagle kolega W.

Pokręciłem przecząco głową.

— Ja też — powiedział kolega W. Zwiesił głowę. Ciężko. Smętnie. Wódka wcale nie uskrzydlała. Wkrótce wyszliśmy z knajpy. Miasto już zupełnie wymarłe. Z jakiejś bramy wyskoczył facet; zapytał o przystanek nocnego autobusu. Szliśmy przez pewien czas razem. Przechodziliśmy obok nowego domu zbudowanego w luce między dwiema starymi kamienicami.

— Niezły — zauważył kolega W.

Rzeczywiście, lekka estetyczna architektura, loggie, wysokie okna.

— A wiecie panowie, kto tutaj mieszka? — odezwał się ten facet poszukujący nocnego autobusu, tęgi, pachniał lekko alkoholem. Nie wiedzieliśmy.

— To dom dla dygnitarzy. Sami swoi mieszkają. Im to się powodzi! — dodał i zaklął.

Oni. My. Społeczeństwo. Władza. Miraż wolnego, bogatego świata. Od lat to samo.

— Będziemy tu gnić do końca — rzekł porywczo kolega W.

Myślałem o tamtym spacerze. Taki sam wieczór. Wszystkie wieczory takie same. Z okna miałem widok na wierzchołki parkowych drzew. Sterczały nagie ponad domami w gęstniejącej ciemności. Gawrony oblepiały gałęzie. Czarne winogrona. Bezlik gawronów. Duże ptaki. Skandynawskie. Najazd z północnego półwyspu. Siedzą cicho na gałęziach.

Jutro powinienem koniecznie do matki. Co ona teraz robi? Pewno siedzi przy stole. Może już się położyła. Ale nie śpi. Patrzy przed siebie. Puste oczy. Osaczona przez omamy. Często widzi mnie w urojonym towarzystwie. Niekiedy z córką.

— Byłeś ze swoją małą — tak powiedziała niedawno. — To grzeczne dziecko. Nie szpera w szufladach. Tak się ładnie bawi, cichutko.

Nie mam córki. Ale potakiwałem.

Czasem widzi mnie z ciemnymi, podejrzanymi typami.

— Nie przychodź z nimi!

— Przecież byłem sam.

— Matki nie oszukasz. Dwóch było z tobą. Jeden poszedł. Drugi został. Siedział i nic nie mówił. Jakiś mruk. Czy dałeś mu klucze od mieszkania?

— Ależ skąd! Nie!

Nie wierzyła mi wcale. Sondowała nieufnym spojrzeniem.

Próbowałem odwrócić jej uwagę. Nałożyłem na talerz ciastka.
— Spróbuj. Bardzo smaczne.

Jak się te ciastka nazywają? Okrągłe, miękkie, trochę sera w środku. Zapomniałem. Bajaderki? Nie. Strucle? Nie.

— Zginął kluczyk od skrzynki pocztowej — posłyszałem głos matki. — Pewno zabrali.

— Zabrali — powtórzyłem machinalnie.

Drożdżówki! Wreszcie natrafiłem na właściwą nazwę ciastek.

Starość. Co się dzieje z życiem? Dlaczego taka redukcja, degradacja. Jaki jest zapach starości? Trochę jakby butwiejącej rośliny. Ostatnia faza przed przemianą ostateczną na nawóz, glebę.

Trzeba unieruchomić kurki gazowe. Zamknąć dopływ gazu. Matka często odkręca te cholerne kurki i zapomina zapalić palniki. Smród syczy się na schody. Niepokój sąsiadek. Może wybuchnąć. Wielkie bum!

— Życie jak koszulka dziecka — mawiał kulawy Sobczak — krótkie i zasrane.

Był to pośrednik handlu nieruchomościami. Miał budę przy stacji kolejowej we Włochach. Interesantów niewielu. Patrzył na świat okiem człowieka pozbawionego złudzeń. Twarz wielka, mięsista i dziobata. Głaz. Podobno zrobił majątek na handlu z Żydami w getcie. Więc trupojad. Często używał tej metafory z koszulką dziecięcą.

Czy człowiek nie powinien we właściwym momencie?

To rozpaczliwe czepianie się życia. Silniejsze od godności. Ale jak uchwycić ten właściwy moment? Przecież na początku następuje śmierć umysłu. Nagle urwałem te rozważania. Poczuliem strach. Kurczowe czepianie się życia. Pazurami!

Tamtej nocy ząb straciłem we śnie. Wysuwał się nieubłagane z dziąsła. Krwawiło. Bezboleśnie i ohydnie. Krew spływała kącikiem ust. A kiedy się zbudziłem, poczułem w ustach coś twardego i chropawego. To plomba. Wypadła nocą. Czy jej obecność w ustach spowodowała widziadła. Może to był znak jakiś.

Przewracałem się na tapczanie. Choroba bezsenności. Dopadło i trzyma. Nie chce puścić.

Miasto. Noc. Ojczyzna. Czeluść. Próchno!

Berent w liście, który w 1902 roku zamieścił jako aneks do „Próchna” pisał tak: „W tym znaczeniu normalniejszym jest oczywiście ten, którego duch nie błądzi, ponieważ śpi, jego strawa zdrowa, ponieważ w setkach ust przeżuta i prześliniona; taki na niczym nie bankrutuje, ponieważ niczego sam nie szuka, szczerze i wewnętrznie w nic nawet wierzyć nie pragnie. Jemu wy-

starcza owa na użytek wewnętrzny służąca, lecz z własnym wnętrzem 'twórcy' nic nie mająca wspólnego sztuka. Są wszakże i inni, dla których sztuka jest najostatniejszą potrzebą ducha i przyrodzonym piętnem umysłowości, głodem i bólem ich wnętrza; klęskową rozterką z życiem, nieraz fatalistyczną; wprost koniecznością wgłębienia się całą siłą myśli i uczucia we wszystkie wrażenia, objawy i w samych sobie, a więc we wszystkie przekazane wartości, normy, dogmaty. Zaś wśród szukających jest wielu takich, których głód wrażeń rzuca na złe wiry wielkomięskie, głód ducha wiedzie na beznadziejne, błędne ścieżki, jedno i drugie szczerpi im niemoc serdeczna, jad wyłącznych 'myśli' w samym sobie i kurczy im w dłoniach miary wszelkich wartości. I oto gdzie zaczyna się próchno...”.

Znów ten epileptyk, który chadza Krakowskim Przedmieściem. Trzyma się swej ofiary jak cień. Nie daje spokoju. To uderzenie ramieniem. Piorun! Może nienawidzi ludzi i pod pozorem choroby daje sobie upust. Wygląda jak derwisz. Oczy ponure, fanatyczne. Potrzasa grzywą czarnych, tłustych włosów. Uparcie kojarzy mi się z pisanie. Chory impuls. Niejasność powodów. Kompleksy, urazy. To siedzi w tej postaci. Już dawno temu w jakiejś kawiarni. Nałożyłem się w swoim życiu po kawiarniach. Dwaj faceci. Jeden do drugiego: — Ba! Ty nie masz żony, dzieciaków, całego tego garbu... Możesz się poświęcić sztuce.

Jaka zazdrość brzmiała w tym głosie. Problemy twórców. Więzy rodzinne. Brak więzów. Swoboda. Przyziemne obowiązki. Co lepsze dla sztuki. Wieczne pytania. Berent był samotny, żył tylko pisanie.

Jego „Próchno”. Martwy język, martwi ludzi. Cmentarna sceneria. Ani śladu życia. Czy o to mu chodziło? Opisywał ludzi martwych, wypalonych. Ludzi niby cienie błakających się w bezskutecznym poszukiwaniu sensu egzystencji. Może sam był taki. Studzienna pustka. Wieje stamtąd grobowym chłodem i nie ma nadziei. Acedia. Tak się nazywa taki stan ducha.

Czarna noc. Martwa ulica. Nie palą się latarnie. Pewnie awaria. Czeluść ziejąca absurdem. Spowita w pozory porządku. Na pewno awaria. Cała ulica bez światła. Domy też ciemne. Może cała dzielnica. Całe miasto. Często zdarzają się awarie.

Przedwczożaj zapadł się chodnik przed domem. Dziura w ziemi. Popłynęła z niej woda. Dużym strumieniem. Przechodnie przystawali i patrzyli. Ludzie lubią patrzeć w głębokie dziury. Nieustannie biła stamtąd woda. Może to wybiło źródło. Czysta, lecznicza woda o bogatym składzie minerałów.

Tam za rogiem wzbijają się kłęby pary ze studzienki kanalizacyjnej. Pierzaste obłoki unoszą się w górę. Gęste, mleczne.

Rozpełzają się powoli. Patrzyłem z uwagą. Może znak jakiś w tych obłokach zobacze. Alegorię, symbol. Mignęło coś. Cień, kształt. Człowiek przeleciał na skos. Przygarbiony. Wychynął z pary. Zniknął. Spóźniony przechodzień. Bieleją dachy domów. Kość obrana z mięsa. Czarne okna po przeciwnej stronie. Tylko w jednym nikt świątełko. Drętewica. Zniewolenie. W genach to siedzi. Brak wiary, nadziei. Sobacze plemię. Pełzaków ród. Wzbijają się kłęby pary. Raz niżej. Przybierają kształty dziwaczne. Snuje się coś i wyłazi. Pokraczność jakaś. Pytia nasza. Studzienka kanalizacyjna na skrzyżowaniu ulic.

Czy gra toczy się dalej? Czy też ogarnęła ją niemoc serdeczna i kruszą się miary wszelkich wartości? Czy stała się już próchnem samym?

Sen nie przychodził. Jeszcze sporo czasu do świtu.

Marek NOWAKOWSKI

W DNIU 10 CZERWCA 1989 ROKU
ZMARŁ NAGLE W KOLONII
PRZEŻYWSZY 54 LATA

Ś. † P.

ANDRZEJ J. CHILECKI

NASZ WIELKI PRZYJACIEL
I DŁUGOLETNI WSPÓLPRACOWNIK,
KTÓREGO TRUDNO BĘDZIE NAM ZASTĄPIĆ

REDAKCJA „KULTURY”

Archiwum polityczne

Sześć tygodni pekińskiej wiosny

Wielkie ruchy zmierzające do przeobrażenia systemu komunistycznego przebiegają zawsze według niepowtarzalnego scenariusza, układanego przez historię dla każdego kraju i dla każdego zrywu oddzielnie. Są to więc wydarzenia trudne do porównań, ale zarazem są podobne, gdyż zachodzą w ramach tego samego systemu i stawiają sobie zbliżone cele.

Chiński zryw z wiosny 1989 roku był przede wszystkim bardzo krótki. Praska Wiosna trwała przeciw około pół roku, a polski okres Solidarności aż szesnaście miesięcy. Także finał każdego z tych wydarzeń był inny: czechosłowackie reformy zdusiły obce czołgi, polskie — armia własnego kraju, zaś w Chinach padły one w wyniku pałacowego zamachu stanu, dokonanego bardziej przy moralno-politycznym wsparciu armii, niż przy jej fizycznym zaangażowaniu. Jeszcze trudniej byłoby porównywać wydarzenia chińskie z polskim Październikiem czy z powstaniem węgierskim. Ten pierwszy pozornie zwyciężył, dokonała się przecież zmiana kierownictwa partii, choć później reformy zostały zablokowane. Powstanie zaś węgierskie doszło szybko do fazy walki zbrojnej, najpierw przeciwko rodzimemu stalinizmowi, a później przeciwko armii sowieckiej, walki toczonej pod wodzą legalnie zmienionych władz, których przywódców później potajemnie stracono. Przywołanie pamięci 1956 roku nie jest jednak całkiem bezużyteczne. To prawda, że ostatni zryw demokratyczny w Chinach dokonał się w okresie fundamentalnych reform gospodarczych, w warunkach obalonego już w dużym stopniu systemu stalinowskiego w gospodarce, zatem zderzyli się tam z żądaniami mas nie stalińscy, ale reformatorzy. Z drugiej jednak strony ruch chiński cechował naiwny idealizm naszych październikowych reformatorów. Wydawało się im, że wystarczy zmienić przywódców, by uzdrowić system, żądali jego sanacji i demokratyzacji, wierząc, że partia

troszczy się rzeczywiście głównie o dobro kraju — nie zaś własne — że wystarczy tylko zaapelować dostatecznie mocno do sumienia przywódców, aby przekonać ich o potrzebie demokratycznych reform. Nie był to zatem ruch skierowany w świadomości mas i ich przywódców przeciwko partii, chociażby w tym stopniu jak ruch Solidarności w 1980 roku. Do końca najpopularniejszą pieśnią pekińskiej wiosny pozostała *Międzynarodówka*. Dopiero zdławienie tego ruchu rozwiąło część poprzednich złudzeń i uświadomiło wielu jego uczestnikom, że partia, a szczególnie jej kierownictwo, ma na celu głównie zachowanie władzy, nie zaś dobro kraju. Dopiero w tej końcowej fazie padać zaczęły oskarżenia po adresem partii i reżimu. Na przykład prof. Yang z Akademii Nauk w telefonicznym wywiadzie dla BBC nazwał go wprost „faszystowskim”, objaśniając, że rozumie pod tym terminem dyktaturę skierowaną przeciw ludowi. Taka jest jednak zawsze natura pierwszego masowego ruchu skierowanego obiektywnie przeciwko systemowi; w sferze świadomości jest on ograniczony do reform istniejącego systemu, a jego główni aktorzy szczerze jeszcze wierzą propagandzie, w której zostali wychowani.

W wypadku Chin nałożyły się na to jeszcze inne czynniki. Przeprowadzane reformy, ograniczone tylko do sfery gospodarczej, wywołały falę niezadowolenia społecznego związanego z narastającą inflacją (dochodzącą w miastach do 30 %) i zróżnicowaniem majątkowym, z monstrualną korupcją aparatu, brutalną pogonią za pieniądzem, przestępczością i głębokim załamaniem etosu życia codziennego. Upadła dawna neo-tradycjonalistyczna moralność totalitarnego państwa maoistowskiego, a zarazem zaczęła się załamywać i dawna kultura chińska. Reformy gospodarcze i modernizacja dokonały tego, czego nie udało się poprzednio osiągnąć brutalnymi metodami „rewolucji kulturalnej”: złamały tradycyjny konfucjański etos rodziny i kulturę ukształtowaną w ciągu tysiącleci. Żywiółowa i dzika westernizacja, zafascynowanie młodzieży wszystkim co zachodnie, stworzyła nieznaną nigdy przedtem przepaść między starszą generacją a młodzieżą, a zarazem poczucie, że „Chiny się kończą”, zachwianie tożsamości narodowej i kulturowej. Wystarczy tu przypomnieć przykład Iranu i rozwój fundamentalizmu muzułmańskiego, aby uświadomić sobie, o jak dramatycznym procesie tu mowa. Nie przypadkiem w końcowych fazach demonstracji pekińskich pojawiły się portrety Mao, a leitmotywem był cały czas fanatyczny wręcz patriotyzm. Mamy więc do czynienia ze zjawiskiem nader złożonym, z wielowarstwowym i sprzecznym wewnątrznie procesem przemian, w którym żądania demokracji i liberalizacji łączą się z tęsknotami do „moralnego porządku”, w którym czarne jest czarne, a białe jest białe, i z tęsknotami do odzyskania dawnej glorii Chin, połączonymi z wizją ich szybkiej modernizacji.

Do tego należy dołączyć elementy manipulacji politycznej. Był to wprawdzie ruch masowy, oddolny, który poruszył znaczną część ludności miast, ale sprzyjała mu dość otwarcie część przywódców i aparatu władzy. Zhao Ziyang, sekretarz generalny partii, i inni zwolennicy pogłębienia reform byli w odwrocie. Wydawało się już przesądzone, że w sierpniu, podczas tradycyjnego, nieformalnego spotkania w Beidahe — chińskim Sopocie dla wyższych sfer — dymisja Zhao zostanie zdecydowana. Ruch studencki był więc dlań ostatnią deską ratunku, jego ciche wspieranie było elementem zaciętej walki toczącej się na szczytach *establishment*'u o władzę, wpływy i wybór drogi dalszego rozwoju.

Ów element manipulacji ułatwia zrozumienie, dlaczego ruch rozwijał się tak szybko, paraliżując cały aparat władzy, i dlaczego też, po pałacowym zamachu stanu, tak szybko się załamał, gdy trzeba było już otwarcie wystąpić nawet przeciwko dolnym szczeblom aparatu, który zgodnie z nowymi instrukcjami występować zaczął przeciwko niemu. Strach przed utratą pracy (w warunkach narastającego bezrobocia) i narażeniem się w miejscu pracy oraz zamieszkania lokalnym mandarynom — przeważał. Ponadto zabrakło też nadziei, że dalsze protesty mogą cokolwiek dać: arogancja władz stała się aż nazbyt oczywista. Była to nawet więcej niż arogancja. Gdy wszystkie wielkie miasta Chin demonstrowały przeciwko Li Pengowi, sprawującemu urząd premiera, gdy stał się on wraz z popierającymi go starcami obiektem zbiorowej nienawiści, a spośród czołowych postaci tylko Zhao Ziyang budził sympatie mas, kierownictwo podjęło właśnie decyzję, by Li objął także funkcję sekretarza generalnego partii. Zadufana głupota? Niezrozumiała wręcz krótkowzroczność? Jak określić oddanie pełni władzy nad krajem i partią osobie, przeciwko której koncentruje się właśnie nienawiść narodu, a wyeliminowanie z kierownictwa przywódcy, który dawał szansę nawiązania dialogu? Zdarza się to w Chinach już kolejny raz. Może owo rozminięcie się nastrojów ulicy i preferencji obozu władzy nie bywało poprzednio tak dramatyczne, tak jaskrawe, ale przecież się zdarzało. Jakby starczo oślepiła władza kierowana niewytłumaczalnym właściwie instynktem samobójczym eliminowała zawsze właśnie tego, który mógł ją ocalić. Za cenę ustępstw oczywiście, ale polityka jest przecież sztuką kompromisów.

Jedyne, co można powiedzieć dobrego o nowej grupie kierowniczej to to, że okazała się ona na tyle rozsądna, by nie uciec się, jak dotąd, do użycia siły i uniknąć przelewu krwi. Trudno jednak powiedzieć, czy było to rezultatem rozsądnego wyboru, czy niemożności. Przeciwko użyciu siły opowiedział się Qin Jiwei, minister obrony narodowej (obecnie prawdopodobnie usunięty), któremu bezpośrednio podlegał stołeczny okręg wojskowy i dwaj starzy marszałkowie, Nie Rongzhen i Xu Xiangqian,

wiceprzewodniczący Komisji Wojskowej KC, którzy przyjęli delegację studentów z placu Tiananmen, zapewniwszy ich, że Armia Ludowo-Wyzwoleńcza ma za zadanie obronę kraju przed wrogiem zewnętrznym i nie może być użyta przeciwko ludowi chińskiemu. 100 wysokich rangą wojskowych w opublikowanym w prasie liście otwartym zajęło to samo stanowisko. Do prowadzących publiczny strajk głodowy studentów przybywali nie tylko znani intelektualiści, przeprasząc, że dopiero teraz zrozumieli swój błąd wieloletniego posłusznego akceptowania władzy, ale także wyrażające poparcie delegacje z ministerstw i centralnych urzędów (włączając MSZ), rządowych i partyjnych gazet i czasopism, na czele z *Dziennikiem Ludowym* (odpowiednikiem polskiej *Trybuny Ludu*), żądające wolności słowa i wyeliminowania cenzury delegacje akademii wojskowych itd. Zjawisko bratania się żołnierzy z protestującym tłumem było dość powszechne i prawdopodobnie rozkazy strzelania doń nie zostałyby wykonane. Konwoje czołgów wkraczające na przedmieścia stolicy i transporty wojskowe napotykały nie tylko naprędce zbudowane barykady, ale nade wszystko wielotysięczne bezbronne tłumy zagradzające drogę własnymi ciałami. Aby utrzymywać porządek w częściach miasta zajętych przez wojsko, oficerowie musieli zaakceptować wspólne kierowanie ruchem na skrzyżowaniach wraz ze strażą studencką. Milicja była sparaliżowana; albo sympatyzowała z protestem, albo bała się i ukrywała. Użycie siły mogło się skończyć atakiem rozwścieczonego tłumu na Komitet Centralny i Radę Ministrów, a konsekwencje polityczne byłyby wręcz niewyobrażalne.

O skali solidaryzowania się z ruchem masowym świadczą najlepiej późniejsze czystki „reformatorów”. Zaaresztowani zostali bądź usunięci jako „niepewni”: Hu Qili, członek Biura Politycznego odpowiedzialny za ideologię; Bao Tong — wpływowy sekretarz Biura Politycznego, Tia Jiyun — wicepremier; trzech innych członków Biura Politycznego, paru ministrów, nie wspominając już o sekretarzu generalnym i wymienionym wcześniej ministrze obrony. Deputowani nader posłusznego parlamentu zbierali podpisy pod listem żądającym nadzwyczajnej sesji, a Wan Li — jego przewodniczący, przebywający właśnie za granicą — przerwał podróż i wrócił, by złożyć na niej wniosek o dymisję rządu. Niestety, mimo poprzednio dobrego zdrowia (właśnie miał z Bushem grać partię tenisa), po wylądowaniu w ojczyźnie został umieszczony w szpitalu, z którego wyszedł skruszony. Zaakceptował realia zamachu stanu za obietnicę nierepresjonowania studentów. Konserwatywny aparat odniósł więc pyrrusowe zwycięstwo, za które niezadługo będzie musiał drogo zapłacić.

Głęboka erozja aparatu władzy, jaka uwidoczniła się już po kilku tygodniach protestu, była jednym z najbardziej zaskaku-

jących zjawisk. Częściowo można ją wprawdzie wytłumaczyć podziałami w kierownictwie, ale nie da się nimi objaśnić wszystkiego. Było w tym i wiele spontaniczności. Na przykład publiczne żądania wolności słowa i likwidacji cenzury przez setki dziennikarzy z oficjalnych organów, z rządowej agencji prasowej, radia i telewizji nie mogły być tylko rezultatem manipulacji i cichych instrukcji KC. Swoją odwagę, jaką znamy przecież z 1980 i 1981 roku w Polsce, demonstrowali oni w praktyce, nawet już wtedy, kiedy ich redakcje obsadziło wojsko. Podobnie ustępowało tchórzliwie pod naciskami personelu kierownictwo różnych instytucji i fabryk, opowiadających się za studenckim protestem. Poparły go nawet niektóre z fasadowych dotychczas organizacji, jak federacja pisarzy, federacja dziennikarzy, Liga Kobiet i partyjny związek młodzieżowy, odzyskując w ten sposób po części swą tożsamość. Jest więc faktem niewątpliwym, że pracownicy aparatu władzy (włączając całe jego segmenty) dość masowo opowiedzieli się publicznie za demokratycznymi reformami, a przeciw obecnemu systemowi. Lawinowo narastająca solidarność społeczna z ruchem studenckim, ogarniająca wszystkie grupy społeczne w miastach (wieś pozostała bierna) wciągnęła ich także. Solidarność robotnicza z ruchem studenckim, dołączenie do nich proreżimowej inteligencji, a nawet części aparatu będzie miało z pewnością konsekwencje na przyszłość. Nigdy przedtem w historii Chin Ludowych nie wydarzyło się nic podobnego, podziały między inteligencją a ludem były tam tradycyjnie bardzo głębokie.

Nie mniej zaskakujące były i inne elementy protestu. Pierwsze manifestacje studenckie były dość chaotyczne, brakowało im kierownictwa, umiejętności chronienia ruchu przed prowokatorami i ludźmi nasłanymi. W ciągu kilku tygodni wytworzyła się jednak zadziwiająco sprawna organizacja, z na wpół tajnym kierownictwem centralnym, działającym na zasadach stałej rotacji, podejmującym decyzje demokratycznie, przez głosowanie (przy całkowitym braku takiej tradycji w Chinach). W końcowej fazie była to organizacja dość sprawnie kierująca całym wielomilionowym kompleksem stołecznym, utrzymująca system łączności (z ciągle zmienianym kodem haseł i odzewów), respektowana przez całą ludność. Da się to porównać tylko z okresem strajków robotniczych na polskim Wybrzeżu.

Od wielu lat, gdy rozmawiałem ze znajomymi Chińczykami o narastającym napięciu i nadchodzącym masowym buncie, wszyscy mówili z obawą o jego formach. „Nasz lud nie jest niestety tak kulturalny jak wy Europejczycy. U nas będzie to chaos i krwawa łaźnia”. Nic z tych obaw się nie sprawdziło. Mimo wielotygodniowych protestów, wielomilionowych mas na ulicach, nawet barykad i ogromnego napięcia emocjonalnego, przy coraz bardziej obraźliwych epitetach pod adresem kierownictwa kraju i naras-

tającej wobec niego nienawiści, nie została rozbita nawet jedna szyba. Kilkudziesięciu pobitych i rannych było tylko rezultatem jednej z pierwszych prób ataku wojska na tłum. Praktykę ahimsy, gandhyjskiego sprzeciwiania się złu bez użycia siły, doprowadzono do mistrzostwa, jakiego nie udało się osiągnąć jej twórcy w Indiach. Aczkolwiek można znaleźć w tradycji chińskiej pewne elementy takich form protestu, w obecnej skali było to zjawisko nowe. Można przypuszczać, że poza inspiracjami indyjskimi pewną rolę mógł odegrać także polski przykład Solidarności, o której w kręgach intelektualnych wiedziano sporo. Warto dodać, że i kierownictwo kraju pozostawało od lat pod wrażeniem wypadków polskich, odwoływało się do nich wielokrotnie i na różny sposób starało się im zapobiegać, forsując reformy albo też przyjmując twardą linię, by powstrzymać rozwój ruchu studenckiego i robotniczego. Można przypuszczać, że właśnie tworzenie się niezależnych organizacji robotniczych spowodowało decyzję ogłoszenia stanu wyjątkowego w Pekinie, którego nie umiano jednak zaprowadzić w praktyce, gdyż ludność po prostu go ignorowała w sposób masowy, a władze nie były w stanie bądź nie chciały użyć siły. Trudności z egzekwowaniem nowych zarządzeń były też związane z nader skuteczną, jak się okazało, taktyką „dobrego traktowania służosów reżimu”, trochę podobną do niektórych akcji polskiej Pomarańczowej Alternatywy, choć było to robione całkiem poważnie, nie zaś w formie studenckiej „zgrzyw”. Lud witał serdecznie wkraczających żołnierzy, częstował ich oranzadą i czymś do zjedzenia, a ci w końcu łamali formalne zakazy i dość oszołomieni przyjmowali gościnne poczęstunki. (Działania takie były już stosowane w Chinach wielokrotnie w bardziej i mniej odległej przeszłości). Rzecz jasna, w tych warunkach trudno było od nich wymagać strzelania. Cały czas umiejętnie agitowano ich także, tłumacząc sens protestu i wybijając im z głowy bzdury naopowiadane przez politruków, a przypominając, że są „armią ludową”. Było to jedno z najczystszych moralnie i najbardziej zdyscyplinowanych masowych wystąpień ludu w historii. Incydentów z paleniem samochodów, z rabunkami, zdarzyło się zaledwie kilka i to głównie poza Pekinem, gdzie studencka służba porządkowa skutecznie łowiła „kryminalistów” i oddawała ich w ręce milicji. Nigdy stolica nie była bardziej bezpieczna. Bunt przeciwko władzy łączył się z najściślej przestrzeganą dyscypliną, co zdarzyło się w Chinach bodajże po raz pierwszy od czterech tysięcy lat.

Patriotyczny i moralny etos protestu wymaga oddzielnej wzmianki. Przypomnieć należy, że bunt na skalę całej stolicy zapoczątkowany został strajkiem głodowym trzech tysięcy studentów, którzy złożyli uroczystą przysięgę (element znany w tradycji chińskiej), iż będą głodować aż do czasu ogłoszenia demokratycznych reform. Było to zatem rodzajem zbiorowego samobój-

stwa, którego spełnienie odłożono w czasie, dając kierownictwu państwa szanse na spełnienie żądań. Była to zatem manifestacja najwyższej determinacji w obronie szczytnych ideałów. Jej uczestnicy przygotowali listy pośmiertne do rodzin, tobołki z ubogim dobytkiem, fotografiami i pamiątkami do oddania rodzicom po śmierci, i legli milczącym tłumem na centralnym placu miasta u wejścia do gmachu parlamentu.

Samobójstwo ma w tradycji chińskiej inne znaczenie niż w Europie i jego pełne przedstawienie przekracza oczywiście możliwości krótkiego artykułu. Wspomnijmy jednak, że bywa tam ono rodzajem złożenia siebie w ofierze dla jakiegoś ideału (nawet bez jakiegokolwiek praktycznego skutku), a także bardzo często było formą dramatycznego protestu i publicznego oskarżenia osób mających władzę (w rodzinie, społeczności lokalnej czy w państwie). Mogła więc synowa popełnić samobójstwo piętnując nieludzką teściową do końca jej dni; mógł minister napiętnować w ten sposób władzę, swoją śmiercią poświadczając bezinteresowność odrzuconej rekomendacji politycznej, swoją czystość moralną i ważność idei wartę nawet indywidualnej śmierci. Nigdy jednak w historii Chin nie podjęto takiego samobójstwa zbiorowo i w podobnej formie. Nic więc dziwnego, że wstrząsnęło to krajem i stało się przejmującym apelem do sumień nie tylko rządzących, ale i współrodaków. Poruszyło to w sposób dramatyczny tysiące rodzin, przede wszystkim w Pekinie, ale także w całych Chinach, chodziło przecie o życie ich dzieci, ale skala tej śmierci i determinacja młodzieży uczyniły ją nagle dziećmi całego narodu. Dlatego też właśnie w pierwszych szeregach protestu znalazły się rozjuszone kobiety, a pomoc dla młodzieży zaangażowała wszystkich, włącznie z diasporą chińską w świecie, która nigdy jeszcze nie zareagowała tak masowymi protestami na jakieś wydarzenia w ojczyźnie. Posłanie studentów było jasne: dość takiego życia pozbawionego praw i dość poniewierania narodem w jego własnym kraju; dla narodu składamy życie w ofierze. Początkiem masowego protestu pekińskiej ulicy było więc żądanie uratowania studentów przed śmiercią, co oznaczało jednak i konieczność zaspokojenia ich postulatów. Aby przyspieszyć decyzje kierownictwa, by dodać protestowi dramatyzmu, część strajkujących pod palącym słońcem zaprzysięgła odmawiania nawet wody. Poruszone środowisko lekarskie zaczęło wprawdzie ratować zemdlonych (których zastępowali natychmiast nowi strajkujący), śmierci więc zapobiegano, ale nie zmniejszyło to już szoku społecznego. Powstały nawet całe oddziały służby porządkowej, które również zaprzysięgały śmierć, zasłonięcie własnymi ciałami studentów i ludu przed wkraczającym wojskiem. Władze stanęły więc nieoczekiwanie wobec swoistego ruchu chińskich kamikadze. Po raz pierwszy w dziejach nowożytnych Chin narodziło się w

ten sposób społeczeństwo obywatelskie, świadome swoich praw, godności i obowiązków wobec ojczyzny. Wystąpiło jako siła autonomiczna przeciwko władzy, nie osłaniane żadnym autorytetem kontr-przywódcy czy „rewolucji kulturalnej”. Jego determinacja musiała stać się szokiem także dla władz.

W tym pokojowym buncie zdumiewa nie tylko umiejętne łączenie rodzimych tradycji z postulatami demokratycznymi z tradycji zachodniej, jakie po raz pierwszy poruszyły masy (jaskrakopii amerykańskiej Statuy Wolności w Szanghaju i Pekinie zeń). Występowało także zadziwiające połączenie spontaniczności ze sprawną organizacją i wykalkulowaną na zimno taktyką. Wiele posunięć, poczynając od owego „odwleczonego samobójstwa”, a na wykorzystaniu wizyty Gorbaczowa w Pekinie kończąc, jest wręcz majstersztykami walki, które powinny zostać zapisane wśród najgenialniejszych rozwiązań w dziejach sztuki politycznej. Nawet koniec strajku głodowego rozegrano znakomicie. Otóż było jasne, że władze mogą uciec się do siły, posługując się argumentem „ratowania życia studentów”, choćby wbrew ich woli. Strajk głodowy trzeba było zakończyć, bo mógł się on obrócić przeciwko protestowi. Ogłoszono wtedy, że władze musiały pozostać bezradna. Nie znaczy to, by wszystkie posunięcia polityczne studentckiego sztabu złożonego z dwudziestolatków były słuszne. Błędy często ujawniały się dopiero przez dalsze, a niemożliwe do przewidzenia konsekwencje (jak na przykład odmówienie Zhao Ziyangowi zaprzestania protestu, gdy ten wraz z premierem przyszedł na plac Tiananmen jak do Canossy i właściwie w imieniu kierownictwa się pokajał; było to jego ostatnie wystąpienie publiczne). Zdumiewa, że tak wiele genialnych wręcz posunięć ci smarokacze wymyślili, nawet jeśli byli wspierani przez jakichś doradców, o których na razie nie wiemy niczego. W każdym razie głosowania odbywali sami, byli więc w stanie, nawet głodując, rozumować nader trzeźwo, rozgrywali swoją wielką partię w historii doskonale.

Nasuwa się oczywiście pytanie o konsekwencje. Można dziś zarysować zaledwie niektóre, i to tylko jako hipotezy. Wydaje się więc przede wszystkim, że normalizacja zaprowadzana przez premiera-generalnego sekretarza będzie pośrednią między polską a czeską, opór społeczeństwa nie będzie zapewne ani tak wielki, ani tak masowy jak w Polsce stanu wojennego, ale też nie będzie to czeskie pogodzenie się z losem. Elita intelektualna kraju, włącznie z dziennikarzami, a nawet poniekąd masy ludowe, uwolniły się wreszcie od zauroczenia wszechpotęgą władz, od identy-

fikowania ich z narodem i państwem. Po raz pierwszy grupa rządząca została tak dramatycznie przeciwstawiona społeczeństwu. Mit starych weteranów rewolucji załamał się i stracili oni mandat moralny na rządzenie krajem.

Partia, która po „rewolucji kulturalnej” nie odzyskała już dawnych wpływów i prestiżu, a została poniekąd zaakceptowana społecznie jako siła reformatorska, „utraciła twarz”. Kryzys w partii będzie długi i ciężki, a jej prestiż społeczny być może załamał się bezpowrotnie. Będzie też bardzo trudno odzyskać spójność aparatu władzy. Rządy Li Penga będą w sposób nieunikniony podobnie chaotyczne, jak Jaroszewicza po 1976 roku; osoba społecznie skompromitowana nie może skutecznie kierować aparatem państwowym. Nasili się monstrualna korupcja aparatu i zmaleje skuteczność jego działań. Ponadto ostatnie wydarzenia zmieniły zasadniczo relację między partią i rządem z jednej strony, a armią z drugiej. Już poprzednio lokalni dowódcy wojskowi współadministrowali krajem; teraz będą o wiele ważniejsi od sekretarzy partii czy szefów administracji państwowej. Możliwa budowa cywilnej administracji państwowej i systemu politycznego, opartego na prawie, zostaną nieuchronnie zahamowane. Zahamowane zostaną także reformy gospodarcze, z reformą systemu cen i przemysłu na czele. Można oczekiwać prób nawrotu do systemu administracyjno-nakazowego, a inwestycje zachodnie w Chinach znacznie się zmniejszą. Pogorszy się więc i gospodarcza sytuacja kraju.

Zaczną się tworzyć zapewne organizacje i grupy opozycyjne, wydawnictwa podziemne, itp., jakich dotychczas w Chinach nie było. Świetnie zorganizowany niezależny związek studentów Pekinu i niezależny związek robotniczy są ważnym elementem tego procesu. Trudno też będzie odzyskać poprzednią neutralną życzliwość emigracji chińskiej i stanie się ona zapleczem ruchów opozycyjnych. Ludność Hong Kongu zajmie dużo bardziej wrogą pozycję wobec perspektywy „zjednoczenia z macierzą” (1997) i nasili się ucieczka zeń kapitału i ludzi. Zjednoczenie z Tajwanem także oddaliło się: nasiliły się tam ruchy separatystyczne, żądające utworzenia oddzielnego państwa.

Po śmierci Deng Xiaopinga dojdzie do chaotycznych walk politycznych, których wszyscy spodziewali się uniknąć. Stworzona przezeń z trudem ekipa następców została nieodwracalnie zlikwidowana. Zhao Ziyang powróci najprawdopodobniej do władzy, ale będzie to już inny przywódca, dużo bardziej radykalny.

W większości krajów „realnego socjalizmu” rewolucyjny proces burzenia dotychczasowego systemu przebiega bez tworzenia się społecznej mitologii reform. Historia pokazuje jednak, że wielkie przeobrażenia społeczne jej potrzebują. Ona ogniskuje i

utrwała zbiorowe emocje, ukierunkowuje wysiłki, stwarza niezbędne napięcie emocjonalne. W Polsce uformowała się mitologia Solidarności, bez której nie byłoby ani walki, ani „okrągłego stołu”. Organizację Solidarności można było rozbić, mitu — nie. Pekinśka wiosna, jak się zdaje, i tam zapoczątkowała tworzenie nowej mitologii narodowej, wyłoniła przywódców i rozbiła dawne komunistyczne mity. Nadawać to będzie zatem nową jakość procesowi przemian.

Pozycja międzynarodowa Chin ulegnie znacznemu osłabieniu, a budowa ich pozycji mocarstwowej załamana się kolejny raz. Słabość będą one kompensować zapewne bardziej nieustępliwym stosunkiem do partnerów i niewykluczone są nawet próby rozniecania napięć z sąsiadami. Ich stosunki z Moskwą i Waszyngtonem skomplikują się znacznie. Reperkusje wydarzeń chińskich w Moskwie i innych krajach „realnego socjalizmu” będą dwojakie: z jednej strony bardziej zdecydowanie będą działać grupy konserwatywne, a z drugiej reformatorzy będą próbowali uniknąć podobnego buntu mas, starając się przyspieszać reformy polityczne. Zaostrzy się więc w tych krajach walka polityczna, jak i walka między odmiennie zorientowanymi całymi ekipami poszczególnych krajów.

Niewielu konserwatywnym grupom rządzącym udało się w tak krótkim czasie samobójczo zdruzgotać swoją władzę i jej podstawy tak dokładnie, jak uczyniła to ekipa chińska. Każda z klik działała w swoim wyobrażeniu racjonalnie, broniąc swoich pozycji i przywilejów, ale w sumie rozbiły one krę, na której wszystkie siedziały. Trudno nie przypomnieć tu starożytnej maksymy chińskiej, że lud jest jak woda, a władza jak łądka; woda niesie łądkę, ale ją też wyraca.

Krzysztof GAWLIKOWSKI

2 czerwca 1989

Post scriptum

W nocy z 3 na 4 czerwca wydarzyło się to, co wydawało się już zupełnie niemożliwe. Nowo sprowadzone z daleka oddziały wojska, w tym oddziały specjalne złożone z zawodowców, rozpoczęły atak na miasto z brutalnością, jakiej Chiny nie widziały od czasu drugiej wojny światowej. Wówczas jednak agresorem były wojska japońskie. Padło wiele tysięcy zabitych, co nie złamało jednak oporu. Szok spowodowany strzelaniem do bezbronnego tłumu wręcz zwiększył jeszcze determinację mas. Walki zaczęły przeradzać się w partyzantkę miejską. Chłopi z podpekińskich wsi także zaczęli podejmować ataki na wojsko. Władze komunistyczne zrodzone w Chinach z rewolucyjnej wojny party-

zanckiej stanęły więc w obliczu wojny domowej, w której one właśnie stały się „obcym agresorem”. Wystąpiły przeciwko nim całe jednostki wojskowe. W chwili oddawania do druku tego szkicu rezultat jest jeszcze nieznanym. Można jednak już powiedzieć, że próba utrzymania starego porządku siłą nie powiodła się. Została rozbita i skompromitowana społecznie armia, „partia reform” utraciła mandat moralny na rządzenie krajem i nie wiadomo, czy uda się ją odbudować. Wszystkie prognozy sformułowane poprzednio należałoby jeszcze zaostrzyć. Rozkład systemu komunistycznego w Chinach dokonuje się w sposób najbardziej dramatyczny. Niestety pociąga to też za sobą ogromne ofiary ludzkie, które nigdy nie zostaną zapomniane ani wybaczone.

K. G.

7 czerwca 1989

Czterdzieści lat - nie-rocznicowa rocznica

Czterdziesta rocznica Republiki Federalnej opiera się gwałtownie jubileuszowej rutynie¹. Jak dotąd, omija skutecznie pompę i patos, co jest chyba sprawą nie tyle stylu, co treści. Racje jubileuszów, nawet z biegiem czasu sporne, nawet rewidowane, doznają zwykle w jakimś stopniu historycznego osadzenia, są przynajmniej okresowo w odbiorze ogółu *załatwione*. Tymczasem nic mniej *załatwionego* niż stosunek zachodniemieckiego społeczeństwa do swojego państwa, do jego legitymacji i do jego wizji.

Czterdziestolecie jako przeciwwaga pięćdziesięciolecia — taki był świadomy zamysł, twierdzą tu niektórzy, inicjatorów wielkiej retrospektywy. Jakże bowiem w rocznicę zawiniętej przez Niemców katastrofy nie zaprezentować obcym i swoim nowego, najbardziej w historii Niemiec demokratycznego państwa, z jego chwalebny bilansem: z wysiłkiem jego obywateli w godzinie zero, ze znakomitymi wskaźnikami wzrostu gospodarczego (bezrobocie nie jest przecież grzechem tylko niemieckim), z zawrotnym eksportem, z wysoko rozwiniętą siecią opieki społecznej,

1. Dzień ogłoszenia Konstytucji Republiki Federalnej — 23 maja 1949 — uważa się za początek państwa.

z liberalną konstytucją i sprawnie funkcjonującymi instytucjami. Państwa, wrośniętego na dodatek w Sojusz Atlantyczny i zdążającego pełną parą, przynajmniej w zamyśle rządzących elit, w stronę europejskiej integracji.

Oto jednak najprostsze przykłady niejednorodnych reakcji na jubileuszową formułę w postaci pasma sukcesów. Na pytanie, czy Republika Federalna afirmuje samą siebie, Golo Mann, syn Tomasa, odpowiada twierdząco, chociaż z zastrzeżeniem, że afirmacji nie będą wtórować fanfary, gdyż w przeciwieństwie do Niemiec wilhelmińskich i hitlerowskich, fanfary nie są w gęście Niemców współczesnych. Projekty stworzenia muzeum historycznego w Berlinie czy Domu Historii w Bonn część opinii i prasy przyjmuje z satysfakcją, inna z wątpliwościami, czy naród o tak „pękniętym” poczuciu historycznym dojrzał do bilansowania najbliższej przeszłości. Pierwsza jaskółka wystawienniczego ciągu, wędrowna wystawa jubileuszowa, pokazana na początek w Bonn, spotyka się z zarzutami, iż przedstawiła czterdziestolecie bezkonfliktowo, wyglancowane na wysoki połysk. Jak grzyby po deszczu mnożą się różne imprezy anty-oficjalne pod najdziwniejszymi tytułami (np. „Kto całuje Republikę?”) z szerokim uczestnictwem od prawa do lewa i z szerokimi ambicjami krytycznymi.

W moich rozmowach, prowadzonych w środowiskach młodej i nieco starszej, czynnej już zawodowo inteligencji, zarejestrowałam także rozmaite nasilenia sceptycyzmu, od skrajnego po opływowy, przechodzący niepostrzeżenie w krytyczną afirmację. Pierwsze więc uogólnienie: „Každy taki bilans zbliża się do apologii, jestem przeciw...”. Spontaniczny prawie-okrzyk: „Trzeba mówić o wojnie, o tym co się stało przedtem i podczas. Natomiast to państwo nie ma jeszcze nic do świętowania...”. „Zryw w godzinie zero? Ludzie robili to dla siebie, żeby żyć, a następnie żeby się dorobić...”. Ktoś wtrąca: „A może właśnie dlatego się udało?”. „Niewykluczone, ale zmitologizowano to jako wysiłek dla dobra ogółu i tę wersję dyskutowano politycznie...”. „Demokracja? Tak, ale darowana, nie zdobyta samodzielnie i dlatego właśnie tak trudno identyfikować się z tym państwem uczuciowo...”. Ale potem: „Duża większość społeczeństwa wrosła już w demokrację, wie, że trzeba jej strzec i nie wyobraża sobie życia w innym ustroju. Bronię jej przed zarzutem pasywności...”. I dalej: „Jeśli idzie o rozprawianie się z własną historią — dzieje się znacznie więcej, niż się przypuszcza...”. I wreszcie: „Przestańmy się pławić w salonowym sceptycyzmie, w porównaniu z tym, co mogło się zdarzyć po wojnie z Niemcami — Republika Federalna jest sukcesem”.

Jubileusz rozpisano na rok. Retrospektywa przechodzi być może, jakże by inaczej, ponad głowami tzw. szerokiej publiczności,

ale przyciąga do wglądu mniejszości, nie tak znowu wąskie, wcale nie tylko elity. I wszystko przebiegałoby normalnie, w miarę kontrowersyjnie, w miarę kontemplacyjnie, gdyby nagle nie weszły w paradę wybory w Berlinie, a potem w Hesji. Ugrupowania skrajnej, szowinistycznej prawicy przekroczyły tam bowiem pięcioprocentową klauzulę wyborczą, warunek udziału w organach ustawodawczych. Tzw. Republikanie zdobyli w Berlinie 7,5 % głosów, a znana już dawno, lecz od przeszło dwudziestu lat zepchnięta grubo pod poziom wymaganej klauzuli NPD osiągnęła w wyborach do rady miejskiej we Frankfurcie 6,6 % głosów, wchodząc równocześnie w całej Hesji do wielu rad lokalnych². Wszystko to przy ogromnych stratach chadecji i przy stagnacji SPD. Jubileuszowa kontemplacja zderzyła się więc z twardymi faktami. Z osiągnięć gloryfikowanych czy podważanych uwaga przesunęła się wyraźnie w stronę niedoborów, wskutek których stało się możliwe, że znow mógł uzyskać poklask ekstremistyczny kraniec prawicowy. Nieoczekiwanie, pod szokiem, przemieściły się uczulenia w ramach retrospektywy.

Nad partiami i partyjkami skrajnej prawicy o różnobrzmiących nazwach górują obecnie Republikanie i NPD. Jeśli NPD, nie kwestionując pozornie podstaw ustrojowych Republiki Federalnej, nawiązuje bez żenady do tradycji hitlerowskich, to Republikanie odgraniczają się werbalnie przy każdej okazji od nazizmu i jego neo-trawestacji, co okazuje się w ich akcjach wygodnym, gdyż ochronnym akcentem. Nielegalnie działa ponadto ugrupowanie zdeklarowanych już neonazistów, operując na co dzień kultem Führera, symboliką i frazeologią hitleryzmu, oraz proklamując jako cele polityczne rządy silnej ręki i wskrzeszenie Rzeszy Niemieckiej w granicach z 1937 roku. Wszystkie te organizacje razem liczą około 30 tysięcy członków, w tym około półtora tysiąca owych zdeklarowanych neonazistów. Jednak przy nikłej liczbie członków, partie te uzyskały w ostatnich wyborach pokazne ilości głosów, jak widzieliśmy powyżej.

Unika się na tym krańcu wzajemnych odgraniczeń, toteż z terenu dobiegają już wieści o wspólnych listach wyborczych rozmaitych ugrupowań lub o rezygnacji jednych na rzecz drugich, co przy tutejszej częstotliwości wyborów stwarza możliwość wielu

2. Republikanie ukonstytuowali się pierwotnie w Bawarii, jeszcze za życia Straussa, i zdobyli tam w kolejnych wyborach 3 % głosów. Przewodniczący tej partii, Franz Schönhuber, był członkiem SS. Jest autorem książki „Byłem przy tym” (*Ich war dabei*).

Przeprowadzone po ostatnich wyborach ankiety wykazują, że Republikanie mają szczególnie dużo zwolenników w dolnych ogniach polieji.

NPD (Nationaldemokratische Partei Deutschlands) powstała w roku 1964. W latach 1966-1972 udało się jej kilkakrotnie zdobyć w wyborach do „Landtagów” wysoką stosunkowo liczbę głosów: 7-10 %.

wariantów. To już banał, że — jeśli pominąć przemycane bokiem ust w charakterze ozdobników nacjonalistyczno-nostalgiczne fantazje, w które nie wierzą także ci, co je głoszą — owe względnie nowe lub na nowo ośmielone twory polityczne nie proponują żadnych programów. Poza hecę przeciw ludności napływowej, obarczanej winą za wszystko, co źle funkcjonuje.

W Republice Federalnej żyje obecnie 4,7 miliona cudzoziemców (jeden z niższych udziałów procentowych wśród wielkich krajów Europy Zachodniej), przede wszystkim robotników różnego pochodzenia. Ale napływają tu wciąż jeszcze ubiegający się o azyl uciekinierzy, przesiedleńcy z terenów sowieckich, z Polski czy Rumunii, jak wreszcie legalnie i nielegalnie obywatele NRD. Oczywiście, jak wszędzie, tak i tutaj, integracja owych grup, ze zróżnicowaną zresztą problematyką, nastęrcza trudności, przede wszystkim mieszkaniowe ze względu na ostatnich latach regres budownictwa, ale także w zakresie miejsc pracy wobec nierównomiernie rozmieszczonego bezrobocia, w zakresie szkół, rent itd., itd. O sposoby rozwiązań tych trudności i źródła ich finansowania (a także o pewne procedury wykonawcze np. wobec azylantów) spierają się ze sobą partie — ale o bezradności w tej dziedzinie najbogatszego państwa Europy Zachodniej nie może być mowy. Natomiast Republikanie, NPD i pewne grupy z bawarskiej CSU stosują czarno-białą, typowo populistyczną propagandę, straszą chaosem i katastrofą — i obiecują ocalenie. Wyślijmy tylko obcych, a nam, „swoim”, będzie dobrze. Zapowiedź takiej partyjnie zorganizowanej odsieczy podsyca dodatkowo i tak już harczącą, zwłaszcza na dołach drabiny społecznej, ksenofobię.

Ta zaś wyraża gamę emocji, zróżnicowanych i już klasycznych. Lubi się *Turka*, znanego z fabryki czy z sąsiedztwa — ale nie lubi się *Turków*. Owszem, niech już zostaną cudzoziemcy dawno tu zamieszkali — ale nowi *raus*. Przybyszy z NRD nie traktuje się ani o jotę bardziej po bratersku niż innych. Upływ czasu zmienia preferencje: Niemiec z Kazachstanu? — do wczoraj kochany, jak długo go nie było. Polak? — do wczoraj dobry, dziś już niedobry, bo niby turysta, a zostaje. Zresztą i w cudzoziemskich skupiskach wykształcają się własne skale — Włoch lepszy od Jugosłowianina. Jugosłowianin od Turka. W miejskich dzielnicach o wielkiej liczbie cudzoziemców przejście do akcji. Grasują *skinheads*, postrach cudzoziemskiej młodzieży, a więc grupy, anty-grupy, agresje. Na usługach agresji wysoka technika, pokazały się np. na rynku gry komputerowe, w których wygrywa ten, kto za pociśnięciem guzika ubije na ekranie najwięcej *Turków* lub *Żydów*. Gazety wyspecjalizowane w nagonce — pojedyncze tytuły, lecz wielonakładowe — judzą, cała pozostała prasa, radio, telewizja kontratakują, a kto przygląda się dokładnie, ten

widzi, że wraz z nasileniem skrajnie prawicowej propagandy występuje na peryferiach społecznych sprzężenie zwrotne. W społeczeństwie rosną niepokoje, podnoszą się przestrogi. Znany pisarz i publicysta, Ralph Giordano, dla Niemców niepobłażliwy, twierdzi, że nigdy jeszcze w swojej historii społeczeństwo niemieckie nie było tak wyczulone jak obecnie na groźbę ekstremistycznych nurtów z prawa, nawet w ich formie załączkowej.

W każdym razie kapitał ukuty przez nie na ksenofobii przywołał do świadomości zjawiska znacznie szersze. Poświęcam jej tak wiele uwagi dlatego właśnie, że pełni funkcję katalizatora, o czym będzie poniżej.

Na razie przytoczyłam kilka jej przykładów, by wykazać, że jest taka sama jak wszędzie. Specyfiki własnej nie posiada, o czym już kiedyś pisałam. Wyróżnia ją jedna tylko drobnostka — dodałabym dzisiaj — ta mianowicie, że ma miejsce w Niemczech. I nie o to mi teraz chodzi, że jest to kraj zagłady Żydów ani o to, że kto przeżył okupację, ten na sam dźwięk słowa „*raus*” doznaje skurczu. Otóż nie, doszukiwanie się powtórzeń historii, perspektyw na wskrzeszenie nacjonalizmu jako doktryny państwowej, jako wytycznej polityki czy ogólnej przynęty dla większości, to raczej wynik skojarzeniowych lęków niż stanu rzeczywistego. Nowe werbunki znalazły wprawdzie adeptów w różnych partiach (także w SPD), ale, jak z samych liczb odczytujemy, ogromna większość społeczeństwa pozostaje w dotychczasowym obrębie partyjnego spektrum. Toteż alarmy w prasie światowej po wyborach w Berlinie i Hesji w rodzaju: „Wczoraj Jenninger rehabilitował hitleryzm, dziś młodzież niemiecka rehabilituje szowinizm” można spokojnie włożyć między rekordy nonsensu. (Przy okazji — jakże świetnie rozszyfrował tutejsze reakcje na Jenningera Herling-Grudziński).

Jeśli więc mówię mimo wszystko o niemieckiej odmianie szowinizmu, to idzie mi o jej kombinację z pewnym środowiskowym tutaj — zwłaszcza w niektórych regionach, z Bawarią na czele — politycznym folklorem. Oto mieszanka obyczajowo-poglądowa, filistersko-agresywna. Nie jest już *völkisch*, ale nie wpuszcza *innych* do swego ogródka. Nie panoszy się już narodo-wo, ale jest czuła na narodowe łechtanie. Nie znosi rozliczania z przeszłych win i woła wielkim głosem o zamknięcie tego rozdziału. Zakorzeniona subkultura „*Stammtisch'ów*” ze swymi typowymi składnikami: z wyakcentowanym „swojactwem”, z prowincjonalizmem i zacietrzewieniem, z poklaskiem dla represyjności i nietolerancji, zgłosił się zawsze pierwsza do szukania winnych, zawsze wskoczy na falę szowinizmu. Właściwie antykultura polityczna — hamulec w rozwoju nowoczesnego i otwartego społeczeństwa. Również to należy do retrospektywy.

Chadecja niemiecka (CDU-CSU) wiedziała zawsze, że ukrywa się na jej skraju pravicowy potencjał wyborczy. Nie to, że jest, lecz to w jaki sposób przeszkodzić jego wyodrębnieniu, absorbować jej uwagę. Kiedyś, przed dwudziestu laty z górą, i jeszcze później, gdy uprawiała ostrą opozycję wobec układów ze Wschodem, potrafiła przyciągać z powrotem uciekające raz po raz do NPD procenty wyborców. W ciągu dziesięcioleci obłaskawianie prawego krańca udawało się Straussowi w Bawarii, znacznie gorzej Kohlowi, wbrew np. początkowej kokieterii wobec organizacji przesiedleńczych czy pamiętnej imprezie w Bitburgu. Teraz lokalne ogniwa CDU usiłowały przelicytować skrajną prawicę właśnie na terenie ksenofobii. Rekord pobił frankfurcki afisz z napisem: „Czy Cohn-Bendit ma nami rządzić?“, który pod pozorem normalnej walki politycznej z kandydatem Zielonych przemycił póki co podtekst antysemicki. Po berlińskim sukcesie Republikanów odezwały się w CDU, na różnych terenach lokalnych, głośne sugestie, że jeśli spełniliby oni takie a takie warunki, można by z nimi wchodzić w koalicję. Niechże zostanie powiedziane na pochwałę tutejszych „mediów”, że dziennikarze ostro i wyraźnie przestrzegali chadecję przed podobną licytacją. W pogoni na prawo, dowodzili, tracić będzie nadal po obu stronach. Wielu najwybitniejszych działaczy CDU nie od dziś zresztą potwierdza tę diagnozę i opiera się naciskom. Kierownictwo partii oświadcza, że o koalicji z Republikanami nie może być mowy, toteż i na niższych szczeblach na razie ucichło. Niemniej pewne grupy z CDU i z CSU znalazły się wobec siebie w osobliwym „klin-czu”. Spór o metodę toczy się zatem nie tylko między rządem a opozycją.

Po pierwszym szoku zaczęto dociekać przyczyn. Skąd ten protest głosujących w okresie, kiedy schodzą ze sceny pokolenia „wiecznie wczorajszych” (*die Ewiggestrigen*) i kiedy gospodarczo „powodzi się Niemcom jak nigdy przedtem”? W powyborczych analizach okazało się, że to nie całkiem tak.

Po pierwsze, ku ogólnemu zdziwieniu, wyborcy skrajnej prawicy nie byli starsi, w przekroju, od wyborców innych partii. Socjologowie przypomnieli, że właśnie wśród młodzieży, która ledwo co opanowała niepokoje wieku pokwitania, pojawiają się niepokoje o możliwość wykształcenia, o start w zawodzie i o to przede wszystkim, by w późniejszym życiu zawodowym nie spaść poniżej poziomu materialnego, zaznanego w domu rodzinnym. Na takiej glebie, użyźnianej demagogią przeciw obcym, wyrósł zapewne ten społecznie peryferyjny, ale jednak pierwszy w historii Republiki Federalnej protest młodzieżowy z prawa.

Po drugie, miejskie głosy na nowe partie pochodziły z dzielnic z zaniedbaną infrastrukturą, nierzadko ze środowisk robotniczych, dotkniętych przez bezrobocie lub jego groźbę, przez marny

standard mieszkań lub ich brak, i wreszcie przez niesprawnie działającą opiekę społeczną. Równocześnie wzbudzały niezadowolone uchwalone niedawno reformy — głównie zdrowotna i podatkowa — obciążające grupy gospodarczo najsłabsze. Od dłuższego już czasu krąży tu trudne do przetłumaczenia określenie aktualnego stanu społeczeństwa: *Zweidrittelgesellschaft*³. Idzie o społeczeństwo, które zapewniło dobrobyt znacznej swojej większości, a jednocześnie wskutek naporu galopujących technologii i napięcia gospodarczej konkurencji zdeklasowało mniejszość. A zatem podważone poczucie bezpieczeństwa, możliwość znalezienia się poza obrębem normalnych mechanizmów gospodarczych — oto spłot frustracji, ogarniający środowiska wypchnięte ze struktur ogólnego sukcesu, a teraz nagle z zewnątrz odkrywany. Wynika stąd, że nawet w kwitnącej gospodarce automatyzm uogólnień może mylić. Za takie pomyłki płaci potem polityka — a skądinąd retrospektywa cudów gospodarczych wymaga w ich świetle pewnych poprawek.

W sztabach partyjnych, jak również w potocznej opinii przeważa przypuszczenie, że z hipoteką skrajnej prawicy trzeba tu będzie żyć, przynajmniej przez jakiś czas. W tym tekście jednak nie chcę snuć przewidywań na temat przyszłych układów partyjnych. Powtarzam, że tutejsze struktury demokratyczne wydają mi się dość silne, by bronić się skutecznie przed destabilizacją i to nawet, gdyby Republikanie jako piąta partia mieli wejść do przyszłego Bundestagu. Sądzę, że ważniejsze od targów między partiami są w tej chwili różnice poglądów na kierunek rozwoju społeczeństwa.

Pora więc spytać, w jakiej mierze nowa sytuacja odegrała rolę katalizatora i jakie podstawowe rozbieżności wyciągnęła na powierzchnię? O co naprawę chodzi, gdy jedni szukają rozwiązań dla obecnych komplikacji tylko w demagogii — a inni starają się wyświetlić jej społeczne przyczyny? Co to konkretnie znaczy, gdy jedni podsycają strach przed obcym zalewem — a drudzy twierdzą, że na integrację cudzoziemców, oczywiście w toku trudnego i ostrożnie regulowanego procesu, to państwo stać, i co więcej, że w przyszłości dalszy przyływ pracowników cudzoziemskich okaże się gospodarczo nieodzowny? Gdy jedni wołają o zmianę zagwarantowanego w Konstytucji prawa do azylu — a drudzy nie chcą o tym słyszeć. Gdy wreszcie jedni upierają się przy maksymie, że Republika Federalna nie jest krajem imigracji — a drudzy dowodzą, że dawno się nim stała i że rozwój w kierunku wielokulturowego społeczeństwa już się właściwie rozpoznał...

3. „Społeczeństwo dwóch trzecich”. Jest to określenie obrazowe, niedokładne liczbowo. Na podstawie wskaźników ocenia się tu proporcję ludności o szczególnie niskiej stopie życiowej raczej na jedną czwartą.

Do wielokulturowych struktur ogromnie tu jeszcze daleko, a jednak już aktualnie chodzi w tym konflikcie o wizję rozwoju społecznego, o wybór opcji. Trwanie przy wygodnej ułudzie powszechnego dobrobytu — czy skierowanie wysiłków także na dolne obszary społeczne; równocześnie: zasklepienie się w sobie — czy otwarcie na zewnątrz; uznanie nieodwracalnych procesów produkcyjnych i cywilizacyjnych, które unifikują i burzą szranki między krajami, za dyktowane tylko przez zewnętrzne warunki, czy za *swoje własne* — tak w gruncie rzeczy wygląda alternatywa. Czy zjednoczona Europa uda się i kiedy, tego nikt nie wie, ale konieczność głębokiej, nieograniczonej tylko do gospodarki ani technologii modernizacji społecznej we własnym zakresie narzuca się już dziś. W różnych więc dziedzinach formują się przeciwstawne fronty, zaostrzają się polemiki wokół ukierunkowania subwencji państwowych, wokół bezpieczeństwa i szkolnictwa, funkcji rodziny i pomocy dla pracujących zawodowo kobiet, czy wreszcie wokół dopuszczalnych warunków przerywania ciąży (narasta bowiem w Bawarii agresywna kampania za zaostreniem obowiązującej dotąd ustawy). Podziały przebiegają — jak wyżej — wewnątrz partii i ich klienteli, a także organizacji środowiskowych czy zawodowych, również wewnątrz obu Kościołów. Wiele węższych i szerszych reprezentacji społeczeństwa bierze żywy udział w tutejszym sporze tradycjonalistów z modernistami.

Szczególnego typu kłopoty z modernizacją przeżywa SPD. Już przed 30-tu laty, ogłaszając program godesberski, wysnuła ona wnioski z trwałego przepływu znacznej części społeczeństwa do warstw średnich. Obok środowisk, tkwiących tradycyjnie w sferze jej wpływów, te właśnie warstwy, wciągnięte w awans materialny, kwalifikacyjny i „statusowy”, stanowią dziś teren jej współzawodnictwa z innymi partiami. Podziały przemieściły się więc i skomplikowały. Niegdyś, broniąc w ramach najprostszego schematu biednych przeciw bogatym, socjaldemokratyczny ruch robotniczy zdobywał w Niemczech, często poza sferą doktryn i ideologii, swoją charyzmę. Dziś doktryny, ideologie, ale także w ogóle tradycyjnie pojmowany ruch robotniczy odeszły w historię, a nowe warstwy i pokolenia nie patrzą na charyzmę, lecz żądają praktycznych działań na rzecz swych interesów. To nie wyzyskiwani i wyzyskujący znajdują się w konflikcie, to nie według schematu „za i przeciw” może się dziś orientować socjaldemokracja. Musi ona bronić zarówno prosperujących warstw średnich, jak i owych grup z dolnego krańca, wytrąconych z ogólnego awansu. O te pierwsze bowiem zabiega, a przedstawicielstwo drugich, najsłabszych, należy do jej racji moralnej. Przy tym obok niej wyrosli, jak wiadomo, Zieloni, konsolidujący się wprawdzie na pewnych terenach, ale na innych wciąż huštani

między utopią a rzeczywistością. Ostatnio, w Berlinie, we Frankfurcie i gdzie indziej w Hesji, a dużo wcześniej w wielu drobnych miejscowościach powstały tzw. tutaj czerwono-zielone większości z zaprogramowanymi od początku komplikacjami. Cały ten szpagat nie jest łatwy w kraju, któremu do niedawna „społeczna gospodarka rynkowa” udawała się jak mało komu — ba, pretendowała nawet kiedyś do roli modelu dla innych — który jednak teraz nie ustrzegł się od przejawów polaryzacji.

Pretensje do roli modelowej z wcześniejszych faz nowego państwa niemieckiego nie ucichły wcale ze względów gospodarczych. Załamały się wtedy, gdy nowe pokolenia zaczęły pytać o przeszłość. Od jakiegokolwiek strony przypatrywaliśmy się z moimi młodymi rozmówcami retrospektywie czterdziestolecia, uderzała mnie zawsze wymieniana przez nich cezura — podział na okres do połowy mniej więcej lat sześćdziesiątych i późniejszy. A więc impet odbudowy, początki aprobowanej powszechnie integracji z Zachodem, cud gospodarczy, a równocześnie zapamiętanie się w konsumpcji, niezamącona duma z sukcesów, jak gdyby wczoraj nic się nie stało, niezliczone procesy nazistów z urągającymi ofiarom wyrokami, wchodzenie uczestników starych aparatów do ogniw władzy aż po wysokie szczeble (nie było to oczyszczanie od hitlerowców, napisał ktoś niedawno, lecz oczyszczanie hitlerowców).

I okres drugi: degradacja konsumpcji jako nadrzędnego sprawdzianu wartości, wprzód instynktowny, później świadomy odwrót od samozachwycenia, *Ostpolitik* w obu postaciach, deklarowanej i deformowanej, protest młodzieży przeciw milczącemu zakłamaniu poprzedniego okresu, potem jej otwarty bunt przy szamotaniu się między krytycyzmem a paroksyzmem — wreszcie coraz gwałtowniejsze obrachunki z przeszłością. Oczywiście uderzeniowe cezury mogą upraszczać, dzielić zbyt mechanicznie. Niemniej pokazują, że synowie nie przejęli tu świata ojców z dobrodziejstwem inwentarza. Tymczasem wyrosły dalsze pokolenia, a rachowanie się z przeszłością trwa.

Nie sposób przedstawić w kilku zdaniach, a więc bez uproszczeń, tutejszego sporu historyków sprzed kilku lat, który podzielił opinię naukową, a także potoczną — i tymczasem sam już wszedł do historii. Przypomnę tylko, że znany badacz, Ernst Nolte, analizując powstawanie hitleryzmu na tle powszechnego w Europie lat dwudziestych strachu przed światową rewolucją komunistyczną, usiłował udowodnić, iż w swoim programie ludobójstwa Hitler wzorował się w jakiejś mierze na wczesnych praktykach bolszewików, na masowych rozstrzeliwaniach niewinnych, na eksterminacjach i deportacjach. Krytycy zarzucali Noltemu, że nie zrozumiał wyjątkowego w dziejach ludzkości charakteru za-

głady „przemysłowej” Żydów — ale nie tylko to. Wykazywali, że w ogóle porównując zbrodnie hitlerowskie z innymi, licząc kto wcześniej, kto później, jak i ile, poddał hitlerizm moralnej relatywizacji. Osobiście dodam, że trudno oprzeć się takiemu wrażeniu czytając teksty. Z tym tylko, że może Nolte nie był aż tak oryginalny, jeszcze Adenauer uprawiał podobne rachunki (wpadł mi niedawno w ręce urywek przemówienia), wstydził się, że na tej ziemi, ale przecież także gdzie indziej itd., itd. Jednak przywołuję się sama do porządku: tam polityk, tu historyk, tam pierwsza faza powojenna, tu czterdzieści lat później — ostrożnie z porównaniami.

Warto natomiast odnotować rozbieżności między poglądami moich rozmówców a moimi. Dla nich relatywizacja to już niemal rehabilitacja — ja starałam się ich przestrzegać przed takim schematem. Według nich Nolte wysublimował właściwie naukowo „zamówienie *Stammtisch'ów*” — zamknięcie rachunku win — ja sprzeciwiałam się oskarżaniom o intencje. Oni (dla uniknięcia nieporozumień: zdecydowani przeciwnicy komunizmu) uważali, że nie można zestawiać dwóch różnych totalitaryzmów — ja przekonywałam, że można, a nawet trzeba, że sedno błędu tkwi tylko w dopuszczeniu sugestii, iż jedne zbrodnie mogłyby wywołać choć cień pobłażania dla drugich. Wreszcie doszliśmy do jednomyślności w podstawowej sprawie: nie idzie o to, czy to Hitler czy Stalin wymyślił okrutniejsze tortury, ale o to, ile poklasku zdobyły oba systemy terroru w obu społeczeństwach. Zły punkt dla Niemców, prawie niewzględzony w tezach Noltego i solidarnych z nim badaczy.

Trudnościom z własną historią towarzyszą trudności z identyfikacją, nie nowe przecież, ale właśnie w tym roku jubileuszowym z uwagą podglądane. Prowizorium polityczne, jakim była Republika Federalna, osiągnęło nieprzewidywany na początku stopień konsolidacji i trwałości. Filar na różnych planach: w obronności Zachodu, w procesie gospodarczej integracji Europy itd. Filar, jak wiemy, z zewnątrz nie tylko podziwiany, także podejrzewany, wzbudzający obawy — a jednak żelazny. Jakiż kontrast między pozycją zewnętrzną tego państwa a chwiejnością identyfikacji wewnątrz...

Podział kraju i podważona aż do samych fundamentów historia — nie są to bodźce dla identyfikacji oczywiście (nazwijmy ją tutaj narodowo-państwową). Toteż pojawiają się od dawna propozycje zastępcze, apele o *Verfassungspatriotismus*. Oznacza to patriotyczną jak gdyby afirmację Konstytucji. I być może coś się tu powoli udaje. Aż dziwne, że w społeczeństwie, które w większości odnosi się bez żadnego namaszczenia, czasem drwiąco, do własnych uznawanych kiedyś symboli historycznych, nowa

Konstytucja urasta na oczach do roli symbolu autentycznego. Jest wyłączona z wszelkiej drwiny. Wypracowana kiedyś jako antyteza dawnych konstytucji niemieckich, zabezpiecza dziś mechanizmy demokracji, wspiera skutecznie państwo prawa — co do tego wszyscy są zgodni. Trybunał Konstytucyjny, badający ustawy na okoliczność ich zgodności z ustawą zasadniczą, należy do istotnie szanowanych instytucji. A jednak... To, co zapewnia Konstytucja, rozgrywa się poza codziennym odbiorem tzw. człowieka z ulicy, albo właśnie „na okoliczność”. Natomiast codziennie, w promieniu telewizora, nudzi go i nuży parlamentarna rutyna, drażnią partie polityczne, wpatrzone w najbliższe wybory. I w ogóle — nie chodzi się na co dzień z Konstytucją pod pachą.

A zjednoczenie? Odzywają się ostatnio głosy, że procesy rozprężenia na Wschodzie Europy działać by mogły na rzecz jedności Niemiec, że racja bytu NRD kończy się wraz z końcem systemu. Są to rozważania jednostek, snute w czterech ścianach — dla ogółu abstrakcja. Klasa polityczna widzi w nowej konstelacji możliwości pewnego rozkurczu w stosunkach z NRD — żadne jednak emocje zjednoczeniowe nie poruszyły dotąd społeczeństwa. W ciągu 40-tu lat przyzwyczajono się tu do myśli, że nikt na świecie i to w żadnych warunkach nie zgodziłby się na wskrzeszenie państwa narodowego z 80-oma milionami Niemców w środku Europy. Stopniowo, ale już konkretnie niemieckie państwo narodowe z jego hitlerowską, wilhelmińską, bismarckowską przeszłością i z rozpętaniem dwóch światowych katastrof na swym koncie zdewaluowało się wśród samych Niemców, i to także poniżej przedstawicieli wielkiego intelektu. Dotychczas zaś wersje zastępcze, chociażby np. neutralistyczne, raczej spędzają sen z powiek otoczeniu, niż pobudzać by miały na wewnątrz nowe niemieckie *Wunschtraumy*.

Wiele się mówi i pisze o perspektywie zjednoczenia Niemiec pod dachem zjednoczonej Europy. Jednak impet europejski objął na razie elity polityczne, a wśród wielkich przedsiębiorstw raczej tylko najpotężniejsze. Potoczny odbiór nie nadąża tu, jak nigdzie indziej, za deklaracjami polityków, toteż perspektywa Europy tonie we mgle. Towarzyszą jej niepokoje gospodarcze o wzrastające napięcia konkurencji oraz niepewność, czy w nowych strukturach sieć tutejszych zabezpieczeń społecznych zdoła się utrzymać na dotychczasowym poziomie i czy aby nadal interesy warstw średnich chronione będą przed gospodarczymi gigantami. A idea politycznej, ponadsuwerennej federacji europejskiej, która miałaby jeszcze po drodze zaspokoić niemieckie tęsknoty narodowe — to już stratosfera.

Czy naprawdę tęsknoty narodowe? Może raczej aspiracje do wspólnego bezpieczeństwa psychicznego we wspólnych ramach?

Może raczej poszukiwanie nowych treści dla pojęcia my, już wyrwanego ze starych skorup, a jeszcze niedojrzałego do samookreślenia? Trudno mi od dawna oprzeć się wrażeniu, że rozterki współczesnych Niemców nie polegają na rozstawianiu się z tym, co kiedyś wyznawali, lecz na szukaniu, *co zamiast*.

I widać także po 40-tu latach, że szukanie trwa, tylko znaleźć trudno. Oto w Bonn, przy udzielaniu nagrody literackiej Fryderykowi Dürrenmattowi, publiczność przyjmuje z wdzięcznością, a nawet z pewną dumą, jego pochwałę nowego państwa niemieckiego za to, że wyparło ze swej polityki „problematykę ojczyzny”. Inna, dwutysięczna publiczność w Kolonii z wyraźną przewagą młodzieży, wpada dosłownie w radosny szal, gdy znakomity recytator eksponuje w poemacie Heinego jego gniewną ironię wobec cech niemieckich. Po strofie z kilkakrotnie skandowanym, gryzącym *deutsch, deutsch, deutsch* burza oklasków nie milknie — i myślę wtedy, że jest to chyba jedyne na świecie audytorium, w którym sprzeżenie pogardzanych i wyśmiewanych cech z nazwą własnego narodu może wzbudzić aż taką uciechę. Równocześnie znany pisarz analizuje na łamach wielkiego pisma tutejsze deficyty w odczuciach historycznych i narodowych. Inny znany pisarz, a potem znany polityk replikują, że Niemcem można być wszędzie, że poczucie narodowe nie musi się wiązać z państwowością, a już na pewno nie z tradycją narodowego państwa niemieckiego. Skądinąd powstają obawy, czy ułomnej tożsamości narodowej, powiązanej z historią tylko negatywnie, a zatem sterylnej, nie zdyskontuje lub już nie dyskontuje skrajna prawica. Mnożą się pytania, czym wypełnić tę pustkę uczuciową, by nie okupował jej stary nacjonalizm niemiecki — na czym oprzeć przeciwwagę? Czy współczesna demokracja niemiecka stwarza podłoże dla powstawania nowej tożsamości? Jej spełnienie — wysłuchuję i wyczytuję w rozmaitych propozycjach — powinno się dokonywać poprzez historię wspólnej kultury, na wspólnym obszarze językowym, poprzez literaturę i wszelką twórczość, słowem — cytuję — poprzez „królestwo ducha”...

Są to porady książkowe. Jako nagłące wezwanie, by usuwać ogromne tu luki w znajomości własnej kultury — mogą jeszcze być pozytywne. Jako odgórnie zalecone doraźne lekarstwo na niedosyty — nie. Dobrze to wiemy, twory kultury stanowią najpotężniejsze i niezastąpione spoiwo narodowe. W okresach bezpaństwowości lub przy państwowości narzuconej pozwalają przetrwać i integrują. Ale ich siła polega na pobudzaniu w społeczeństwie samoczynnych procesów — na rozkaz nie działają nigdy. Toteż nie wygląda na to, by w aktualnych warunkach niemieckich pedagogiczne nawoływanie do wspólnoty kulturowej mogło taką siłą wykrzesać i załatwić tym samym niewyjaśnione sprawy między społeczeństwem a jego państwem.

W różnych narodach, zarówno tych bardziej nieszczęśliwych, jak i tych szczęśliwszych niż Niemcy, uformowana w długich okresach tożsamość towarzyszy ludziom bez przywoływania. Nawet nie wiedzą na co dzień, że nią oddychają, nosząc zarazem w świadomości dobre i złe zapisy swojej historii. Fakt, że była Targowica nie podważa tożsamości polskiej, ani noc św. Bartłomieja francuskiej, ani Inkwizycja hiszpańskiej.

Wskutek szczególnych losów dzisiejsza tożsamość Niemców nie rozwijała się i nie rozwija w sposób tak organiczny. Kształtuje ją bardziej rozprawa z tym, co musi odrzucać, niż przetrwanie tego, co wchłania na co dzień. Przywołuje się ją, ogląda pod światłem i opukuje, wie się, że warto ją pobudzać i warto jej bronić, ale się nią nie oddycha.

Kamila CHYLIŃSKA

16 maja 1989

List z Londynu (19)

Był rok 1946, siedzieliśmy z żoną przy wieczornym posiłku w naszym małym londyńskim mieszkaniu. Wysoka suterena w bardzo starym domu daleka była od wygody, ale nam wydawała się bezpieczną przystanią. Żona, Irlandka, po niemieckiej okupacji i Warszawskim Powstaniu, ja po Oświęcimiu bardzo mało wymagaliśmy od losu. Najwięcej trudności, głównie mnie, sprawiało przystosowanie się do normalnego życia. Każdy głośniejszy okrzyk wywoływał u mnie skurcz mięśni i natychmiastową wewnętrzną mobilizację, ciągle wydawało mi się, że ktoś słuca z boku tego co mówię, do wszystkich ludzi odnosiłem się z wielką rezerwą, gdy wychodziłem, nie mogłem opanować odruchowego chowania do kieszeni kawałka chleba.

Dopijaliśmy herbatę, gdy nagle rozległo się mocne pukanie. Sprzyłem się natychmiast, ale podniosłem się, by otworzyć. Żona, widząc moje podniecenie, zrobiła to samo.

Otworzyłem drzwi i war ogarnął moje ciało: w drzwiach stał policjant.

Nie potrafiłem wymówić słowa, ale żona łagodnym gestem zaprosiła policjanta do środka.

— Pijemy herbatę, może pan skusi się na filiżankę?

Policjant zdjął hełm, wszedł do środka i usiadł przy stole. Jego młoda twarz wyrażała zażenowanie, ale sięgnął po cukier i wymienił z żoną kilka zdań na temat pogody. Nie po to jednak przyszedł, więc po kilku minutach zwrócił się do mnie.

— Pan przekroczył prawo.

Znowu ogarnął mnie war.

— Ja, ja... przekroczyłem prawo?

— Tak, nie zameldował pan zmiany adresu, a jako cudzoziemiec jest pan do tego zobowiązany. Tak mówi pański dowód osobisty.

W tej sekundzie uświadomiłem sobie, że istotnie tak się stało. Miałem policyjną książeczkę dla obcokrajowców, był obowiązek meldowania o zmianie adresu, ale my przesunęliśmy się tylko o kilka domów na tej samej ulicy i jakoś to przegapiłem.

— I co teraz, co teraz? Co pan ze mną zrobi?

Policjant uśmiechnął się łagodnie.

— Proszę mi dać swoją książeczkę, zabiorę ją do komisariatu, postawię pieczętkę i jutro rano, gdy będę tu przejeżdżał na rowerze, wrzucę ją panu do skrzynki na listy.

Drżącymi rękami wręczyłem mu szary dokument, schował go do kieszeni, podziękował za herbatę, włożył hełm, zasalutował i wyszedł. Stałem przy drzwiach, ciągle jeszcze drżący, żona podeszła i położyła mi rękę na ramieniu, a mną wstrząsała szloch, którego nie potrafiłem opanować. Jednocześnie czułem, że rozluźniają mi się wszystkie mięśnie, ustępuje ucisk w krtani, wszystko się we mnie zmienia.

Ten młody chłopak nie wiedział, nie mógł wiedzieć, ile dla mnie uczynił. Czułem wprost fizycznie falę radości, falę wiary, falę optymizmu. Istniał więc inny świat, istniało normalne życie, istnieli inni, normalni, przyjaźni, zwyczajni ludzie.

Minęło ponad czterdzieści lat, przeżyłem je w kraju naturalnej uprzejmości i akceptowanego na ogół poszanowania prawa, zawsze oburzało mnie prowokowanie policji i regularne atakowanie każdej jej interwencji przez krańcowo lewicowych polityków, aż nagle spotkała mnie niespodzianka. Wyszedłem z jakiegoś zebrania i nie mogłem znaleźć samochodu. Zaparkowałem prawidłowo, byłem więc przekonany, że wóz został ukradziony i zameldowałem o tym w lokalnym komisariacie. Dyżurny policjant z lekką ironią powiedział mi, że najprawdopodobniej mój samochód został zabrany przez jego kolegów za złe zaparkowanie i podał mi telefon zajezdni, w której się przypuszczalnie znajduje.

Straciłem kilka godzin, zapłaciłem kilkadziesiąt funtów, by odzyskać samochód, i moje wyobrażenia o tutejszej policji bardzo się zachwiały.

Ale to był początek. Po kilkunastu dniach otrzymałem zawiadomienie, że mam zapłacić jeszcze kilkanaście funtów za błędne zaparkowanie. To, co już zapłaciłem, to była opłata za fatywę zabrania samochodu.

Znowu minęło kilkanaście dni i, jadąc do Instytutu Gen. Sikorskiego, przedwcześnie skręciłem w prawo. Postyszałem okrzyk i po drugiej stronie ulicy dojrzałem policjanta. Kiwał na mnie palcem, a gdy powoli wysiadałem, wrzasnął: — szybko!

Spod daszka czapki uderzyło we mnie zimne spojrzenie, wąska, sucha twarz nie obiecywała przyjemnej rozmowy.

— Jak prowadzisz? Za to na pół roku stracisz prawo jazdy.

Jego ton był tak agresywny, tak arogancki, że byłem bliski wybuchu. Próbowałem argumentować, że przecież nic się nie stało, że to była mała pomyłka, ale policjant nie zmienił wyrazu twarzy i zażądał dokumentów: prawo jazdy, ubezpieczenie, zaświadczenie z corocznego przeglądu.

Spojrzał na papiery, przez chwilę milczał i nagle odezwał się po polsku! Miał około dwudziestu lat, jego angielszczyzna dowodziła, że tutaj się urodził, musiał być synem Polaków, których, tak jak mnie, na tutejszy brzeg wyrzuciła wielka wojna. Polszczyzna, którą postyszałem, była bardzo prosta, pewno jego rodzice pochodzili z naszych wschodnich ziem.

Policjant oddał mi dokumenty, podniósł rękę do czapki i powiedział:

— Ja tu jestem przed irańską ambasadą, przed Sikorskim. Pewno tam idziesz. Idź, załatwiał swoje sprawy, ja niczego nie widziałem, ale uważaj, uważaj.

Odszedłem z uczuciem upokorzenia. A więc dopiero wspólna polskość uratowała mnie od wielu przykrości, a przecież mój błąd był bez znaczenia, a zachowanie się policjanta agresywne, aż do brutalności.

Minęło kilka tygodni i pojechaliśmy samochodem na pozalondyńskie lotnisko, by polecieć do Hiszpanii. Byłem na nim po raz pierwszy, szukałem najwygodniejszego podjazdu, by żona musiała jak najmniej chodzić, niestety znalazłem się na podwójnej żółtej linii. Ledwo pomyślałem, że czeka mnie nowy kłopot, gdy już, jak spod ziemi, pokazała się policyjna czapka. Tym razem była to dziewczyna, ale w niczym nie osłabiło to mego napięcia. Już miałem nacisnąć na gaz, gdy wysunęła się w naszą stronę jej dłoń i odezwał się łagodny głos:

— Pan pewno czegoś szuka?

— Tak, mam chorą żonę i nie znam lotniska, szukam podjazdu i tragarza, a później długiego zaparkowania.

— Tu stawać nie wolno i tragarzy nie ma, ale przecież ja pomogę.

Otworzyłem bagażnik, młoda policjantka wydobyła wraz ze mną dwie ciężkie walizki, pomogła żonie wysiąść i wskazała mi kierunek do parkingu.

Odjechałem z uczuciem prawie zażenowania. I natychmiast stanął mi przed oczami ten młody policjant sprzed czterdziestu lat. Poczułem, że opuszcza mnie niechęć, prawie wrogość ostatnich tygodni.

Demokracja to nie tylko wolne i uczciwe wybory, to także zaufanie i brak strachu wobec policji.

Wiele lat temu, gdy powstał Europejski Wspólny Rynek i gdy Wielka Brytania, w roku 1963, chciała doń dołączyć, gen. de Gaulle, ówczesny prezydent Francji, zgłosił veto. Lata wojenne spędził w Londynie, nabrał do Brytyjczyków niechęci i swoje

veto uzasadnił komentarzem, że wyspiarze nie dojrżeli jeszcze do europejskiej wspólnoty.

W roku 1970 de Gaulle zmarł i Wielka Brytania, po odbytych u siebie referendum, w którym dwie trzecie opowiedziały się za Europą, dnia 1 stycznia 1973 roku została przyjęta do Wspólnego Rynku.

Szły dalsze zmiany i dalsze powiększanie Europejskiej Wspólnoty, obejmuje ona obecnie już 12 krajów i wizja przyszłej, zjednoczonej politycznie zachodniej Europy zaczyna być coraz bardziej dostrzegalna. Oczywiście jest to problem bardzo trudny i bardzo skomplikowany, ale najwybitniejsze umysły tę konieczność rozumieją.

I oto okazało się, że gen. de Gaulle miał rację, że Wielka Brytania nie dojrzała jeszcze do przyjęcia idei wspólnej, samodzielnej, mogącej się obronić Europy. Jej premier, Margaret Thatcher, wybitna indywidualność, mająca za sobą wiele sukcesów, okazała się wielką przeciwniczką tej koncepcji. Gorzej: myśląc o głosach wyborców, powtórzyła swą opinię, która kilka miesięcy temu, wypowiedziana w Brużes, wydawała się polityczną gaffą. To, co mówi o zjednoczonej Europie, przeznaczone jest dla większości obywateli brytyjskich wysp, którzy myślą bardzo podobnie. Suwerenność to fetysz, w który zapatrzony jest przeciętny obywatel, nie bardzo rozumiejący, na czym ona faktycznie polega. Naprawdę suwerenne jest państwo, które samo może się obronić. Czy Wielka Brytania może się dziś sama obronić?

Na szczęście wśród rządzących konserwatystów wielu nie podziela poglądów premiera. Wśród nich na czoło wybija się Michael Heseltine, były minister obrony, który kilka lat temu opuścił rząd na tle afery helikopterowej. Właśnie ukazała się jego książka, *The Challenge of Europe*, w której rozwija swoje poglądy i która może mieć wielki wpływ na miliony ludzi (wyjątki już wydrukował *Sunday Times*).

Obok wykazania siły gospodarczej Europejskiego Rynku, którego obroty handlowe wynoszą 40% obrotów całego świata (Azja i Australia 12%, USA 14%, Japonia 8%), wysuwa on także koncepcję „Stanów Zjednoczonych Europy”, która może uspokoić zwolenników „suwerenności”. Może to być osiągnięte przez wzmocnienie europejskiego parlamentu i przez dodanie mu Senatu, na wzór Stanów Zjednoczonych. W oparciu o ilość mieszkańców Wielka Brytania miałaby w nim 20 senatorów na ogólną liczbę 152 i Senat ten korzystałby z uprawnień Senatu w Stanach.

Pierwszym człowiekiem, który już w roku 1946 powiedział „musimy stworzyć Stany Zjednoczone Europy”, był Winston Churchill i najprawdopodobniej walka o następstwo po pani Thatcher rozegra się wśród konserwatystów na tej płaszczyźnie.

Bardzo ostro zaatakował także panią Thatcher były konserwatywny premier, Edward Heath, który wprowadził Wielką Brytanię do Wspólnego Rynku.

W książce Marka Nowakowskiego *Karnawał i post* znalazł się krótki rozdział pt. „Imperatyw”. Został napisany w pierwszej osobie, jest niewątpliwie literacką fikcją, ale zapewne przedstawia poglądy autora.

Nie drukowano go, był na złej liście, ale zaprosił go do restauracji, a później do siebie do domu naczelny redaktor PAX-u. Zachęcał do drukowania właśnie u niego, obiecywał lżejszą cenzurę, w rozmowie brała udział jego żona. Zachęcanemu autorowi po wielu kieliszkach odezwał się pęcherz, poszedł więc nie do ubikacji, ale do gabinetu redaktora i tam się załatwił. Na tę scenę weszli gospodarze, nie zaprotestowali, nie wyrzucili go za drzwi, ale poczęstowali kawą z koniakiem i nawiązali z powrotem przerwaną konwersację.

Przeczytałem ten fragment kilka razy, by mieć pewność, że uchwyciłem sens tej sceny, i ogarnęło mnie uczucie nawet nie gniewu, ale wielkiego smutku. A więc dziś, gdy Polskę zalewa fala chamstwa, gdy słownictwo zeszło do poziomu oświecimskiej latryny, poczytny pisarz taką sceną zachęca młode pokolenie do pójścia w jego ślady. Kogo to ma przekonać, w czyich oczach ma on być lepszy od tego redaktora, niezależnie od tego, kim on w istocie jest? Jeżeli taką cenę mamy płacić za pokazanie, że jesteście inni, to lepiej tę monetę zostawić tym, którymi jakoby gardzimy.

I przypomniał mi się piękny artykuł Kadena-Bandrowskiego w *Gazecie Polskiej*, w trzydziestych latach. „O powołaniu pisarza”.

Tylko własnym poziomem, tylko własnym przykładem, tylko własnym zachowaniem się, bez względu na okoliczności, możemy pokazać, że jesteśmy lepsi i że istnieje także inny świat, a nie tylko schamała, zdeprawowana dzisiejsza rzeczywistość.

Józef GARLIŃSKI

W A W E L PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA w Niemczech Zachodnich

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.

Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.

Wywiady «Kultura»

Rozmowa z Władimirem Emelianowiczem Maksimowem

MICHAŁ HELLER: — *Wiele lat temu, wkrótce po Pana wyjeździe z Moskwy, zanim jeszcze ukazał się pierwszy numer kwartalnika Kontinent przyjechał Pan do redakcji Kultury w Maisons-Laffitte. Co Pana wtedy interesowało? Czy chciał Pan zobaczyć, jak się robi emigracyjne pismo?*

WŁADIMIR MAKSIMOW: — Jestem w jakimś sensie zawodcem, człowiekiem pióra, byłem związany z czasopismami, należałem nawet do kolegium redakcyjnego jednego z sowieckich pism, tak że „kuchnię redakcyjną” znałem i przedtem. Nie, przyjechałem do *Kultury*, bo chciałem poznać ludzi i pismo, którego wielki autorytet pamiętam, odkąd param się literaturą. Miałem nawet zaoczny kontakt z *Kulturą*, bo wiadome organy w ZSSR ostrzegały mnie przed jakimikolwiek z nią związkami. Związków żadnych zresztą nie nawiązaliśmy, nie wiem, dlaczego, ale zaraz po przyjeździe na Zachód — z własnej inicjatywy i za radą ludzi o podobnych poglądach jak moje — pojechałem do Maisons-Laffitte zapoznać się z twórcami *Kultury* i pomówić z nimi o współpracy. Jak Pan wie, współcześni inteligenci rosyjscy (do których się zaliczam, chociaż wywodzę się z innej warstwy społecznej) cierpią na wielki kompleks winy wobec Polski i polskiej kultury. To tym bardziej skłaniało mnie do spotkania z *Kulturą*. Jeszcze kilka innych powodów pchało mnie do tego. W każdym razie nie żałuję, żeśmy się spotkali, ponieważ od razu udzielono mi kredytu zaufania. Nie wiem właściwie, na jakiej podstawie, bo ani Józef Czapski, ani Jerzy Giedroyc praktycznie mnie nie znali. Być może zawdzięczam ich zaufanie faktowi, że publikowałem i w ZSSR, i za granicą. Przez piętnaście lat, które od tamtego dnia upłynęły — a głównie w toku pierwszych dwóch-trzech lat — zdarzały nam się tarcia, różnice zdań, nawet konflik-

ty, ale koniec końców wszystko się ułożyło i nabraliśmy do siebie — w każdym razie ja, nie wiem, czy moi koledzy z *Kultury* to potwierdzą — wzajemnego politycznego i ludzkiego zaufania. Niczego lepszego nie mogę pragnąć.

M.H.: — *Wspomniał Pan kiedyś zebranie w Moskwie 1952 roku, na którym mówca zaczął od oświadczenia, że żyjemy w szczęśliwych i radosnych czasach. Od pierwszego numeru Pana pisma minęło piętnaście lat. Jak Pan myśli, w jakich czasach teraz żyjemy?*

W.M.: — Wie Pan, to zupełnie sakramentalne pytanie. Wciąż żyjemy w czasach, jakich jeszcze nie było. To zdanie z 1952 roku towarzyszy mi przez całe życie, a dochodzę już do sześćdziesiątki. Mówiąc jednak poważnie, to rzeczywiście żyjemy w bardzo ciekawym momencie historycznym. Myślę nie tylko o historii naszej wschodniej Europy i totalitarnego świata komunizmu, a o historii w ogóle. Mam wrażenie, że jest to czas przełomowy, moment największego zagrożenia demokratycznej cywilizacji. W świecie totalitarnym ludzi o bardzo niewysokim poziomie umysłowym zastępuje nowe pokolenie, które w toku ostatnich lat z powodzeniem osiąga te same cele nowymi sposobami. Wystarczy spojrzeć, czego im się udało dokonać przez ostatnie 3-4 lata w polityce zagranicznej. Europę właściwie powalili na kolana. Kiedyś, w latach 70-tych, mówiliśmy o finlandyzacji Europy jako o hipotezie, jako o bliskiej ewentualności. Dziś ewentualność stała się rzeczywistością. W każdym razie Niemcy zachodnie i państwa skandynawskie są już sfinlandyzowane. Innymi słowy, ZSSR realizuje dawne cele środkami dyplomatycznymi. To samo dzieje się w wielu innych dziedzinach — kulturze, psychologii... ZSSR nie osiągnął podobnych sukcesów od czasów euforycznej przyjaźni z czasów drugiej wojny światowej.

M.H.: — *Jeśli przyjmujemy — chyba się Pan z tym zgodzi — że system sowiecki opiera się na selekcji negatywnej, eliminuje ludzi utalentowanych i w ogóle wszystko, co wybija się ponad przeciętną, to czym wytłumaczyć, że pozwolił wypłynąć na wyżyny polityczne ludziom zdolnym, w każdym razie zdolnym do oszukanania Zachodu?*

W.M.: — Myślę, że system jest mądrzejszy od ludzi, którzy nim kierują. Kiedy czuje się śmiertelnie zagrożony, sam, niejako spontanicznie, wypracowuje wariant alternatywny. Natomiast sam Związek Sowiecki i aparat, który określa jego politykę niczego nie robią spontanicznie. Jeśli przyjmujemy się uważnie procesom, które zachodziły w ostatnich dziesięcioleciach w Polsce, a jeszcze

bardziej w takich krajach jak Jugosławia albo Węgry, to stanowiły one moim zdaniem pole doświadczalne Związku Sowieckiego. W tych laboratoriach badano, do jakich granic system może się posunąć z minimalnym ryzykiem dla siebie. Weźmy Jugosławię. Wszystko, co dzieje się w Związku Sowieckim, trwa w Jugosławii już od dziesięcioleci. Wolność, *glasnost*, swoboda wyjazdów i powrotów... Jugosłowianie mogą czytać, co im się żywnie podoba, wydrukować też można prawie wszystko, ale komunizm nie wypuszcza władzy z rąk. A głównym celem i sensem istnienia jest dla komunistów władza. Przychodzą nowe pokolenia, zmienia się psychika ludzi i system musi się do niej przystosować. W tym, co się dzieje obecnie, nie widzę niczego nadzwyczajnego, jeśli zanalizujemy całość procesów zachodzących w tak zwanym obozie socjalistycznym. Stosunek Zachodu do tego obozu wynika z jego głęboko zakorzenionej podwójnej miary pojęcia wolności. Gustaw Herling-Grudziński opowiedział mi kiedyś bardzo pouczającą historię. Przysłuchiwał się konferencji prasowej brytyjskiego posła labourzystowskiego, który wrócił z Polski pełen zachwytu. Kiedy któryś z dziennikarzy — może nawet sam Herling-Grudziński — zapytał go, czy chciałby żyć w Polsce, poseł odpowiedział: Ja nie, ale dla Polaków to bardzo dobrze.

Nie jestem zwolennikiem generała Pinocheta, współpracuję nawet z chilijską opozycją demokratyczną. Pozwolę sobie jednak na pewne porównanie. W Chile dokonano przewrotu wojskowego. W Polsce również dokonano przewrotu wojskowego. W Chile istnieje 39 całkowicie legalnych organizacji politycznych. Istnieje tzw. alternatywna, czyli opozycyjna telewizja, alternatywne środki masowej informacji, przeprowadzono referendum, w którym generał Pinochet przegrał. Ostatnio zalegalizowano partię komunistyczną. Wszyscy emigranci włącznie z wdową po byłym prezydencie mogą bez przeszkód wracać do kraju. Różnica wynika zapewne z tego, że w Chile rzeczywiście dokonano przewrotu wojskowego, a w Polsce nie było żadnego przewrotu, władza jak była, tak pozostała w rękach partii.

I co widzimy? Mimo, że w Chile panuje taki stopień wolności, żadne państwo, żaden przywódca państwa nie ośmieliłby się przyjąć generała Pinocheta. A generała Jaruzelskiego przyjęli niemal wszyscy, legalizując jego fikcyjny przewrót wojskowy. Opowiadają też — nie wiem, na ile to prawda — że kiedy papież zaapelował do Pinocheta w czasie audiencji o demokratyzację Chile, Pinochet odparł: zgodnie z konstytucją takiego a takiego dnia mam oddać władzę — a kiedy odda ją Jaruzelski?

Na tym polega właśnie podwójna miara: do jednego państwa odnosimy się tak, a do drugiego inaczej. Gorbaczowowi wystarczy wydrukować dwie-trzy zakazane powieści — powiedz-

my dziesięć — zliberalizować prasę, a już go pasują na jednego z najwybitniejszych heroldów wolności w dziejach ludzkości, porównują do Piotra I, Aleksandra II itd. To właśnie mam na myśli, mówiąc o podwójnej mierze. Już nawet Ameryka, kraj wydawałoby się najdemokratyczniejszy na świecie, zgodziła się na zorganizowanie następnej konferencji helsińskiej w Moskwie. I nikt nie dostrzega drobnego, niezauważalnego, ale bynajmniej nie nieważnego faktu, że dwaj rosyjscy laureaci Nobla żyją na emigracji. Ten fakt nie dziwi zachodniej demokratycznej psychiki. Nikt ich do ZSSR nie zaprasza, nikt nie zamierza i nie obiecuje ich rehabilitować. A są to pisarze, ludzie parający się najbardziej niepolityczną działalnością, jaką człowiek może się parac — literatura.

M.H.: — *Mówi Pan, że wydrukowano kilka albo kilka dziesiątków zakazanych dotychczas książek. Jak odpowiedziałby Pan na pytanie, które sam sobie zadaje: czy literatura ma takie znaczenie i taką siłę, że publikacja np. Szalamowa albo Grossmana i Pasternaka zmienia mentalność i charakter ludzi sowieckich? Pan też od tylu lat, także w Kontinencie, walczył o wydanie zakazanych książek. Teraz je wydano. I co się zmieniło?*

W.M.: — Wie Pan, kiedy ten system na coś się decyduje i na coś zezwala, to znaczy, że gdzieś już to wypróbował i próba pokazała, że właściwie nic się od tego nie zmieni. Spójrzmy uważnie na to, co się dzieje. Władze mieszają prawdziwą literaturę z pseudoliteraturą i stawiają je na jednym poziomie. Niedawno czytałem w naszym postępowym *Ogońku* artykuł postępowego krytyka, bodaj Natalii Iwanowej, która nawet nie alfabetycznie, a wedle wartości wylicza autorów, nareszcie udostępnił namemu narodowi. Oto ich kolejność: Rybakow, Dudincew, Bułhakow i Płatonow. Tak się to robi. To też jest rewolucyjna forma dezinformacji, takie pomieszanie kryteriów. Wydaje mi się, że dziś ważniejsze od wydania wielkiej i prawdziwej książki jest ustalenie w społeczeństwie kryteriów moralnych i estetycznych. Przedstawianie powieści Rybakowa jako dzieła tej samej klasy co powieści Płatonowa i Bułhakowa jest dezinformacją. Kiedy zamiast historycznej i literackiej analizy procesów, które zachodziły w ZSSR, opowiada się bajki o tym, że w naszym państwie i partii zasiadali tacy humaniści jak Kirow, Ordżonikidze i Lenin, którzy walczyli z takim tyranem jak Stalin, to jest to gorsza dezinformacja aniżeli „Kawaler złotej gwiazdy”.

M.H.: — *Pamięta Pan, co Mandelsztam powiedział, usłyszawszy, że w obozach wprowadzono bardzo łagodny rygor: „Okazuje się, że jesteśmy w łapach humanistów”.*

W.M.: — No właśnie. Teraz i w sowieckiej prasie można znaleźć niezwykle paralele. To tak jakbym czytał np. powieść niemieckiego pisarza o konflikcie natury humanitarnej między Röhmem i Hitlerem. To dokładnie to samo. Na tym polega cały fałsz procesu, w którym prawdziwą literaturę miesza się z *ersatz*'em. Brak kryteriów, zatarte granice, w każdej dziedzinie króluje względność. W takiej sytuacji prawdziwa literatura nie tylko nie może wpływać na ludzi, ale wręcz przeciwnie, może odegrać rolę zgubną. Jeśli by ludziom mówiono całą prawdę, z której mogliby czerpać etyczne wzory, to co innego. Kiedy ukazują się razem „Requiem” Achmatowej i „Białe garnitury” Dudincewa albo Rybakow, to jest to straszniejsze aniżeli lukrowana literatura czasów stalinowskich, która mówiła sama za siebie.

M.H.: — Zgadzam się z tym. W literaturze mogą istnieć Rybakow, Dudincew i wszystko inne, należy jednak ustalić prawdziwą hierarchię wartości i wiedzieć, co jest czym. Dawniej mawiano, że beczkę miodu można zepsuć łyżką dziegciu. Teraz beczkę dziegciu próbuje się ostodzić łyżką miodu.

W.M.: — Dokładnie. Bez kokieterii twierdę, że najbardziej boję się — choć wielu moich kolegów, znajomych i przyjaciół nie może ani nie chce tego zrozumieć — że zostaną wydany w Związku sowieckim. Oni prowadzą bardzo przewrotną grę: wydadzą książkę i natychmiast liczą na równanie w dół, natychmiast stawiają we wspólnym szeregu. Oto wyszedł „Czonkin” Wojnowicza, książka, którą bardzo lubię. Redaktor *Woprosow literatury* Urnow natychmiast w *Literaturnoj gazecie* stawia Wojnowicza w jednym szeregu z Jerofiejewem i Saszą Sokołowem i oświadcza: dość już tego gadania o literaturze antysowieckiej, w ten sposób tylko podbijamy jej cenę. Mówmy zwyczajnie o literaturze. Otóż jeżeli potraktujemy ją po prostu jak literaturę, to — twierdzi Urnow — jest to marna proza. Powiedzmy, że Urnow ma ustaloną reputację. Ale w ślad za nim recenzję z „Wiernego Rusłana”, książki, którą uważam za klasyczne dzieło literatury rosyjskiej, ogłosił liberalny krytyk Łatynina. „Rusłana” jako takiego Łatynina jednak nie analizuje, tylko zestawia go z powieścią Kuriajewa, też niezłą, ale daleko ustępującą „Rusłanowi”. Łatynina stwierdza: dobra literatura się nie starzeje, a tymczasem „Rusłan” trąci myszka. Tym przewrotnym sposobem krytycy wymiatają człowieka z literatury, indywidualny pisarz przestaje istnieć, wpisuje się w szereg, w strumień bez kryteriów. O tym właśnie mówiłem wyżej. To samo mogą teraz zrobić z „Gułagiem”. Nie jest przypadkiem, że Gorbaczow, przywódca jednego z wielkich mocarstw świata, telefonuje na zebranie so-

wiecko-emigracyjne w Madrycie i każe Alesie Adamowiczowi przekazać zebranych, że publikacja „Gułagu” została odłożona tylko chwilowo — z czasem książka się ukaze. I rzeczywiście się ukaze. W tej chwili usiłują odebrać tematowi obozowemu jego wybuchowy ładunek. Ludzie się od niego już odwracają, bo wszystkie sowieckie czasopisma są wypełnione tzw. literaturą obozową, tak że „Gułag” utonie w tym potoku, zapewniam Pana. Na tym właśnie polega tragedia ludzi, którzy tak się spieszą z publikowaniem swoich książek w ZSSR. Powinniśmy się troszczyć przede wszystkim nie o to, żeby nas tam wydrukowali, tylko o to, żeby wskrzesić prawdziwe kryteria moralne. Tylko wówczas będziemy mogli oczekiwać, że literatura spełni swoje zadanie.

M.H.: — Powiedzmy, że dziś telefonuje do Pana Zatygin albo Baktanow i mówi: Panie Włodzimierzu, jeśli nie ma Pan nic przeciwko temu, od najbliższego numeru zaczynamy druk „Siedmiu dni tworzenia”. Co by Pan zrobił?

W.M.: — Odpowiedziałbym tak: wszyscy nazywają mnie maksymalistą, a ja wymagam od ludzi tylko minimum. Przede wszystkim domagam się publicznych przeprosin za to, co robili, kiedy nas deportowano za granicę, kiedy Szałamow umierał opuszczony przez wszystkich w domu starców, kiedy Dombrowski konał w nędzy i zapomnieniu. Za tzw. „czasy zastoju”, z którymi dziś tak walczą. Po drugie postawiłbym warunek całkowitej moralnej i obywatelskiej rehabilitacji wszystkich, którzy zostali wygnani z ZSSR albo w inny sposób ucierpieli w tamtym okresie. Jeżeli by to minimum zostało spełnione, mógłbym sobie pozwolić na publikację w Związku sowieckim. To właśnie nazywam wskrzeszeniem normalnych kryteriów moralnych, którymi kierują się normalne społeczeństwa ludzkie. Trudno mi rozmawiać z ludźmi, którzy zawierają jakieś umowy z tymi, którzy nas jeszcze wczoraj prześladowali. Kiedy czytam wywiady o wysokiej moralności Aleksandra Borszczagowskiego, jest mi wstyd i gorzko: ten właśnie Borszczagowski przewodniczył zebraniu, na którym wyrzucano mnie ze związku pisarzy. Mówił wtedy zupełnie co innego niż dziś, oskarżał mnie o „literacką własowszczyznę”, wypędział mnie donikąd. Taką samą rolę odegrał też w sprawie *Metropolu*. Kiedy słyszę antystalinowskie zakłęcia Adamowicza, który rzucił na pastwę losu swoją tłumaczkę, Zoję Krachmalnikową, aresztowaną za wydawanie religijnego pisma *Nadzieja*, kiedy słyszę postępowe przysięgi Koroticza, który jeszcze wczoraj pisał wierutne kłamstwa o demokratycznym Zachodzie — nie mogę im wierzyć. Powtarzam, nie jestem maksymalistą, w moim własnym życiu też różnie bywało. Wymagam od ludzi minimum. Niech powiedzą

uczciwie, dlaczego wczoraj mówili i robili co innego. Dlaczego o tym mówię? Bo ci ludzie nie są tacy głupi, by nie rozumieli, że takie wyrazy skruchy przyniosłyby im tylko dalsze moralne korzyści. Widocznie jednak nie są im one potrzebne, widocznie szykują się do kolejnej zmiany sytuacji, kiedy władze mogłyby im wypomnieć ich wczorajszą skruchę.

M.H.: — *Mówi Pan, że nie jest Pan maksymalistą. Tymczasem niektórzy Pańscy koledzy zgodzili się na druk w sowieckich pismach bez żadnych — o ile wiem — warunków.*

W.M.: — Nie jestem powołany do sądenia kolegów, każdy jest kowalem własnego szczęścia. Jednak tym, z którymi miałem okazję spotkać się i rozmawiać, wykladałem swój punkt widzenia. Oni obstawali przy swoim, ja przy swoim.

M.H.: — *A jaki jest ich punkt widzenia?*

W.M.: — Że grunt to zostać wydrukowanym, żeby — tego dotyczyło Pana poprzednie pytanie — wpływać na ducha narodu. Jestem przekonany, że jest to błąd. A ich książki tak pomniejszą, że... Wie Pan, można napisać genialną książkę, a wokół niej stworzą taką atmosferę, która zneutralizuje jej wpływ. Wydaje mi się, że ich wybór opiera się na złudzeniu, ale broń Boże nie zamierzam ich sądzić. Sądzę tylko ludzi, którzy nie ograniczają się do wydawania w ZSSR, ale zajmują się apologią gorbaczowizmu. To uważam za dezinformację.

M.H.: — *Pomówmy trochę o emigracji. Wie Pan doskonale, że odbywa się obecnie intensywne kuszenie emigracji. Wie Pan też doskonale, że nie pierwszy raz w dziejach ZSSR władze starają się skusić emigrację i zrobić z niej instrument polityki sowieckiej. Co Pan sądzi o postawie dzisiejszej emigracji wobec tego natarcia?*

W.M.: — Moim zdaniem emigracja praktycznie skapitulowała. Od czasów Lenina, od czasów osławionego sznura, który Zachód miał mu sprzedać, żeby go na nim powiesili, bolszewicy właściwie nigdy nie skrywają swoich celów, bo wiedzą, że tak jak kapitalizm przy sprzedaży sznura, tak i emigracja nie ma dla ich propozycji alternatywy, nie ma wyjścia. Dlatego Szewardnadze na zebraniu pracowników konsularnych w Moskwie spokojnie i cynicznie oświadcza: powinniśmy stworzyć w emigracji swoje lobby. Otwarcie, nie krępuje się. To im się niestety udaje. Ludzie, którzy tam się drukują, powinni przede wszystkim zrozumieć, kto kogo tym aktem rehabilituje. W jakim charakterze publikują w Związku Sowieckim ludzie, pozbawieni obywatelstwa? W charakterze zdrajców ojczyzny? Dlaczegożby nie posta-

wić jako warunku wstępnego, jako minimum — rehabilitacji? To nie tak dużo, naprawdę nie tak dużo. Ale nie — jadą za wszelką cenę, rozmawiają, uprawiają propagandę i apologetykę obecnej polityki. Zgodzi się Pan chyba, że nie takie jest zadanie literatury. Uważam, że najgodniej ze wszystkich zachował się wspomniany już Georgij Władimow, który przynajmniej nie oddaje się apologetyce gorbaczowizmu, tylko mówi wyłącznie o literaturze. Dwa warunki mogą mnie skłonić do udzielenia kredytu obecnym procesom w ZSSR i ludziom, którzy nimi kierują (to samo zresztą dotyczy Polski): zniesienie monopolu ideologii i legalizacji opozycji politycznej.

M.H.: — *Panie Włodzimierzu, proszę à propos tych Pańskich warunków opowiedzieć o liście grupy emigrantów do władz sowieckich, który zainicjował Pan trzy lata temu. Czy Wasz list miał jakiś odzew? Czy z Waszego punktu widzenia przyniósł jakieś owoce? Czy chociaż jeden z Waszych warunków został spełniony?*

W.M.: — Odzew miał, nawet duży, poczynając od artykułu w *Prawdzie*, a kończąc na *Ogońku* i *Moskowskich nowostiach*. Ciekawa jednak rzecz, że minęły już trzy lata i teraz przyjezdni z Moskwy uważają, że reakcja była niewspółmierna do naszych propozycji. Przemiany społeczne w ZSSR poszły znacznie dalej i opozycja — nieformalna opozycja — stawia daleko wyższe żądania pod adresem rządu i systemu, aniżeli my. Ktoś nawet wyraził się tak: teraz to się wydaje dziecinnym szczebiotem. Jak Pan widzi, coś się w społeczeństwie dzieje, ale nie dzięki gorbaczowizmowi, a wbrew niemu. Istnieją naturalnie siły, które korystają z koniunktury, żeby poszerzyć zakres wolności, próbować położyć podwaliny pod społeczeństwo cywilne. Wszystko zależy od tego, na ile system kontroluje obecne procesy. Jego dotychczasowe ustępstwa nie gwarantują jeszcze, że jest to proces nieodwracalny. Jego nieodwracalność może zagwarantować tylko jedno — rezygnacja z monopolu ideologicznego i legalizacja opozycji. A i to można ostatecznie anulować. Mimo to jednak byłaby to podstawa do udzielenia systemowi jakiegoś kredytu zaufania.

M.H.: — *Mówi Pan o poszerzeniu zakresu wolności, nawet o nieformalnej opozycji. Jakie, Pańskim zdaniem, istnieją opozycyjne siły albo tendencje?*

W.M.: — Wie Pan, wszystko to istnieje dopiero w zarodku. Niech Pan jednak zwróci uwagę, jakiego zasięgu nabrał właściwie już dozwolony *samizdat*. Nie jest jeszcze legalny, ale też nie jest prześladowany. Liczba podziemnych czasopism przerosła wszyst-

kie wyobrażalne rozmiary. Są najróżniejsze, od literackich do ezoterycznych. Alternatywne prasa i wydawnictwa są wprawdzie nielegalne, ale aktywne i nie podlegają na razie represjom karnym. Jest *Referendum*, *Ekspress-kronika*, *Głasnost'* i szereg innych czasopism politycznych i społecznych. Próbowano nawet powołać do życia opozycyjną partię polityczną, Związek Demokratyczny. Sprawia to jeszcze naiwne wrażenie, nasza opozycja ma bardzo małe doświadczenie polityczne, nie wytworzyła też jeszcze charyzmatycznych przywódców, ale zarodki już istnieją. Wydaje mi się, że jeśli mamy popierać zachodzące w ZSSR procesy, to właśnie tę ich część — propozycje alternatywne. Kiedy jednak Sacharow staje się praktycznie człowiekiem rządu i wszędzie propaguje politykę rządową, nawet na arenie międzynarodowej, to nie uważam, by przyczyniał się do poszerzenia swobód w Związku Sowieckim. Myślę, że jest to forma kapitulacji. Wolelibyśmy nadal widzieć w Sacharowie moralny punkt odniesienia, który pozwalałby orientować się w tym zawitym procesie. Tacy ludzie jak Sacharow albo Sołżenicyn powinni stać ponad tym procesem. Powinni być busolami. Niestety Sołżenicyn milczy. Nie sądzę Sołżenicyna, jest to wielki artysta i nie mnie go sądzić, ale milczenie w tak przełomowym momencie naszej historii też jest systemowi na rękę. Nawet za milczenie gotowi są płacić. Niech Pan zwróci uwagę, kto pozostał w ogniu krytyki i wrogości — dwie-trzy osoby, a z czasopism tylko *Kontinent*. Całą resztę system przystosowuje do swoich potrzeb. Mówiliśmy o tym wyżej. Dawniej wiedzieliśmy, że istnieją dwie postacie, które wyznaczały nam poziom. Nawet władza podświadomie czekała na to, co powiedzą. Teraz nie ma nikogo, nie ma punktu odniesienia, nie ma moralnej latarni. Cały czas wracam do jednej i tej samej myśli: że najważniejsze jest w tej chwili odtworzenie kryteriów moralnych. Jest to znacznie ważniejsze aniżeli wydanie choćby najlepszej książki. Jeden z obrońców praw człowieka, bodajże Sendorow, powiedział bardzo trafnie, że pole można podpalić albo pozwolić mu zarosnąć chwastami, wynik będzie ten sam. Na polu pełnym chwastów nie wyrośnie kłos, do którego by pozostałe mogły równać, takie pole może być gorsze od spalonej ziemi.

M.H.: — *Wśród ruchów opozycyjnych największą uwagę zwracają ruchy narodowe. Jak ocenia Pan ruchy narodowe w Związku Sowieckim i czy sądzi Pan — co ja uważam za niezwykle ważne — że istnieje rosyjski ruch narodowy na wzór np. ruchu ormiańskiego, estońskiego albo litewskiego?*

W.M.: — Nie, rosyjskiego ruchu narodowego niestety nie ma, jeśli nie liczyć karykaturalnych i bardzo groźnych organizacji typu „Pamiat’”. Jest to tak niski, wprost neandertalski poziom nacjo-

nalizmu, że nie warto o nim nawet mówić. Jest to nieporównanie bardziej wulgarne i poślednie niż np. Front National we Francji. Ale mimo że władza i prasa rzekomo występują przeciwko „Pamiati” i innym podobnym organizacjom nacjonalistycznym, na liście kandydatów na deputowanych ludowych z ramienia partii komunistycznej widnieje człowiek bardzo bliski „Pamiati”, Wasilij Bielow. Jest zupełnie możliwe, że władza, która tyle mówi o internacjonalizmie i nawet dopuszcza już istnienie w ZSSR kultury żydowskiej, po cichu szykuje coś zupełnie innego. Kwestia narodowa ma jeszcze inny aspekt. Weźmy Nadbałtykę. Bardzo silny ruch narodowy o bardzo wysokim poziomie przyciąga tam najlepsze elementy społeczeństwa. Tak samo jest w Armenii i Gruzji. Ale widzi Pan przecież, że ich nadzieje są złudne. Zachód nie poprze tych ruchów narodowych. Wie Pan doskonale, nie raz o tym mówiliśmy, że Zachód paradoksalnie jeszcze bardziej niż Gorbaczow boi się destabilizacji Związku Sowieckiego. Ruchy narodowe nie mają perspektyw, są osamotnione, a republiki sowieckie są tak związane bazą surowcową z centralną Rosją i w ogóle z Rosją, że są praktycznie jej jeńcami. Może Pan wywiesić dowolną flagę, drukować dowolne pieniądze, nie wyjdzie Pan z obłączenia, dopóki Pana nie poprze wolny świat, a ten Pana nie poprze. Paruira Ajrikiana, wypędzonego ze Związku Sowieckiego, nie poparła ormiańska diaspora na Zachodzie. Ormianie emigranci hołdują tradycyjnemu sposobowi myślenia, wolą, żeby Armenia była związana z Rosją aniżeli osamotniona w morzu muzułmanów. To samo dzieje się w republikach nadbałtyckich. Te naiwne złudzenia naszych ruchów narodowych, ich nadzieje na jakiegoś dobrego wujka są bardzo niebezpieczne. Ruchy narodowe powinny wreszcie zrozumieć, że klucz do ich wyzwolenia znajduje się w Moskwie i dopóki Moskwa nie stanie się demokracją, i im nie przynąca prawa do demokracji — nie mogą nawet o niej marzyć. Czyż Polska niczego nie nauczyła się na błędach Mikołajczyka i wreszcie na błędach Solidarności, z którą komuniści już raz siedzieli za stołem — chociaż nie okrągłym — i podpisywali rozmaite porozumienia? Przyciśnięci do muru podpiszą wszystko, ale potraktują każdą umowę jak świstek papieru. Kiedy znów nabiorą siły, rozdepczą partnera. Dlatego pora wreszcie zrozumieć myśl Józefa Mackiewicza, którego uważam za najgłębszego politycznego myśliciela, a nie tylko pisarza, za człowieka, który rozumiał, co to jest komunizm. Rzecz w tym, że tradycyjny rosyjski imperializm kształtował uprzywilejowaną małą grupę ludzi, którzy z nim współpracowali, a nowy imperializm dzieli naród na pół. Wielomilionowy aparat państwowy, organy karne i wojsko będą się biły nie o Rosjan, a o przywileje, o swoją społeczną i ludzką przyszłość. Jedna połowa zniewolonego narodu zdławi drugą bez żadnych Rosjan.

Należy wreszcie zrozumieć prostą prawdę, wyzwalać nie siebie, a z pomocą rosyjskich ruchów opozycyjnych próbować wyzwolić ośrodek zniewolenia, pierwotne źródło raka. Tylko wówczas wolna demokratyczna Rosja pozwoli podbitym narodom wyzwolić się.

M.H.: — *Uważa Pan, że istnieje nadzieja na narodziny wolnej, demokratycznej Rosji?*

W.M.: — Tylko wtedy, jeśli do procesu tego włączą się wszyscy, którzy chcąc nie chcąc znaleźli się w jej orbicie. Innej nadziei nie widzę i choć jestem chrześcijaninem i winienem zawsze mieć nadzieję, sama nadzieja wolności nie da. Jeśli każdy będzie myślał, jak niektórzy polscy intelektualisci, że jakiś poszczególny barak socjalistyczny może sobie wywalczyć wolność... Nie wywalczy. Może mu się udać zdobyć pewne ulgi kosztem sąsiadów, ale zostanie w tej samej zonie. Jest to najtragiczniejszy błąd naszych ruchów narodowych.

Rozmawiał Michał HELLER

Spod stołu

Z KRZYSZTOFEM WYSZKOWSKIM,
WSPÓŁZAŁOŻYCIELEM WZZ, UCZESTNIKIEM
STRAJKÓW W STOCZNI GDAŃSKIEJ W 1980 i 1988 R.,
ROZMAWIA KRZYSZTOF CZABAŃSKI

KRZYSZTOF CZABAŃSKI: — *Czy jest sens rozmawiać o „okrągłym stole”, skoro tyle było o nim relacji na bieżąco?*

KRZYSZTOF WYSZKOWSKI: — Szum informacyjny służył ukryciu tego, co ważne. Propaganda oficjalna specjalnie mąciła odbiorcom w głowie, prasa niezależna nie miała praktycznie dostępu do stołu i jej relacje też nie ukazywały istoty sprawy. Rzecznicy „Solidarności” wiele rzeczy ukrywali. Przede wszystkim nie ujawniono, w jaki sposób doszło do „okrągłego stołu”. Nie było przecież tak, że X plenum KC PZPR coś postanowiło i rozpoczęły się rozmowy. Kościec porozumienia został zbudowany wcześniej. „Okrągły stół” był właściwie teatrem odgrywanym na użytek publiczny.

K.CZ.: — *Kto zawierał to poufne porozumienie?*

K.W.: — O treści porozumienia będę mówił później, zacznijmy od spraw porządkowych. W grę wchodzi kilka osób, Mazowiecki, Geremek, Stelmachowski, Wielowieyski, Michnik, Kuroń. Jaka była rola każdego z nich — nie wiem. W każdej fazie rozmów mogła być inna, z tym że w miarę upływu czasu — w moim odczuciu — na czoło wysuwali się Geremek, Kuroń i Michnik.

K.CZ.: — *Kiedy zaczął się proces poufnego porozumienia?*

K.W.: — Władze ostrożnie szukały kontaktu. Wydaje się, że sam proces rozpoczął się w lipcu 1988 roku (Mazowiecki nie uczestniczył chyba jeszcze w tym wszystkim). Strajki sierpniowe postawiły ten dialog w trudnej sytuacji. Władze wycofały się, stwierdzając, że powrócą do rozmów, ale bez pistoletu strajkowego. Udział Wałęsy w strajku zablokował przygotowane wcześniej spotkanie z Kiszczakiem. Żadna z osób uwikłanych w rozmowy z władzami nie brała bezpośredniego udziału w akcji strajkowej. Uważali, że fala jest zbyt słaba, by przełamać opór władzy, należy zatem strajki szybko zakończyć. Powstał konflikt między tą grupą a strajkującymi, którzy uważali, że strajk jest silny, może trwać bardzo długo i może przynieść przełamanie. Wałęsa i grupa doradczą (Borusewicz, Kaczyński, Merkel, ja) zażądała spotkania z Kiszczakiem podczas strajku, ze strajkującym Wałęsą. Kiedy po wizycie Geremka w stoczni okazało się, że nie ustąpimy — władza poszła na ustępstwo. Kiszczak spotkał się z Wałęsą strajkującym, co było naszym olbrzymim zwycięstwem. Po powrocie Wałęsa powiedział, że będzie „okrągły stół”. Przedstawił zręby projektu, który dość dobrze pokrył się z tym, co podpisano osiem miesięcy później. Rozmowy miały rozpocząć się w ciągu kilku dni.

K.CZ.: — *A poufne rozmowy?*

K.W.: — Powołanie w grudniu 1988 roku Komitetu Obywatelskiego było dowodem, że proces jest zaawansowany. KO stał się nadbudową ruchu, mającą trzymać ten ruch „w ryzach”. Ukuto formułę, że budowanie „od dołu” (do czego zawsze dążyli strajkujący) zastąpi się budowaniem „od góry” — odpowiednia elita „Solidarności” i opozycji będzie od góry kształtować organy związku, blokujące i racjonalizujące spontaniczne tendencje.

K.CZ.: — *Kiedy zawarto kontrakt?*

K.W.: — Komitet Obywatelski był jego elementem, kontrakt musiał więc być umówiony wcześniej. Sądzę, że jesienią.

K.CZ.: — *Ale władza bardzo pokrzykiwała wówczas na opozycję!*

K.W.: — Uzyskano dzięki temu uboczny efekt — władza jest twarda, a my robimy swoje, nie oglądając się na nic. Jesteśmy więc twardzi.

K.CZ.: — *Gdzie toczyły się rozmowy?*

K.W.: — Nie wiem.

K.CZ.: — *Jak reagowali na nie członkowie Komitetu Obywatelskiego?*

K.W.: — Wielu miało świadomość, że są kukiełkami. Godzili się z tym, wierząc, że jest to teatr pożyteczny, a poza tym byli kukłami nie pierwszy raz w życiu.

K.CZ.: — *Ciągle jednak nie rozpoczynał się „okrągły stół”...*

K.W.: — Mogę się tylko domyślać, dlaczego. Strajkujący chcieli wąskiej formuły: „Solidarność” za coś konkretnego (tj. nie „re”, lecz legalizację i zobowiązanie, że nie dojdzie natychmiast do sytuacji z 12 grudnia 1981: dwie strony w ostrym konflikcie). Władze natomiast myślały o wbudowaniu „Solidarności” w cały system zabezpieczeń.

K.CZ.: — *Były jakieś „przecieki” na temat zawieranego kontraktu, czy wszystko odbywało się w wielkiej tajemnicy?*

K.W.: — Tajemnica sugeruje złą wolę. Wolałbym mówić o poufności. A o to bardzo zadbała strona społeczna. Długodystansowe wyprzedzanie „okrągłego stołu” przez „czapkę” — KO — najlepiej o tym świadczy. Społeczeństwo powiadomiono o możliwości podjęcia rozmów, kiedy była już utworzona reprezentacja. Wcześniej zatem opozycja wykonała ileś ruchów w celu opanowania struktury związkowej. Sądzę, że np. pojawienie się Grupy Roboczej Komisji Krajowej mogło być w części nieświadomą reakcją na to, że coś się dzieje. Wiedzieli, że pozbawia się ich wpływu na związek, ale nie orientowali się w detalach. Kierownictwo „Solidarności” uznało widocznie, że nad zapleczem może zaprowadzić tylko dzięki poufności ustaleniom.

K.CZ.: — *Są dowody na zawarcie kontraktu przed stołem?*

K.W.: — Wystarczy stenogram z przebiegu posiedzeń. Od początku powoływano się na wcześniejsze, przedstołowe ustalenia. Pojawiały się również kwestie nowe, niespodziewane (jak indek-

sacja, która wywołała tyle niespodziewanych emocji), ostatecznie jednak opozycja ustąpiła z większości spraw — poza legalizacją — a strona rządowa przeprowadziła w całości to, co prezentowała jako pakiet. Łącznie z prezydentem umówionym wcześniej, podanym na „stole politycznym” na początku rozmów. Wraz z ordynacją wyborczą do Sejmu. Zaproponowano nawet, by prezydenta wybrał obecny Sejm, a „okrągły stół” miałby go wskazać. Nasza strona w panice zaapelowała o wycofanie tej propozycji na parę tygodni. Reykowski wycofując projekt powiedział: rozumiem, że nie ma sporu o „czy”, tylko „kiedy”. Michnik z Hallem gwałtownie potakiwali głowami. Inny przykład. Już w połowie „okrągłego stołu” wiadomo było, że w całym kraju przy regionach „Solidarności” powstaną Komitety Obywatelskie do spraw wyborów. I także jeszcze podczas obrad „Solidarność” otrzymała projekt rozdziału na województwa mandatów bezpartyjnych do Sejmu, ba, uzyskała wręcz w nim pewne zmiany — co zatajono.

K.CZ.: — *Czy stół przyniósł nowe efekty polityczne?*

K.W.: — Poza Senatem tylko drobiazgi. Ale miał znaczenie sam w sobie, jako negocjacje. Był faktem politycznym, którym miliony ludzi żyły przez dwa miesiące.

K.CZ.: — *Czy związek obowiązuje umowy zawarte poufnie?*

K.W.: — Można powiedzieć, że nie. Ale przewodniczący ma bardzo mocną pozycję, może mianować władze, instytucje, i to nie tylko związkowe, ale również obywatelskie. Jego szalona przewaga nad wszystkimi autorytetami powoduje, że choć poufne porozumienia związku nie obowiązują, to trzeba się z nimi liczyć, gdyż od tego zależy wiarygodność przywództwa związkowego.

K.CZ.: — *Skoro wszystko ustalono wcześniej, dlaczego stół trwał tak długo?*

K.W.: — Mógł trwać ile chciał. Tam nie było żadnego niepokoju, że coś się przedłuża. Trudności były, oczywiście, ale nie takie, by mogły rzeczywiście zagrozić kontraktowi. Porozumienie wypracowali ludzie kompetentni, później rzecz została podzielona na wiele zespołów, gdzie dominowało gadulstwo. „Okrągły stół” był dziwolągiem, więc wyszły na jaw wszystkie jego braki. Negocjatorzy nie wprowadzeni w meritum polityczne zauważali w trakcie rozmów, że wszystko jest pisane palcem na wodzie. Chcieli zaczepić się o konkrety, ale władza zajmowała twarde stanowisko. Usiłowano więc zapisywać choćby jakieś szczegóły, by nie wyjść z piaskiem w rękach. Bardzo dramatycznie wyglądało to przy

stoliku ekonomicznym i polityki społecznej. Ostatniego dnia, po dwóch miesiącach rozmów, nasza strona — poza Trzeciakowskim — zaczęła się zastanawiać, czy podpisywać to porozumienie, którego częścią była sławetna indeksacja, a której OPZZ nie podpisało. W pewnym momencie zażądaliśmy wprowadzenia do protokołu, że wszystkie uzgodnione zapisy będą przez władze realizowane. Baka odpowiedział: podpisywanie takiego zobowiązania byłoby zupełną nieodpowiedzialnością, gdyż władza nie wie, w jakim stopniu będzie mogła zrealizować te zapisy, być może w 30 procentach. A poza tym proszę tu nie dyskutować, bo to zostało już uzgodnione w Magdalence!

Nasza strona podskoczyła z przerażenia i zapytała, po co w takim razie siedzieliśmy tu dwa miesiące?! A Trzeciakowski zwrócił uwagę, że przyjęto niewłaściwą metodę rozmów (4 kwietnia na to wpadł!) — zamiast uzgadniania tego, co możliwe, rozmawiano o tym, co potrzebne, i to jeszcze w ujęciu kompromisowym.

Po tym wydarzeniu trzeba było właściwie zacząć rozmowy od początku...

K.CZ.: — *Czy był to jeden z elementów wcześniejszego kontraktu?*

K.W.: — Nie. „Solidarność” zawierała umowę, wierząc, że obie strony mają uczciwe zamiary. Nie będę powtarzał opinii głównych protagonistów tej umowy, ale jeden z nich powiedział na przykład, że ekipa, która jest obecnie u władzy, chce Polskę wyprowadzić z socjalizmu i przyłączyć do Europy.

Dodajmy też — gdyż wpływało to znacznie na przebieg rozmów — że większość przewodniczących stołów nie orientowała się w kontrakcie. Na przykład samorządy lokalne — stolik Regulskiego — uznawano po stronie „Solidarności” za jeden z zasadniczych elementów kontraktu. I co się stało? Zrezygnowano z samorządności, w Sejmie leży ustawa o własności komunalnej, która blokuje jej rozwój na przyszłość, a na dodatek prezydenta obdarzono kompetencjami nadzoru nad radami narodowymi, co całkowicie likwiduje możliwość samorządności.

K.CZ.: — *Może sam kontrakt nie był zbyt precyzyjnie ustalony?*

K.W.: — Nie wiem.

K.CZ.: — *Co się stało ze zgłaszanymi przez „Solidarność” węzłowymi punktami?*

K.W.: — W żadnej z czterech podstawowych kwestii — samorządy lokalne, stowarzyszenia, praworządność, mass-media — nie uzyskano znaczącego postępu. A przecież przedstawiono je jako dodatkowe zyski. Strona społeczna dostała tylko „Solidarność” i musiała za swój wielki sukces uznać uzyskanie 35 % w Sejmie i wolne wybory do Senatu.

K.CZ.: — *Co więc zostanie ze stołu po odrzuceniu piasku propagandowego?*

K.W.: — Istnienie legalnej „Solidarności”, ale z wielkim wewnątrzpolitycznym i wewnątrzspołecznym konfliktem. To olbrzymi zysk władzy. Porozumienia pofne nie obowiązują ludzi, którzy do dzisiaj nic o nich nie wiedzą. Dlatego będą organizować „Solidarność” jako wolnościową rewolucję, która ma kraj doprowadzić do demokracji. Kierownictwo związku jest jednak związane umowami. Może dojść do poważnych spięć. Już są konflikty między młodzieżą a kierownictwem „Solidarności” w Gdańsku; ci pierwsi bojkotują wybory i stół.

K.CZ.: — *Konflikty pojawiały się już w czasie stołu...*

K.W.: — Ukrywano je. Prosta technika — niczego nie osiągnięto w sprawie samorządu lokalnego, więc zamiast wydać komunikat i przerwać rozmowy, ustalono powołanie komisji, która będzie pracować w przyszłości. W ten sposób ukryto kardynalne ustępstwo. W dniu zapadnięcia decyzji, w wieczornej relacji telewizyjnej Kuroń mówi: walczyliśmy, załatwiamy, a Bujak deklaruje: ważną sprawą są dla nas samorządy lokalne, będziemy walczyć itd. Właśnie w dniu, kiedy zrezygnowano z walki o nie.

K.CZ.: — *Co w czasie rozmów zaszokowało Cię najbardziej?*

K.W.: — Kwestia prezydenta. Nie byłem wprowadzony we wcześniejsze ustalenia. Zająłem się tą sprawą i szybko okazało się, że strona rządowa ma dobrze przemyślaną koncepcję. Zapytałem nieco prowokacyjnie Reykowskiego, jak sobie wyobraża to, że marszałek Jaruzelski zostanie zaakceptowany przez naród jako prezydent, ojciec narodu? Odpowiedział, że bardzo dobrze sobie to wyobraża. Jaruzelski jest popularny, w badaniach opinii publicznej zaraz po Glempie, a Piłsudski też był kontrowersyjny. Nie obawia się — zapytałem — że sprawa prezydentury jest rafą, o którą rozbije się „okrągły stół”? Nie ma takich obaw, odpowiedział. Później zaskakiwały mnie ciągle rosnące kompetencje prezydenta. Temu wszystkiemu towarzyszyło ukrywanie faktu,

że tym prezydentem będzie Jaruzelski. W sprawozdaniach strony społecznej jego nazwisko nie padło ani razu. A zwyczajna uczciwość wymagała jasnego postawienia sprawy. W tej kombinacji politycznej 13 grudnia zostanie zinterpretowany jako zamach majowy. Stan wojenny jako sanacja, uśmierzenie anarchii i powstrzymanie rozpadu państwa, które było bezrządne... Jaruzelski będzie ojcem narodu, który uratował państwo, a opozycja potwierdziła ten fakt przy „okrągłym stole” — ustalając dla niego specjalny urząd.

K.CZ.: — Czy „Solidarność” musiała podpisać ustalenia poszczególnych stolików, by uzyskać legalizację?

K.W.: — Tu była pułapka. Chciano pozafatwiać różne sprawy, a władza wciągnęła nas w pozorne rozmowy o państwie — stworzono pozory obszernej, dwumiesięcznej debaty nad stanem państwa. Ustępliwość strony społecznej wyniknęła z istoty przyjętej metody. Reiff ostrzegał przed tym otwarciem na posiedzeniu „stołu politycznego”, mówiąc o niebezpieczeństwie zbliżania się do komunistów, że jeszcze dotychczas nikt, kto się zbliżał nie uniknął wchłonięcia, szczególnie, gdy zbliżał się metodą poufnych negocjacji, utrzymując swą bazę w nieświadomości, a czasami wprowadzając ją w błąd.

K.CZ.: — Czy można było nie zawierać tego przedstołowego kontraktu?

K.W.: — Uważam, że tak. Władza rozumie, że nie ma wiele czasu. Geremek przy stole mówił: zegar bije tylko dla jednej strony — dla władzy. Na przykład nie ma pokrycia na kartki mięsne. Latem musi dojść do radykalnej podwyżki cen i nie da się tego zrobić bez osłony opozycji. Trzeba więc powołać „Solidarność”. Gdyby „Solidarność” opierała się wpisywaniu w system, uzyskaby sytuację, w której władza sama chodziłaby za związkami, by przyjąć legalizację. Rachunek byłby wówczas o wiele jaśniejszy. Komuniści nie mogą już dalej rządzić sami. Muszą zgodzić się na „Solidarność”, ratuje ich tylko koalicja. Historycznie biorąc, powinno było dojść do porozumienia. Należało jednak spokojnie czekać, a nie ulegać presji władzy.

K.CZ.: — Jak wytłumaczyć, że tak liczne grono godnych osób, reprezentujące „Solidarność”, dało sobą — jak twierdzisz — manipulować przez Geremka, Kuronia, Michnika?

K.W.: — Dobrano ludzi niepolitycznych: Trzeciakowski, Koz-

łowski, Grabska, Kuratowska, Strzembosz, Regulski... To ludzie, którzy w dobrej wierze przyjęli — tak, jak im to powiedziano — oszałamiające perspektywy procesu, który został przez „okrągły stół” zapoczątkowany. Wyobraź to sobie. Zbiera się ich i mówi: widzicie państwo, strajki nie pomogły, wieloletnia walka nic nie dała, a my tu tyle załatwiliśmy. Zaufajcie nam, ponieważ dokonaliśmy rzeczy, wydawało się, niemożliwych. A jeżeli poprowadzimy sprawy mądrze, kompetentnie i w zespole będziemy mieli wzajemnie do siebie zaufanie, to pójdziemy tak daleko, jak nikomu się jeszcze pół roku wcześniej nie śniło. Znana teza. Wszystko to firmuje Lech Wałęsa, więc ci ludzie dobrej woli dostali swoją działkę i uznali, że muszą wszystkie siły oddać sprawie, na której się znają. To taka typowa pułapka bolszewicka, kiedy wynajmuje się speców od problemów. Ci robią swoje i wylatują na śmietnik albo stają się funkcjonariuszami grupy (jeśli zaakceptowali ducha neobolszewizmu). Strzembosz właśnie zrobił co do niego należało, a następnie, budząc się z ręką w nocniku — zaprotestował. Temu „ustawianiu” sprzyjał brak łączności, informacji międzystolikowej, rezygnacja z myślenia o całości. Wszyscy dążyli tylko własny problem, myśląc, że gdzieś tam na górze ci wielcy specy czuwają nad całym przedsięwzięciem.

K.CZ.: — I pilnowali?

K.W.: — Można to i tak nazwać. Ale jeszcze jedno ważne spostrzeżenie. Przy wszystkich stolikach — poza politycznym — władze zachowały się właściwie tak samo, to był jeden schemat. Władza jest aparatem hierarchicznym i oni realizowali jedną dyrektywę. Po prostu rzecz przebiegała rutynowo we wszystkich stolikach. Przychodziła na posiedzenie ekipa władzy i mówiła: wspaniale, wreszcie rozmawiamy, mamy tylko jeden cel — dobro państwa i narodu, razem wypracujemy sposoby, scenariusz wprowadzenia kraju z kryzysu, upadku. Strona społeczna składała podobną deklarację i dodawała np. przy stoliku o samorządzie lokalnym, że konieczne jest uczynienie samorządów lokalnych w pełni autentycznymi. Od tego startowano. Wszyscy byli ucieśnieni. Podobnie przy stoliku prawnym — żeby była praworządność, w prasowym żeby była wolność prasy itd. I zaczynano pracować. Władza była ucieszona, gdyż dawno, od IX plenum, albo od X Zjazdu, albo z innej jeszcze okazji, chciała — jak twierdziła — podobnych przemian. W miarę pracy okazywało się, że uzyskiwano masę waty i żadnych poważnych konkretów. Strona społeczna próbowała walczyć. Wreszcie robiono protokół rozbieżności i na tym się kończyło. Władza przy każdym stoliku umiejętnie podsyciała nadzieję, że może coś się uda załatwić, żaden zaś ze szczególnych stolików nie czuł się w prawie, by

zerwać rozmowy. Nawet biedna młodzież miała nasadzonego na siebie Andrzeja Celińskiego, który sam przejął obowiązek walki z Millerem, dzięki czemu pozbawił swoją delegację prawa głosu i wplątał ich w podpisanie zupełnie absurdałnego porozumienia. Oni, oczywiście, płakali, że uważają ten stółik za niepotrzebny dziwoląg, no, ale co z tego. Podpisali, co trzeba.

K.CZ.: — *Przy stoliku górniczym jednak szykowało się zerwanie rozmów?*

K.W.: — Dlatego, że była tam autentyczna ekipa strajkowa, a nie wynajęci inteligenci, którzy nie poczuli się do własnej podmiotowości politycznej. Górnicy mieli poczucie własnej siły, godności i uznali, że odchodzą od stołu. Wówczas Kuroń z Mazowieckim zostali nasadzeni na nich i wydusili jakieś trzy punkty porozumienia (mało ważne, socjalne) i już było co podpisać.

Gdy okazało się, że stoliki nic nie przynoszą, za sukces zaczęto uważać 35 % w Sejmie. A przypomnijmy, że wcześniej było to ciężkim obowiązkiem, jaki należy na siebie przyjąć, poświęcić niejako, żeby uzyskać legalizację „Solidarności”. W tej chwili okazuje się, że wszystkie siły należy poświęcić na wybory, znowu jest sytuacja zagrożenia, wiecznie ten front, charakterystyczny dla bolszewizmu, wiecznie walka o coś, militaryzacja, w związku z czym odrzucenie — okresowe — demokracji, zatajanie informacji, gdyż tak trzeba, a więc zdanie się na kierownictwo, które jedyne wie o co chodzi. Trzeba je poprzeć z pełnym zaufaniem... Po wyborach będzie jakaś następna sytuacja. I tak w kółko Macieju.

K.CZ.: — *Wiele osób ulega tej atmosferze.*

K.W.: — Ba, ale to zostało sztucznie stworzone i jest sztucznie podtrzymywane obecnie, np. przez zamrożenie podwyżek cen do wyborów. A więc łatwo ludzi wabić do wyborów i twierdzić, że jest to coś nowego i ekscytującego. Ale natychmiast po wyborach rzeczywistość zaskrzeczy i to straszliwym głosem — wzrost cen będzie gwałtowniejszy, tym bardziej, im bardziej się go teraz hamuje. Otworzy się pole rozliczeń z „okrągłym stołem”. Chyba, że zostanie wymyślone coś nowego.

K.CZ.: — *Czy obie strony równie silnie obawiały się „buntu mas”?*

K.W.: — Porozumiano się w ogólnej atmosferze obawy przed „rewolucją”, która zniszczyłaby Polskę, *pierestrojkę*, a cały świat

pograżała w mrokach zimnej wojny. Mówiono także, że rozsądni muszą się porozumieć, gdyż na rynku rośnie znaczenie radykalnych. Ekstremiści się tuczą. Trzeba zatem ich blokować i to zadanie władza wzięła na siebie (bijąc młodzież w Krakowie, stosując represje wobec KPN-u itd.), przy milczeniu strony solidarnościowej. Ale — właśnie. Pufna umowa spowodowała, że „Solidarność” nie mogła się odwołać do własnego zaplecza, powiedzieć, że władze oszukują, że postępują wbrew umowie itd. Istniała groźba, że władze wskażą wówczas inne elementy poufnych uzgodnień. Władza okrutnie to wykorzystwała.

K.CZ.: — *I tak nasza strona powoli ześlizgiwała się... Czy to bardzo zaszkodzi „Solidarności”?*

K.W.: — „Solidarność” ma zbyt żywą naturę. Większe niż poprzednio pole działania może jej tylko pomóc. Legalizacja doda energii. Sytuacja narodu, państwa, społeczeństwa nie zmieniła się. „Solidarność” odżywa, a pewna nieczystość tego wtórnego wypłynięcia na powierzchnię nie musi mieć niszczących skutków. Myślę, że stanie się znowu wewnętrznie zdrową siłą. Przy narastającym jednak konflikcie między kierownictwem „Solidarności” a masą, która nie zdaje sobie sprawy, że założono jej wędzidło... W momencie, gdy nadgryzie to wędzidło, to — no właśnie, co zrobi?

K.CZ.: — *Ale przecież może to być skutek korzystny. Sensowne pokierowanie społeczeństwem zamiast ślepego wybuchu?*

K.W.: — Oczywiście — i to trzeba mocno podkreślić — nasi negocjatorzy zawarli porozumienie nie przeciw społeczeństwu, lecz w jego interesie. Tak, jak go sobie wyobrażali. To jest cały dramat „okrągłego stołu”: ludzie, którzy zawarli ten kontrakt zaliczają się do najbardziej patriotycznych przedstawicieli niezależnego społeczeństwa. Oni chcieli dobrze.

K.CZ.: — *Można zatem tylko zastanawiać się, czy metoda jaką przyjęli okaże się skuteczna i jak ją oceniamy?*

K.W.: — Uważam, że z bolszewikami należy walczyć przy użyciu metod demokratycznych. Zawsze należy bardzo dbać o kontakt z własnym zapleczem, ze społeczeństwem. Próba tworzenia partii wewnętrznej, oddzielenia wtajemniczonych od niewtajemniczonych, później odpowiednia polityka kadrowa itd. wikała w bolszewizm. Pojawiają się wtedy dwa bolszewizmy: zły bolszewizm władzy i dobry neobolszewizm opozycji.

K.CZ.: — *Ludzi nie jest tak łatwo oszukać.*

K.W.: — Właśnie. Byłem przerażony szumem propagandowym wokół stołu, sądziłem, że wszyscy dadzą się oszukać. Widziałem z bliska to, co robiono przy stole, ale inni? Okazuje się, że nic takiego nie nastąpiło. Ci, co byli daleko i nie mieli żadnych szczegółowych informacji, nie rozmawiali z Reykowskim i Geremkiem, wiedzieli równie dobrze jak ja, co się dzieje. Ludzie mają wystarczające doświadczenie. To skutecznie immunizuje wobec bolszewizmu.

K.CZ.: — *Pierwszy sygnał o możliwości wyrażania się mieliśmy już po stole przy okazji wyłaniania kandydatów „Solidarności” do Sejmu i Senatu. Zwróciła na to uwagę część działaczy „Solidarności” — Hall, Mazowiecki, Olszewski, Lipski, Strzembosz — publicznie protestując przeciw niedemokratycznemu trybowi procedury wyborczej.*

K.W.: — Sami jednak wcześniej stworzyli tak układ. Przecież to tylko pochodna „okrągłego stołu”. Powinni to wiedzieć. Na końcu mówią *non possumus*, to trochę naiwne. Najbardziej jednak przygnębiała w czasie stołu atmosfera podsycana przez tamtą stronę i ochoczo podtrzymywana przez naszą: oto tutaj spotkała się koalicja sił rozsądku. A ci, którzy nie są reprezentowani — są nierozsądni. Może nie to, że nie są patriotami, ale nie rozumieją dobrze dobra Polski. Oczywiście chodzi o odróżnienie od innych, nielewicowych tendencji politycznych, ale rzecz jest też poważniejsza. Mianowicie — i tu się to łączy z duchem bolszewizmu także w naszej ekipie — wytworzyła się taka atmosfera, że władza, która z natury rzeczy — jako władza namiestnicza — jest elitarną strukturą, rozmawia z elitą społeczeństwa, która zdaje sobie sprawę z tego, że społeczeństwo jest nieodpowiedzialne, niedojrzałe. Przy „okrągłym stole” złożono wiele tego typu deklaracji. Wałęsa gdzieś powiedział, że Polacy jeszcze nie dojrżeli do demokracji. Michnik napisał, że przed Polską stoją różne rodzaje zagrożeń, m.in. zagrożenie iranizacją. W ogóle używano wielu tego typu określeń. Sama formuła poufnych uzgodnień narzucała atmosferę. Dbano, by nic nie „przebiegło” do społeczeństwa, które może „nierozumnie zareagować”. Przywódcy „Solidarności” powoływali się na strajki jako źródło siły społecznej, a tymczasem rozmowy przebiegały w zupełnie innym duchu — musimy nie dopuścić do spontanicznych reakcji, nie możemy zdać się na swobodnie wyrażoną opinię publiczną. To był element zmywy przeciwko społeczeństwu. Nasza strona działała na zasadzie: zrobić coś dla niemądrego, niedojrzałego narodu, ale warunkiem powodzenia działań jest, żeby naród się nie wtrącał. Ponieważ jednak on nie potrafi się nie wtrącać, gdy coś wie,

więc lepiej by nic nie wiedział. Według starej tezy: dla Polaków można czasem coś zrobić, z Polakami — nigdy. Ta atmosfera była dla mnie istotnym, głębokim sprzeniewierzeniem się idei „Solidarności”. Wydawało się, że po sierpniu 1980 roku w tym kraju nie ma nikogo, szczególnie po stronie społecznej, kto by się odważył myśleć, że społeczeństwo polskie jest niedojrzałe, że nie jest w stanie zrozumieć i zaakceptować kompromisów, consensusów, tego wszystkiego, co nazywa się polityką realną. To odstępstwo od dobrej wiedzy o Polakach było dla mnie czymś może najbardziej przygnębiającym w czasie stołu.

K.CZ.: — *Kto faktycznie podejmował decyzje?*

K.W.: — Najważniejszy był Geremek. O wszystkim decydowali Michnik, Kuroń i Geremek, w pewnej fazie Mazowiecki. Ta grupa używała za zasłonę to Frasnyniuka, to Bujaka, to Gila (przy ich akceptacji), którzy politycznie nie mieli nic do powiedzenia. Charakterystycznym skutkiem tej dominacji dysydentów, byłych komunistów, stał się przypadek z harcerzami Rzeczypospolitej. Kiedy dyskutowano tę kwestię, Kuroń powiedział, że ma dobre i złe doświadczenia z harcerstwem, że rozbijał je kiedyś jako komunista, tworząc czerwone harcerstwo — i nauczony tym doświadczeniem jest przeciwny dzieleniu. Było to tak absurdalne, że jedynie fakt, że mówił to znany z absurdów politycznych człowiek, tłumaczył tę wypowiedź. Władza podchwyciła tę kwestię, zapytała, czy może wypowiedź Kuronia potraktować jako opinię strony opozycyjno-solidarnościowej. Na to Geremek powiedział, że w każdym razie można uznać, że nasza strona jest przeciwna dzieleniu młodzieży — i oczywiście harcerstwo Rzeczypospolitej padło.

To dobry przykład skutków dominującej roli ludzi niereprezentatywnych dla związku i społeczeństwa. Ci ludzie zmienili poglądy, ale nie zmienili metod uprawiania polityki. Te, które stosują, są bolszewickie. Ten nastrój koalicji lewicy, kiedy Geremek oświadcza, że ma nadzieję, iż słowo „socjalizm” odzyska swój blask. Wspólna władzy i „opozycji stołowej” obawa przed zagrożeniem populistyczno-nacjonalistycznym, przed zdziczałym społeczeństwem, które czyha tylko, by ten kraj rozwalić, były oburzające. Dziwiła obecność Olka Halla, który słuchał spokojnie tego wszystkiego, uznając widocznie, że w tym procesie (na który nie ma żadnego wpływu) uchowa na boku swojego przeciwnika.

Udział ludzi nie należących do jacejki — Halla, Króla — a biorących udział w tej farsie, uważam za szczególnie nieodpowiedzialny politycznie. Głównie dlatego, że wszystkie inne osoby, mające krytyczne zdanie o stole, przesunęło to automatycznie na

pozycje niekonstrukttywne — niezrozumienia interesu narodowego i racji stanu.

Obecna ekipa kierownicza „Solidarności” dzięki „przyklejeniu” się do władzy stała się monopolistą w związku, zdobyła wyjątkową pozycję. Tym ludziom wydaje się być może, że uratowali kraj. Kuroń, Geremek, Michnik, nawet Hall wielokrotnie mówili, że czeka nas rewolucja, a na to nie możemy sobie pozwolić, musimy zastosować model ewolucyjny, a ten model to właśnie to, co uzgadniamy. Między rewolucją a ewolucją jednak, taką jaką tutaj przygotowano, jest jeszcze wiele stopni pośrednich. Strajki są małymi rewolucjami i okazują się bardzo skuteczne: rezygnacja z nich na rzecz ciągłej, spokojnej ewolucji jest iluzją. Myślę, że krzykzenie o rewolucji, wojnie domowej i innych kataklizmach, które pogrążą Polskę na kilkadziesiąt lat, było samousprawiedliwianiem się. Można było twardo czekać, nie rezygnując z porozumienia.

Z grupy ludzi nie mających nic do powiedzenia wybijał się jedynie Siła-Nowicki, który parokrotnie dramatycznie zabierał głos, ostrzegając i krytykując zmwę. Ale nie miało to żadnego znaczenia.

K.CZ.: — *Może catość pertraktacji z natury rzeczy wymaga poufności, działań zakulisowych? Może działacze „Solidarności” nie byli figurantami?*

K.W.: — Bujak, Lis i inni nie mają własnego oblicza politycznego ani żadnego znaczenia. To są ludzie dyspozycyjni — i wszyscy, łącznie z nimi, o tym wiedzą. Zachowują się biernie, dostosowują do wymagań. Zapytałem jednego z takich figurantów po którymś spotkaniu w Magdalence: co sądzisz o ustaleniach o prezydencji? — Zachowałem się tak, jakbym złożył *votum separatum* w stosunku do tych decyzji. — A złożyłeś? — Nie. Przecież jesteśmy zespołem. Itd., itp. Człowiek, który odważyłby się zaprotestować, byłby wykluczony i okrzykany jako nielejalny wobec zespołu negocjującego. A tu otwierały się podwoje wielkiego świata. Milczeli albo wycofywali się, nie bywali.

Inny z jeżdżących do Magdalenki powiedział mi, że niemal wpadł pod stół, kiedy usłyszał, o czym się tam mówi. Ale nie zaprotestował, obawiając się wykluczenia.

K.CZ.: — *Kontrakt wyborczy i prezydent — to już znamy. Czy tajne porozumienie kryje jeszcze jakąś tajemnicę?*

K.W.: — I to jaką! Nie ujawniono przecież Komisji Porozumiewawczej, jej istoty. Przy ochoczej zgodzie strony społecznej powołano strukturę pozaprawną, pozakonstytucyjną. Znowu pa-

radoks. Opozycja walczy o praworządność, a wytwarza strukturę będącą zaprzeczeniem prawa. Jakie będą kompetencje tej komisji? Czy będzie to wspólny Komitet Obrony Kraju? Ciało decydujące o wszystkim, bez określenia kompetencji i odpowiedzialności? Ci, którzy brali udział w rozmowach w Magdalence twierdzą, że będzie to trzecia izba parlamentu — najważniejsza. Ma to być prawdziwe centrum wspólnej władzy.

K.CZ.: — *Jawnie jednak podpisano zgodę — 80-procentowa indeksacja — na obniżenie poziomu życia?*

K.W.: — Jak kto umie czytać, to przeczyta. Indeksacja prezentowana jest jako sukces „Solidarności”. Gdyby sprawozdawcy zagraniczni i krajowi donieśli, że strona społeczna zgodziła się na obniżkę poziomu życia bez żadnej gwarancji, iż będzie lepiej, że zobowiązała się do gaszenia strajków...

K.CZ.: — *Ale nie donieśli...*

K.W.: — Na tym właśnie m.in. polegały machinacje ze stołem. Wywalczając drobne zmiany, zaakceptowano *de facto* cały obecny układ prawny. Złożono np. do protokołu krytyczną ocenę specjalnych uprawnień dla rządu w sferze gospodarki, ale podpisując stół ekonomiczny zgodzono się z systemem gospodarczym. Teraz zostaje już tylko droga wewnętrznych przemian, jak należy przypuszczać mało albo całkiem nieskutecznych. Dalej, uzyskano okrojoną ustawę o stowarzyszeniach, wcześniej zresztą uzgodnioną z Kościołem, a nie uzyskano o zgromadzeniach. Klęski są poważniejsze od sukcesów. To właśnie jednak ukryto.

I jeszcze pewien paradoks. Wydaje się, że społeczeństwo uzyskało w trakcie „okrągłego stołu”, w pewnej jego fazie, największą po wojnie moc stanowiącą w państwie. To się długo nie powtórzy. Po zakończeniu stołu na państwo możemy już oddziaływać tylko w formie pośredniej, mało skutecznej, w parlamencie, drogami prawnymi itd., czyli przez to wszystko, co stanowi cechę społeczeństw demokratycznych: my jednak nie jesteśmy demokracją. Niewykorzystanie sytuacji, kiedy mieliśmy największy potencjał presji, musi mieć swoje poważne konsekwencje. Znowu — władze nie zgodziłyby się na to, żeby ten potencjał presji był potężny, prawdziwie potężny, na jaki wyglądał, gdyby nie wcześniejsze ustalenia bezpieczeństwa dla władzy. A zatem staliśmy się opozycją wewnątrzustrojową. Ale „okrągły stół” jest niesuwerenny, nierzeczywisty, nie tylko z powodu zafałszowań, mistyfikacji wewnętrznych, ale także ze względu na układ międzynarodowy. Kraje zachodnie i wschodnie chciałyby, że Polska ustabilizowała się i zeszła z pierwszego planu polityki europejskiej.

A zatem są naciski na obie strony do zawarcia porozumienia. Nasza strona popełniła błąd, przyjmując formułę biernego wykorzystania koniunktury międzynarodowej, zamiast formuły ofensywnej. Problem Polski należy umiędzynarodowić i nie wolno go zaklepać w imię stabilizacji europejskiej. Stabilizacja europejska jest dobra, ale rozwiązanie polskiego konfliktu musi być warunkiem pozytywnego rozwoju sytuacji europejskiej, a nie odwrotnie. Oczywiście, nie należy szarżować, ale nie należy poddawać się jakiemuś francuskiemu, amerykańskiemu czy sowieckiemu dyktatowi w tej kwestii. Nie możemy udawać, że jest nam dobrze tylko dlatego, żeby proces rozbrojeniowy toczył się bardziej gładko.

K.CZ.: — *Rozgłośnie zachodnie skrzętnie pomijały sprawy niewygodne, które mogłyby wyrzucić „okrągły stół”.*

K.W.: — To prawda, że Europie szczerze zależy na pozytywnych przemianach w Polsce. Jednak nie będzie ona dbała w szczególności o autentyczność tego procesu. To jest zadanie Polaków. Więc jeżeli Polacy godzą się na pozorne zmiany, to tym lepiej. Oby tylko szybciej. A przecież to zainteresowanie Europy należało przekuć na presję na władzę. Oczywiście, na stronie społecznej spoczywa odpowiedzialność polityczna, zwłaszcza w tym sensie, że nie można dopuścić do wojny domowej, ale poniżej tego punktu jest jeszcze wielkie pole, które oddano Europie i ZSSR do dyspozycji, nie wykorzystując go. Przykładem jest Piłsudski, który ponad oklaski świata przedkładał interes narodowy. To że Wałęsę prezentowano szablą i grano jakąś muzykę w Paryżu nie jest wskaźnikiem poważnego traktowania Polski przez Mitterranda.

Należy unikać pozorów i zgody na pozory. Niech proces w Polsce będzie wolniejszy, ale autentyczny. Ponieważ nie zadbało o to, jeszcze w tym roku czekają nas wszystkie kataklizmy, zagrożenia, które usiłowano zaczarować czy podarować Europie zachodniej i ofiarować ZSSR na ołtarzu *perestrojki*.

K.CZ.: — *Chodzi o odtworzenie sporu, który został przerwany „okrągłym stołem”.*

K.W.: — Dokładnie. Kiedy się okaże, że kraj jest w ruinie, że kredyty są niewielkie i mogą dopływać bardzo powoli, że władze nie są zainteresowane rzeczywistą zmianą systemu politycznego, gospodarczego, prywatyzacją...

K.CZ.: — *Właśnie, jak to się dalej potoczy?*

K.W.: — Sądzę, że szybko dojdzie do sytuacji, którą osiągnęli-

byśmy przy innym przebiegu „okrągłego stołu”, gdyby proces był naturalny, autentyczny, taki, jaki został wypracowany w wyniku strajku sierpniowego. A zatem „okrągły stół” z uczciwą, w każdym razie poważną rozmową o przyszłości Polski. Pozorne ruchy i próba nałożenia „Solidarności” kagańca według mnie nie mogą się powieść, również na skutek dramatycznej sytuacji gospodarczej. No, i w wyniku rozwoju sytuacji politycznej. Środowiska pominięte, kiedy zobaczą, że usiłuje się je zepchnąć w nielegalność, poza płaszczyznę racji stanu i poważnie pojmowanego patriotyzmu, zdecydują się na swobodne myślenie i działanie. Myślę, że już jesienią „Solidarność” zacznie wracać do swojego nastroju z przeszłości, poczuje, że znowu na niej spoczywa obowiązek walki o wolność i demokrację, o sensowną gospodarkę w Polsce.

K.CZ.: — *Sądzisz zatem, że społeczeństwo zweryfikuje „stół”?*

K.W.: — Zostanie on zweryfikowany przez rzeczywistość. Jest taka teza, że jeżeli uda się — dzięki temu teatrzy — chwycić pomoc zachodnią, to uda się poprawić sytuację życiową społeczeństwa na tyle, żeby uznało ono, iż jest to dzieło „okrągłego stołu”. Myślę jednak, że nie będzie to możliwe. To taka próba powtórzenia Gierka — otwarcie polityczne w Polsce spowoduje napływ pieniędzy z Zachodu, to z kolei spowoduje stabilizację polityczną i spokojny, ewolucyjny rozwój kraju. Skończy się to tak samo jak z Gierkiem.

K.CZ.: — *„Solidarnością”?*

K.W.: — Skończy się nową „Solidarnością”.

K.CZ.: — *Dziękuję za rozmowę.*

Z Krzysztofem WYSZKOWSKIM rozmawiał
Krzysztof CZABAŃSKI

rzono wówczas napisanie odezwy do Narodów Cywilizowanych, która została opublikowana 9 grudnia 1833 roku.

Pierwsza mała biblioteka powstała przy polskiej szkole wojskowej w Paryżu w 1834 roku pod nadzorem kapitana D. Bielińskiego. Została ona zlikwidowana w kilka miesięcy później. Przy Towarzystwie Pomocy Naukowej utworzono czytelnię prowadzoną przez Feliksa Wrotnowskiego. Wszystkie te plany i przedsięwzięcia były długo i namiętnie dyskutowane zarówno w Towarzystwie Pomocy Naukowej jak i w Towarzystwie Literackim oraz w jego Wydziałach: Historycznym (1836) i Statystycznym (1838). W końcu, po długich debatach, 24 listopada 1838 roku został podpisany w mieszkaniu Ludwika Platera akt fundacyjny Biblioteki. Głównym inspiratorem ustawy był Karol Sienkiewicz — pierwszy dyrektor Biblioteki Polskiej pełniący jednocześnie funkcję sekretarza Rady bibliotecznej, której prezesem był Adam Czartoryski. W skład Rady wchodziło dwóch przedstawicieli z czterech towarzystw: gen. K. Kniaziewicz i J. Malinowski z T.P.N.; J. U. Niemcewicz i A. Plichta z T.L.; T. Morawski i K. Sienkiewicz z Wydziału Historycznego oraz L. Plater i Fr. Wołowski z Wydziału Statystycznego. 24 marca 1839 roku, w rocznicę przysięgi Kościuszki na Rynku Krakowskim, Biblioteka Polska w Paryżu po raz pierwszy otworzyła swe podwoje dla publiczności.

Biblioteka powstała z połączenia księgozbiorów czterech Towarzystw — Pomocy Naukowej, Literackiego, Historycznego i Statystycznego. Księgozbiory te nie były zbyt bogate, w grudniu 1838 roku liczyły 2.085 tomów. Zostały złożone w siedzibie najlepiej stojącego finansowo Towarzystwa Historycznego na ulicy Matignon pod numerem 1. Siedziba ta okazała się jednak zbyt mała. Znaleziono więc inny lokal na 10 rue Duphot, gdzie odbyło się wspomniane oficjalne otwarcie Biblioteki. Biblioteka zmieniła jeszcze siedzibę trzy razy. Dopiero w 1853 roku zakupiono kamienicę przy 6 quai d'Orléans, gdzie mieści się do dnia dzisiejszego.

Już w 1843 roku zbiory liczyły 20.000 woluminów. Poza tym zaczęto gromadzić rękopisy, medale, monety, mapy i inne pamiątki polskie. Została powołana grupa badaczy w celu poszukiwania poloników w bibliotekach Francji, Anglii, Włoch, Hiszpanii i Portugalii. Szczególnie prężne okazało się Towarzystwo Historyczne. Należało do niego wielu członków-korespondentów, którzy rozsiani po całej Francji robili wypisy dotyczące historii Polski i poloników z dokumentów bibliotek francuskich.

6 czerwca 1854 roku nastąpiło połączenie istniejących dotychczas towarzystw w Towarzystwo Historyczno-Literackie funkcjonujące do dnia dzisiejszego.

Sprawy i troski

Biblioteka Polska w Paryżu

Po klęsce Powstania Listopadowego większość zbiegów osiadła we Francji, gdzie na wieść o zlikwidowaniu Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Warszawie emigranci założyli w kwietniu 1832 roku Towarzystwo Literackie. Prezesem został książę Adam Czartoryski. W kilka miesięcy później powstało Towarzystwo Pomocy Naukowej, które miało za zadanie pomagać młodym uchodźcom w dostaniu się na uniwersytet, przyznawało stypendia etc. Pomysł utworzenia biblioteki narodowej narodził się w Saksonii. Aleksander Gołyński napisał we wrześniu 1832 roku w Dreźnie manifest, w którym domagał się utworzenia na emigracji polskiej instytucji kulturalnej wraz z biblioteką. Pisał Gołyński między innymi: „Księgozbiór takowy mało znaczący na pozór w początkach stać się może na przyszłość nieocenionym skarbem narodowym i początkiem Biblioteki Narodowej, które ze wstydem dla wieku teraźniejszego nowy Tamerlan dla Polski i nawet dla świata zupełnie zniszczył”.

Leon Wodziński, nie znając prawdopodobnie tego memoriału, wysłał z Lyonu do Towarzystwa Literackiego w grudniu 1832 roku swój projekt dotyczący biblioteki. Wzorując się w nim na XVIII-wiecznej idei Andrzeja Załuskiego, twierdził, że biblioteka powinna powstać we Francji: „Od tylu lat przybrana nasza ojczyzna, dokończycielka ukształcenia młodzieży polskiej, niechaj będzie także składem tego, cośmy kiedyś umieli i co umieć będziemy. Gorliwość Polaków o to wszystko co tylko jest narodowym, jest najpewniejszą gwarancją, że myśl ta założenia Biblioteki Polskiej w Paryżu skutecznie zostanie”. Société Française de Civilisation pod kierownictwem sędziwego generała Lafayette również wystąpiło w 1833 roku z pomysłem utworzenia biblioteki polskiej na emigracji. Adamowi Mickiewiczowi powie-

Biblioteka Polska od początku była bastionem ideowym polskiej emigracji. Informowała rządy Francji, Anglii o tragicznej sytuacji na ziemiach polskich, papieża o ciemieniu Kościoła katolickiego pod zaborem rosyjskim. Skupiała ludzi, którzy walczyli w powstaniu Mierosławskiego w 1848 i brali udział w wojnie krymskiej w oddziałach tzw. Kozaków sułtańskich pod dowództwem Władysława Zamoyskiego. Adam Czartoryski organizował Narodowy Skarb Polski przeznaczony na pomoc powstańcom. Władysław Mickiewicz uczestniczył w wyprawie morskiej Łapińskiego.

Organizowane w bibliotece odczyty stanowiły swoistą katedrę historii polski.

W 1866 roku Napoleon III uznaje Towarzystwo Historyczno-Literackie i jego bibliotekę za instytucje użyteczności publicznej.

Wydarzenia lat 1870-1871, to okres trudny dla Polaków we Francji. Wielu z nich brało udział w wojnie prusko-francuskiej: w lasach burgundzkich poniósł śmierć Hauke-Bossak. Inni przyłączyli się do Komuny Paryskiej, w której zginął Jarosław Dąbrowski. Nie pomogły petycje do rządu Thiersa. Wielu Polaków musiało opuścić Francję po jej klęsce, między innymi, choć na krótko, gen. Walery Wróblewski. Niechęć rządu francuskiego do Polaków przejawiała się na przykład w obcięciu subsydiów dla Szkoły Polskiej, tzw. „Szkoły na Batignolles”, która musiała wkrótce sprzedać swą siedzibę i przenieść się do mniejszego pomieszczenia na ulicy Lamandé, gdzie mieści się do dnia dzisiejszego. Biblioteka Polska również straciła w owym czasie prestiż, jakim cieszyła się w oczach Francuzów. Z braku poparcia finansowego i moralnego zwróciła się do kraju.

W 1871 roku powstaje w Krakowie Akademia Umiejętności. Ludomir Gadon, który należy wówczas do THL, przedstawia projekt sprowadzenia Biblioteki z Paryża do Krakowa. Spotyka się z przychylnym nastawieniem księcia Władysława Czartoryskiego, prezesa THL i BP, który zaczął wywozić zbiory Czartoryskich z Hotelu Lambert do Kórnika i Seniawy licząc na możliwość autonomii dla Polski w ramach cesarstwa austro-węgierskiego. Projekt dotyczący przeniesienia Biblioteki spotkał się z ostrą krytyką ze strony starej emigracji listopadowej a także ze strony potomków tej emigracji. Tym bardziej, że nieco wcześniej Władysław Czartoryski sprzedał budynek Wyższej Szkoły Polskiej na Montparnasse, na kupno którego fundusz został zebrany w latach 40-tych ze składek emigracji. Szkoła ta przygotowywała dzieci polskich emigrantów do studiów technicznych. Wykładały tam takie sławy polskiej nauki jak A. Bukaty czy dr K. Szulc.

Mimo ostrej krytyki, ani Gadon ani Władysław Czartoryski

nie zrezygnowali z zamiaru połączenia B.P. z Akademią Umiejętności wbrew założeniom fundatorów biblioteki, dla których możliwość taka wchodzić mogła w grę wyłącznie z chwilą zdobycia przez Polskę niepodległości. Dyskusje na ten temat trwały około 20 lat w ramach Towarzystwa Historyczno-Literackiego, z rządem francuskim i rządem Cesarstwa austro-węgierskiego. 18 września 1891 roku podpisano umowę krakowską, na mocy której biblioteka paryska została oddana pod pieczę Akademii Krakowskiej. Przypomnijmy, że była to umowa warunkowa: Akademia miała zajmować się zarządzaniem biblioteki w miejsce THL, które przecież nigdy nie zostało rozwiązane. Akademia podejmowała się zgodnie z umową zarządzania funduszem Niemcewicza — jednego z pierwszych polskich konkursów nagradzających prace historyczne (Akademia wywiązywała się z tego obowiązku do 1920 roku). Do obowiązków Akademii należało również organizowanie corocznej pielgrzymki do Montmorency dla uczczenia pamięci bohaterów wydarzeń listopadowych oraz uczczenie rocznicy Konstytucji 3-go maja, którą Towarzystwo Literackie obchodziło od 1832 roku z inicjatywy Niemcewicza. To właśnie ze względu na tę tradycję, na wniosek ówczesnego zarządu B.P. w Paryżu, Sejm niepodległej Polski uchwalił w 1919 roku dzień 3 maja świętem narodowym.

Natomiast Akademia Krakowska nie miała obowiązku utrzymania Biblioteki z własnych funduszy. 3 maja 1893 roku powołana została Stacja Naukowa Akademii Krakowskiej przy B.P. w Paryżu. Powołano również tzw. Komitet Miejscowy, który miałby zarządzać Biblioteką w wypadku, gdyby Akademia nie mogła wywiązać się ze swoich obowiązków.

Należy tu sprecyzować pewną błędną lub zbyt pochopną interpretację faktów, której autorem był Gadon, a którą propagowali Wł. Mickiewicz, St. Kutrzeba. Pokutuje do dnia dzisiejszego w pracach na temat Biblioteki Polskiej. Otóż Biblioteka Polska nie została przekazana Akademii Umiejętności dlatego, że — jak twierdził Gadon — THL chyliło się ku upadkowi, bo starzy członkowie wymierali i w związku z tym przyszłość Biblioteki nie mogła być zapewniona. To przecież Gadon przez ostatnie 10 lat poprzedzających Umowę krakowską, był sekretarzem THL, to on decydował o przyjęciu nowych członków do Towarzystwa. Można zaryzykować tezę, że celowo nie dopuszczał on nowych emigrantów uważając ich za „zbyt demokratycznych”. Sytuacja finansowa Biblioteki Polskiej nie była wyśmienita, ale nie była także tragiczna. A przecież Umowa krakowska nie zobowiązywała Akademii Umiejętności do finansowania Biblioteki Polskiej. Ponieważ zamiar Gadona z lat 70-tych nie doszedł do skutku, dlatego prawdopodobnie dołożył on wszelkich starań, aby podopieczną Bibliotekę Akademii. (cf. doskonały i rzetelnie udoku-

mentowany, aczkolwiek mało znany opis historii Biblioteki Polskiej w latach 1870-1893, który zawdzięczamy Czesławowi Chowańcowi).

Po wyjeździe Gadona do Galicji, praktycznie biorąc od 1899 do 1926, pieczę nad Biblioteką sprawował Władysław Mickiewicz jako delegat Akademii Umiejętności, która po wyzwoleniu przyjęła nazwę Polskiej Akademii Umiejętności.

W 1903 Władysław Mickiewicz przekazał bibliotece wszystkie odziedziczone po ojcu zbiory i utworzył w jej ramach Muzeum Adama Mickiewicza. Po śmierci Władysława Mickiewicza dyrektorem biblioteki i delegatem Polskiej Akademii Umiejętności został Franciszek Pułaski, który w krótkim czasie po objęciu tej funkcji przeprowadził generalną reorganizację. Wiele, bo ponad 60 tys. książek, które nie dotyczyły wprost Polski, 32 tys. grafik pojedynczych lub w albumach, w tym 75 grafik Rembrandta i 120 grafik Dürera, zostało przekazanych bibliotece PAU a także Bibliotece Narodowej w Warszawie. Polityka reorganizacji podjęta przez Pułaskiego zmierzała do przekształcenia Biblioteki Polskiej w ośrodek kultury polskiej we Francji, odpowiadający Instytutowi Francuskiemu w Warszawie. I tak w 1935 roku zostało utworzone „Centre d'Etudes Polonaises”, rodzaj uniwersytetu, gdzie uczono języka polskiego. Odczyty organizowane w Bibliotece Polskiej prowadzone były przez najlepszych literatów, naukowców, historyków polskich (Andrzej Strug, Juliusz Kaden-Bandrowski, Józef Kallenbach, Oskar Halecki, Jan Lechoń) a także francuskich (Paul Valéry, André Gide, Paul Cazin). Biblioteka urządziła również liczne wystawy. Zainteresowanie wystawą „Chopin et Georges Sand” w 1934 było tak wielkie, że powtórzono ją w 1937 i to na kilka tygodni dłużej niż zamierzano. W okresie międzywojennym Biblioteka mogła poszczycić się również dużymi osiągnięciami w dziedzinie wydawniczej. Biblioteka wydawała w tym okresie biuletyny „Centre d'Etudes”, katalogi wystaw, publikacje źródeł historycznych, tłumaczenia literatury polskiej na francuski i w końcu „Revue France-Pologne”. Prestiż Biblioteki polskiej w tym okresie był tak duży, że przyjmowano w jej salonach nie tylko najznakomitsze osobistości Rzeczypospolitej Polskiej: Marszałka Piłsudskiego, ministra Becka czy marszałka Rydza-Śmigłego ale też przedstawicieli rządu francuskiego, angielskiego, ambasadorów różnych krajów we Francji, przedstawicieli episkopatu, naukowców etc.

Od września 1939 roku do wkroczenia wojsk niemieckich do Paryża, biblioteka służyła swą dokumentacją Rządowi Rzeczypospolitej na Węgry. W budynku Biblioteki Polskiej organizował wykłady Polski Uniwersytet na Obczyźnie (którego rektorem był Oskar Halecki) powołany do życia na wieść o masowych aresztowaniach profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego.

15 czerwca 1940 roku, w dwa dni po zajęciu Paryża, niemiecka policja wkroczyła do Biblioteki. W październiku Niemcy wywieźli 766 skrzyń zawierających zbiory biblioteki, których Dyrekcja nie zdążyła ukryć. W 1941 roku okazało się, że okupacyjne władze niemieckie mają zamiar przebudować budynek biblioteki dla potrzeb szkoły niemieckiej. Przystąpiono do niszczenia budynku. W 1942 roboty zostały wstrzymane — budynek miał być sprzedany.

Franciszkowi Pułaskiemu udało się wywieźć i ukryć rękopisy oraz pamiątki muzeum Adama Mickiewicza, a także zbiory rękopiśmienne i kartograficzne biblioteki w zamku Montrésor, w posiadłości Henri de Montfort w La Flèche oraz w bibliotekach miejskich w Toulouse, Pau, Montpellier i w paryskim Muzeum Carnavalet.

Losy zagrabionych przez Niemców zbiorów nie są do końca znane. Wiadomo, że 766 skrzyń przesłano do Berlina. W 1944 znajdowały się on w Budziszynie, skąd zostały przewiezione do Neugersdorf. W maju 1945 roku, Paul Lefranc, bibliotekarz z Valenciennes powiadomił polską i rosyjską agencję prasową o istnieniu w Niemczech zbiorów Biblioteki Polskiej. Interwencja ówczesnego dyrektora Biblioteki Polskiej u prezesa PAU, w ambasadzie francuskiej i amerykańskiej w Moskwie oraz w MSZ sowieckim nie odniosły skutku. Dopiero w listopadzie 1945 roku wysłano delegację z Warszawy w celu odszukania zrabowanych archiwów. Odnalezione zbiory przeniesiono do Adelina pod Legnicą a następnie w październiku do Warszawy. Po długotrwałych dyskusjach, 12 lipca 1947 roku, zbiory powróciły z Warszawy do Paryża. Ale nie w całości. Z opisu zbiorów Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza w Warszawie, sporządzonym przez Halinę Natuniewicz wynika, że w 1955 roku ZSSR zwrócił Polsce Ludowej zbiory Biblioteki paryskiej, w tym cały księgozbiór Muzeum Adama Mickiewicza, część księgozbiorów Biblioteki Polskiej, „niewiele rękopisów” oraz kolekcje wycinków prasowych. Trudno jest wyliczyć dokładnie brakujące pozycje. Franciszek Pułaski operuje tomami, H. Natuniewicz podaje wykazy używając terminu „wolumin”. Jeżeli przyjmiemy, że Niemcy wywieźli 100 tys. tomów, to należy stwierdzić, że 40 % powróciło do Paryża, 30 % księgozbioru znajduje się w Muzeum Literatury w Warszawie jako depozyt, a pozostałe 30 % albo zostało zagubione w Niemczech, albo znajduje się do dziś w Związku Sowieckim. Być może dyrekcja Muzeum Literatury wyjaśni dokładniej skąd otrzymała zbiory biblioteki paryskiej w 1955, gdyż stwierdzenie H. Natuniewicz, że w 1945 armia sowiecka zabezpieczyła księgozbiór Biblioteki paryskiej niczego nie wyjaśnia.

Nowa sytuacja polityczna Polski nie pozwoliła Polskiej Akademii Umiejętności zająć się efektywnie losem Biblioteki w Pa-

ryżu. Franciszek Pułaski, mając na uwadze te zmiany i nie mogąc liczyć na pomoc materialną ze strony PAU reaktywował działalność THL, ogłosił Apel do Narodów Cywilizowanych całego świata podpisany przez wybitne osobistości środowisk intelektualnych, a także zwrócił się o pomoc finansową do Polonii amerykańskiej. W 1945 roku została podpisana umowa między Biblioteką a Zjednoczeniem Polskim Rzymsko-Katolickim w Ameryce. W związku z przekształceniem w 1951 roku PAU w Polską Akademię Nauk, Towarzystwo Historyczno-Literackie wytoczyło proces Akademii Krakowskiej powołując się na 4 paragraf umowy z 1891, który zastrzegał, że w wypadku „gdyby Akademia miała być rozwiązana lub wskazany statutem jej cel naukowy i charakter narodowy miał ulec zmianie i jeśli Akademia uzna, że nie może uczynić zadość zobowiązaniom wyrażonym w 1 paragrafie, cały majątek THL stanie się własnością Biblioteki Polskiej w Paryżu a wszelkie prawa i obowiązki Akademii przejdą na Komitet Miejskowy”. Proces trwał dziewięć lat. W 1956 roku, czytelnia i magazyny biblioteki były przez kilka miesięcy opieczetowane. Bibliotekarze przyjmowali czytelników na dziedzińcu. W końcu sprawa została przedłożona parlamentowi francuskiemu. 3 czerwca 1959 roku postawie francuscy opowiedzieli się większością głosów (457 za, i 10 z grupy komunistycznej przeciw) za utrzymaniem „wolności i tradycyjnej zawartości Biblioteki Polskiej w Paryżu”. Cour d'Appel w werdykcie z 9 lipca 1959 definitywnie położył kres jakimkolwiek związkom Biblioteki Polskiej w Paryżu z Akademią Nauk Polski Ludowej.

Polską Biblioteką zarządza obecnie THL, które dostało w dzierżawę gmach i zbiory do 2030 roku na mocy decyzji prawnej Trybunału Paryskiego z 9 marca 1982.

Po drugiej wojnie światowej Biblioteka znajdowała się w bardzo ciężkiej sytuacji finansowej. Dużą pomoc w utrzymaniu Biblioteki przynieśli i niosą do dnia dzisiejszego członkowie THL chociażby poprzez składki i dorywcze dary. Wśród dobroczyńców należy wymienić Polskie Zjednoczenie Rzymsko-Katolickie z Chicago, Fundację Rockefellera, dzięki której była możliwa publikacja powielaczowa 6-tomowego Inwentarza grafik (*estampes*) i portretów z kolekcji Biblioteki Polskiej i Muzeum Adama Mickiewicza. Dzięki pomocy finansowej Barbary Johnson, Biblioteka Polska mogła normalnie funkcjonować w latach 1975-1978. Od przeszło 9-ciu lat Fundacja z Brzezia-Lanckorońskich finansuje około 80 % budżetu rocznego Biblioteki. Jej zawdzięczamy zmianę ogrzewania budynku z węglowego na gazowy a także remont 4 piwnic, czytelnia i 6 pokoi na ostatnim piętrze. Dzięki zainicjowanej przez Polonię amerykańską składce na odnowienie zabytkowej klatki schodowej, budynek Biblioteki nabrał nowego blasku.

W lutym 1980 roku powstał Fundusz im. Adama Mickiewicza

— inicjatywa mająca na celu zabezpieczenie finansowe Biblioteki Polskiej. Jego pierwszym donatorem był Jan Paweł II. W tej chwili, fundusz ten jest jednak zbyt mały, by mógł pokryć potrzeby Biblioteki.

Jak podaliśmy wyżej w 1843 roku Biblioteka Polska posiadała już ponad 20.000 tomów. Jej kolekcje obejmowały również rękopisy, atlasy, archiwa, medale i mapy. Wśród ofiarodawców wymienić należy przede wszystkim Niemcewicza, w spadku po którym Biblioteka otrzymała całe jego paryskie archiwum i sporo ksiązek. Tu zaznaczyć trzeba, że ostatnie tomy jego pamiętników nie są dziś w całości opublikowane. Poważną pozycję stanowił dar Macieja Wodzińskiego, wojewody poznańskiego. Senatorowa Wodzińska po śmierci męża, przekazała ponad 5 tys. woluminów druków, 400 grafik, ponad 10 tys. map, ponad tysiąc medali i monet. Jeśli chodzi o zakupy dokonane na terenie Francji, Biblioteka praktycznie nigdy nie dysponowała dostatecznymi funduszami żeby móc uzupełnić zbiory czy kupować nowe książki. Jednym z licznych ofiarodawców spośród Francuzów był Charles de Montalembert, który przekazał bibliotece w 1869 roku dużą ilość grafik i dzieł ilustrowanych.

Dział rękopisów wzbogacił się również dzięki darowiźnie syna Karola Sienkiewicza — Artura, który przekazał bibliotece książki stanowiące własność ojca, jak również zebrane przez niego archiwa, w tym duże archiwum księcia Ksawerego Saskiego.

Rodzina pośła Nakwaskiego przekazała w 1978 roku archiwum Sejmu z czasu Rewolucji Listopadowej. Tutaj ciekawostką jest akt detronizacji Mikołaja I jako króla Polski. Dokument ten był poszukiwany przez ponad 40 lat przez policję carską. Przechowywany przez 30 lat pod ołtarzem św. Marcina w Getyndze przekazany został na ręce pośła Nakwaskiego dzięki pośrednictwu filozofa Bronisława Trentowskiego.

Wspomniałem już o darze Władysława Mickiewicza i utworzeniu Muzeum Adama Mickiewicza, jednego z największych zbiorów archiwalnych dotyczących poety. W katalogu rękopisów muzeum figuruje 1.113 sygnatur. Władysław przekazał również różne pamiątki po ojcu, a więc obrazy, grafiki, meble, biżuterię, w sumie ponad 600 pozycji.

W 1939 roku Biblioteka posiadała 140 tys. tomów książek, 12 tys. grafik, 3.360 map i atlasów, bogate archiwa. Obecnie Biblioteka Polska w Paryżu posiada około 200 tys. książek, 2.500 sygnatur rękopiśmiennych, 15 tys. pozycji inwentarzowych grafik, obrazów i rzeźb, 7 tys. map i atlasów, około tysiąca afiszów, 5 tys. fotografii, 600 medali, 1.015 tytułów polskiej prasy oraz wydawnictw ukazujących się poza cenzurą od 1981 r. oraz ponad

tysiąc tytułów czasopism i około 90 tys. broszur i druków ulotnych, które stanowią jedno z największych bogactw Biblioteki. Są to druki bardzo rzadkie, wydane przez Polaków po rewolucji listopadowej będące dokumentami wydarzeń historycznych niezwyczajnej wagi.

Działalność Biblioteki obejmuje obecnie cztery dziedziny. Z czytelni korzystają zarówno Polacy jak i obcokrajowcy przyjeżdżający ze Stanów Zjednoczonych, Kanady, krajów Europy i Afryki, interesujący się historią i literaturą polską, konsultują oni zarówno druki jak i rękopisy.

Następna działalność Biblioteki to Muzeum Adama Mickiewicza i galeria obrazów polskich z XIX i XX wieku.

Towarzystwo Historyczno-Literackie organizuje odczyty i wystawy okolicznościowe i rocznicowe. Członkowie THL prowadzą wykłady w Sekcji Polskiej Instytutu Katolickiego w Paryżu.

Ponadto THL udziela stypendiów polskim naukowcom z Kraju a także z Francji. Dysponujemy stypendiami Jana Brzękowskiego — są to stypendia literackie, i stypendiami Stanisława Lama w dziedzinie historii.

Maria RODOWICZ

Z innego punktu widzenia

„Czy można automatycznie osądzać, że taki naród, taki kolor skóry oznacza głupców, nieodpowiedzialnych, półludzi, prostaków itp.? — zapytuję siebie, od kilku lat zamieszkałą w afrykańskim kraju, Botswanie. Podstawą do mego pytania są osądy ludzi, którzy nigdy w Afryce nie byli, albo byli krótko, albo nawet długo, ale w odizolowanym kręgu. Niejednokrotnie też obserwowałam przemianę świeżo przybyłego na kontrakt eksperta antyrasisty w zatwardziałego rasistę, nie widzącego nic pozytywnego w jego jeszcze niedawnym „czarnym bracie”, poirytowanego nie-
możliwością zaakceptowania jego inności.

Lubię spokój. Odczuwam w nim piękno i bezpieczeństwo. To było w Holandii. Leśne ogrody kłaniały się sobie drzewami, hołubione domy wymieniały błyski lśniących czystością szyb, brzęczał dzwoneczek na szyi kota, dzwonił telefon.

W domu naprzeciwko zmarł stary człowiek. Pojawiła się tabliczka: „Na sprzedaż”. Wprowadziła się rodzina marokańska. Wraz z nią wprowadził się na naszą ulicę niepokój. Hałas, ruch nieznanymi osobami, głośna muzyka w weekendy, sznur czekających na odbywającą się na chodniku naprawę aut.

To było w Botswanie. Ona rzeźbiarka, on ekspert d/s rolnictwa — Europejczycy na kontrakcie wśród Murzynów. Od 1982 do 1988 roku jedynymi ich wydatkami na upiększenie wnętrza rozsypującego się kolonialnego domu, w którym wypadło im żyć, były firanki, sześć składanych krzeseł, jeden leżak i regał z desek. Z tyłu domu zagospodarowali 10 m², pozostawiając odłogiem pozostałe 200 m² działki. Znajomi Holendrzy zakończyli kontrakt. Dom po nich, z egzotycznym dobrze utrzymanym ogrodem, zajął ważny czarny urzędnik botswański. Dwa miesiące później weranda straszyla poszarpaną siatką przeciwkomarową, kozy wygryzły resztki traw i kwiatów, z nagiej ziemi sterczały suche badyle krzewów.

To było w Soweto. Przewodnik wiódł nas przez stare dzielnice miasta z lat trzydziestych po coraz nowsze, coraz zamożniejsze, aż po najmłodsze o luksusowych willach fantastycznej architektury. Przez dzielnice bloków i domków jednorodzinnych z kwietnymi ogródkami i stertą śmieci przed furtką. Odmalowane, rozbudowane i podparte kołkami, okopcone.

Rok temu mieliśmy możliwość oglądania Republiki Południowej Afryki oczami turystów. Odbywaliśmy podróż samochodową po RPA i Namibii. Granicę przekraczaliśmy w Północnym Transvalu. Późnym wieczorem zatrzymaliśmy się w dużym mieście Potgietersrus. Chcieliśmy się czegoś napić i zapytać o drogę na Johannesburg. Ulice jasno oświetlone, kolorowe wystawy (niezakratowane!), wielu ludzi na chodnikach. Głównie czarnych. Jak mamy jechać na Johannesburg informowało nas kilka osób naraz, coca-colę kupiliśmy w barze, gdzie byliśmy jedynymi białymi. Tak przemierzaliśmy 11.000 km, zawsze w spokoju, grzecznie informowani, dobrze obsłużeni w hotelach, restauracjach, sklepach. Drogi były świetne, stacje benzynowe co rusz, czystość, wspaniałe krajobrazy, doskonałe zaopatrzenie sklepów. Na plażach, w sklepach, restauracjach spotykaliśmy wszystkie kolory skóry. Czyż turyście trzeba więcej?! Ale na kryształach pojawiła się skaza. Zbliżaliśmy się do miasteczka. Ustawione prostopadle do naszej szosy, wsparte o zбочce góry, wieściło wielkim napisem ułożonym z kamyków, że nazywa się Berlin. Naliczyłam siedem wież kościelnych, spiczastych, czerwonych. Białe domki, kwiaty, drzewka, płotki, klomby, lśniące szyby, lśniące ulice. Ze dwa kilometry za bogobojnym miasteczkiem, po ominięciu krzaków i podmokłych łąk, ujrzelśmy to, co pozwalało małąkiemu Berlinowi być takim świętym, takim pięknym — osiedle czarnoskórych, taniej siły roboczej. Brud! Brud i naga brązowa ziemia. Z nich wyłaniały się chaty, szałas, budy, murowane domki. Beznadziejna tymczasowość. To przypominało o systemie i hipokryzji podziwianego kraju.

Kilka pytań poczęło nas nurtować po spotkaniu się jeszcze parokrotnie z miasteczkami białych i osadami czarnych: dlaczego bieda łączy się z brudem? Jak mieszkańcy np. owego Berlina mogą się modlić w swych siedmiu kościołach nie dając jednocześnie równej szansy sąsiadom o odmiennym kolorze skóry? Czy brud jest może konsekwencją nie tylko ograniczonych wa-

runków materialnych, ale i takiegoż ducha? Albo filozofii znanej mi aż za dobrze z powojennego Dolnego Śląska — „nie moje, dbał o to nie będę, ziemia też niemiecka”. Lecz czy wyznawcy takiej filozofii w Polsce i w RPA byli zawsze biedni?

Gdy w Soweto wyszło zarządzenie, zezwalające jego mieszkańcom na stały pobyt i zakup budynku, który się zajmowało, ludzie zaczęli stawiać płoty, malować domy, rozbudowywać stare, budować nowe, siać kwiaty, sadzić drzewka owocowe. Na prowincji jednak obowiązuje wciąż stare prawo: zakaz osiedlania się czarnych na stałe, pozwolenie na pobyt tylko na okres zatrudnienia, zakaz własnych biznesów na terenach nieplemiennych. Owa tymczasowość przypomina sytuację ludzi na kontraktach w Afryce i Azji: żyją w większości byle jak, odkładając na domek, mieszkanie, auto, meble w swoim kraju. I tak „byle jak” niejednemu Polakowi, Holendrowi, Anglikowi, Afrykańczykowi w RPA przeszło dziesięć i więcej lat...

W górach Małego Karoo, w miasteczku, do którego słońce niemal nie dochodzi, nad drzwiami baru hotelu, w którym wypadła nam noc, napis głosił: *vir blanko* (dla białych), czyli rząd swoje, Bur swoje.

Inną, już miłą obserwacją, było dobre wychowanie wszystkich, bez względu na rasę.

W Namibii nie zauważyliśmy żadnych znaków segregacji. W nadmorskim Swakopmund czarni i biali, tudzież inni, byli obecni wszędzie i na równych zasadach klienta.

W hotelu „Konkiep” właściciel Mulat powiedział nam: „Od dwóch lat możemy być właścicielami, czego chcemy. Pierwszy rok hotelu był mizerny, teraz Burowie zatrzymują się już u mnie. Nawet przyjeżdżają na weekend”. Rozmawiam z Holendrem pracującym w Botswanie i znającym Republikę Południowej Afryki. „Czy chciałbyś mieszkać w RPA?”. „Nie. Z kilku powodów, a mianowicie: 1) ryzyko interesu, 2) źle czułbym się jako biały, 3) niesprawiedliwość u podstaw systemu i przekonań ludzi — kolor skóry przesądza o możliwościach człowieka, 4) nie urzekają mnie tamtejsi ludzie, są nieładni, prostacy, dumni z posiadania mercedesa i najnowocześniejszego systemu nawadniającego. Wyjątek stanowią ci, którzy próbują żyć po zachodniemu na suchej, koczastej ziemi Karoo, Namibii — ci mnie fascynują”.

Afrykanerzy próbują być może kopiować Zachód, ale to się nie udaje. Świat ich jest senny, monotony, nieco konserwatywny. Sądzę, że Afrykanerzy nie chcą tak naprawdę zmian, gdyż zagrażają one ich tożsamości. Nie rozumieją, co to znaczy „współżycie wielorasowe”. Na przykład w górniczym miasteczku Boksburg (i kilku powiatach Transvaalu) po ostatnich wyborach do rad narodowych, w związku ze zwycięstwem także konserwatystów, władze miejscowe ogłosiły zamiar wprowadzenia „małego apartheidu”, co miało oznaczać oddzielenie obu ras w autobusach, parkach, ubikacjach, na boiskach sportowych. Podstawą takiego zarządzenia było prawo z 1953 roku o nadzwyczajnych okolicznościach, pozwalające na segregację rasową w miejscach publicz-

nych. Po miesiącu rząd RPA był zmuszony interweniować. Burmistrz Boksburga powiedział: „Jestem tutaj po to, by przeżyć czas życia, a nie spełniać wolę świata. Ja spełniam jedynie wolę Bożą”. Tak też myślą zapewne i mieszkańcy Berlina: „Podział na rasy jest Bożym dziełem i my poprzez separację spełniamy tylko wolę Boga. Krzyki świata nas nie obchodzą”.

Stary wuj przyjaciół z Krugersdorp mówi: „Ekonomicznie powrót do systemu segregacji nie jest możliwy. Segregacja jest za droga dla państwa i nie opłaca się indywidualnym przedsiębiorcom. Na przykład w Boksburgu, mieście o 85 tysiącach białych i 150 tysiącach niebiałych mieszkańców, gdy konserwatyści próbowali powrotu do wczoraj, czarni konsumenci zaczęli robić zakupy w sąsiednim Benoni. Grudniowy dochód sklepów żywnościowych Boksburga spadł do połowy, a odzieżowych, meblarskich itp. o 85%. I nie pomogło wywieszanie tabliczek przed sklepami: 'Zapraszamy wszystkie rasy'”.

Czy można porównać zmiany zachodzące w ZSSR ze zmianami dokonującymi się w RPA? — zapytuję wujka. W obu krajach stary ustrój jest jednakowo niesprawiedliwy: uprzywilejowana jest mniejszość. Dla obydwu kontynuacja istniejącego systemu jest ekonomicznie niemożliwa. W obydwu bezpodmiotowa większość jest wielonarodowościowa, w obydwu ma ona coraz mniej do stracenia. Także w obydwu tych krajach zmiany dokonywane są nie z miłości do własnego ludu ani pod naciskiem tzw. opinii światowej, lecz wskutek absolutnej nieopłacalności gospodarczej tych systemów w obecnej dobie. Jednakże w ZSSR możliwy jest powrót do wczoraj, gdyż sposób sprawowania władzy jest totalitarny, podczas gdy w RPA — jakkolwiek Afrykańczycy nie mają prawa głosu — jest demokratyczny. W ZSSR rządząca mniejszość jest silniejsza niż w RPA. W Południowej Afryce musi ona uważać na wiele różnych organizacji białych, by nie dopuścić do wojny domowej. W Związku Sowieckim nie ma jak dotąd takiej potrzeby. Tam uprzywilejowana mniejszość jest jednolita — powolni członkowie jedynej partii.

Dlaczego świat podnieca się *pieriestrojką* sowiecką, a zaprzecza *pieriestrojce* południowoafrykańskiej? — zastanawiam się. Progresiści w RPA mówią: zakaz osiedlania się poza wyznaczonym rasowo terenem możemy znieść nawet jutro. I tak się nie stanie! Może paru bardzo bogatych Afrykańczyków, mających dość swych czarnych sąsiadów, przejdzie do „białego” Johannesburga i to wszystko. Większość będzie trzymała się razem. Istnieją bowiem w świecie dwa rodzaje segregacji: przymusowa i dobrowolna. Istniejąca u nas segregacja przymusowa zmieni się w segregację dobrowolną, której przykładem jest Chicago, gdzie mamy dzielnicę chińską, polską, murzyńską itd. Zatem kwestia tego, kto z kim chce żyć? — zwracam się do mego holenderskiego rozmówcy. Tak jest. W Amsterdamie architekt kupuje dom w starej dzielnicy nad kanałem, cały majątek wkłada w remont rudery, mieszka pomiędzy prostytutkami, handlarzami heroiną. Ale to jest akurat to, czego pragnie!

Johannesburczycy uważają Hillbrow, ruchliwą dzielnicę swego miasta, za niebezpieczne miejsce — dużo czarnych i podejranych białych. Zaparkowaliśmy samochód wieczorem na głównej ulicy Hillbrow. Od razu podeszło do nas dwóch Murzynów: popilnują nam auta. OK. W duchu mamy stracha: a nuż zażądają za tę usługę 100 randów i gdy odmówimy, wybiją szybko, przebiją koło etc.? O godz. 22.00 wróciliśmy do samochodu — całego, nienaruszonego. Chłopcy chcieli 2 randy. W dodatku umyli szybko!

Sądzę, że biali południowo-Afrykańczycy są przewrażliwieni aż do przesady na punkcie Johannesburga czy w ogóle sytuacji w kraju. Podobnie jak przeciętni Europejczycy dowiadują się o wszystkim z TV lub gazet, zakupów dokonują w swoich dzielnicowych domach towarowych. Jeśli idą do restauracji, to zwykle na peryferiach. Żyją spokojnie. Trochę niepokoju urasta od razu do wielkiego niebezpieczeństwa — mówi Holender.

Czy niezgoda, ta niejako wojna, jest wyłącznie rezultatem prawa południowoafrykańskiego? Stary wuj z Krugersdorp: Po przegranej wojnie z Anglikami, pomniejszeni liczebnie o szóstą część nacji, wyniszczeni ekonomicznie, szukaliśmy — Afrykanerzy — ratunku w miastach, gdzie stworzyliśmy całe pokolenie *poor whites* (biednych białych). Również straszliwa susza na początku lat trzydziestych pogłębiła naszą nędzę, zdziesiątkowała liczebnie. W takim to czasie powracali ze studiów w Niemczech przyszli polityczni i kulturalni przywódcy RPA. Pod wrażeniem odradzania się dumy i sił nacjonalistycznych Niemców, po ich poniżeniu w 1918 roku, głęboko przekonani o powołaniu narodu afrykanerskiego — z jego naturą i misją na ziemi afrykańskiej — przez Boga i tak długo jak Bóg zechce, formowali oni tajne organizacje, z których najważniejszą była Liga Braci — *Broederbond* — z mottem: „Bądź mocny!”. Wspomagały one Afrykanerów ekonomicznie, pisały książki i podręczniki historii ukazujące zwycięstwa, tradycje, martyrologię Afrykanerów, starały się stworzyć nową mitologię „ku pokrzepieniu serc” i umacnianiu poczucia wspólnoty narodowej. Nakazywały najmłodszemu kształceniu się, kończeniu studiów po to, by z czasem zająć wszystkie kluczowe stanowiska w kraju. Na gospodarstwach i w kopalniach pracowali na nas — kształcących się Burów — czarni. Tę zasadę — czarny pracujący pod nadzorem białego, jako więcej wartej istoty — przenieśliśmy do biur, urzędów etc. Traktowanie Afrykańczyka jako istoty niższej było dla nas, jako kalwinistów, sprawą oczywistą, moralną. Wszak Biblia zaświadczała o tym! Czarni bowiem, wierzyliśmy i wierzymy, są potomkami Hama, syna Noego, którego ten wyklął za nieposłuszeństwo wobec Boga. Różnica rasowa zatem nie wywodzi się od nas, lecz jest z woli Bożej.

André Brink, pisarz, Afrykaner: Dzieciństwo spędziłem na fermie, gdzie język angielski był językiem obcym, gdzie czarni i biali chłopcy bawili się razem bez myślenia o kolorze skóry. Tak było wszędzie, aż po nasz 12-ty-13-ty rok życia. Wtedy synowie Afrykanerów przenosili się do internatów, rozpoczynając naukę w odległych szkołach, ustanawiając tym podział ról na białych *baas* — panów i czarnych służących.

W końcu istnieje też problem własności ziemi: rozdanej, zajętej czy kupionej za wódkę, broń itp. Tradycyjnie czarny nie miał potrzeby posiadania kawałka ziemi, bowiem ta należała do całego plemienia. Ziemią mógł dysponować wódz, a nie poszczególna osoba. Również łatwiej było im pracować u białego, gdyż to zapewniało regularne zaopatrzenie w jedzenie, ubranie, tytoń, wódkę, pomoc w chorobach. Przegrana wojna Zulusów z białymi oznaczała przegraną wszystkich czarnych — Venda, Xosa etc. — a to równało się utracie ziemi i w konsekwencji utracie tożsamości. Dla Afrykańczyka tożsamość, bycie kimś, oznacza obecnie posiadanie rzeczy, np. samochodu, sklepu, domu itp. Właśnie zagubionemu samookreśleniu ma służyć idea *homelandów*, czyli ziem pod administracją plemienną. Bur wierzy, że zachowanie tożsamości daje bezpieczeństwo.

Wraz z ziemią czarni utracili szansę bycia rolnikami na równi z Burami. Powstała różnica jest zatem taka sama jak w Europie przed wojną pomiędzy ziemianami a robotnikami rolnymi. A proletariusz wszak pozostanie proletariuszem, jeżeli nie będzie się uczył. Tymczasem pod wpływem głoszonego przez ANC, zgodnego z doktryną komunistyczną sloganu „Najpierw rewolucja, potem edukacja”, wiele grup zarzuciło naukę.

Rozmawiam z grupką osób urodzonych czy zamieszkałych w RPA od kilkudziesięciu lat. Mówią, że koleje ostatnio zniosły podział na rasy, że nie ma autobusów wyłącznie dla czarnych. Z Tutu każdy może się widzieć. Nie ma żadnej cenzury na to, co się wysyła prywatnie, zastrzeżenia są do oficjalnych opisów zajęć, a nie do krytyki, co daje np. Tutu, Winni Mandeli wielki głos. Pisma takie jak *Prawda*, *Polityka* można kupić w kiosku bez ingerencji cenzora. Mówią, iż nonsensem jest twierdzenie, że biali i czarni nie mają kontaktów. Są one na każdym kroku: w kościele katolickim, anglikańskim, protestanckim, na uniwersytecie Wits, w pracy, na zebraniach organizacji dzielnicowych, w szkołach itp. Twierdzą, że nieprawdą jest, by każdy biały nie znosił czarnego, a każdy czarny białego, że to kwestia raczej klasy człowieka niż rasy. Że są i biedne dzielnice białych w Johannesburgu, np. Dorfontein, Mayfair, jak i bardzo bogate czarnych w Soweto, że oczywiście w bitwie *Bloodriver* w 1838 zginęło wielu Zulusów, gdyż walczyli dzidami przeciwko broni palnej, niczym kawalerzyści polscy przeciwko czołgom niemieckim.

Rozmowy na temat RPA nigdy się nie kończą. Każdy artykuł wywołuje gorące dyskusje. Problemem jest wzajemne rozumienie się ludzi różnej mentalności, tradycji, dziejów. Problemem jest uczciwość. Człowiek, który mało zna Afrykę, patrzy na RPA pesymistycznie. A Afryka, w całej swej rozciągłości, jest nie do przewidzenia.

Co to znaczy być czarnym? To nie znaczy przede wszystkim być czarnoskórym. To oznacza stan umysłu, wartościowania, to oznacza kategorię życia. Manas Buthelezi, wódz plemienia Zulu: Czarność determinowała moje dzieciństwo i życiowe możliwości.

Teraz określa miejsce mego życia, nauczania, wyznania, roztoczyła się przede mną w granicach i randze czarnych sytuacyjnych możliwości.

Allan Boesak (protestancki pastor): Być czarnym w RPA znaczy być nie-białym, tj. nie-osobą, mniej wartą niż biały i dlatego mniej wartą istotą ludzką. Czarność budzi wstyd.

Murzyni potrzebują nauczyć się nie wstydzic swej czarności, potrzebują odkryć, jak powiedział Martin Luther King, „niepodważalny i majestatyczny sens swej własnej wartości. To nie wymaga nienawiści do białego człowieka. Chodzi o to jedynie, że umiłowanie swej czarności oznacza dla czarnej osoby powrót do normalności, a tym samym stworzenie podstaw dla nowych stosunków między czarnymi i białymi”.

Adam Small (protestancki pastor): Integracja jest ideałem, ale na razie nie może być pierwszorzędnym zadaniem czarnych ludzi, bowiem integracja w kontekście czarno-biały oznacza jeszcze, tak w RPA jak i gdzie indziej, stanie się białym. My chcemy zatem nie integracji, lecz żyć jak ludzie z naszą czarnością.

Co to znaczy być białym w RPA? To nie znaczy przede wszystkim być białoskórym. To znaczy mieć swą tożsamość, godność, posiadać „najwyższe” cechy stanowiące o wartości osoby ludzkiej, to znaczy być obywatelem pierwszej klasy. To znaczy być indywidualnością, czyli przeciwstawieniem zbiorowości typowej dla Afrykańczyków.

Dr Malan, pierwszy prezydent Partii Narodowej: Różnica w kolorze skóry jest jedynie fizycznym odbiciem dwóch wykluczających się sposobów życia. Pomiędzy barbarzyństwem a cywilizacją, pomiędzy pogaństwem a chrześcijaństwem. U podstaw *apartheid*'u leży to, w co Afrykaner wierzy — w swe boże posłannictwo i powołanie do nawrócenia pogan na chrześcijaństwo, bez zacierania tożsamości swej nacji.

Breyten Breytenbach, pisarz, Afrykaner, żyjący w Paryżu, wyznaje: Bycie Afrykanerem jest schizofrenicznym doświadczeniem. Należymy do Afryki, a jednak zbyt wielu z nas uważa się za Europejczyków. I to jest przyczyną, dla której polityka w RPA jest tak śmiertelnie poważną sprawą. Wszystkim, co czynimy, narazamy naszą przyszłość.

Frederik van Zyl Slabbert, niegdysiejszy członek opozycji w parlamencie: Stała tragedią Afrykanera jest fakt, iż będąc białym Afrykańczykiem odmawia pogodzenia się ze swym własnym kontynentem i jego ludźmi. Większość z nich nadal pragnie być tu, ale oddzielnie. Smutne to, że po ponad trzech wiekach życia na tej ziemi ciągle nie przybyli do domu.

Małgorzata DZIEWIĘCKA

Maun, marzec 1989

Kraj

Dziennik zewnętrzny

Pozwalam sobie dopisać w pośpiechu kilka słów, bo mój tekst spóźnił się i wypadł z numeru*. Tych kilka słów, pobudzanych przez wydarzenia, nie chce jednak szanować kropek i rozlewa się. I jak wszystko będzie spóźnione, bo do wyborów niecałe dwa tygodnie i oto próg 4 czerwca zaczął rosnać, z drewnianego zmienił się w metalowy i rozpała się do czerwoności. Ktoś się chyba sparzył i to mocno. Za tym progami świat ma być inny, bo przecież nie do pomyslenia, by było dalej, jak jest. Aż strach pomyśleć, że po wyborach szykują się wielkie podwyżki, które ledwie żywi ludzie mają przełknąć dzięki szczepionce elekcji.

Sklepy znowu świecą nagimi dźgastami, od miesiąca nie ma białego sera. Z braku czego innego ten biały ser staje się nie spodziewanie tematem moich myśli przed zaśnięciem i rankiem, zamiast lęków metafizycznych i rojeń erotycznych. Błogosławiony kraj, gdzie ser zjada metafizykę.

Spotkanie Warszawskiego Komitetu Obywatelskiego, który miał zatwierdzić kandydatów opozycji rekomendowanych przez Komitet Obywatelski przy Lechu Wałęsie, a potem ich reklamować. Okazało się nagle, że większość kandydatów jest Komitetowi zupełnie nieznaną. Próba stworzenia choćby pozorów, że istnieje jakiś wybór, spełzła na niczym i jak zbity pies usiadła pod krzesłami członków zgromadzenia. Konieczne więc było następne spotkanie dla zaprezentowania kandydatów, ale zdominował je niemal zupełnie problem skrobanek.

Pytanie, czy to wszystko mogło wyglądać inaczej? Ja sam nie mam żadnego pomysłu, a żartuję sobie, żeby się trochę pocieszyć. W końcu nikt nie ukrywa, że kandydaci Komitetu Obywatelskiego zostali mianowani, a nie wybrani — z powodu braku czasu. Poza tym powszechnie wiadomo, że demokracja wcale nie gwarantuje najlepszego wyboru. I stało się — niewielka grupa dobrych wybrała nienajgorszych. Stało się tak, bo nie było czasu. A ja nie mam innego wyboru, jak w to uwierzyć,

* Niestety P.S. przyszedł za późno i nie mogliśmy go opublikować w czerwcu br. (Red.).

bo zupełnie nie znam się na czasie, jaki jest potrzebny na demokrację. Nie drę więc szat, a nawet angażuję się w miarę sił, żeby nasi, nasi, nasi byli liczni, gdzie trzeba i z PRL uczynili Polskę. Mówi się — mniejsze zło. Lekki niepokój, bo mniejsze zło jest niezwykle perfidną rośliną; lubi rosnąć, by stać się złem zupełnie dużym. Ale póki co głową w dół, w nadziei, że tam jest woda.

Problem przerywania ciąży spłynął z ambon na nasze ulice. To manifestują przeciwnicy, to zwolennicy i już się nawet zdawało, że jesteśmy w przededniu domowej wojny aborcyjnej. Kandydaci „Solidarności” na posłów i senatorów muszą się tłumaczyć ze swojego stanowiska w tej kwestii — wiją się jak piskorze, bo strach się narazić Kościołowi, wyborcom, no i czasami własnemu sumieniu — a z drugiej strony jak tu wymagać, by niedawni więźniowie mieli popierać wsadzanie tysięcy kobiet do więzienia. Pewien biskup miał nawet mówić o wieszaniu jawno-grzesznicy, ale może to plotka. I pomyśleć, że w Polsce dokonuje się 600 tysięcy zabiegów rocznie. Nasze windy, sklepy, ubikacje już takie jak w Indiach — wiem, bo tam byłem. W przypadku egzekwowania ustawy Warszawa w krótkim czasie zmieniłaby się w Kalkutę. Głodne dzieci żebrałyby pod kościołami, a niechciane przez matki niemowlęta karmiliby i przewijali na ołtarzach księży, a nawet biskupów. Nie mam do tej sprawy aż tak lekkiego stosunku, jak o tym piszę. Usuwanie ciąży jest złem, ale kary tutaj to tylko zwielokrotnienie zła.

Kandydaci zależni i niezależni spoza „Solidarności” wymyślają cuda, cudeńka, by się przemycić do parlamentu. Ten pofrunie balonem, inny sfilmuje się na tle kobiecych wdzięków. Nagle modny stał się styl sportowy; oto kandydat ma dobrego woleja na korcie tenisowym. Wieś fotografuje się w ludowych strojach, z muzyką. Gdyby ktoś pokazał tył, a nawet przód — wcale bym się nie zdziwił. Chwalenie się pieniędzmi, zaradnością jest w kampanii nagminne. A przecież w Polsce być może uchodzi wypiąć mężnie pierś, pomachać szabelką, ale żeby się chwalić forszą, to nadal źle widziane. Pewnie dlatego kandydaci czynią to niezręcznie, z głupimi minami. Po raz pierwszy widziałem tyle dobrych programów kabaretowych w telewizji. Do szczególnych osobliwości należy fakt, że partyjni skrzętnie skrywają swoją partyjność, zaś kto żyw wkłada orłu koronę i umieszcza dyskretnie gdzieś w tle krzyżyk. Zaś księży w kościołach — szczególnie wiejskich — grożą palcem: należy głosować na „Solidarność”. Bo Pan Bóg wszystko widzi i w lokalu wyborczym bez trudu przenika spojrzeniem zastłonkę.

Pojedynek Siły-Nowickiego z Kuroniem w kinie „Wisła”. Tłum szturmował okna i drzwi (a więc i tu sklepy mięsne przed lub po dostawie). Kuroń siedział 8 lat, Siła-Nowicki — 9, a do tego lepiej, bo w celi śmierci, poza tym ten pierwszy korzystał z adwokackich usług tego drugiego. Teraz jednak pełni kurtuazji prze-

ciwnicy — co za ironia losu! Siła-Nowicki skarżył się, że „Solidarność” zaproponowała na wybory swoją nomenklaturę, że wszystkie uzgodnienia okrągłego stołu zostały postanowione w Magdalence. Siła miałby wiele racji, gdyby nie był Nowickim. Jakże urósł grzech pychy w tym człowieku i co teraz z tym uczynić? Dopiero z perspektywy stulecia można spojrzeć na czyjaś biografię w całości, rzec można horyzontalnie, a nie z góry w dół, kiedy to, co na wierzchu, przykrywa to, co na dole. Bardzo to niesprawiedliwe.

Nie ma to jednak wiele wspólnego np. z niesmakiem, jakim napawają mnie teksty w *Polityce* Passenta czy Grońskiego. Bo oni do swojego cynizmu wkładają sztuczny kręgosłup moralny. Moralistów boję się bardziej niż cyników, ale cynik z wkładką moralną — to okropne.

Gorączka wyborcza nie likwiduje gorączki strajkowej. Oto strajkuje właśnie administracja mojego osiedla. Strajki jak podziemne strumienie drażą ten kraj i nie widzę powodu, by nie wypłynęły nagle na wierzch, zmieniając się w rzekę. Co zrobi wtedy „Solidarność”? Poprze, zdystansuje się, potępi? Wszystko fatalne. Pytałem o to kilku działaczy. Wydawali się bardzo zambarasowani pytaniem. Warto byłoby przynajmniej swoją bezradność odpowiednio ubrać.

Kilka fatalnych programów telewizyjnych „Solidarności” przypominało nam, że nie jest prawdą idiotyczne hasło na jednym z naszych plakatów „Z pustego 'Solidarność' naleje”. Nie wszystko w naszych rękach zmienia się w złoto. Znając przygodę króla Midasa — rzec można — na szczęście.

Dzwoni do mnie R., opowiada, że byli u niego dwaj działacze. Bardzo tą wizytą poruszony, bo spotkał nagle własną młodość. „Ta sama pewność, że tylko nasza sprawa jest słuszna, lekceważenie dla tych, co mają odmienne zdanie i ten sam święty zapał”. Czasy młodości R. to stalinizm.

Pierwszy napis na murze „PZPR Solidarność”. Pierwsze gwiazdy Dawida rysowane na plakatach opozycji ręką prawdziwych Polaków. Pierwsza rewelacja: Andrzej Łapicki w czasie okupacji czytał kroniki hitlerowskie! Były dygnitarz partyjny opowiada mi, że nie bardzo wierzy, ale słyszał o tym z pewnego źródła. Napiłby się pan z tego źródła? — pytam. No, nie — spłoszył się.

Pierwszy dziennik opozycji — *Gazeta Wyborcza* — pierwsze koty za płoty. I w końcu nie pierwsze znaki, że młodzi mają już wszystkiego dosyć i jeżeli nie zdążą wyemigrować, zanarkotyzować się i upić — to spróbują wysadzić całe nasze gruzowisko w powietrze.

Walka na plakaty. „Solidarność” udało się już niemal zakleić usta przeciwnikom. Ale PZPR ma swój organ, a ten organ, podobnie jak cała propaganda, mimo swojej ociężałości okrutnie się gimnastykuje, by przejąć język opozycji. Cytują czasem niemal dosłownie — problem w tym, że bezlitośnie seplenią. Nie

należy z *Trybuną Ludu* polemizować, ale z pewnością należy ją czytać, by wiedzieć, czemu w tej trawie nadal śmierdzi.

Najpoważniejszy zarzut, jaki PZPR stawia niektórym swoim przeciwnikom — „oni kiedyś mieli z nami coś wspólnego”.

Dopiero na krótko przed wyborami wydaje się, że następuje pewne ożywienie, szczególnie w dużych miastach. Ci, co dotychczas podpierali ściany, jak wieśniacy na zabawie, objuczeni zakupami, źle ubrani i szarzy, zaczynają nieśmiało gramolić się na scenę i tańczyć.

Zwiedzam partyjne biura wyborcze — głucho, pusto, grobowo. Biura „Solidarności” przypominają zgromadzenie szaleńców — kłębi się tłum starych, młodych, nawet dzieci — wszyscy zdają się mieć poczucie, że podjęli się zadania, które ich przerasta. Jak na razie nie udało mi się załatwić tam żadnej sprawy oprócz nabawienia się bólu głowy. Chaos jest tak wielki, że dzięki swojej masie z konieczności rodzi jakiś sens. Jedno pewne — tam jest życie.

Cudzoziemscy dziennikarze, którzy przybyli tłumnie, by odwiedzić ten dziwny kraj, są zachwyceni kampanią. Wydaje im się ona niezwykle barwna, a przede wszystkim głęboka intelektualnie. Nie ma nawet co porównywać z Zachodem. Mają szczęście, nie znają polskiego. Mnie uderza niekonkretność wypowiedzi przyszłych posłów i senatorów, jakby nie było już z kim się spierać, jakich problemów podnosić, czegokolwiek rozwiązywać. Leżący na dnie mówią — jesteśmy na dnie.

W miarę zbliżania się terminu wyborów rośnie niepokój władzy. To znak, że tajne sondowanie żołądka społecznego wydo było na wierzch nie tylko żółć. Zaczyna się wojenka psychologiczna, która jest bliźniakiem tej sprzed stanu wojennego, zmierzczonym tylko przez ogólne rozmiękczenie wszystkich naszych tkanek. Odmowa rejestracji NZS była obliczona na sprowokowanie strajku studentów i studenci oczywiście nie zawiedli. Pokazano nam salę sądową pełną młodzieży. Sędzina długo czytała, by dojść do swojego NIE, a wtedy młodzież na chwilę straciła oddech, by potem jedną pierśią krzyknąć „Precz z komuną!”. Kamera długo delektowała się tą sceną — patrzcie ludzie, szykuje się męt i zamęt. Na przedzie, przed młodymi, stał stary, ale jary Siła-Nowicki, z łysiną świecąca jak reflektor, i na podobieństwo dyrygenta, który fatalnie pomylił koncert, próbował nadaremno rękoma uciszyć tumult.

Prowokowane manifestacje w Krakowie, histeria, że zagrożone są placówki sowieckie w Polsce, nadymanie balona, który zaraz pęknie i co będzie? To wszystko już było. Hasło partii „Z nami pewnie!” ma stać się ciałem. Oddech wschodu nie ma jednak w sobie mrozu — nie te czasy. Ale nawet gdyby — to przecież PZPR już wie, że nawet własnego ciała już sama nie udźwignie.

Witold CHARŁAMP

Jestem na żołdzie imperialistów

Tytuł niniejszy jest w istocie dość intymnym wyznaniem. To, że mam potrzebę wygłosić je publicznie, jest prostą konsekwencją faktu, że uprzytomniłem sobie prawdę w nim zawartą. Świadomość zaś tej prawdy, rozbudzona oczywiście stopniowo, nie była i nie jest dla mnie przyjemna.

Samo otrzymywanie od kogoś pieniędzy nie jest czymś nagannym ani wstydliwym. Często wynika ono ze stosunku zatrudnienia. Biorący pieniądze znajduje się w stanie zależności od dającego je. Obie strony akceptują taką sytuację, przynajmniej w ogólnych zarysach. Ze sformułowania tytułowego wynika jednak, że w moim wypadku otrzymywanie pieniędzy może budzić, przynajmniej u niektórych, zastrzeżenia natury etycznej. Wręcz niemoralne w ocenie władzy powinno być czerpanie środków utrzymania ze źródeł ulokowanych za granicą i prowadzenie działalności, która według niej może być oceniana jako antypaństwowa — skierowana przeciwko ludowemu państwu. Sam podzielałem długo tę opinię i może właśnie dlatego moja obecna sytuacja wydaje mi się moralnie niejednoznaczna.

Posłużę się pewnym przykładem. Znałem we wczesnej młodości osobiście, choć przelotnie, Jana Nepomucena Millera. Nie byłem na jego procesie. Czytałem jednak sprawozdania z niego i komentarze w prasie krajowej. Wywarły one na mnie pewne wrażenie. Podstawowy zarzut, że oskarżony pobierał w PRL emeryturę dla zasłużonych, a równocześnie pod pseudonimem publikował w paryskiej *Kulturze* artykuły nieprzychylnie dla władz PRL (zgodnie ze stylistyką, w której sformułowany jest tytuł niniejszego tekstu, „szkalujące ludową ojczyznę”), za które — być może — otrzymywał honoraria, wydawał mi się niepozbawiony słuszności, a moralna postawa oskarżonego — wątpliwa.

Tak, można było w stosunku do Millera użyć sformułowania, iż był na imperialistycznym żołdzie. Natomiast jawnie podobny zarzut nie spotkał mojej stryjenki, żony przedwojennego pułkownika, która przez blisko trzydzieści lat żyła w PRL utrzymywana przez męża emigranta. Pojawiał się on jednak w formie ukrytej, zwłaszcza w latach, gdy wszelkie kontakty z Zachodem były ograniczane, a posiadanie dewiz uważane za przestępstwo pospolite. Krytycznie oceniano moją stryjenkę także społeczeństwo — jej sytuacja była traktowana jako rodzaj pasożytnictwa, tolerowane go ze względów humanitarnych.

Przeszło kilka lat i stosunki walutowe w naszym kraju uległy radykalnej zmianie. Na marginesie warto wyjaśnić, że zmianie nie uległy ceny. Te są stabilne. Podobno (bo sam tego typu świadomość wyrobiłem w sobie znacznie później) cena kilograma kieł-

basy wiejskiej, tak samo jak cena pół litra wódki, wynosi przez cały okres istnienia Polski Ludowej mniej więcej 1 dolar USA. *Zmianie uległ oficjalny i społeczny stosunek do dewiz.* Zmiana mi oficjalnymi, które są jednym z czynników wpływających na obecną sytuację monetarną w naszym kraju, zwaną przez niektórych publicystów dwuwalutowością, nie będę się zajmował. Zatrzymajmy się na zmianach społecznych.

Już w latach sześćdziesiątych spora liczba naszych rodaków wypracowała model życia, którego dobrym wykładnikiem była dewiza: „Tam zarabiać, tu wydawać”. Postawę taką spore grupy społeczeństwa oceniały z początku mocno krytycznie, piętnowali ją też związani z reżymem publicyści. Dziś uchodzi w rozumieniu społecznym za objaw życiowej zaradności, której jednoznacznie aprobowaną ocenę osłabia tylko ludzka zawiść. Aprobowaną ją oczywiście także władze. Inne sformułowanie przytoczonej dewizy znalazłem na przykład w reklamie PEWEX-u: „Świat zwiedzaj — w PEWEX-ie kupuj!”. Jaki to typ turystyki, umożliwiającej późniejsze zakupy, sugeruje Polakom hołubiony przez władze PEWEX?

Odpowiedź jest jasna. Władze niezmiernie wysoko cenią obecnie dolary i dlatego tolerują wszelkie dochody dewizowe Polaków, niezależnie od ich źródła. Ale choć rozpaczliwie szukają wpływów w walutach twardych, nie wahają się od czasu do czasu wysunąć pod adresem ludzi im niemiłych zarzutu, że są finansowani pieniędzmi z Zachodu — przez imperialistów. Takie zarzuty mają jeszcze pewną siłę oddziaływania, m.in. na starsze pokolenia, wychowane w innej sytuacji społecznej, ale przede wszystkim na ludzi oderwanych od źródeł cennych dewiz.

Ja także mam w dalszym ciągu pewne wątpliwości, czy otrzymywanie pieniędzy zza granicy nie jest czymś dwuznacznym. Problem to dla mnie ważny, bo dotyczy mnie samego. Abym mógł zająć w tej sprawie wyraźne stanowisko, muszę ogólnie scharakteryzować moją sytuację materialną na tle sytuacji kraju.

Jestem całkowicie związany życiowo i finansowo z krajem. Żyję i pracuję w PRL. Pracuję jak wszyscy na państwowej posadzie i jak wszyscy otrzymuję za to wynagrodzenie. Wynagrodzenie nędzne, jak wszyscy. Jak wszyscy korzystam z uprawnień socjalnych. Mam, już nie jak wszyscy, przyzwoite mieszkanie spółdzielcze, do którego wszyscy mają teoretycznie prawo i które ja dostałem (tak, dostałem! — to przecież świetnie oddaje krajową mentalność), gdy byłem po czterdziestce. Staram się natomiast nie korzystać z przywilejów i uprawnień nadzwyczajnych (półdarmowej robocizny przy budowie domku, asygnaty na samochód czy specjalnego przydziału innych dóbr), które przysługują tylko nielicznym.

Mimo to nie żyje mi się źle. Jak to osiągam? Odpowiedź jest dziecinnie prosta.

Bezpośrednio stykałem się z Zachodem rzadko, krótko i powierzchownie. Natomiast w naturalny sposób mam bliskie i

szerokie kontakty z zagranicą, przede wszystkim z emigrantami z Polski. Nie jest to emigracja poprzedniego pokolenia, emigracja moich rodziców (ze stryjem widziałem się raz w życiu — w roku 1985 — kilka miesięcy przed jego śmiercią), tylko moja, moich kolegów i uczniów, związanych ze mną więzami przyjaźni, czasem zaś czujących wobec mnie zawodowe i ludzkie zobowiązania.

Bez względu na to, czy chcę, czy nie chcę, otrzymuję od nich prezenty. Prezenty te z ich punktu widzenia są drobne, natomiast z mojego punktu widzenia — olbrzymie. Przecież 40 dolarów USA to równowartość mojej miesięcznej pensji ze wszystkimi dodatkami. Sumę tę podałem według kursu z września 1987 roku, ale nie jest to fakt specjalnie ważny. Siła nabywcza mojej miesięcznej pensji, mierzona w dolarach USA, w ciągu ostatnich dwudziestu lat jest w miarę stabilna i wynosi 30-40 dolarów.

Zróbmy tu wyjaśnienie dla władz. Nie twierdzę bynajmniej, że zarabiam 40 dolarów miesięcznie. Twierdzę tylko, że jeśli dostanę 40 dolarów, to — wymieniając je w sposób całkowicie legalny — mam taką ilość złotych, że musiałbym miesiąc pracować, aby je zarobić. Co więcej, jeśli bym wpadł na pomysł działania z punktu widzenia władz przestępczego, a z mojego punktu widzenia — absurdalnego i wymienił mój miesięczny zarobek na tzw. walutę wymienną (tj. taką, której wymiana na inną walutę nie jest ani działaniem przestępczym, ani absurdalnym), to otrzymałbym nie więcej niż 40 dolarów.

Taka sytuacja powoduje zasadnicze skutki w świadomości ludzkiej. Złotówkę zdobywa się stosunkowo trudno, pracując na nią mozolnie (choć niezbyt intensywnie, ale to już skutek przedstawianej właśnie sytuacji), dolar (jeśli się ma okazję) przychodzi łatwo (trzeba na niego czasem ciężko popracować, ale efekty tej pracy są dla naszego polskiego krajowca oszałamiające).

Co robi w tej sytuacji człowiek, który umie myśleć i działać racjonalnie? Oczywiście stara się zarabiać nie złotówki, tylko dolary. Jeśli żyje i chce żyć w Polsce, to ze względów konformistycznych powinien on, jak wszyscy, być stale zatrudniony, otrzymywać wynagrodzenie, mieć prawo do świadczeń socjalnych — słowem, zajmować jakieś miejsce w ustabilizowanym społeczeństwie i nie dopuścić do jego utraty. Nie znaczy to jednak, że powinien pracować coraz więcej i wydajniej i starać się więcej zarabiać. Powinien bowiem po prostu dążyć do tego, by mieć dochody dewizowe.

Pochlebiam sobie, że w życiu kieruję się względami racjonalnymi. Wiem, że na świecie są biedni i bogaci. Wychowany w przeciwnym polskim dostatku, nie miałem nigdy trudności materialnych. Nie korzystałem w młodości i nie korzystam nadal z dóbr luksusowych, dostępnych ludziom bogatym w Polsce i ludziom o skromnym stopniu zamożności w bogatych krajach Zachodu. Nie uważam się jednak za biedaka. Nie mam podstawowych problemów życiowych, które doskwierają obecnie wielu

moim rodakom. Standard, do którego przywykłem, staram się utrzymać sam oraz zapewnić moim dzieciom, dopóki są niesamodzielne materialnie.

Jak więc postępuję?

Złotówkowe bodźce materialne straciły dla mnie już dawno wszelki sens. To, ile zarobię w Polsce, nie ma istotnego wpływu na poziom mego życia, stan posiadania, ogólną zamożność. Jeżeli wykonuję swoje podstawowe obowiązki, wynikające ze stosunku zatrudnienia, jeżeli podejmuję się czasem prac dodatkowych, to kieruję się oczywiście innymi względami.

Istotny wpływ na moją sytuację materialną mają natomiast dochody dewizowe, choćby minimalne. Dochody dewizowe o charakterze darów czy jałmużny (bo i takie, z błogosławieństwem Państwa Ludowego, zdarzyło mi się dostawać) pozwalają mi utrzymywać wraz ze stosunkowo liczną rodziną poziom życia, na który — pracując za złotówki — musiałbym nieludzko harować. Rzecznikowi rządu wymknęło się kiedyś, że rząd nie ma problemów aprowizacyjnych, bo zawsze się jakoś wyżywi. Muszę wyznać, że mam podobne poczucie. W obecnej pokojowej sytuacji światowej też wyżywią mnie jakoś moi zachodni przyjaciele — może trochę wbrew intencjom rządu, który podejrzewam nie o to, że pragnie mojej śmierci głodowej, ale o to, że tak naprawdę, to chciałyby ściśle skorelować moje realne możliwości utrzymania się przy życiu ze swoją dystrybucją dóbr materialnych.

Sytuacja biorcy darów nie jest jednak przyjemna. Oczywiście staram się w jakiś sposób zrewanżować moim przyjaciółm, już to posyłając im drobne prezenty z Polski, już to pomagając w sprawach zawodowych. Niemniej sytuacja jest jednoznaczna. W stosunkach, które się ukształtowały i które w skali kraju trwają przez co najmniej czterdzieści lat, jednoznacznie jest określona strona dająca i strona biorąca. Ja jestem tym, który bierze.

Jest chyba jednak naturalne, że człowiek nie chce żyć wyłącznie z cudzej łaski i chleba, na który zarabia, smarować darowanym przez kogoś masłem. Musi tedy doprowadzić do tego, aby uzyskać prawdziwy dochód.

Prawdziwy dochód chce uzyskiwać obecnie wielu Polaków. Wielu stara się dosłownie wcielić w życie zacytowaną wyżej reklamę PEWEX-u i osiągnąć przyzwoite dochody z „turystyki”. Wielu zawiera zagraniczne kontrakty, z których dochód przekracza nie tylko ich krajowe możliwości zarobkowe — przekracza czasem ich krajową wyobraźnię. Wielu ludzi, prostych i wykształconych, jeździ — jak ich chłopscy dziadowie — na saksy.

Wielu dąży do tego, aby pracować za waluty wymienne. Każdy pracuje, jak umie i w takiej dziedzinie, w której może znaleźć pracę, czasem znacznie przekraczającą jego fizyczne możliwości.

Warto dodać, że takimi samymi wartościami operują ludzie władzy. Od ludzi zwykłych różnią się oni przede wszystkim tym, że dostęp do imperialistycznych dewiz to dla nich przywilej, który mogą zdobyć w ramach oficjalnej organizacji socjalistycz-

nego państwa. I oczywiście niezmiernie prestiżowe w kręgach władzy i nie tylko władzy są wszelkie, choćby najskromniejsze, placówki oficjalne w państwach mających walutę wymienną. Państwo zaś jeszcze dalej deprecjonuje własną walutę, częściowo płacąc własnym przedstawicielom w bratnich krajach socjalistycznych — w imperialistycznych dewizach. A gdy trochę pobejdzie się na Zachodzie, widzi się, jak wielu przedstawicieli PRL i jej oficjalnych agend oraz najbliższych członków ich rodzin, przede wszystkim dzieci, zasiliło (najczęściej bez efektownych demonstracji) szeregi emigracji.

Ale wróćmy do mnie. Moje możliwości uzyskania prawdziwego zarobku są bardzo ograniczone. Mój zawód (językoznawcy polonisty) wiąże mnie ściśle z kulturą polską. Można nawet powiedzieć, że jego wykonywanie w Polsce, np. w Białymstoku, stwarza mi lepszą sytuację, niż wykonywanie go za granicą, np. w Pittsburghu. Dochód materialny z tej działalności mam właściwie groszowy, ale pozwala mi ona zajmować ustalone i szanowane miejsce w społeczeństwie, a ponadto daje satysfakcję. Ale przecież chcę działać racjonalnie i skutecznie. Cóż więc mam robić?

Muszę przenieść za granicę część mojej pracy albo przynajmniej część wynagrodzenia. Nie bardzo mi się to uśmiecha, bo nie mam ochoty wykonywać stosunkowo łatwo dostępnej pracy, do której nie przywykłem i na której się nie znam (robotnika budowlanego albo tzw. *sittera*, czyli opiekuna ludzi niedołączonych), a zawód mój nie stwarza mi dogodnej sytuacji wyjściowej w krajach, w których rynkiem pracy rządzą prawa podaży i popytu. Więc godzę się na kompromisy.

I odnoszę ograniczone sukcesy. Wykonuję od czasu do czasu pracę w zawodzie zbliżonym do mojego. Jest to z reguły — z mojego punktu widzenia — praca poniżej moich kwalifikacji. Natomiast z punktu widzenia zleceniodawcy jestem bardzo tanim pracownikiem. Jestem bowiem gotów podjąć się pracy za wynagrodzeniem znacznie niższe niż to, które mógłby zaakceptować człowiek należący do zachodniego świata dewizowego. Ale dzięki takiej sytuacji uzyskuję niekiedy prawdziwy dochód. Nie ma porównania między tym dochodem a zarobkami w kraju. A prawdziwy zarobek bardzo poprawia moje samopoczucie.

Może nie od rzeczy będzie jeszcze jedno wyznanie. Moja przeszłość i mój zawód popychają mnie ku ludziom, którzy na Zachodzie prowadzą polską działalność kulturalną. Nigdy nie wiem, w którym momencie działalność moich przyjaciół zostanie oceniona jako wroga dla PRL, tym bardziej że wielu z nich dwadzieścia lat temu opuściło Polskę z piętnem wrogów. Skądś się czerpią fundusze na swą działalność. I w pewnym skromnym stopniu dzielą się ze mną, choćby goszcząc mnie w swych domach.

Jestem zatem na żołdzie imperialistów.

Świadomość relacji walutowych ma w Polsce wielu ludzi.

Praktyczne wnioski dotyczące dochodów, podobne do moich, potrafią wyciągnąć z tej sytuacji miliony. Praktyczne wnioski dotyczące pracy za złotówki wyciągnęli wszyscy.

Pittsburgh, Pennsylvania, 22 kwietnia 1988 r.

Zygmunt SALONI

P.S. Jaskrawym dowodem na to, że jestem na żoździe imperia-
listów, jest niniejszy artykuł. Może wolałbym, aby — adreso-
wany do polskiego krajowego czytelnika — ukazał się w kraju.
Jednak argumenty wyłożone wyżej wpłynęły na to, że zdecydo-
wałem się wydrukować go za granicą.

Atmosfera na Uniwersytecie Wrocławskim

Wrocław, dnia 7 kwietnia 1989 r.

UNIwersYTET WROCLAWSKI
INSTYTUT FIZYKI TEORETYCZNEJ
50-205 Wrocław, ul. Cybulskiego 36, tel. 22-66-71, 22-23-63

P.T. Dziekan i Rada Wydziału
Matematyki, Fizyki i Chemii
Uniwersytetu Wrocławskiego

na ręce Przewodniczącego Komisji
d/s Nadania Tytułu Profesora
Nadzwyczajnego —
Prof. dra Jana Łopuszańskiego

Szanowni Państwo,

Jest dla mnie powodem do osobistej satysfakcji fakt, że pomimo mojej systematycznej obstrukcji, Rada Naukowa Instytutu Fizyki Teoretycznej, a potem Rada Wydziału postanowiły wszcząć ponownie procedurę nadania mi tytułu profesora nadzwyczajnego. Jestem świadom tego, że niewiele Rad Naukowych w tym kraju zdobyłoby się na taki krok i pragnę tą drogą wyrazić moje uznanie i wdzięczność.

Jednakże, pomimo tego uczucia wdzięczności i satysfakcji, zmuszony jestem ponownie odmówić swego udziału w tej procedurze i prosić Wysoką Radę o jej niekontynuowanie. Takie moje po-

stępowanie wynika z przyczyn zasadniczych i jest wyrazem mojego protestu przeciwko aktualnej funkcji społecznej instytucji profesury w PRL i anormalnej sytuacji, utrwalonej i rozwijającej się przez dziesięciolecia, sytuacji którą uważam za głęboko szkodliwą dla interesu nauki polskiej.

Kiedy w roku 1982 po raz pierwszy stanęła sprawa mojej profesury, moja odmowa udziału w tej procedurze — poza krytycznym stosunkiem do tej instytucji — podyktowana była również motywem osobistym, o charakterze „estetycznym”: uważałem za niewłaściwe, aby w czasie gdy siedzę w więzieniu z powodów politycznych, albo gdy stosowane są wobec mnie różnego typu represje i szykany policyjne — podejmować kroki, które miałyby to w jakiś sposób rekompensować w zupełnie innej dziedzinie. Uważałem i nadal tak uważam, że jakkolwiek byłyby wówczas rezultatem takiego postępowania, nie miałyby one żadnej wartości merytorycznej, naukowej, a wyłącznie polityczną. Dzisiaj, po upływie 7-miu lat, klimat polityczny jest inny, policyjne szykany jakby ustały, ale mój krytyczny stosunek do problemu profesury tylko się pogłębił, a wydarzenia minionych lat tylko mnie utwierdziły w słuszności mojej ówczesnej decyzji.

1^o *Instytucja profesury w PRL jest typową instytucją fasadową.* Powołanie na stanowisko profesora, nie mówiąc już o samym nadaniu tylko tytułu, nie nadaje profesorowi absolutnie żadnych nowych praw ani też nie zwiększa jego obowiązków w porównaniu z prawami i obowiązkami docenta. Jediną wymierną różnicą jest podwyższenie pensji o równowartość kilku dolarów miesięcznie. Jaka więc jest różnica między nadaniem tytułu profesora, a przyznaniem, powiedzmy, złotego krzyża zaślugi czy innego odznaczenia? Albowiem powołanie docenta na stanowisko profesora w żaden sposób nie zwiększa jego możliwości, ani poprzez łatwiejszy dostęp do środków finansowych, ani poprzez możliwość dobierania sobie czy zatrudniania młodszych pracowników naukowych czy personelu technicznego.

W moim przekonaniu jest to sytuacja anormalna. Ta anormalność jest, oczywiście, wynikiem całego ciągu administracyjnych manipulacji życiem naukowym w PRL. To jednak nie zmienia faktu. Taka sytuacja nie ma miejsca w żadnym ze znanych mi krajów, w których nauka znajduje się na jakim takim poziomie. Wszędzie tam powołanie na stanowisko profesora jest odpowiedzią na konkretne potrzeby konkretnego środowiska naukowego czy akademickiego, a nie sprawą politycznych manipulacji na jakichś tajnych konwentyklach, na których decyzje o nadaniu stopnia czy tytułu podejmowane są przez zakonspirowane, anonimowe ciała, nie wiadomo przez kogo i na jakiej podstawie. Natomiast powołanie takie wiąże się zarówno ze zwiększeniem obowiązków jak i możliwości.

Ta fikcyjność i fasadowość wywołuje w środowiskach profesorskich potrzebę kompensacji i samodowartościowania się. Ma to częstokroć aspekty humorystyczne, niekiedy wręcz groteskowe. Uczestnicząc od ponad 20 lat w posiedzeniach Rady Wydziału, wiele

razy miałem okazję obserwować, jak przy powoływaniu różnorodnych „komisji do spraw...” profesorowie dbają, żeby do takiej komisji nie wszedł przypadkiem jakiś docent! No, chyba, że akurat nie ma żadnego profesora, który zna się na rzeczy. Wówczas, w drodze wyjątku, dopuszcza się docenta, chociaż takie postępowanie nie znajduje żadnego uzasadnienia w przepisach ani w rzeczywistej potrzebie. Innym znamionym przykładem tego rodzaju potrzeby kompensacji było szereg akcji zbierania podpisów pod różnymi petycjami czy listami otwartymi, jakie miały miejsce w ostatnich latach: posiadanie tytułu profesora traktowane było częstokroć jako *mandat* do zabierania głosu w sprawach publicznych! Znane mi są przypadki, kiedy już złożone w jakiejś sprawie podpisy były następnie usuwane i pomijane, gdyż osoby, które je złożyły, nie posiadały tytułu naukowego. Tworzy się więc klimat społeczny, w którym nie charakter, nie świadomość obywatelska, nie kompetencja, lecz tytuł naukowy decyduje ma o „powadze” zabieranego głosu.

2. *Selekcja negatywna.* Skoro awans na stanowisko profesora uzależniony jest od opinii zakonspirowanych czynników politycznych czy policyjnych, kiedy na nominację profesorską trzeba częstokroć czekać latami, pomimo najbardziej pozytywnych opinii recenzentów i rad naukowych, to następuje selekcja negatywna. Sprzyja to formowaniu się postaw oportunistycznych i serwilistycznych. Wytwarza się sytuacja, w której środowisko profesorów, jako grupa społeczna, wykazuje te cechy w sposób badające największy ze wszystkich grup zawodowych w PRL. Jest to zjawisko tym groźniejsze, że oportunizm i serwilizm są maskowane troską „o ratowanie substancji” i inne dobra duchowe najwyższego rzędu.

Pozwolę sobie przytoczyć kilka wymownych przykładów z ostatnich lat.

W środowisku akademickim należy do dobrego tonu prywatnie utyskiwanie na ostatnią nowelizację ustawy o szkolnictwie wyższym, na ustawę o stopniach i tytułach naukowych oraz krytykowanie innych powszechnie znanych bolączek nauki i szkolnictwa wyższego. Jednakże kiedy przyjechał do Wrocławia ówczesny minister, prof. Miśkiewicz, i spotkał się z ok. 500 samodzielnymi pracownikami nauki uczelni wrocławskich, nie znalazł się *ani jeden profesor*, który miałby odwagę wystąpić z publiczną krytyką tych zgubnych dla nauki posunięć rządu. Wdzięczny za ten powszechny przejaw „lojalności”, minister nie szczędził duserów i pochwał zgromadzonym tam profesorom.

Zaledwie dwa lata temu ministerstwo, z powodów politycznych, zorganizowało ogólnopolską kampanię ankietyzacji i weryfikacji. Jak dzisiaj oficjalnie wiadomo, kampania ta nie przyniosła żadnych skutków pozytywnych, ale za to pochłonęła tony papieru, tysiące zmarnowanych profesorskich godzin, nie mówiąc już o innych stratach. Nie znalazł się jednak ani jeden profesor, który by odmówił udziału w tej absurdalnej akcji. Przeciwnie, wielu profesorów ochoczo wzięło w niej udział, znajdując dla

niej spontanicznie uzasadnienia, które zapewne nawet samemu pomysłodawcy nie przyszły do głowy.

Inny przykład. Przed 7-miu laty w Instytucie Badań Jądrowych w Świerku wyrzucono z pracy ponad 40-tu pracowników naukowych, w tej liczbie trzech wybitnych — w skali międzynarodowej — fizyków ciała stałego. Ponieważ byli to moi koledzy „z branży”, których pozycja naukowa i osiągnięcia były mi doskonale znane — samotnie występowałem publicznie w ich obronie, zwracając się w tej sprawie do wszystkich oficjalnych czynników w PRL. Najbardziej przygnębiającą rzeczą było dla mnie to, że ani jeden z wielu uznanych za wybitnych polskich fizyków, do których się zwróciłem, w żaden sposób do tej mojej akcji nie tylko się nie przyłączył, ale nawet na nią nie zareagował. Po moim liście do ówczesnego Przewodniczącego Rady Państwa tak do mnie pisał jeden z wyrzuconych fizyków, doc. Ludwik Dobrzyński: „Rozumiem, że Twój list jest próbą przerwania milczenia wokół tej wstydlivej sprawy. Nie wierzę, że Ci się to uda. Mam wiele listów podpisanych przez ogólnie znanych w świecie fizyków zagranicznych, którzy prywatnie i w imieniu instytucji nawet tak poważnych jak Europejskie czy Amerykańskie Towarzystwo Fizyczne protestowali przeciwko krzywdzie wyrażonej polskim naukowcom. Nie znam ani jednego listu uczonego polskiego. Mało! Nie znalazł się ani jeden, który napisałby do mnie parę serdecznych słów wtedy, gdy słowa takie były szczególnie potrzebne...”

Przykłady można by mnożyć. To, co jest w nich najbardziej uderzające i przygnębiające, to właśnie możliwość użycia wielkiego kwantyfikatora: NIKT, ANI JEDEN.

Fakt ten zwraca uwagę na jeszcze jeden doniosły aspekt sytuacji: niebываłą, wręcz wyjątkową solidarność grupową polskiej profesury. Nie jest to, niestety, solidarność specjalnie pozytywna, lecz egoistyczna, która zapewnia milczenie środowiska nawet gdy zagrożone są najżywotniejsze interesy nauki i kultury, jeśli tylko nie uderza się wprost w profesurę. Tak właśnie było w IBJ. Spróchniały „miecz sprawiedliwości ludowej” (do tej haniebnej akcji wciągnięto przeciw sądy wszystkich instancji) dotknął wyłącznie docentów i młodszych pracowników nauki, pozycja żadnego profesora nie została naruszona. Podobnie działo się w czasie niesławnej kampanii „ankietyzacji”, a najbardziej jaskrawo ten egoizm grupy przejawiał się podczas ostatniej akcji „rotacji adiunktów”: doszło do tego, że np. w Uniwersytecie Wrocławskim jeszcze w końcu czerwca 1987 większość adiunktów uczelni nie mogła być pewna, czy po wakacjach powróci do pracy!

Wszystkie te „ułamności” polskiej profesury, w szczególności serwilizm i potrzeba sztucznego dowartościowania, wykorzystywane są w sposób cyniczny i bezwzględny przez komunistyczne władze. Przykładów ilustrujących tę tezę jest mnóstwo. Jednym z bardziej jaskrawych było powołanie do życia dziwnego tworu o nazwie „Rada Konsultacyjna przy Przewodniczącym Rady Państwa”, złożonego w przytłaczającej większości ze znanych naz-

wisk profesorskich. Twór ten, powołany nagle z niebytu jako fasada demokracji i dowód „niezwykle radykalnych przemian demokratycznych w PRL”, powrócił już po cichu w stan niebytu. Jednym z ciekawszych aspektów jego działalności był ten, że mimo tak licznych obsadzenia przez profesorskie sławy, nie miał czasu, aby zajmować się tragicznymi sprawami polskiej nauki. Dobrym przykładem ilustrującym ten punkt widzenia jest skład uczestników właśnie zakończonego „okrągłego stołu”: i tam też większość, po obu stronach, stanowili profesorowie. Natomiast żenująca scena, w której *minister policji* pierwszy gratuluje wybitnemu uczestnikowi tego „stołu” nominacji profesorskiej jest jak puenta ilustrująca stosunek „władzy ludowej” do profesury.

Omówione tu czynniki negatywne stanowią poważne brzemię nauki w Polsce i są jednym z ważniejszych elementów jej kryzysu. Oczywiście, głównym czynnikiem jest nędza, tragiczny brak środków, połączony z buszowaniem na polu nauki niekompetentnych aparatczyków, ale za to z profesorskimi tytułami. GDYBY jednak sytuacja materialna polskiej nauki, za dotknięciem jakiejś czarodziejskiej różdżki, uległa zmianie, to obawiam się, że na drodze jej rozwoju stanęłaby właśnie anormalna sytuacja w polskiej profesurze.

Powyższe uwagi pozwoliłem sobie napisać, gdyż moi PT Koledzy twierdzą, że moje postępowanie w sprawie profesury jest całkowicie niezrozumiałe. Otóż przez ostatnie siedem lat na te tematy napisałem szereg artykułów, listów otwartych, wygłosiłem szereg odczytów — w murach uczelni i poza nią. Mógłbym więc ja wyrazić zdziwienie, że mój protest jest nieczytelny i niezrozumiały. Wszystkie moje wypowiedzi jak widać „padły na głuche uszy”: nikt, nigdy i nigdzie do tej mojej krytyki się nie ustosunkował, nikt nie podjął żadnej polemiki. Być może jest to wynikiem faktu, że wszystkie moje teksty były publikowane w czasopismach tzw. „drugiego obiegu”. Może więc teraz, gdy powoływanie się na takie teksty nie jest już zagrożone widmem syberyjskich łagrów, zamiast profesury doczekam się rzetelnego ustosunkowania do podnoszonych przeze mnie dramatycznych i bolesnych problemów polskiej nauki.

Z należnym szacunkiem,

Jerzy PRYZSTAWA

W załączeniu:

1. Kopia artykułu „1 listopada — przesłanie dla nauki polskiej”, *Obecność* nr 19, 1987.
2. Kopia artykułu: „Inteligencja a niepodległość”, *Obecność* nr 23, 1988.
3. Preprint artykułu: „Poland: an intellectual and moral challenge”, Cornell, 1989 (nieopublikowany).

Do wiadomości:

JM Rektor Uniwersytetu Prof. dr hab. Mieczysław Klimowicz.

Wrocław, dnia 11 kwietnia 1989 r.

UNIWERSYTET WROCŁAWSKI
INSTYTUT FIZYKI TEORETYCZNEJ

50-205 Wrocław, ul. Cybulskiego 36, tel. 22-66-71, 22-23-63

Dyrektor Instytutu

Prof. dr hab. Zygmunt Galasiewicz
w/m

Szanowny Panie Dyrektorze,

1. Przez ponad miesiąc, jak Panu zapewne wiadomo, kserograf Instytutu był niedostępny dla pracowników naukowych.

2. Po informacji, jakiej udzielił nam na ostatniej Radzie Instytutu Prof. Lukierski, złożyłem zamówienie o powielenie mego artykułu, dotyczącego sytuacji w nauce polskiej, pt. „Poland: an intellectual and moral challenge”, który napisałem podczas mego pobytu w Uniwersytecie Cornella, i który miał być załącznikiem do mego pisma do Rady Wydziału, w związku z procedurą nadania mi tytułu profesora nadzwyczajnego.

3. Przez cały tydzień przed Radą Wydziału codziennie pytałem p. Danutę Skrajną czy była uprzejma artykuł skopiować. Była ona jednak zajęta innymi ważniejszymi sprawami, i niemiennie odpowiadała: „może jutro, może w piątek, itp.”.

4. Dzisiaj, tj. 11 kwietnia, p. Skrajna zawiadomiła mnie, że artykułu nie powieli, i że zabroniła jej tego Pani Docent Władysława Nawrocka, która poleciła jej czekać z tym do przyjazdu Pana Profesora.

W tej sytuacji pozwalam sobie oświadczyć co następuje:

1°. Uważam za *skandal* i rzecz całkowicie niedopuszczalną, aby w Instytucie, który chce uchodzić za instytut naukowy i uniwersytecki teksty oddawane do powielenia, na formalnym zleceniu, przez pracowników naukowych, nie mówiąc już o tzw. „samodzielnych pracownikach nauki” były cenzurowane przez kogokolwiek, czy to będzie *goniec* czy *docent*. Jeśli tego typu praktyk dopuszcza się DOCENT, to jest to dowód, że niektórzy pracownicy nauki ze swoich licznych wyjazdów zagranicznych nie przywożą ani osiągnięć naukowych, ani kulturowych czy cywilizacyjnych. Albowiem cenzurowanie tekstów kopiowanych na kserografie uważam za praktykę stosowną dla epoki kamienia łupanego.

2°. Jeśli tego typu obyczaje mają być w naszym instytucie kontynuowane, to niniejsze pismo proszę traktować jako moją formalną rezygnację z kierowania tematem badawczym „przejścia fazowe” w odpowiednim problemie węzłowym. Nie mam bowiem zamiaru brać udziału w fikcji, polegającej na tym, że kieruje tematem tzw. „samodzielny pracownik naukowy”, który na

wet nie ma prawa odbić paru stron na ksero bez cenzury wykonywanej przez pomocniczą siłę techniczną.

3°. Kopie niniejszego pisma przesyłam do Jego Magnificencji Rektora i do Prof. Jana Łopuszańskiego — Przewodniczącego Komisji Rady Wydziału do sprawy nadania mi tytułu profesora nadzwyczajnego ZAMIAST kopii artykułu „Poland: an intellectual and moral challenge”.

Z poważaniem,

Jerzy PRYZYSTAWA
tzw. „samodzielny pracownik naukowy”
w Instytucie Fizyki Teoretycznej
Uniwersytetu Wrocławskiego

P.S. Kopie tego pisma, podobnie jak i innych załączników do pisma do Rady Wydziału, wykonałem odpłatnie w publicznym punkcie usługowym.

LEKARSTWA

Przodujących fabryk Europy, Ameryki i Japonii
WYSYLAMY BEZ ZWŁOKI.

— Recepty i zamówienia realizujemy do wysokości \$ US 50,00 natychmiast — nie czekając na wpłatę. ● Odczytywanie recept krajowych. ● Wszelkie aparaty medyczne. ● Okulary. ● Aparaty słuchowe. ● Preparaty dentystyczne.

Cenniki i wyceny przesyłamy natychmiast.

Największy Polski Dom wysyłkowy

T A Z A B LTD.

Tazab House, 273 Old Brompton Road,
London SW5 9JB, England.

Tel.: (01) 373 48 81

oraz informacje

Madame C. Piquard-Zablocki,

12 rue Condorcet, 75009 Paris, France.

Tel.: 42 85 79 45.

O religii bez namaszczenia

O chrześcijańskich podziałach i chrześcijańskiej jedności

I

W końcu kwietnia została ogłoszona wymiana listów między arcybiskupem Canterbury dr. Robertem Runcie a papieżem Janem Pawłem II w sprawie wyników zeszłorocznej okresowej konferencji światowej wspólnoty anglikańskiej *Lambeth Conference* (tak zwanej od nazwy pałacu arcybiskupiego w Londynie, choć konferencja odbywała się w pobliskim Canterbury). Arcybiskup napisał do papieża bezpośrednio po zakończeniu konferencji w sierpniu 1988, a papież odpowiedział w grudniu. Tempo korespondencji zdaje się być świadomie powolne i kilkumiesięczna zwłoka w ogłoszeniu treści obu listów też ma swoje uzasadnienie. W międzyczasie wspólnota anglikańska sama borykała się (i boryka się nadal) z ciężkim problemem, jakim było zaakceptowanie, jakkolwiek kwalifikowane i prowizoryczne, przez konferencję Lambeth święceń kapłańskich, i nawet biskupich, dla kobiet. Konferencja nie mogła ich nie zaakceptować, gdyż w kilku prowincjach (jest ich w sumie 27) księża-kobiety już są faktem dokonanym i niezaakceptowanie oznaczałoby wykluczenie tych prowincji ze wspólnoty, czyli schizmę. Od tego czasu jedna kobieta-ksiądz w prowincji północnoamerykańskiej w Bostonie została już wyświęcona na biskupa. Co gorsza, rozłam we wspólnocie nie załatwiłby sprawy, gdyż we wszystkich prowincjach są zarówno zwolennicy, jak zdecydowani przeciwnicy święceń kapłańskich dla kobiet, nie wyłączając macierzystego Kościoła Anglii, i granica podziału byłaby niebezpiecznie płynna. Konferencja Lambeth postanowiła zatem skupić się na znalezieniu sposobu po-

godzenia zwaśnionych stron i utrzymania wszystkich w ramach historycznej religijnej wspólnoty. To zadanie zostało powierzone komisji pod przewodnictwem irlandzkiego arcybiskupa Armagh Roberta Eamesa. Środki zaradcze wypracowane przez tę komisję zostały z kolei przedstawione konferencji prymasów wszystkich 27 prowincji wspólnoty anglikańskiej, która odbyła się w kwietniu tego roku na Cyprze. Prymasi zaakceptowali zalecenia komisji Eamesa, które znowu stanowią (jak się można było spodziewać) typowo angielski czy typowo anglikański kompromis.

Na czym polega ten kompromis, o tym za chwilę. Przedtem jednak chciałbym zapewnić czytelnika, że nie piszę tego wszystkim, by go informować o szczegółach religijnej kontrowersji w łonie jednego, jakkolwiek wielkiego, odłamu współczesnego chrześcijaństwa, do którego sam nie należy i który zatem może go stosunkowo mało obchodzić. Piszę o tym dlatego, że sprawa jest symptomatyczna dla całego chrześcijaństwa, w tym także rzymskiego katolicyzmu, który polskiemu czytelnikowi jest w takim czy innym sensie bliski. Na dobrą sprawę chodzi nie tylko o ten jeden bieżący problem w długiej historii religijnych rozłamów, schizm, herezji, reform, pojednań czy unii, aż po współczesny ekumenizm czyli dążenie do ponownego zjednoczenia chrześcijaństwa. Nawet pobieżna refleksja historyczna ukazuje dowodnie, że przyczyną rozłamów nie były zawsze, w każdym razie nie tylko, głębokie różnice doktrynalne, lecz że poważną rolę grały również specyficzne historyczne okoliczności. Z drugiej strony nawet zasadnicze różnice doktrynalne nigdy nie zniszczyły całkowicie poczucia jeszcze bardziej zasadniczej chrześcijańskiej wspólnoty. Uświadomienie sobie tych dwóch prawd leży u podstaw współczesnego ruchu ekumenicznego. W tym klimacie nad każdym konkretnym zagadnieniem ekumenicznym górują fundamentalne pytania: Na czym polega rozłam? Na czym polega jedność? W jakim stopniu jest możliwa jedność w różnorodności?

Otóż na te kwestie obecna anglikańska kontrowersja w sprawie święceń dla kobiet rzuca interesujące i pożyteczne światło. Jest tak między innymi dlatego, że Kościół anglikański uważał się zawsze za *via media* między katolicyzmem a protestantyzmem, co znajduje dobitny wyraz we współistnieniu w ramach tej samej episkopalnej instytucji skrzydła anglo-katolickiego i ewangelickiego (*High Church* i *Low Church*). Gra tu niewątpliwie rolę specyficzny angielski pragmatyzm, niechęć do teoretycznych rozwiązań wymyślonych przy zielonym stoliku i skłonność do kompromisów, jakie dyktuje praktyczne życie. Komisja Eamesa miała zadanie teoretycznie niemożliwe do rozwiązania i ograniczyła się do rozważenia dwóch możliwych kompromisów: albo parafie

diecezji, której biskup uznał święcenia dla kobiet (albo sam jest kobietą), będą miały prawo przejść pod jurysdykcję biskupa, który ich nie uznaje, albo też, pozostając w ramach diecezji nie-ortodoksyjnego ich zdaniem biskupa, będą miały możliwość zaproszenia ortodoksyjnego biskupa do wykonywania specyficznie biskupich funkcji, takich jak konfirmacja (bierzmowanie). Komisja odrzuciła pierwszą opcję jako praktycznie równoznaczną z zaaprobowaniem schizmy i zaaprobowała drugą, którą następnie przyjęła również konferencja prymasów 27 prowincji wspólnoty anglikańskiej, zgromadzonych na Cyprze. Druga opcja jest niewiele lepsza niż pierwsza, i w dodatku jest zapewne praktycznie niewykonalna, ale nie to jest najważniejsze. Istotne jest to, że komisja Eamesa na głowie stawała, podobnie jak przed nią konferencja Lambeth, by utrzymać jakąś, choćby bardzo nadwerżoną, jedność wspólnoty anglikańskiej. Istotne jest też, że komisja, także w tym idąc za konferencją Lambeth, zaakceptowała święcenia kapłańskie dla kobiet „prowizorycznie”, stwierdzając, że nie jest jeszcze pewne, czy jest to zgodne z wolą Boga; taką pewność można by mieć dopiero, gdy ten fakt będzie zaakceptowany przez cały Kościół, nie tylko całą wspólnotę anglikańską, ale i rzymski katolicyzm i prawosławie. Zaznaczmy nawiasem, że akceptacja w tym sensie, przyjęcia czegoś za prawdę przez cały Lud Boży, jest stosunkowo nowym terminem teologicznym, stosowanym również szeroko w teologii katolickiej. Z drugiej strony komisja w swym sprawozdaniu podkreśla także, że odmienność zdań (*dissent*) jest koniecznym stadium i twórczym elementem w rozwoju myśli religijnej, właśnie w poszukiwaniu i w drodze do powszechnej akceptacji (innym terminem przyjmującym się w polskim piśmiennictwie jest „recepja”).

Takie postawienie sprawy wyprowadza wewnętrzną kontrowersję anglikańską na szersze wody ekumenicznego dialogu. Oczywiście zarówno zwolennicy jak przeciwnicy święceń dla kobiet od początku zdawali sobie sprawę z ekumenicznych wymiarów problemu i sprawa już od czasów Pawła VI była tematem kurtuazyjnej, lecz w gruncie rzeczy polemicznej wymiany korespondencji między Canterbury i Watykanem, który od początku był święceń dla kobiet przeciwny. Dziwna rzecz, ale ten temat nie znalazł się wtedy na porządku obrad międzynarodowej komisji teologicznej katolicko-anglikańskiej (zwanej w skrócie ARCIC — *Anglican-Roman-Catholic International Commission*), która od 1970 roku wydała serię wspólnych deklaracji na temat kluczowych problemów teologicznych obu wyznań, ukoronowaną tzw. *Final Report*, wydanym na krótko przed wizytą Jana Pawła II w Wielkiej Brytanii w roku 1982. Przyjazna reinterpretacja starych sporów teologicznych, między innymi w takich spra-

wach jak posługa kapłańska i eucharystia, wykazała że wspólnota doktrynalna obu wyznań jest znacznie szersza i głębsza, niż można było sądzić na podstawie trwającego od czasów Reformacji rozłam — z jednym wyjątkiem, którym jest sprawa autorytetu, szczególnie autorytetu papieża. I bez tego trudno było się spodziewać, by odkryta przez ARCIC doktrynalna harmonia doprowadziła szybko do zjednoczenia obu Kościołów, ale głównie różnice zdań na temat autorytetu sprawiły, że skończyło się na razie na wyznaczeniu nowej komisji teologicznej (ARCIC II), która przede wszystkim tym problemem miała się zająć. Tymczasem wybuchła sprawa święceń kapłańskich dla kobiet.

To nas doprowadza do wspomnianej na początku wymiany listów między arcybiskupem Runcie i papieżem Janem Pawłem. Arcybiskup stanął oczywiście na gruncie decyzji konferencji Lambeth, prowizorycznego zaakceptowania faktu zaistnienia święceń dla kobiet w niektórych prowincjach, stwierdzając z żalem, że ta decyzja stworzyła nową trudność na drodze do ostatecznego porozumienia i połączenia obu Kościołów. Równocześnie poinformował papieża, że konferencja Lambeth dużą większością głosów zaakceptowała deklaracje komisji ARCIC, łącznie z deklaracją na temat autorytetu, którą uznała za „solidną podstawę” do dalszego dialogu w tej sprawie. Arcybiskup wspomniął przy tym o swym własnym apelu, wygłoszonym na konferencji, podkreślającym potrzebę istnienia i powszechnego uznania ogólnochrześcijańskiego autorytetu*, jakiego przykład dał papież organizując w 1986 roku w Asyżu międzyreligijny dzień wspólnych modlitw o pokój. Atmosfera zaufania i wzajemnego szacunku między obu Kościołami daje arcybiskupowi nadzieję, że i sprawa święceń dla kobiet nie stanie się nieprzewidywaną przeszkodą na drodze do pojednania; natomiast powinna ona stać się przedmiotem pogłębionej refleksji i studiów z udziałem obu Kościołów. Na poparcie tego apelu arcybiskup Runcie powołał się na przemówienie prawosławnego metropolity Jana z Pergamos, który jako współprzewodniczący anglikańsko-prawosławnej komisji teologicznej (dialog ekumeniczny, jak widać, jest wielostronnym procesem) brał udział w konferencji Lambeth w charakterze obserwatora. Metropolita Jan powiedział mianowicie, że Kościoły chrześcijańskie nawet nie zaczęły jeszcze traktować sprawy święceń dla kobiet jako poważnego teologicznego problemu.

* Ścisłe mówiąc, Runcie użył słowa *primacy*, oznaczającego nie tyle nadrzędny autorytet doktrynalny czy jurysdykcyjny, co funkcję przewodnictwa i wiążący się z nią autorytet moralny. Charakterystyczny jest przykład, którym się arcybiskup posłużył dla zilustrowania swojej koncepcji „prymatu”.

Odpowiedź papieża jest równie kurtuazyjna i tak samo nacechowana troską o przyszłość ekumenicznego dialogu. Papież jednak nie uważa, by sprawa święceń dla kobiet stanowiła otwarty teologiczny problem. Wprost przeciwnie, stwierdza stanowczo, że takie święcenia stanowiłyby „zerwanie z Tradycją, jakiego nie mamy prawa aprobować”. Jest to tradycja — stwierdza papież — wspólna Kościołowi katolickiemu i prawosławnemu jak i starożytnym Kościołom wschodnim, które wszystkie są takiej innowacji przeciwne. (Istotnie cytowana przez Runciego opinia metropolity Jana wydaje się w świecie prawosławnym dość odosobniona). Jan Paweł II zatem, podobnie jak przed nim Paweł VI, nie uważa tej sprawy za temat ekumenicznego dialogu, ponieważ sprawa jest zamknięta. Papież wyraża zrozumienie dla trudnej sytuacji arcybiskupa Runcie, który nie ma władzy wydawania wiążących orzeczeń, ale nie ukrywa swego krytycznego stosunku do tych, co dopuścili do debaty na ten temat bez należytego wzięcia pod uwagę jej ekumenicznych konsekwencji. Wyniki konferencji Lambeth stanowią nową przeszkodę na drodze do jedności, do której oba Kościoły zobowiązały się dążyć. Jan Paweł II nie pozostawia wątpliwości, że jest to przeszkoda, którą można przezwyciężyć tylko przez całkowite usunięcie jej z drogi dialogu.

II

A zatem — sytuacja beznadziejna, podszyta absurdem. Nie tylko na płaszczyźnie ekumenicznej, nie tylko na obszarze szerzej wspólnoty anglikańskiej, ale nawet w łonie samego Kościoła Anglii. Tu nie ma jeszcze kapłanów-kobiet i nawet wykonywanie na terenie prowincji angielskiej funkcji kapłańskich przez kobiety wyświęcone gdzie indziej jest jeszcze kanonicznie zakazane, choć zdarzają się odstępstwa i presja na rzecz święceń dla kobiet jest chyba równie silna jak w Stanach Zjednoczonych czy w Nowej Zelandii. Z drugiej strony główny ich przeciwnik, Graham Leonard, biskup Londynu (najwyższy starszeństwem hierarcha po arcybiskupach Canterbury i Yorku) w niczym nie złagodził swej opozycji i grupa księży anglikańskich deklaruje na łamach *Times'a*, że są oni w tej sprawie jednej myśli z biskupem Rzymu. Kompromis zaproponowany przez komisję Eamesa i prymasów na Cyprze nie załatwił praktycznie niczego. Sytuacja byłaby gorsząca, gdyby ludzie, wierzący i niewierzący, nie zdawali sobie sprawy, jakkolwiek podskórnie, że w ten pozornie błahy, zgoła tylko administracyjny spór, są zaangażowane (jak zawsze w religii) najgłęb-

sze ludzkie postawy wobec tajemnicy człowieka i życia ludzkiego, wobec zakodowanej w człowieku różnicy płci, a poprzez to wszystko również tajemnicy Boga. Spór nie rozgrywa się tylko na powierzchni, w każdym razie nie tylko w sferze tych powierzchniowych zjawisk, które starałem się przedstawić w pierwszej części tego artykułu. I są ludzie zdolni spojrzeć pod powierzchnię i dostrzec zjawiska, które nie są łatwo dostrzegalne, między innymi dlatego że są bardziej rozciągnięte w czasie, ale dlatego też bardziej istotne. Należą do tych ludzi obaj sekretarze komisji ARCIC II, anglikański kanonik Christopher Hill i katolicki prawnik Kevin McDonald, których dwa artykuły na łamach włoskiego periodyku *Trenta Giorni* relacjonuje na łamach *Times'a* znakomity korespondent spraw religijnych tego pisma, Clifford Longley. Obaj zwracają uwagę na długoterminowy charakter zaangażowania obu Kościołów na rzecz dialogu i przyszłego połączenia, zaangażowania które jest w jakimś sensie niezależne od takich czy innych konkretnych rezultatów, powodzeń czy niepowodzeń, tak że i obecny karambol bynajmniej nie oznacza zakończenia tego procesu. Zauważmy, że istnienie tego zaangażowania wcale nie jest czymś oczywistym, lecz stanowi uderzający kontrast z nastrojami wrogości czy przynajmniej całkowitego wzajemnego wyobcowania, jakie charakteryzowały cztery ubiegłe stulecia. Dziś arcybiskup Canterbury uważa za rzecz całkowicie naturalną, że nazajutrz po zakończeniu konferencji Lambeth pisze do biskupa Rzymu, by go poinformować o jej przebiegu i podzielić się z nim swoimi żartami. I papież przyjmuje ten raport również jako rzecz całkiem naturalną. Obaj są świadomi zakresów odpowiedzialności jednego i drugiego: arcybiskupa jako przywódcy i rzecznika wielkiego odłamu światowego chrześcijaństwa i papieża jako uniwersalnego pasterza. Stanowi to uzasadnienie oceny wzajemnych stosunków, które papież w przemówieniu do grupy anglikańskich biskupów w przededniu konferencji Lambeth określił jako „rzeczywista, choć tylko częściowa wspólnota”. Na niższym szczeblu zresztą tego rodzaju określenie pojawia się wielokrotnie. I to jest zjawisko o całkiem zasadniczym znaczeniu. Na dobrą sprawę jest ono prawdziwe, choć prawdziwe w różnym stopniu, w odniesieniu do wszystkich stosunków dialogowych, jakie Kościół katolicki utrzymuje z innymi wyznaniem chrześcijańskimi (łącznie ze Światową Radą Kościołów) i jakie te wyznania utrzymują pomiędzy sobą.

Wspólnota rzeczywista, choć tylko częściowa. Właściwie zamiast „wspólnota” należałoby użyć słowa „komunia”, które ma głębszy teologiczny sens, ten sam, który ma określenie eucharystii jako komunii. Określenie brzemiennie treścią, ale nasuwające też pytania. W jakim sensie rzeczywista? W jakim sensie częściowa? I co mamy na myśli, gdy oczekujemy pełnej wspólnoty

czy komunii? Dla katolików oczywiście paradygmatem pełnej wspólnoty jest przynależność do katolickiego Kościoła i praktycznym sprawdzianem jest tu łączność z biskupem Rzymu, papieżem. W ramach tego sprawdzianu nie naruszają jedności różnice obrzędów (obrzęd słowiański, bizantyjski i w ogóle stare obrządki wschodnie), natomiast naruszają ją różnice doktrynalne czyli herezja oraz wyłączenie spod nadrzędnej jurysdykcji papieskiej czyli schizma. Jest rzeczą uderzającą, że o przynależności (jedności, pełnej komunii) nie stanowią jeszcze chrzest, fundamentalny przeciw chrześcijański sakrament, nawet chrzest z katolickiego punktu widzenia w pełni ważny. Nie wchodząc w rozliczne implikacje tego problemu, czy nie stanowi to jakiejś, niezamierzonej oczywiście, deprecjacji chrztu? Tak czy owak zwornikiem jedności i gwarantem pełnej wspólnoty w sensie katolickim jest urząd papieski, w tym również wspólnoty doktrynalnej, bo papież jest też ostateczną instancją, która orzeka co jest, a co nie jest herezją. Gdy więc prawowierny katolik postuluje pełną chrześcijańską jedność, to tym samym postuluje poddanie się czy powrót innych wyznań chrześcijańskich pod jurysdykcję papieską. Zwróćmy uwagę, że o ile intencją jest zachowanie czystości doktryny i więzi wspólnotowej miłości, sprawdzian efektywności intencji ma charakter formalno-urzędowy.

Nie tu miejsce, by wchodzić w to, jak inne wyznania rozumieją swoją wewnętrzną jedność i jak sobie wyobrażają pełną jedność całego chrześcijaństwa. Dość powiedzieć, że i tu w intencji chodzi o względy rzeczowe, czystość doktrynalną (tak jak każde z tych wyznań ją rozumie) i więzi wspólnotowej miłości, ale w praktyce i tu przemożną rolę grają względy czy kryteria formalne, takie jak posłuszeństwo wobec władz danego wyznania, przestrzeganie obrządku czy zwyczaju, lojalność czy przywiązanie do wyznaniowej tradycji. Są to wszystko kryteria (sprecyzujmy) natury społeczno-kulturalnej, tak jak więc katolicka jest w praktyce natury kulturalnej raczej niż doktrynalnej (czy ogólniej, rzeczowej). Jest się katolikiem (anglikaninem, protestantem, prawosławnym, także żydem czy muzułmaninem) przeważnie nie dlatego, że się to wyznanie ze względów rzeczowych świadomie wybrało, ale dlatego, że się w tym wyznaniu wyrosło. Względy rzeczowe, doktrynalne, dochodzą do głosu tylko wśród najbardziej zaangażowanych członków danego wyznania, w tym oczywiście nade wszystko wśród jego duchownych przedstawicieli, z tym że i oni najczęściej nie bardzo uświadamiają sobie, w jakim stopniu ich przekonania zostały zdeterminowane przez rodzimą tradycję i wychowanie. Dialog międzywyznaniowy zatem nie jest dialogiem czysto doktrynalnym, lecz także w dużej mierze kontaktem między kulturami; zastąpiłem tu słowo „dialog” słowem „kontakt”, gdyż grają tu czynniki, które nie dają się łatwo zintelek-

tualizować i ująć w słowa, ani nawet w pełni uświadomić. Metodą i celem kontaktów kultur jest nie tyle dialog, wymiana intelektualnych racji i wspólne poszukiwanie religijnej prawdy, ile wzajemna adaptacja, nieintelektualne wzajemne zrozumienie i tolerancja.

Nie znaczy to, by dialog doktrynalny, zmierzający do osiągnięcia doktrynalnej jedności, nie był sam w sobie ważny. Wiara religijna jest czymś nieporównanie więcej niż zespołem dających się wyrazić słowami przekonań, ale jest tym także. Doktryna może być tylko zewnętrzną szatą wewnętrznego religijnego zaangażowania, literą, w której wyraża się duch, ale bez tej litery żadna religia nie może się obyć. A zatem i dialog i argumentacja religijna mają swój sens. Musimy jednak przy tym być świadomi, że w sferze religii żadne sformułowanie słowne nie może być pełnym wyrazem religijnej prawdy; nie tyle chodzi o to, że może ono być tylko mniej lub bardziej prowizorycznym przybliżeniem do pełnej prawdy, tak jak przybliżeniem tylko jest każda teoria naukowa, ale również i o to, że pełnia religijnej prawdy jest z natury rzeczy nieosiągalna, bo pełnia prawdy oznaczałaby ostateczne zgłębienie nieskończonej tajemnicy Boga. W religii bardziej jeszcze niż w nauce prawda tkwi raczej w postawie zaangażowanego, nawet miłosnego poszukiwania niż w najpoprawniej sformułowanym dogmacie. Pascal: „Nie szukałbyś Mnie, gdybyś Mnie już nie był znalazł”. Chrystus: „Ja jestem prawda, droga i żywot”.

Wypływają z tego olbrzymie konsekwencje dla sprawy ekumenicznego dialogu i koncepcji pełnej religijnej wspólnoty, czyli komunii. Rozumiana jako absolutna zgodność katechizmowych sformułowań, jest ona nieosiągalna, nawet niedorzeczna. Rozumiana jako powszechność jednego światowego systemu jurysdykcji, jest przynajmniej niezadowolająca, bo byłaby to jedność bardzo powierzchowna, tylko prawnej natury. Jako taka sama w sobie nie zasługiwałaby nawet na miano komunii. Osiągnięta droga jurysdykcyjną jedność doktrynalną też byłaby jednością sztuczną (jaką w konkretnych kwestiach niestety bywa) i przynajmniej w tym sensie niepełną. Ale to z kolei nie znaczy (jak to powiedzieliśmy już o wspólnotcie doktrynalnej), by wspólnota jurysdykcyjna czy organizacyjna nie była rzeczą ważną. Próby podejmowane we wczesnym protestantyzmie tworzenia wspólnot religijnych obywatających się bez wszelkiej organizacji i dyscypliny prawnej regularnie kończyły się niepowodzeniem (jak to w swym znakomitym studium wykazał Leszek Kołakowski).

Współczesny ruch ekumeniczny świadomie szuka międzywyznaniowych form organizacyjnych. Oczywistym przykładem jest Światowa Rada Kościołów, choć nie jest ta organizacja jakimś

nad-Kościółem, jak to wszystkie Kościoły członkowskie zgodnie podkreślają. Terenem wielostronnych kontaktów na niwie społeczno-politycznej, nie ograniczonych zresztą do wyznań chrześcijańskich, jest utworzony przez amerykańskiego pastora Franka Buchmana ruch *Moral-Re-Armament* (MRA). Istnieją niezliczone platformy międzywyznaniowej współpracy na gruncie czysto religijnym czy społecznym, z pobudek religijnych, głównie chrześcijańskich. Na szczególną uwagę zasługuje może działalność ekumenicznego zgromadzenia zakonnego Taizé, powstałego z inicjatywy protestanckiego duchownego, brata Rogera Schutzza. Bracia zakonni, zrazu wyłącznie protestanci, obecnie również katolicy, po złożeniu ślubów zakonnych pozostają w pełni członkami Kościołów, które ich wychowały, bo Taizé też nie jest nowym *quasi*-Kościółem, lecz chce być pomostem między istniejącymi Kościołami, tymczasowym prowizorium upragnionej przyszłej jedności. Bracia potrafią nie tylko razem się modlić i wspólnie działać; łączy ich również sakramentalna komunika czyli eucharystia, którą jest, o dziwo, katolicka eucharystia (rzymski zakaz interkomunii zdaje się tu nie mieć zastosowania, za przynajmniej milczącą zgodą Rzymu). Znamienne jest, że Taizé cieszy się sympatią zarówno protestanckich jak i katolickich władz kościelnych (nawet Jan Paweł II był ostatnio oficjalnie w Taizé, a był już tam kilkakrotnie, zanim został papieżem). Nade wszystko zaś Taizé jest magnesem, który stale ściąga tysiące młodych ludzi z całego świata do tej burgundzkiej wioski (mieszkają tam wtedy pod namiotami) albo też na tak zwane *rencontres européennes*, organizowane co roku w wielkich miastach Europy (np. w roku 1986 w Londynie, w 1987 w Rzymie, w 1988 w Paryżu, a tegoroczne spotkanie ma się odbyć we Wrocławiu w dniach od 29 grudnia do 2 stycznia 1990, pierwsze takie spotkanie w kraju bloku sowieckiego).

Zapewne są to przejawy tylko „częściowej komunii” (choć w Taizé także dla pielgrzymów przybiera ona formę sakramentalną, z tym że oczywiście udział w komunii eucharystycznej ma charakter całkowicie dobrowolny). Wspólną ich cechą jest ich spontaniczny, raczej nieoficjalny charakter. Występują one równoległe do oficjalnych rozmów teologicznych i kontaktów międzykościelnych wysokiego szczebla i stanowią niezmiernie istotne ich uzupełnienie. Na tym niższym szczeblu (powiedziałbym „ludowym”, gdyby to bardzo potrzebne słowo nie było tak zdyskredytowane) różnice doktrynalne, przynależności wyznaniowej i struktur kościelnych tracą na ostrości i schodzą niejako na dalszy plan, a na pierwszy plan wysuwa się osobiste i zbiorowe zaangażowanie, prosta wierność Bogu. Przy pewnej mglistości i względnym braku artykulacji jest to jednak zaangażowanie chrześcijańskie, wierność Bogu objawionemu w Chrystusie. Ale może właś-

nie ten względny brak artykulacji sprawia, że jest to też zaangażowanie otwarte na inne religie i wartości nie specyficznie religijne. Z drugiej zaś strony trudno nie wyczuć zgoła religijnego zaangażowania w całkiem świeckiej, nie-wyznaniowej organizacji, jaką jest dajmy na to Amnesty International. Tu jak gdyby ewangeliczny zaczyn rozchodzi się w całym cieście i przestaje być widoczny. Mamy po prostu dobry chleb.

W tym kontekście kwestia chrześcijańskiej jedności, pełnej komunii, też staje się bardziej mglista, lecz równocześnie nabiera rumieńców konkretności i realnych kształtów. Trudniej sformułować, na czym miałaby ona polegać lecz równocześnie już się ona w pewien sposób realizuje. I w tym kontekście także kwestia (dla przykładu) święceń kapłańskich dla kobiet zostaje sprowadzona do mniej dramatycznych rozmiarów. Bo czy naczelne chrześcijańskie przykazanie miłości jest nie do zrealizowania, czy nie można się razem modlić, czy nie może istnieć prawdziwa komunია, gdy jedni chrześcijanie modlą się pod przewodnictwem mężczyzny, a inni pod przewodnictwem kobiety? Utało się mówić (we wszystkich społecznościach), że pragniemy jedności, jakiej Bóg chce. Wydaje mi się, że coraz bardziej uświadamiamy sobie, że nasze koncepcje czy myślowe wzory jedności niekoniecznie są tymi, których Bóg chce. Taki wniosek nasuwa ćwierćwiecze ruchu ekumenicznego od II Soboru Watykańskiego. Zaiste, nie wolno nam przestać myśleć i myśleć ku przyszłej jedności wybiegać, ale nie wolno nam też myśleć w oderwaniu od konkretności życia, bo te konkrety mogą być językiem, w którym Bóg do nas przemawia.

Właśnie z szacunku dla konkretów chciałbym zakończyć te rozważania małą osobistą obserwacją. Lubię chodzić czasem na nabożeństwa do innych chrześcijańskich kościołów. Ostatnio byłem znowu w kościele morawskim (*Moravian Church*) w moim bliskim sąsiedztwie. Jest to wyznanie protestanckie, wywodzące się bodaj od Braci Czeskich, ale (rzecz ciekawa) w tym kościele gromadzą się przeważnie moi czarni i kolorowi sąsiedzi. Ale czułem się tam dobrze, w społeczności autentycznie chrześcijańskiej. Homilię wygłosiła młoda Murzynka. Nie miała na sobie żadnej liturgicznej szaty, ot kobieta w zwykłej sukni (ciekawe, że chór, przybrany w komże, miał bardziej liturgiczny wygląd). Ale mówiła świetnie. Była to medytacja na temat zaledwie kilku słów Psalmu 46: „Zatrzymaj się — i wiedz, że ja jestem Bóg”.

Antoni POSPIESZALSKI

METROPOLITA MSTYSŁAW DO MIECZYŚLAWA RAKOWSKIEGO

Jego Przewielebność Mstysław S. Skrypnyk,
Arcybiskup Filadelfii i Metropolita
Ukraińskiej Cerkwi Prawosławnej w USA
i w Diasporze.

Wielce Szanowny
Mieczysław Rakowski,
Prezes Rady Ministrów
Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej
Warszawa, Polska.

Ekscelencjo!

Do napisania tego listu zachęcił mnie fakt wniesienia przez Pana pod obrady Sejmu Rzeczypospolitej trzech projektów ustaw, które mają przywrócić Kościołowi katolickiemu w Polsce należne Mu prawa i przywileje.

Decyzję Rządu Rzeczypospolitej, na czele którego Pan stoi, aby załatwić na drodze prawnej podstawowe problemy Kościoła katolickiego w Polsce, uważam za mądrą i korzystną pod każdym względem. Jestem pewien, że decyzja ta zajmie zaszczytne miejsce w przyszłej historii narodu polskiego, szczególnie jeśli z praw i przywilejów nadanych Kościołowi katolickiemu w Polsce skorzystają także jej obywatele — Ukraińcy grekokatolicy, którzy już prawie od półwiecza pozbawieni są własnej opieki arcybiskupiej i należnego im Kościołowi oficjalnego statusu.

W Polsce istnieje, oprócz wspomnianych wyżej dwu odgałęzień Kościoła Chrystusowego, jeszcze jedno — Autokefaliczna Cerkiew Prawosławna, której wierni składają się przeważnie z obywateli narodowości ukraińskiej i białoruskiej. Historia tej Cerkwi związana jest ściśle z odrodzeniem Rzeczypospolitej Polskiej w XX stuleciu. Cerkiew ta otrzymała status autokefalii (wewnętrzna niezależność kanoniczna) w roku 1924 od Powszechnej Cerkwi Prawosławnej, na czele której stoi Patriarcha Powszechny i Konstantynopolitański. Godnym szczególnej uwagi pozostaje fakt, że przeciw nadaniu Cerkwi Prawosławnej w Polsce statusu autokefalii była tylko i wyłącznie Rosyjska Cerkiew Prawosławna oraz Patriarchia Moskiewska.

Pierwszą ofiarą tego historycznego aktu stał się Pierwszy Dostojnik Autokefalicznej Cerkwi Prawosławnej, śp. Metropolita Jurij Jaroszewskij, którego w sposób podstępny zastrzelił w rezydencji metropolitalnej w Warszawie zakonnik Patriarchii Moskiewskiej o tytule archimandryty.

Prawie ćwierć wieku później Rosyjska Cerkiew Prawosławna i Patriarchia Moskiewska, ciesząc się jawnym i daleko idącym poparciem rządu ZSSR oraz korzystając z pełnego włączenia Polski w orbitę „Imperium Rosyjskiego” (Moskiewskiego Więzienia Narodów), w drodze przestępstwa antykanonicznego samowolnie unieważniły akt nadania Cerkwi Prawosławnej w Polsce statusu autokefalii i „obdarowały” prawosławnych obywateli Polski „swoim prawem” do autokefalii, włączając tym samym Cerkiew Prawosławną w Polsce w system rosyjskiej polityki kolonialnej.

Podporządkowanie Moskiewskiej Cerkwi Prawosławnej w Polsce doprowadziło ją do stanu godnego pożałowania. Jej kierownictwo duchowe znalazło się przeważnie w rękach osób, które stawiają swoją wygodę materialną powyżej wartości moralnych. Za przykład może posłużyć tu choćby pogardliwy stosunek tego kierownictwa do grobów na cmentarzu „Wola” pod Warszawą, zniszczonych w czasie ostatniej Wielkiej Wojny.

Należy uważać za szczególnie zasługujące na potępienie tolerowanie przez najwyższe czynniki Cerkwi Prawosławnej w Polsce polityki narodowej Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej i jej Patriarchii, której podstawową cechą jest — od czasów Piotra I po dziś dzień — rusyfikacja i wynarodowianie wiernych należących do narodów podbitych przez Moskwę oraz próba doprowadzenia ich do samowyrzeczenia się charakterystycznych dla tych narodów cech narodowych, a szczególnie ich języka ojczystego. W końcu, nie tylko godnym pożałowania, ale również jawnie przestępczym stał się fakt usunięcia języka ukraińskiego z procesu nauczania w seminarium duchownym Cerkwi Prawosławnej w Polsce, której wierni składają się zasadniczo z prawosławnych Ukraińców...

Na tym kończę wykaz podstawowych przyczyn, które zmusiły mnie, abym zwrócił się do Jego Ekscelencji z tym listem. Pozostaje mi tylko z wielkim żalem przyłączyć się do opinii tych osób, które uważają obecny pozbawiony szacunku stosunek Rządu Rzeczypospolitej do Cerkwi Prawosławnej w Polsce oraz jej wiernych za wielce lekceważący i niegodny wielkiego problemu, który miał i mieć będzie wpływ decydujący na przyszłość dwu bliskich sobie losom wielkich narodów słowiańskich — polskiego i ukraińskiego.

Aby łatwiej zrozumieć przyczyny napisania przeze mnie tego listu, przypominać: urodziłem się przed 91 laty w Połtawie, na Ukrainie Lewobrzeżnej, w zasłużonej rodzinie kozackiej, która w XIX-XX stuleciu składała się w znacznej mierze z pasterzy i wybitnych zakonników Cerkwi Prawosławnej. Wojsko Wyzwoleńcze Ukraińskiej Republiki Ludowej było moją główną szkołą, która skierowała mnie na szlak gorliwego służenia mojemu narodowi. W roku 1920 wykonywałem obowiązki młodszego oficera łącznikowego z Armią Polską i kuriera dyplomatycznego do krajów Europy Zachodniej. Po ukończeniu studiów w zakresie nauk politycznych w 1930 roku zostałem posłem do Sejmu z ramienia ukraińskiej ludności Wołynia, wykonując jedno-

cznie obowiązki członka-sekretarza Prezydium Sejmu. Na skutek zaistniałych okoliczności, głównym moim zadaniem na przestrzeni dziewięcioletniej pracy w Sejmie była obrona praw Cerkwi Prawosławnej w Polsce, cierpiącej, zwłaszcza w latach 1936-1939, ciężkie akty znęcania się. Byłem jednym z ostatnich mówców, którzy zabrali głos w Sejmie Rzeczypospolitej w tragicznym wrześniu 1939 roku. Swoją ówczesną mowę zakończyłem przypomnieniem gorzkiej reakcji geniusza narodu ukraińskiego, Tarasa Szewczenki, na rozbiory Polski dokonane przez Moskwę pod koniec XVIII stulecia, krótkim:

Polska upadła i nas przywaliła...

Jestem głęboko przekonany, że Opatrzność Boża obecnie daje nam — narodom ukraińskiemu i polskiemu — jeszcze jedną okazję, by stać się przykładem państwowo-narodowego męstwa i prawdziwej miłości w Chrystusie.

Ze szczerym szacunkiem

MSTYSŁAW, metropolita

w 47-ym roku swego arcybiskupstwa

14 maja 1989 roku Bożego
Osada Ap. Andrija Perwozwannoho,
South Bound Brook, New Jersey, USA.

O POSZANOWANIU ŚWIATOPOGLĄDÓW

ŚCIŚLE TAJNE

6 czerwca 1988 roku Prymasowska Rada Społeczna ogłosiła projekt dokumentu zatytułowanego „POSZANOWANIE ŚWIATOPOGLĄDÓW W PAŃSTWIE I SPOŁECZEŃSTWIE”.

Poniżej prezentujemy fragmenty oświadczenia jednego z członków Rady, Macieja Giertycha, oraz wyimki z „Uwag o projekcie...” podpisanych przez prymasa Polski Józefa Glempa.

Ze względu na objętość dokumentów przedstawiamy jedynie ich fragmenty. Mamy nadzieję, że skrótami nie zniekształciliśmy intencji Autorów. Za ewentualne nieścisłości obu Autorów przepraszamy.

Kórnik, 17. V. 1988.

Moim zdaniem przedstawiony nam dokument pt. „Poszanowanie światopoglądów w państwie i społeczeństwie” jest w całości nie do przyjęcia i nie uadaje się do poprawiania. Spróbuję to uzasadnić.

1° Proponuje on zaniechanie modelu totalistycznego i zastąpienie go

zachodnim liberalizmem w sferze wychowania, środków przekazu itd. Należy pamiętać, że zachodni liberalizm jest:

- a. materialistyczny, a do tego hedonistyczny,
- b. dał jak najgorsze rezultaty wychowawcze (areligijność, utrata busoli, rozpad rodziny, równouprawnienie zła, AIDS itd.),
- c. jest obcy naszej tradycji. Stać nas na udoskonalenie modelu własnego, który nam odebrano i zastąpiono obcym. (...)

2° Ideałem proponowanym przez omawiany tekst jest „neutralność światopoglądowa, niewyznaniowość państwa”. Za postulatem neutralności światopoglądowej kryje się tzw. pluralizm etyczny, czyli równouprawnienie etyk.

- a. Jest to model wolnomularski,
- b. Pluralizm etyk jest niemożliwy w jednym społeczeństwie — chyba że żyją w zupełnym apartaidzie. Życie zbiorowe zorganizowane musi być według jednej etyki i naszym zadaniem jest walczyć, by była to etyka katolicka. Nie istnieje nic takiego jak „etyka religijna” w ogóle. (...)
- d. Wychowanie to przekazywanie wartości, w które się wierzy. Neutralnie wychować się nie da. Uczyć można neutralnie matematyki, z fizyką jest trudniej, a biologii się nie da, nie mówiąc już o historii czy literaturze.

3° Tekst odrzuca tolerancję płynącą z polskiej tradycji. [??? — Red.]

- a. Obce wzory nie są nam potrzebne,
- b. Historia uczy, że prawdziwa tolerancja jest możliwa tylko tam, gdzie władza kieruje się etyką katolicką (...)
- d. Równouprawnienie wyznań nie może polegać na tolerancji wobec wszystkiego (np. satanizmu).
- e. Równość i neutralność wobec wszystkich jest nie do przyjęcia. Z innym szacunkiem odnosimy się do odważnego i tchórza, pracowitego i lenia, entliwej i ladażnicy. Na Zachodzie taką równość sobie wywalczono. Nam ona nie jest potrzebna. (...)

Prof. dr hab. Maciej GIERTYCH

(...)

Dokument zawiera cały szereg dobrych i potrzebnych sformułowań — krytycznych odnośnie do niesprawiedliwych poczynań państwa socjalistycznego wobec obywateli wierzących i wobec szkoły. Są to jednak tylko fragmenty dokumentu. Całość jednak opracowania w stanie z 6. VI. 1988 nie może być przyjęta.

1. (...) temat opracowania nie podjął obrony Kościoła wobec ateizmu państwowego, ale wybrał poszanowanie światopoglądów, a więc ustawiając religię i Kościół w szeregu światopoglądów, zgłaszając przy tym postulaty nie tylko do państwa, ale i do społeczeństwa. Takie sformułowanie tematu wprowadziło autorów opracowania na pozycje laicyzyczno-zachodnie i oderwało od rzeczywistości polskiej, zmuszając do zajęcia się sprawami Kościoła marginesowo.

Punktem wyjścia do tych rozważań jest założenie, że społeczeństwo polskie składa się z wielu wyznań i światopoglądów, zaś katolicy stanowią jedną z wielu mniejszości.

2. Prawdopodobnie wizja amerykańskiego modelu poszanowania religii spowodowała opuszczenie w opracowaniu pojęcia narodu. Pojęcie narodu przy temacie jest bardzo ważne — i to nie tylko w ujęciu, jakim posługują się narodowi demokraci, ale jako wierność nauczaniu kardynała prymasa Wyszyńskiego. Naród jako ochrzczony, a więc przeniknięty Kościołem, oparł się skutecznie naciskowi ideologii komunistycznej. Właśnie taki naród ma prawo domagać się takich struktur państwa, które uwzględnią jego charakter

i aspiracje. Żądanie neutralizacji niektórych instytucji jest żądaniem na tym etapie, nie możemy bowiem zakładać, że neutralność będzie w przyszłości odpowiadać postawom narodu.

Na tle prawdy o narodzie ochrzczonym nie można kategorycznie odżegnywać się od pojęcia „Polak-katolik”. (...) Prawdziwy Polak będzie zawsze w jakimś sensie katolikiem, odnajdzie związki z Kościołem — tak jest w wypadku dzisiejszych naszych przywódców partyjnych. Jeśli nie są cynikami, to pozostał w nich albo sentyment, albo respekt dla Kościoła. (...)

Od pojęcia Polak-katolik jest tylko jeden wyjątek: Polak-Żyd.

Polak-katolik nie jest stereotypem, jest cechą, która charakteryzuje większość Polaków na przestrzeni dziejów, a także obecnie. (...)

3. Następnym elementem, który budzi zastrzeżenia a nawet sprzeciw, a na którym autorzy opracowania opierają tok swego dowodzenia, jest pojęcie „wolności sumienia i wyznania”, bez definicji, co rozumieją pod tym wyrażeniem. (...)

„Wolność sumienia i wyznania” jest sztandarowym hasłem państw socjalistycznych i służy do zwalczania religii. Wolność sumienia oznacza po prostu ateizm i prawo propagowania ateizmu, natomiast wolność wyznania oznacza wybór wśród wyznań i światopoglądów, ale bez możliwości ich propagowania.

Wobec różnych interpretacji tego wyrażenia używanie go w dokumencie Prymasowskiej Rady Społecznej jest niepożądane.

4. Podobne zastrzeżenia budzi na str. 3 (punkt 2) sprecyzowanie znaczenia „prywatności” religii i prawa do jej zamilczenia. Nie wiem, skąd się mogło wziąć „prawo do nieujawniania przekonań”. Po to Kościół bierzmuje wiernych, aby mężnie i zawsze wyznawali swoje przekonania religijne. Zamilczenie może być równe zaparceniu — a to już grzech. Religia nie jest sprawą prywatną w żadnym sensie, jak tego chcą komuniści, w znaczeniu pozbawienia jej wymiaru społecznego i publicznego, ale jest sprawą osobistą, która z istoty swojej staje się społeczną, bo chrzest włącza we wspólnotę Kościoła. (...)

5. Może zadziwiać, że opracowanie zrównując religię ze światopoglądem tak łatwo występuje w imieniu wszystkich wyznań. Na str. 3 czytamy: „W wymiarze społecznym wolność sumienia i wyznania oznacza swobodę działalności duszpasterskiej i kultowej wszystkich wyznań”. Naprawdę — to trudne do przyjęcia. Niektóre z wyznań, np. Kościół polsko-katolicki lub prawosławny, takiego wstawienia sobie nie życzą. Czy tu także idzie o działalność Świadków Jehowy, o praktyki kultów wschodnich, o satanistów? (...)

7. (...) Z przykrością czyta się drugi ustęp strony 6, który poucza, że samo życie chrześcijańskie katolików winno doprowadzić do dominacji Ewangelii, a nie przywileje prawne. Czyżby zniesienie ustawy o przerywaniu ciąży, przyhamowanie rozwodów, zezwolenia na budowę obiektów kościelnych, odciążenie z podatku punktów katechetycznych i seminariów itd. można kwalifikować jako przywileje? (...)

9. Zgodnie z tytułem tekst opracowania często mówi o równouprawnieniu wszystkich światopoglądów. Jeżeli ze światopoglądów wyłączymy wyznania reprezentowane przez Kościoły, a zwłaszcza przez Kościół katolicki, to tych światopoglądów tak dużo nie mamy. Właściwie pozostają na placu bezbożnicy (pospolicci) i lewica laicka. Czy Kościół musi upominać się o prawa ateistów? A w ogóle to z lektury opracowania odnosi się wrażenie, że ateizm jest trwałym stanem części ludzkości i domaga się szacunku i ochrony. Nie bardziej fałszywego. Niewiara i ateizm są stanem nienor-

malnym człowiekiem, a tym bardziej społeczeństwem, bo osadzonym w fałszu. Człowiek, a tym bardziej społeczeństwo bez Boga, stają się karykaturalni, bo oderwani od rzeczywistości Boga, który wyprzedza ich istnienie ziemskie i oczekuje po śmierci, a nadto jest gwarantem ich godności w życiu ziemskim. Nie wszyscy określający się jako wierzący — takimi są. Prawdziwych niewierzących chrześcijanin winien szanować, kochać i nawrócić ich do Boga. Natomiast zorganizowanie niewierzących w instytucję światopoglądową nie może być przez Kościół popierane.

10. Nie wykluczając pluralizmu społecznego, Kościół jako najpełniej wyrażający uczucia Narodu, nie może zrezygnować z chrześcijańskiej wizji państwa i szkoły. Kościół wierzy głęboko, że zjawisko ateizmu, rozpowszechnione w drugiej połowie XX wieku, zostanie pokonane przez cywilizację miłości, jaka przez chrześcijaństwo będzie wypracowana w przyszłych pokoleniach. (...)

Rzym, 16 lipca 1988 r.

Józef Kardynał GLEMP

Zachowano pisownię oryginału.

Bulion nr 9, Kraków, zima 1989.

LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en-l'Île, 75004 Paris, France.

Métro: Pont Marie.

Telefon: 43-26-51-09.

KSIĄŻKI POLSKIE • KSIĄŻKI FRANCUSKIE
DOTYCZĄCE POLSKI I EUROPY WSCHODNIEJ •
PRZEKŁADY Z JĘZYKA POLSKIEGO NA
FRANCUSKI.

KATALOGI BEZPŁATNE WYSYŁAMY NA KAŻDE
ŻĄDANIE.

KSIĄŻKI WYSYŁAMY NA CAŁY ŚWIAT.

WSPÓLCZESNE MALARSTWO POLSKIE I OBCE W SĄSIEDNIEJ
GALERIE LAMBERT

Zapraszamy wszystkich przejeżdżających przez Paryż, by odwiedzili
najpiękniejszą polską księgarnię i polską galerię na historycznej
Wyspie Świętego Ludwika.

Sąsiedzi

W sowieckiej prasie

Potok informacji zalał w maju świat: bunt studentów w Chinach, wybory w Polsce, zjazd deputowanych ludowych w Moskwie... Każda z tych informacji oszałamia i nasuwa tysiące pytań, na które niełatwo odpowiedzieć. Moskiewski zjazd jeszcze trwa. Studenci z Placu Tiananmen zginęli pod czołgami i kulami. W Polsce komuniści przegrali wybory, ale nie czują się osamotnieni na szczytach władzy, bo liczą na wsparcie opozycji.

Prasa sowiecka różnie relacjonowała burzliwy maj 1989 roku. O sytuacji w Chinach pisze się ostrożnie i bardzo mało. W połowie maja Michaił Gorbaczow przebywał w Pekinie i Szanghaju, obejrzał Mur i z zadowoleniem powiedział na konferencji prasowej: „Zupełnie jakby nie było tych trzydziestu lat...”. Miał na myśli lata, jakie upłynęły od poprzedniej wizyty przywódcy sowieckiego w kraju Mao. Wizyta miała bardzo przychylne echa: prasa sowiecka podkreślała, że należy koniecznie uczyć się od chińskich reformatorów. Mimo że Gorbaczow mógł (jeśli chciał) widzieć demonstracje studentów, sowieccy komentatorzy podkreślali sukcesy rolnictwa chińskiego i wspaniałe owoce „polityki otwarcia”, która spowodowała „uderzający wzrost obrotów handlu zagranicznego” (*Prawda* z 19 maja 1989). Politolog Fiodor Burłacki, jeden z ideologów Gorbaczowa, wymienił wśród reformatorów, od których należy się uczyć, Zhao Ziyanga, po którym kilka dni później wszelki ślad zagiął (*Literaturnaja gazeta* z 25 maja 1989). W dniu, w którym ukazał się wspomniany numer *Literaturnoj gazety* TASS doniósł z Pekinu, na podstawie doniesień agencji Sinczua, że „ogromna większość haseł, które skandowali demonstranci, była skierowana przeciwko głównemu przywódcy Rady Państwa ChRL” (*Prawda* z 24 maja 1989). Nazwiska „głównego przywódcy” gazeta nie podała — tydzień wcześniej rozmawiał z nim przyjacielsko Michaił Gorbaczow.

Zakłopotanie sowieckich mass-mediów jest zrozumiałe. Pekinscy studenci zaczęli od tego, że zażądali od swoich przywódców

reform, które — jak im się wydaje — przeprowadził w Moskwie Gorbaczow. W Związku Sowieckim bezustannie mówi się o reformach wprowadzonych w Chinach. Dwa główne mocarstwa komunistyczne wprowadziły jednonogie reformy: w Chinach ekonomiczną, w ZSSR polityczną. Po wylądowaniu w Chinach Gorbaczow mógł sobie obejrzeć swoją własną przyszłość: kraj, w którym dokonano pewnych reform ekonomicznych i nieco poprawiono poziom życia, żądał wolności. Związkowi Sowieckiemu daleko jeszcze do poprawy poziomu życia, Gorbaczow zajmuje się na razie umacnianiem swojej władzy, ale wydarzenia w Chinach pokazały, że nawet dając ludowi chleb (albo ryż), komunistyczni wodzowie nie mogą spokojnie patrzeć w przyszłość.

Raz jeszcze — tym razem w Pekinie — potwierdziła się słuszność uwagi Tocqueville'a, że zła władza stawia się w bardzo niebezpiecznym położeniu, jeżeli zaczyna reformy. Tocqueville spostrzegł to analizując rewolucję francuską. Prawo francuskiego historyka potwierdziły najważniejsze wydarzenia XX wieku — od rewolucji 1917 roku do rewolucji Chomejniego.

Prasa sowiecka pisała o zamieszkach w Chinach bardzo skąpo, w rubryce „Sytuacja w Pekinie”. Około dziesięciu lat temu rubryka nosiła tytuł „Sytuacja w Polsce”. 24 maja br. *Prawda* pisała, że Plac Tiananmen „jest pełen młodzieży”, że demonstranci śpiewali „Międzynarodówkę” i „skandowali hasła przeciwko głównemu przywódcy Rady Państwa ChRL”. Informowała też, że portret Mao Tse-tunga na placu został zamalowany farbą. „Według informacji z kręgów studenckich, obaj osobnicy, którzy to zrobili, zostali zatrzymani przez działaczy studenckich, którzy nazwali tę akcję prowokacją”. 2 czerwca br. rubryka nosiła tytuł „Sytuacja w Pekinie pod kontrolą”. Z tekstu można było się dowiedzieć, że Deng Xiaoping (tym razem wymieniony z nazwiska) posłał „powitalne słowa” jednostkom wojskowym stacjonującym pod Pekinem, że odbyły się „dozwolone przez władze wiece i demonstracje”, a uczestnicy ich nosili transparenty i plakaty, głoszące: „Zdecydowanie występujemy przeciwko nieporządkom”, „Popieramy wystąpienia towarzyszy Li Penga i Yang Szangkuna”, „Niech żyje chińska armia ludowo-wyzwoleńcza” itd. 5 czerwca br. *Prawda* informowała: „Zaostrzenie sytuacji w Chinach”. Czytelnicy sowieccy dowiedzieli się, że żołnierze i uzbrojona milicja „oswobodziły Plac Tiananmen z ludzi, odbywających na nim strajk okupacyjny”, „pod osłoną czołgów, samochodów wojskowych, piechoty i pancernych transporterów broni”. Powołując się na „korespondentów”, *Prawda* donosiła, że „zastrzelono siedmioletnią dziewczynkę”. Powołując się na telewizję chińską tłumaczyła: „Wprowadzone do miasta wojska mają zapewnić normalne życie w stolicy i cieszą się poparciem ludności i studentów”. *Literaturnaja gazeta* (7-8 czerwca 1989), powołując się na dziennikarzy chińskich, informowała, że „w toku potyczek w Pekinie zginęło kilka tysięcy osób, zaś kilka tysięcy odniosło rany”.

6 czerwca zjazd deputowanych ludowych uchwalił „większością głosów” (ilu było przeciw, nie wiadomo) rezolucję. Zjazd stwier-

dza, że „w sąsiednich Chinach zaszły dramatyczne wydarzenia” i „użyto broni oraz padły ofiary”, po czym postanawia: „Nie czas teraz na nieprzemyślane, pospieszne wywody... Wydarzenia zachodzące w Chinach są ich wewnętrzną sprawą. Jakikolwiek próby nacisku i wpływania z boku byłyby nie na miejscu”.

Z punktu widzenia ZSSR rozruchy w Chinach wybuchły w samą porę, akurat w chwili, kiedy na zjeździe poruszono sprawę odpowiedzialności za rzeź w Tyflisie, gdzie oficjalnie zabito „tylko” 31 osób, i kiedy „elementy kryminalne i bezrobotni” nie zadowolają się mordowaniem Meschów, ale rzucają się też na milicję. Przykład Chin pokazuje, że skala represji w Związku Sowieckim jest absolutnie nieporównywalna. Pokazuje także, że można uciec się do wojska, czołgów itd. „Krwawa niedziela” w Chinach przekonała wreszcie optymistów, że wbrew ich pewności „odwrót od reform” jest możliwy.

Polska udzieliła Moskwie w maju i czerwcu innej lekcji. Informacje o wyborach były bardzo powściągliwe i lakoniczne. 6 czerwca TASS przytaczał pierwsze wyniki, powiadamiając, że „większość okręgów wyborczych będzie musiała 18 czerwca przeprowadzić drugą turę wyborów, ponieważ duża część kandydatów nie zdobyła niezbędnych 50 % głosów”. Następnego dnia TASS zacytował oświadczenie prasowe przedstawiciela KC PZPR, że „wyniki pierwszej tury wyborów były dla koalicji niekorzystne”. Zacytowano również opinię „doradcy Solidarności” B. Gremka: „Zgodziłem się z ideą zjednoczenia wysiłków w procesie reform i demokratyzacji, ale bez ujęcia tego w jakiejkolwiek formalnej strukturze” (*Prawda* z 7 czerwca 1989). Korespondent *Literaturnoj gazety* w Warszawie opisał, że Andrzejowi Łapickiemu, „który ku wielkiemu rozgoryczeniu wielbicieli jego talentu artystycznego niezręcznie wypowiedział się o tym, jak swobodnie były czasy okupacji hitlerowskiej”, ruszyli na odsiecz Yves Montand „z jakimś sprzętem i materiałami do walki o wyborców” i Zbigniew Brzeziński, którego wypowiedzi „rząd polski uznał za jawną i grubiańską próbę wpływnięcia na wyniki wyborów”. Korespondent oświecił sowieckich czytelników, że „kilka światowych agencji natychmiast poinformowało, że przedstawiciel rządu Stanów Zjednoczonych potwierdził fakt finansowania politycznej działalności „Solidarności”. Tym niemniej, po zebraniu dla przyszłej „sprawy” tych wszystkich mało sympatycznych faktów, sowiecki dziennikarz odezwał się z uznaniem o Lechu Wałęsie: „Przywódcą Solidarności dał, moim zdaniem, w kampanii wyborczej dowód nie tylko pozazdroszczenia godnej pracowitości, ale i rozwagi politycznej, mówiąc o ekstremistach: 'Niech nie ruszają tego, co my wspólnie wnosimy’”.

Jakie by nie było znaczenie krwawej rozprawy w Pekinie i wyborów w Polsce, głównym wydarzeniem dla Związku Sowieckiego był zjazd deputowanych ludowych, który trwał od 25 maja do 9 czerwca. Wszystkie posiedzenia z wyjątkiem jednego transmitowała w całości telewizja. Naród sowiecki nigdy jeszcze nie oglądał takiego widowiska. Gorbaczow raz jeszcze pokazał, jakim jest wspaniałym taktykiem politycznym. Raz jeszcze — w nie-

spotykanej dotychczas skali — dał to, co daje już od czterech lat — mianowicie możliwość mówienia. Tym razem powiedziano już prawie wszystko. Mówię „prawie”, bo naruszono tabu, które do niedawna wydawały się nietykalne. Nie powiedziano tylko jednego: że system jest niedorzeczny, że socjalizm okazał się ślepym zaułkiem, za wejście do którego zapłacili głową miliony, a z którego nie ma wyjścia. Narody wschodnie mają obyczaj, że po śmierci chorego oskarżają lekarza, który przepisał niewłaściwe lekarstwa, albo teściową, która nie podała w czas wody, albo żonę, która nie zamknęła okna... Jednego tylko nie mówią: że nieboszczyk chorował na raka.

Los zjazdu był w praktyce przesadzony przed jego rozpoczęciem. Grupa moskiewskich delegatów zaproponowała swój porządek obrad: najpierw kandydaci na najwyższe stanowiska państwowe opiszą swój program, a potem przeprowadzi się wybory. Propozycję, którą odczytał Sacharow, odrzucono przeważającą większością głosów.

Kandydaturę przewodniczącego Rady Najwyższej zaproponował Czingiz Ajtmatow, niewątpliwy przyszły laureat Nobla. Słynny pisarz mówił pięknie: „Aż oto nadszedł człowiek i zatrwożył uszione królestwo zastoju... Ten człowiek z woli losu doszedł do władzy jak najbardziej na czasie... Odważył się wstąpić na drogę odnowy społecznej i trwa na niej, wśród ostrych wiatrów *periestrojki*”. Kiedy napięcie dosięgło szczytu, mówca zdradził imię Zbawcy — Michaił Siergiejewicz Gorbaczow.

Nikt nie miał wątpliwości, że Gorbaczow zostanie wybrany. Świadectwem trudnych czasów, jakie przeżywa system sowiecki, był fakt, że za wybór trzeba było zapłacić. Zapłata polegała na tym, że pozwolono krytykować imiennie tow. Gorbaczowa. Pytano go o dache, o żonę, nawet o to, czy nie zebrał już dość władzy w swym ręku. Jeden z deputowanych wspominał o Napoleonie, który — jego zdaniem — zaczął dobrze, ale potem zdeprawował go wpływ żony i dworu. Sytuacja przypominała trochę zjazd partii z 1925 i 1926 roku, kiedy Stalinowi rzucano w twarz jeszcze cięższe oskarżenia. Jak dziś wiadomo, towarzyszył Stalin wszystko zniósł, ale każdego ze swych krytyków dobrze sobie zapamiętał.

Gorbaczow został wybrany na przewodniczącego Rady Najwyższej ZSSR. Jego zwycięstwo nie sprowadza się jednak tylko do tego. Ponadto wybory miejskich rad zostały odroczone: aparat partyjny, przestraszony porażką w maju i czerwcu, postanowił przeczekać i lepiej się przygotować. Gorbaczow pozwala. W ciągu pierwszych dwóch dni po wyborach Gorbaczow wprowadził na kluczowe stanowiska w aparacie państwowym swoich ludzi. Zorganizował wybór takiej Rady Najwyższej, która jest mu całkowicie zaprzędana. Kiedy okazało się, że porażka Borysa Jelcyna wzburzyła wyborców, natychmiast znalazł wyjście: inny deputowany zrezygnował ze swojego mandatu i odstąpił go Jelcynowi. Nie było to może stuprocentowo zgodne z procedurą, ale w danym przypadku o procedurze na chwilę zapomniano. „Uformowaliśmy stalinowsko-breżniewowską Radę Najwyższą”

— stwierdził deputowany Jurij Afanasjew, historyk, jeden z najbardziej znanych zwolenników *periestrojki*.

Od razu w pierwszych dniach rozwiązano jeszcze inny problem. Kiedy w kwietniu 1906 roku w Petersburgu zebrała się pierwsza Duma państwowa, przeważająca większość deputowanych należała do różnych partii politycznych. Istniało ich wówczas w Rosji mrowie. Pierwsza Duma pracowała wszystkiego 72 dni i została rozpędzona. Ale i w drugiej, a potem trzeciej i czwartej posłowie grupowali się we frakcje, jak we wszystkich parlamentach świata, zaleźnie od przynależności partyjnej. Jurij Afanasjew, poparty przez ekonomistę Gawriła Popowa, zaproponował deputowanym z różnych rejonów, aby razem z grupą moskiewską stworzyli międzyregionalne zjednoczenie, coś jak zarodek frakcji parlamentarnej. Propozycja wzbudziła ostry sprzeciw licznych mówców, potępiających „frakcyjność”. Mówcy jeden za drugim gromili tych, którzy „drogą nacisku na bolesne punkty tworzą sobie wątpliwy autorytet, wprowadzając zamęt w opracowywanie decyzji zjazdu, związanych z palącymi problemami, prowadzą zjazd do rozłamu, do frakcjonizmu” (*Prawda* z 28 maja 1989).

Padły straszne słowa: rozłam, frakcjonizm. Za tymi oskarżeniami stoją miliony krwawych cieni. Poeta Ołżas Sulejmienow potępił „apele o frakcyjność”, ponieważ „nie są one w stanie rozwiązać wszystkich tych problemów...”. Akademik Mieszkańkin po-dejrzewa, że „Afanasjew i Popow chcą zorganizować frakcję, licząc na to, że robota frakcyjna, która ich nęci, pozwoli im zdobyć większość na zjeździe”. Mógłbym cytować dalej, wniosek jednak jest jasny — frakcje potępiono. Każdy deputowany występował w imieniu swych dalekich wyborców, ale na zjeździe był sam. Wielu przemawiało ostro, krytycznie, ponieważ jednak nie wspierała ich żadna grupa parlamentarna, pozostawali głosem wołającego na puszczy, gwizdkami, w które uchodzi cała para.

Nawet najostrzejsze słowa o „bolesnych punktach” nie przeskodziły Gorbaczowowi w robieniu czego chce na zjeździe. Już po wyborze na przewodniczącego Rady Najwyższej spokojnie (przynajmniej z pozoru) wysłuchał wyroku na swoją czteroletnią politykę wewnętrzną: całkowity krach! Ekonomista Nikołaj Szmielew, znawca rolnictwa Jurij Czerniczenko, dyrektorzy fabryk, przewodniczący kolchozów, uczeni i robotnicy mówili, że wszystko idzie źle. Borys Jelcyn podsumował: „Życie stało się gorsze”. Straszonym memento, że rozpad się nasila, była katastrofa kolejowa w Baszkirii, która pochłonęła setki ofiar. Po powrocie z miejsca wybuchu Gorbaczow oznajmił deputowanym zjazdownym: „Sprawy nie ruszą u nas z martwego punktu, jeżeli rozprzężenie będzie się wyrażać takimi tragediami ludzkimi, nie mówiąc już o skutkach ekonomicznych”. Nie przesądając o wynikach śledztwa, generalny sekretarz i prezydent domniemywa, że „sprawa jakby znów wygląda na niekompetencję, na brak odpowiedzialności, na bezhołowie, na rozprzężenie” (*Prawda* z 6 czerwca 1989). Wszyscy, którzy mówili o krachu *periestrojki*,

mogłoby do gorbaczowskiej litanii dorzucić niezliczone inne rzeczowniki.

Do najostrzejszych przemówień należała mowa Jurija Własowa, znanego ciężkoatlety, który został pisarzem. Własow nie tylko oskarżył deputowanego Gorbaczowa o to, że wiedział o rozkazie użycia wojska w Tyflisie („w żadnych okolicznościach nie można przypuścić, by głowa państwa nie znała wszystkich okoliczności sprawy. W przeciwnym wypadku co to za głowa państwa?”), ale powiedział też kilka słów o KGB. O „faktycznej bezkarności KGB”, o tym, że komitet „sprawuje całkowitą kontrolę nad społeczeństwem, nad każdym poszczególnym człowiekiem”, o tym, że „demokratyczna odnowa kraju nie zmieniła miejsca KGB w systemie politycznym”. Jurij Własow zaproponował nawet, aby podjąć uchwałę o przeniesieniu siedziby KGB z placu Dzierżyńskiego: „zbyt jest krwawa niezapomniana historia głównego gmachu, gdzie spoczywa miecz, broniący narodu” (*Literaturnaja gazeta* z 7 czerwca 1989).

Sum na sali i ogłuszające oklaski (nowa broń przeciw nielubianym deputowanym) wzbudziło przemówienie historyka Jurija Kariakina, który zaproponował, żeby Lenina usunąć z mauzoleum i pochować w Petersburgu na cmentarzu koło matki, a także wyręć na gmachu Łubianki „nazwiska czterdziestu (dokładnej liczby nie znamy) milionów ofiar, zamordowanych na rozkaz Łubianki 'za', 'w związku z' itd. (*Literaturnaja gazeta* z 7 czerwca 1989).

Były — nic w tym dziwnego — i inne przemówienia. Były major wojsk powietrzno-desantowych Czernopiskij, który stracił w Afganistanie obie nogi, zaprzeczył, aby w Tyflisie użyto do rozprawy z kobietami i dziećmi komandosów: „Nigdy nie mogliby stać się zabójcami i katami, jak ich tu wyzywali politykerzy z Gruzji i Nadbałtyki, którzy sami od dawna zajmują się szykowaniem swoich szturmowych oddziałów...”. Major rezerwy, obecnie działacz Komsomołu, bezlitośnie potępił „nieodpowiedzialny, prowokacyjny wypad znanego uczonego”. Miał na myśli wywiad Andrieja Sacharowa dla kanadyjskiej gazety, przyjęty jak obraza Armii Czerwonej w całości, a uczestników wojny w Afganistanie w szczególności. Czernopiskij zakończył przemówienie trzema słowami, których „należy się trzymać wszelkimi siłami”: „Mocarstwo, ojczyzna, komunizm”. Potem zaczęła się „godzina nienawiści”: deputowani wchodzili jeden za drugim na trybunę, aby potępić, zdemaskować i przygwoździć do ławy hańby Sacharowa, który „obraził armię”. Wypada wspomnieć, że w obronie Sacharowa nie stanął ani jeden człowiek. Wystąpił on sam, z podziwu godnym męstwem i godnością. „Nie przemasz całej armii sowieckiej — zakończył — bo jej nie obrażałem. Obrażałem nie armię sowiecką i nie żołnierza sowieckiego, a tych, którzy wydali zbrodniczy rozkaz postąpienia wojsk sowieckich do Afganistanu” (*Prawda* z 5 czerwca 1989).

Kwestia narodowa była — na równi z gospodarką — głównym przedmiotem przemówień. Jej zapalność i brak wyjścia wyraził najlepiej pisarz Walentin Rasputin: „Rusofobia rozprzestrzeniła

się w Nadbałtyce, Gruzji, przenika i do innych republik, do jednej bardziej, do drugiej mniej, ale wyczuwalna jest wszędzie. Antysowieckie hasła łączą się z antyrosyjskimi. Emisariusze z Litwy i Estonii jeżdżą z nimi do Gruzji, tworząc jednolity front. Stamtąd miejscowi agitatorzy udają się do Armenii i Azerbejdżanu”. Rasputin w wielkim gniewie zaatakował rozprzężenie moralne, „prawie niezawołowaną propagandę seksu, gwałtu, wywołania z wszelkich norm moralnych”, powtórzył słynne słowa: „Wam, panowie, potrzebne są wielkie wstrząsy, a nam — wielkie państwo”. Są to lekko zmienione słowa Stołypina do posłów do pierwszej Dumy: „Wam są potrzebne wielkie wstrząsy, nam jest potrzebna wielka Rosja”. Chcąc najwidoczniej przestraszyć „rusofobów”, Rasputin rozmyśla: „A może Rosja powinna opuścić Związek, skoro oskarżacie ją o wszystkie swoje nieszczęścia i jeśli jej zacofanie i niezdarność są kulą u nogi waszych postępowych dążeń?”. Rasputin myśli, że taka decyzja nareszcie pozwoliłaby Rosjanom skończyć z „masową deprawacją duchową młodzieży”, stworzyć własną Akademię Nauk, zająć się moralnością...”.

Rozważania Rasputina były jedyną (choć hipotetyczną) propozycją rozwiązania kwestii narodowej, jeśli nie liczyć kilku ostrożnych wypowiedzi i propozycji deputowanych z republik nadbałtyckich, domagających się rozszerzenia autonomii gospodarczej. Warto wspomnieć, że deputowani z Nadbałtyki nie przyłączyli się do propozycji „grupy moskiewskiej”, licząc na pertraktacje z Gorbaczowem.

Prawdziwym zakończeniem zjazdu stało się przemówienie Andrieja Sacharowa ostatniego dnia, 9 czerwca. Sacharow wyraził niezadowolenie z wyników zjazdu i zaproponował wykreślenie z konstytucji ZSSR słynnego artykułu 6-go, gwarantującego partii kierowniczą, tzn. totalną władzę w państwie. Przewodniczący Gorbaczow starał się przerwać przemówienie deputowanego Sacharowa, który spokojnie mówił dalej. Wtedy przewodniczący wyłączył mikrofon.

Sacharow mówił m.in. o tym, że Gorbaczow skupił w swym ręku niemal nieograniczoną władzę. Gorbaczow w końcowym przemówieniu odparł „insynuacje co do tego, że skupiłem w swym ręku całą władzę”. „Jest to sprzeczne z moimi poglądami, moim światopoglądem i moim charakterem”, zapewnił Gorbaczow.

Być może. Ale słowa o „nieograniczonej władzy” figurują w testamencie Lenina, kiedy nikt nie mógł sobie jeszcze wyobrazić, co z nią robi „wspaniały Gruzin”. Ważne jest co innego. W chwili zamknięcia zjazdu Michaił Gorbaczow ma znacznie większą władzę, aniżeli kiedykolwiek miał Stalin. Jest nie tylko generalnym sekretarzem i przewodniczącym Rady Najwyższej ZSSR (tego stanowiska za Stalina nie było), jest też głową opozycji. Trzy funkcje w jednym ciele.

Nikt nie wie, jak tę władzę wykorzysta. Nie wie tego sam Gorbaczow. Rozruchy w Uzbekistanie, w jakie się przerodziła kłótnia na bazarze, rozszerzają się. Padły już setki ofiar. Za-

mieszki wybuchły w jednym z trzech regionów, mających dostateczną siłę, aby rozerwać imperium. Moskwa stoi wobec dylematu. Szukać rozwiązania politycznego? Nikt nie wie jakiego, jak ani z kim. Powtórzyć operację tyfliską i pekińską? Na zjeździe powtarzano wielokrotnie, że deputowani wyrażają nastroje społeczeństwa. Jeśli tak, to drugi wariant jest bardzo realny. Nie darmo żołnierze śpiewają: „Dyplomaci z nas nie z powołania, bliższy nam karabin, on nasz brat. Bliższy jasny rozkaz i w kieszeni granat”.

11 czerwca 1989

Adam KRUCZEK

DO NIEZALEŻNEGO SPOŁECZNEGO KOMITETU PISARZY-ZWOLENNIKÓW „PIERESTROJKI” „KWIECIEŃ”

Drodzy Przyjaciele!

Powstanie w łonie moskiewskiego oddziału Związku Pisarzy Sowieckich alternatywnej grupy „Kwiecień” uważamy za ważny wyraz przemian społecznych i moralnych w naszym kraju. Po raz pierwszy w historii tej organizacji, która włączyła się aktywnym udziałem w szczuci i prześladowaniu własnych członków — oszczędźmy sobie wymieniania nazwisk, są znane — wyodrębniła się w jej łonie pokaźna grupa twórców, którzy wzywają swych współpracowników do wskrzeszenia postawowych zasad solidarności zawodowej, honoru społecznego i ludzkiej godności. Twórców niezależnego społecznego komitetu „Kwiecień” jesteśmy z całego serca wdzięczni za to, że w pierwszej rezolucji zaapelowali o uchylenie wszystkich uchwał ZPS domagających się prześladowania pisarzy z powodów ideologicznych, jakie zostały przyjęte w latach tzw. zastoju. Tym niemniej uważamy za swój moralny obowiązek zwrócić uwagę na pożałowania godny fakt, że w szeregach „Kwiecienia” znajdują się ludzie, którzy przyłożyli rękę do tych prześladowań. Znowu nie uważamy za konieczne wymieniania nazwisk, aby nasz list nie nabrał charakteru osobistych porachunków. Oczekujemy od tych ludzi spełnienia moralnego minimum: publicznego wyznania winy. Zapewniamy Was, że po tym podamy im rękę.

Jeśli jednak tego nie zrobią, to — przynajmniej — jakie mamy gwarancje, że w innej, odwrotnej niż obecna sytuacji znowu nie zaczną postępować jak kiedyś? Naszym zdaniem apel o powszechne wyrazy skruchy, jaki kierują dziś do stowarzyszenia liczni członowie działacze *perestrojki*, nie może i nie powinien sprowadzić się do pobożnych życzeń i ogólnikowych frazesów. Każdy z nas musi wziąć na siebie część winy za wszystko, co wydarzyło się w naszym kraju. Od sowieckich kolegów różnimy się tylko tym, że już to na miarę swoich sił zrobiliśmy i dlatego mamy prawo oczekiwać od nich tego samego.

Na zakończenie pragniemy Was zapewnić, że to prywatne żądanie dyktuje nam głębokie i życzliwe zainteresowanie dla Waszej odnowicielskiej działalności społecznej i że szczerze uczestniczymy duchem w Waszych szlachetnych poczynaniach. Będziecie w nas zawsze mieli wiernych przyjaciół i sojuszników.

Josif BRODSKIJ, Georgij WŁADIMOW,
Aleksander ZINOWIEW, Władimir MAKSYMOW

Kronika czeska i słowacka

Vaclav Havel zwolniony został z więzienia w maju po odbyciu połowy ośmiomiesięcznego wyroku. Solidarność Polsko-Czechosłowacka i międzynarodowy PEN-Club wysunęły kandydaturę Havla do pokojowej Nagrody Nobla. ■ W ciągu 12-tu lat od ogłoszenia proklamacji Karty 77 pod tym dokumentem złożyło swe podpisy co najmniej 1.445 osób, to znaczy tyle podpisów dotarło do rzeczników Karty i zostało opublikowanych. 25 osób swe podpisy następnie wycofało, 47 zmarło, co najmniej 225, a prawdopodobnie 300-400 opuściło Czechosłowację. Po wyraźnym niżu w początku lat osiemdziesiątych znowu rosła szereg nowych sygnatariuszy Karty. W ubiegłym roku było ich 108, w pierwszych trzech miesiącach tego roku już 104. W tej sytuacji rzecznicy ruchu zdecydowali się na ponowne opublikowanie proklamacji z 1 stycznia 1977 roku. ■ Nowe inicjatywy obywatelskie w Czechosłowacji: w lutym powstały: Klub Przebudowy Socjalistycznej „Obroda” (Klub za *socialistickou prestavbu „Obroda”*) oraz Klub Pomocy Prawnej (Klub *právní podpory*). Powstanie tego ostatniego było inspirowane śmiercią Pavla Wonki na wiosnę ubiegłego roku w więzieniu w Hradec Kralove. ■ Nie ustaje seria procesów politycznych w Czechosłowacji. Na początku kwietnia na przykład sąd w Pradze skazał 70-letnią aktorkę Vlastę Chramostovą i 60-letnią socjolog Libuše Silhánovą na trzy miesiące więzienia z zawieszeniem na rok. Obie panie skazane zostały z powodu listu otwartego do szefów partii i rządu, w którym oskarżyły ich o kłamstwo w związku z kampanią przeciw uczestnikom obchodów ku czci Jana Palacha. Jeden z trzech rzeczników Karty 77, Tomáš Hradilek, otrzymał 13-miesięczny wyrok z zawieszeniem na trzy lata za podobny list skierowany do wiedeńskiej konferencji KBWE. ■ „Tragedia Żydów w czeskosłowackiej powojennej rzeczywistości” to tytuł dokumentu Karty 77, w którym jego autorzy zapytują, „czy w Czechosłowacji nie istnieje nadal skryty, oficjalny, politycznie umotywowany antysemityzm?”. W roku 1968 zamknięta została Pinkasova Synagoga w Pradze — pomnik ofiar prześladowań nazistowskich, główny obiekt Państwowego Muzeum Żydowskiego — i do dziś jest niedostępna publiczności. Przed ośmiu laty zamknięto kolejny oddział tegoż muzeum, Synagogę Hiszpańską, a przed trzema laty Maiselovą Synagogę. W ciągu ostatnich dwudziestu lat uległo zniszczeniu szereg ementarzy żydowskich w Pradze (Libeň, Žižkov, Radlice i Uhřetíněves) i poza nią. Podobny los grozi wielu synagogom i historycznym gettom (Boskovice, Třebíč, Břežnice, Kolin, Polná). ■ Pavol Čarnogurský, znany słowacki działacz katolicki, otrzymał w lutym, wraz z około 30 dalszymi Słowakami, krzyż Armii Krajowej za pomoc, udzielaną w czasie drugiej wojny światowej polskim kurierom w drodze na Węgry. ■ Karta 77 wezwała w marcu br. władze CSRS do ponownego zbadania, czy celowa jest budowa elektrowni wodnej „Gabčíkovo” na Dunaju i czym to grozi środowisku naturalnemu. Elektrownia miała być częścią realizowanego we współpracy z Węgrami kompleksu „Gabčíkovo-Nagymaros”. W maju rząd węgierski wstrzymał jednak — ze względów ekologicznych właśnie — budowę swej części tego zamierzenia, co doprowadziło do konfliktu między oboma krajami. Władze czeskosłowackie postanowiły mimo wszystko kontynuować budowę i rozpocząć wkrótce śpiętrzenie wód Dunaju w Gabčíkovie. ■ Inna budowa: olbrzymia koksownia „Stonava”, położona 2 km od polskiej granicy i 7 km od centrum Cieszyna, stała się w końcu maja powodem wielotysięcznej demonstracji w tym mieście. Według ocen polskich naukowców więcej za-

zwyczaj od południowego zachodu wiatry będą przynosiły 80 % produkowanych w „Stonavi” zanieczyszczeń na terytorium Polski. ■ Czy renowacje 200 metrów źródła, dostarczające Karlovym Varom 200 litrów wody leczniczej o temperaturze do 72° C zagrożone są przez położoną w pobliżu kopalnię węgla brunatnego. W Teplicach trzeba już podgrzewać wodę z tamtejszych termów radoczynnych i wszystko wskazuje na to, że nie uda się ich już uratować. Przemysł wydobywczy szykuje tymczasem zamach na kolejny kurort, Františkovy Lázně, w których okolicach odkryto duże złoża węgla brunatnego. Ministerstwo energetyki chce w niedalekiej przyszłości przystąpić do jego eksploatacji. ■ 62 % lasu w Karkonoszach uległo już całkowitemu zniszczeniu. W Czechach i na Morawach 55 % lasów to lasy chore, do końca wieku odsetek ten sięgnie 65-70 %. Czechosłowacja zaprzestała już całkowicie eksportowania drewna do innych krajów RWPG i drastycznie obniżyła eksport na Zachód. ■ Czechosłowacja zamierza po 35-ciu latach wrócić do Międzynarodowego Funduszu Walutowego. W ciągu następnych dwóch-trzech lat planowana jest reforma bankowa i utworzenie szeregu nowych banków. W przyszłości obywatele CSRS będą mogli wpłacać na konta dewizowe waluty bez tłumaczenia, skąd je mają i wykorzystywać te pieniądze na finansowanie podróży zagranicznych. ■ Czechosłowacki związek pisarzy stanowczo sprzeciwił się powołaniu sekcji polskiej. Decyzja ta spotkała się z krytyką gazety polskiej mniejszości *Głos Polski*, która wskazuje, że w związku istnieją już sekcje węgierska i ukraińska. ■ Libuše Monikova, ur. w 1940 roku w Pradze a żyjąca od 1971 roku w RFN pisarka czeska, została tegoroczną laureatką Nagrody im. Franza Kafki, przyznawanej przez austriackie Towarzystwo im. Franza Kafki. ■ Solidarność Polsko-Czechosłowacka ogłosiła konkurs na esej poświęcony stosunkom między tymi oboma krajami w latach 1918-1988. Objętość prac nie jest ograniczona, najciekawsze z nich zostaną wydane w specjalnej publikacji. Uczestniczyć w konkursie mogą czescy, słowaccy i polscy autorzy tak z kraju, jak i z emigracji. Teksty w trzech kopiach opatrzonych godłem z dołączoną kopertą zawierającą imię i nazwisko oraz adres lub pseudonim i kontakt należy nadsyłać na adres *Biuletynu Informacyjnego Solidarności Polsko-Czechosłowackiej* lub *Informace o Charte 77*. Przewidziane nagrody: I-sza — 300.000 zł lub 4.000 Kčs, II-ga — 200.000 zł lub 2.000 Kčs, III-cia — 100.000 zł lub 1.000 Kčs.

Wiedeń, 3 czerwca 1989 r.

(amp)

POLSKA KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA

STODIECK'S BUCHHANDLUNG & GALERIE

oferuje:

Książki polskie. — Książki niemieckie dotyczące Polski i Europy Wschodniej. — Przekłady z języka polskiego na niemiecki.

Katalogi wysyłamy bezpłatnie.

Stodieck's Buchhandlung,

Richard-Wagner-Str. 39. D-1000 Berlin 10.

Tel.: (030) 341 10 40

Kronika kulturalna

PEN i świat

Miejsca zjazdów międzynarodowych nie pozostają bez wpływu na ton i koloryt obrad. Przed kilku laty uczestnicy 51-go Kongresu PEN-Clubów w Nowym Jorku byli traktowani przez media jak primadonny i spora ich część ochoczo wcieliła się w te role. Najpierw sala, świadoma kamer telewizyjnych i włączonych magnetofonów, wygwizdała sekretarza stanu George'a Schulza, który przygotował przemówienie powitalne, bo nie życzyła sobie polityków na tym forum. Następnie część pisarzy z Günterem Grassem na czele przystąpiła do ataku na imperializm literatów amerykańskich i zakrzyczała Saula Bellowa, który miał na ten temat inne zdanie. Wreszcie kobiety pióra podniosły bunt, twierdząc, że są dyskryminowane.

W Seulu, na ubiegłym kongresie PEN ton naradom narzuciła nieskazitelna grzeczność i gościnność koreańskich gospodarzy. Dobre maniere praktycznie uniemożliwiły wolnoamerykanke, jaka toczyła się w Nowym Jorku. Południowi Koreańczycy, którym zależało na pozostawieniu u gości jak najlepszych wrażeń, wypuścili nawet z więzienia swoich pisarzy. Wprawdzie dopiero kilka tygodni po wyjeździe uczestników kongresu PEN i nie na długo, o czym świadczą najnowsze rezolucje PEN-u w sprawie przesładowanych, ale to już inna historia.

Na 53-cim Międzynarodowym Kongresie PEN, jaki odbył się w maju w holenderskim mieście Maastricht, nie było ani skandali, ani walki wręcz, ani niskich ukłonów. Miejscowa ludność wykazała mierne zainteresowanie parusetosobową grupą przybyszów z ponad pięćdziesięciu krajów. Stateczny Maastricht podjął delegatów lampką wina na ratuszu, pokazał co trzeba z zabytków, ale czołobitności wobec tuzów literatury nie wykazywał. Obrady toczyły się na skraju miasta w kompleksie, który przypominał podmiejski ośrodek handlowy. Miejscowych dużo bardziej pociągało wesołe miasteczko, które działało do późnego wieczora na rynku głównym. Miało to swoje dobre strony, ponie-

waż uczestnicy kongresu, w braku innych pokus, nie rozchodzili się po mieście i cierpliwie obradowali.

Największą pracowitością wykazał się jak zwykle Komitet Obrony Uwięzionych Pisarzy. Przez kilka dni jego członkowie omawiali szczegółowo kraj po kraju pod kątem przesładowań ludzi pióra. Najbardziej oddani działacze przedstawili raporty z misji i wizji lokalnych. Dobijali się do więzień, szukali dla uwięzionych adwokatów, udzielali pomocy ich rodzinom. W sali, niedostępnej dla obserwatorów z zewnątrz, układano teksty rezolucji i apeli protestacyjnych w sprawie Salmana Rushdiego, Vaclava Havla, pisarzy rumuńskich, libańskich, koreańskich...

Równoległe z tymi posiedzeniami, które zdaniem wielu są sercem działalności PEN-u, przez trzy dni na sesji otwartej toczyła się dyskusja na temat przewodni 53-go Kongresu: „Zmierzch ideologii i nowa wizja wspólnoty ludzkiej pod koniec XX wieku”. Debata okazała się dość chaotyczną i niemrawą wymianą opinii. Mówcom brakowało nie tylko wewnętrznego ognia i świeżego spojrzenia na naszą globalną wioskę, ale może przede wszystkim — precyzji. Daremnie czekało się na próbę zdefiniowania pojęć, które każdy z mówców pojmował nieco inaczej. Część literatów uważała, że o zmierzchu ideologii nie ma co rozprawiać, bo miejsce starych zajmują automatycznie nowe. Inni utrzymywali, że istnieją przecież ideologie dobre, a nawet pożyteczne dla ludzkości. Ktoś zauważył, że z samej definicji ideologie wcale nie są szkodliwe i że wystarczy, aby stosować je elastycznie. Ktoś inny dodał, że ideologie jako takie nie są niebezpieczne, natomiast groźne w skutkach są manipulacje nimi. Afrykańczyk przestrzegał przed europocentryzmem kulturalnym, Francuz rzucił zebrany wzór postępowania w osobie d'Artagnana (ta zaskakująca asocjacja myślowa ma swój klucz: w Maastricht stoi pomnik dzielnego Gaskończyka). Dla znacznej części dyskutantów pojęcie „ideologia” było tożsame ze słowem „światopogląd”. Jednakże pomysłodawcy tak sformułowanego tematu sesji mieli chyba co innego na myśli, no bo jaki byłby sens proponować dyskusję o zmierzchu *światopoglądu* u człowieka końca XX wieku? W większości wystąpień przeważało retoryczne pustostawie; mówcy nie dostrzegali żadnego związku między ideologiami a pracą Komitetu Obrony Uwięzionych Pisarzy w sąsiedniej sali.

W zgłętku głosów pochłoniętych abstrakcyjnymi sporami wyróżniały się te, które podejmowały konkretne sytuacje. Algirdas Landsbergis, litewski dramaturg mieszkający w Stanach Zjednoczonych, przedstawił pokrótce odrodzenie duchowe w swoim kraju ojczystym, w tekście zatytułowanym „Śmierć ideologii — pisarze litewscy w 'roku cudów'”. W tym przeglądzie najważniejszych wypowiedzi literackich ostatnich lat Landsbergis zwrócił uwagę na siłę książki-dokumentu, złożonej ze wspomnień i świadectw Litwinów deportowanych na Syberię — „W krainie wiecznych mrozów” (Amżina Pasalo Žemeje). Jedna z ofiar, Ona Beleckiene, napisała w tygodniku związku pisarzy litewskich:

My, kobiety z małymi dziećmi, zostałyśmy nazwane najgorszymi wroga-

mi ludu... Zapędzono nas do bydłęcych wagonów na stacji kolejowej w Kownie... W tych zapieczętowanych wagonach wywieziono nas aż za Ural; wagony z mężczyznami odłączono w Orszy i skierowano do obozów w Swierdłowsku... Za Uralem pociąg stanął w lesie, gdzie wyrzucono zwłoki dzieci i starych ludzi. Sześdziesiąt procent deportowanych zmarło pierwszej zimy. Głód, dotkliwy mróz, nadludzka przymusowa praca doprowadziły do śmierci całych rodzin; nie potrzeba było krematoriów, zasięków, drutów pod prądem. Okrutny reżym i klimat (trząskający mróz zimą, straszliwy upał latem) bezlitośnie wykańczały ludzi; Jenisiej, Lena i inne rzeki unosiły zwłoki do morza... W 1954 roku dwaj deportowani inżynierowie, którzy pracowali jako dokerzy w dokach Krasnojarska, popłynęli stateczkiem na północ, by przekonać się, czy istotnie białawe wzgorza kości w jarach były szczątkami ludzkimi zaniesionymi tam prądem rzek. To, co zobaczyli, było przerażające: góry szkieletów ze strzępami ubrań targanymi wiatrem, ludzkie kończyny poszarpane przez zwierzyne. Napis na drewnianej tablicy głosił: Strefa zakazana.

Dzisiejsze jasno oświetlone miasta — Norilsk, Workuta — zostały wzniesione na kościach deportowanych i więźniów obozów.

„Góry szkieletów na dalekiej północy — zakończył swoje wystąpienie Landsbergis — są nie tylko zbiorową mogiłą deportowanych Litwinów. Są one też grobem martwej ideologii”.

Jeśli 53-ci Międzynarodowy Kongres PEN-u został ochrzczony mianem „historycznego”, to dlatego, że po raz pierwszy w dziejach tego stowarzyszenia, założonego w Londynie w 1921 roku, przyjęto w poczet członków ośrodek narodowy, jaki ukonstytuował się w Moskwie. Oficjalnie nosi on nazwę rosyjsko-sowieckiego ośrodka PEN. Ponieważ poszczególne ośrodki PEN są *de facto* wspólnotami językowymi, pierwszy członek tej nazwy wskazuje na język, w jakim tworzą wchodzący w jego skład pisarze, a drugi — ich przynależność państwową. Okoliczności założenia ośrodka PEN-u w Moskwie dowodzą licznych podziałów, napięć i skomplikowanej gry między władzami a pisarzami, wśród których także istnieją poważne animozje. Głos w tej sprawie zabrali także pisarze sowieccy przebywający na emigracji. Josif Brodski w niedawnym wystąpieniu w dzienniku *The New York Times* wyraził votum nieufności wobec części literatów, którzy weszli w skład komitetu założycielskiego PEN w Moskwie. W blisko stuosobowej grupie — stwierdził — znajdują się pisarze o czystych rękach i sumieniach, ale i tacy, którzy mają bardzo brudne ręce jak na przykład ci, którzy w przeszłości brali udział w kampanii przeciwko Pasternakowi i Sołżenicynowi.

Do ostatniej chwili zatem nie było wiadomo, kto z Moskwy przyjedzie na kongres do Maastricht. Na koniec zwyciężył kompromis i ostateczny skład delegacji pisarzy sowieckich, która do Holandii przybyła formalnie w charakterze obserwatorów, spotkała się z aprobatą delegatów (Andriej Bitow, Fazil Iskander, Anatolij Rybakow, Władimir Stabnikow, Arkady Waksberg, Igor Winogradow). W głosowaniu na sesji plenarnej jednomyślnie zaaprobowano przyjęcie do federacji nowego ośrodka. Rybakow i Winogradow wystąpili z wyważonymi przemówieniami. Dali wyraźnie do zrozumienia, że liczą na współpracę z pisarzami na emi-

gracji, których długą listę wymienili. Choć w tych przemówieniach padło wiele dramatycznych słów, oba robiły wrażenie spóźnionych o co najmniej trzydzieści lat. Mówcy znów wyciągnęli z szafy szkielet Stalina, pomijając jego następców (jeśli nie liczyć wtrętu Rybakowa o „nieudolności Breżniewa”).

Tuż potem odbyło się głosowanie nad zatwierdzeniem ośrodka litewskiego z siedzibą w Wilnie. I ten wniosek przeszedł jednomyślnie, jeśli nie liczyć riposty zdenerwowanego delegata z Niemiec Wschodnich, który oświadczył, że wycofa swoje poparcie, póki nie dowie się, co Moskwa sądzi na ten temat. W istocie ta decyzja, choć mniej ważna na forum międzynarodowym niż zatwierdzenie rosyjsko-sowieckiego ośrodka, była prawdziwą sensacją kongresu. Z kularowych plotek wynikało, że utworzenie w pełni autonomicznego ośrodka litewskiego było kwestią zapalną i bynajmniej nie przesądzoną z góry. Tymczasem obyło się bez konfliktów. Niezależni Litwini odnieśli zwycięstwo.

Z tej okazji przeprowadziłam z Algirdasem Landsbergisem krótką rozmowę, której fragmenty przedstawiam poniżej. Ponieważ w Kongresie PEN w Holandii wzięły udział delegacje z Łotwy i Estonii, natomiast z Litwy przybył tylko obserwator w osobie prozaika Romualdasa Lankauskasa, zapytałam na początek, jakie były dzieje ośrodków narodowych PEN w krajach bałtyckich.

ALGIRDAS LANDSBERGIS: — Łotysze i Estończycy założyli swoje ośrodki PEN-Clubów pod koniec lat dwudziestych. Były to więc pełnoprawne, autonomiczne centra. Natomiast Litwini takiego ośrodka nie utworzyli wówczas, a dlaczego — to dość interesująca sprawa. Otóż pisarze dążyli do tego, ale rząd litewski sprzeciwił się temu projektowi ze względu na niebezpieczną sytuację międzynarodową. W 1938 roku oświadczył, że przystąpienie pisarzy litewskich do międzynarodowej federacji PEN wywoła antagonizmy w Rosji i w Niemczech. W ten sposób Litwini stracili okazję.

Po drugiej wojnie ośrodki łotewski i estoński działały dalej pod zarządem twórców na wygnaniu. Reaktywowanie ich w Rydze i Tallinie nastąpiło niedawno. Litwini postanowili wykorzystać sprzyjającą sytuację w republikach bałtyckich i założyć własne centrum. I dobrze się stało, bo nawet jeśli Boże broń nastąpią zmiany na gorsze, to przynajmniej zostanie jakiś mały bastion swobodnej myśli.

RENATA GORCZYŃSKA: — *Kim są ojcowie-założyciele litewskiego PEN-u?*

A.L.: — Praktycznie można mówić o jednym ojcu, to jest Romualdasie Lankauskasiu. To Żmudzin, a jak wiadomo Żmudzini są uparci. Organizowanie ośrodka PEN w Litwie zajęło wiele lat,

ponieważ Lankauskas nie jest człowiekiem skłonnym do kompromisów.

R.G.: — *Jednakże komitet założycielski musi się składać z minimum dwudziestu pisarzy...*

A.L.: — Tak, o ile mnie pamięć nie myli, było ich w sumie dwudziestu pięciu. Tylu złożyło swe podpisy pod kartą międzynarodowego PEN-Clubu. I wtedy my, to jest litewscy pisarze na wygnaniu, zdecydowaliśmy, że przystąpimy do PEN-Clubu w Wilnie. Będzie to zatem ośrodek zrzeszający członków z różnych krajów świata. I ja również jestem jego członkiem. Tomas Venclova zgłosił akces telefonicznie, tuż przed moim odlotem do Holandii. Litewski PEN z siedzibą w Wilnie będzie miał swój oddział w Stanach Zjednoczonych, przypuszczalnie w Nowym Jorku. Zapowiada się więc duży ośrodek, z pięćdziesięcioma co najmniej członkami — prawie mocarstwo.

R.G.: — *Litewscy pisarze na emigracji zdecydowanie popierają więc ośrodek w Wilnie, podczas gdy wśród sowieckich pisarzy emigracyjnych istnieją w stosunku do PEN-u w Moskwie głębokie podziały. Skąd ta różnica w podejściu?*

A.L.: — Wielu pisarzy rosyjskich na wygnaniu podchodzi do tej idei z podejrzliwością i lękiem; obawia się, że nowy ośrodek będzie pod kontrolą czynników oficjalnych. Ci ludzie obawiają się, że liberalizacja nie będzie długo trwała i że wkrótce sytuacja ulegnie zmianie na gorsze. To w ich imieniu zabrał głos Brodski, twierdząc, że w Komitecie założycielskim w Moskwie jest tylu ludzi skompromitowanych. Zagroził nawet wystąpieniem z Międzynarodowego PEN-u. Jednakże do konfliktu nie doszło, bo do Maastricht przyjechali w większości uczciwi ludzie. Nikt z nich nie zaprotestował przeciwko wnioskowi o zatwierdzenie ośrodka litewskiego. Na konferencji prasowej o tę sprawę pytali przede wszystkim dziennikarze. Jeden z nich zapytał: „Ośrodek w Moskwie będzie się nazywał rosyjsko-sowiecki, a ośrodek w Wilnie? Litewsko-sowiecki? Czy to będzie ośrodek regionalny czy też narodowy?”. Lankauskas odparł: „Ależ oczywiście że będzie to ośrodek narodowy”. Bitow, który siedział obok, nie odezwał się ani słowem. Gdyby na jego miejscu był jakiś Markow czy Karpow, można sobie wyobrazić co by nastąpiło — protesty, okrzyki w rodzaju „To obraza!”. Postanowiłem i ja coś dodać do wypowiedzi Lankauskasa, by rzucić więcej światła na całe zagadnienie. Przypomniałem, że 4 kwietnia w rezolucji na otwartym posiedzeniu partii w Wilnie litewscy pisarze i historycy potępili dyktatorską sowietyzację Litwy, że inwazja, zagarnięcie i sowietyzacja

zacja Litwy były bezprawne, przestępcze i stanowiły rezultat paktu Hitler - Stalin. To wyjaśnia wystarczająco, dodałem, dlaczego w nazwie ośrodka nie ma członu „sowiecki”. Na uwagę zasługuje również fakt, że delegacja z Moskwy zgodziła się, że trzy ośrodki bałtyckie będą autonomiczne. A zatem przynajmniej symbolicznie potwierdziła odrębność republik bałtyckich. Niemniej jednak w wystąpieniach Rosjan, w zasadzie uczciwych i pełnych dobrej woli, nadal odczuwa się wielką siłę żargonu politycznego; mówią na przykład „*nasza strona*” — jakby to był nadal monolit.

R.G.: — *W każdym razie litewscy pisarze na wygnaniu mają dużo więcej zaufania do swoich kolegów w Litwie niż emigranci rosyjscy do środowiska literatów w Moskwie czy Leningradzie. A przecież nie wszyscy literaci litewscy zachowali przykłądną postawę...*

A.L.: — Nie, byli tylko ludźmi. Oczywiście, przychodzi tu na myśl „Zniewolony umysł” i psychologiczny portret pisarza, który poddaje się zewnętrznemu naciskom. Pozostaje więc gorzki osad tamtych doświadczeń. Jednakże rozwój wydarzeń, które nazwałbym *annus mirabilis*, bardzo temu zbliżeniu dopomógł. Nastąpiło ogromne ożywienie, także środowiska pisarskiego. Znaczna liczba pisarzy należy do ruchu Sajudis. Tak więc pisarze litewscy na wygnaniu, którzy dotychczas byli dość podejrzliwi, widzą, że cuda mogą się mimo wszystko zdarzyć.

R.G.: — *Założmy, że do litewskiego PEN-u zechcą się zgłosić pisarze, którzy mieszkają w Litwie, lecz piszą po polsku, nie po litewsku.*

A.L.: — Przyznam, że nie znam takich pisarzy, ale zastanówmy się nad tym hipotetycznie. Dla przykładu, ostatnio pisarze żydowscy, reprezentanci małej wspólnoty ocalańców, utworzyli autonomiczny ośrodek przy związku pisarzy litewskich. Gdybym ja był prezesem litewskiego PEN-u, z całą pewnością przyjąłbym do stowarzyszenia literatów piszących po polsku.

R.G.: — *Wzmrożone poczucie narodowe Litwinów zdecydowało o obecnych zmianach, ale z drugiej strony to samo poczucie może doprowadzić do zaostrzenia tarć na tle narodowościowym...*

A.L.: — To racja, ale nie wiem, czy w tym wypadku możemy mówić o nacjonalizmie opartym na nienawiści, skierowanym przeciwko innym grupom narodowościowym. Sądzę, że mamy do czynienia z nacjonalizmem opartym na głębokiej miłości do kultury kraju i pragnieniu do odrodzenia się dzięki niej. Czytam ostatnio

masę pism wydawanych w Litwie i imponuje mi ton wypowiedzi, nacechowanych tolerancją i humanizmem.

R.G.: — *A mimo to dochodzą wieści o pewnym wzroście napięć między Litwinami a Polakami. Jaki jest Pana komentarz w tej sprawie?*

A.L.: — Nie jestem ekspertem w tej dziedzinie. Nawet nie pochodzę z regionu Wilna. Sporo ostatnio dowiedziałem się o konfliktach od Tomasa Venclovy i od Miłosza. Jak rozumiem, chodzi tu przede wszystkim o bardzo specyficzną grupę tak zwanych „tu-tejszych”, którzy zresztą w znacznym stopniu ulegli rusyfikacji. Niezmiernie ciekawe będzie obserwowanie rozwoju wydarzeń: czy ci ludzie dadzą się ponieść fali odrodzenia polskiego, czy też pozwolą się użyć Moskwie, która jak wiadomo sięga często do zasady *divide et impera*. W każdym razie we wszystkich oświadczeniach ruchu Sajudis nie dostrzegłem żadnych ataków pod adresem polskiej mniejszości. Chciałbym wierzyć, że Litwa w okresie swojej wiosny ludów odniesie się ze zrozumieniem do polskiej mniejszości, bo gdyby miało stać się inaczej — byłby to jeden z największych błędów.

Wypada jeszcze dodać na koniec, że na kongresie w Holandii wybrano nowego przewodniczącego Międzynarodowego PEN-Clubu. Jest nim 80-letni René Tavernier, francuski poeta i tłumacz. Była to decyzja stateczna i zachowawcza, zgodna z atmosferą miasta.

Renata GORCZYŃSKA

POLNISCHE BUCHHANDLUNG KSIĘGARNIA POLSKA

1070 Wien, Burggasse 22
Tel.: 0222/93 87 222

GODZINY OTWARCIA / ÖFFNUNGSZEITEN:

CODZIENNE / TÄGLICH 10.00 - 18.00

SOBOTA / SAMSTAG 9.00 - 12.00

SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA / BUCHVERSAND

KONTO POCZTOWE PSK 7227.556

Ci, co odeszli

W smudze blasku

Zebranych w połowie stycznia tego roku w lokalu Duszpasterstwa Środowisk Twórczych w Warszawie kilkudziesięciu pisarzy postanowiło — o czym ogólnie wiadomo — powołać do życia własne, niezależne stowarzyszenie. Zanim to jednak nastąpiło, w położonym po sąsiedzku kościele Karmelitów odbyła się msza święta, przed którą Jerzy Sito odczytał długą i smutną litanie. Były to nazwiska członków dawnego Związku Literatów Polskich, różnych przekonań i orientacji, zmarłych od dnia ogłoszenia stanu wojennego.

Dla większości ten rytuał był tylko przypomnieniem — pomimo zaistniałej sytuacji w podzielonym środowisku wiadomo było na ogół, kto w tych tragicznych latach odszedł w zaświaty. A jednak ciągnąca się nieskończenie długo, wśród grobowego milczenia lista zaszokowała niemal wszystkich. Spustoszenie przekroczyło bowiem wszelkie granice.

Wśród nieżyjących padło także nazwisko najczęściej chyba w różnych trudnych okolicznościach wspominane. Nieobecność Leszka Proroka — bo o nim mowa — dawała się szczególnie odczuć, gdy zdeterminowana organizacyjną pustką garstka pisarskiej konfraterni w różnych miastach próbowała nawiązywać ze sobą przerwane kontakty.

Łączyło się to zawsze z ogromnymi trudnościami. Dziś, gdy wielu w ewangelicznym nastroju świętuje narodową zgodę, warto przypomnieć, że przecież całkiem jeszcze niedawno zwykła chęć rozmowy w kilkunastoosobowej grupie powodowała policyjne najścia, przesłuchania, ostrzeżenia i rewizje. I niemal z reguły — po jednym czy drugim takim nieudanym spotkaniu ludzi pióra — padało westchnienie: „Ach, gdyby żył Leszek...”. Istniało wśród nas głębokie przekonanie, że właśnie on potrafiłby z powodzeniem wszystko właściwie zorganizować, jego obecność pozwoliłaby uniknąć rozmaitych pułapek, podsłuchów i donosów. Był bowiem — poza encyklopedyczną wręcz prawniczą wiedzą —

obdarzony niezmiernie rzadką właściwością: potrafił z powodzeniem, bez szczególnych zakłóceń, łączyć ambitne pisarstwo z organizacyjną i społeczną aktywnością. Pozostawił po sobie trzydzieści siedem książek prozatorskich, dwadzieścia słuchowisk radiowych i pięć sztuk teatralnych, a umarł, tak jak żył — w pełnym działaniu. Przed Bożym Narodzeniem 1984, już ciężko chory na serce, rozwił najgorzej sytuowanym kolegom świąteczne paczki. I zakończył życie przy kierownicy samochodu.

Ta śmierć to jakby swoisty symbol. Do ostatniej chwili żył bowiem zgodnie z dwiema conradowskimi zasadami: wiernością i lojalnością. Ten właśnie wzorzec Conrada, o którym napisał pierwszą w literaturze powieść pt. „Smuga blasku”, przyświecał mu do końca.

Wydana niedawno przez „Editions Spotkania” szczupła książeczka to tekst wspomnieniowy, noszący tytuł zaczerpnięty z „Grobu Agamemnona” — „Smutne pół rycerzy żywych”. Trafnie wybrany cytat ze Słowackiego idealnie pasuje do treści, ale dla mniej w literaturze biegłego czytelnika jest szczególnie trudny do zapamiętania; dało się to sprawdzić, gdy obszernie fragmenty nadawała „Wolna Europa”.

Prorok, rdzenny warszawiak, żołnierz akowskiej konspiracji i powstania, znalazł się po zakończeniu wojny w Poznaniu, gdzie obok kontynuacji prawniczych studiów postanowił dalej konspirować.

Nie była to walka z bronią w rękę, jak we wschodnich rejonach kraju, gdzie gorzała wojna domowa, lecz jedynie załączki organizacyjne czegoś, co miało się dopiero rozwinąć. Na razie ograniczano się do wstępnych działań — z rogu Czerwonej Armii, dawniej świętego Marcina, zniknęła tabliczka z nazwą ulicy. W to miejsce pojawiła się nowa nazwa — Polski Podziemnej.

Tę zgoła niewinną formę oporu postanowiono stłumić w zarodku. Po przypadkowej wpadce w zastawionym „kotle” Prorok dostał się w ręce UB, gdzie w więziennych celach przyszło mu po raz pierwszy spędzić dwa lata. Zdarzyło się to już w lipcu 1945 roku. Ścigającym go agentom nie przyszło to jednak zbyt łatwo. Zanim ostatecznie został ujęty, zdążył narobić sporego zamieszania. To wydarzenie będzie później często się pojawiało na kartach książki. Stanie się też powodem skrytego podziwu towarzyszy niedoli, a nawet więziennych strażników: przyskrzyniony w osobnym pokoju zdołał chytrym, przemyślnym sposobem zesunąć się z balkonu czwartego piętra czynszowej kamienicy i zwać oprawcom. Wprawdzie po paru godzinach znalazł się pod kluczem, to jednak wyczyn ten przeszedł na długo do więziennej legendy tamtych lat.

Samotne rozmyślanie w celi prowadzą do wniosków jednoznacznych: należało działać tak, jak działał i niczego nie żałować, choć przyszłość rysowała się w barwach najczarniejszych. Znacznie później — już jako płodny i uznany autor — wyzna, że porażki nauczyły go więcej aniżeli zwycięstwa, w czym bez trudu dają się rozpoznać wpływy ukochanego Conrada. Na razie jednak, jako niepoprawny tropiciel literackich tematów, postana-

wia czasu nie tracić. Ma wówczas w swojej biografii jedną wydaną przed wojną książkę i nieco publikacji w prasie podziemnej. Z takim bagażem twórczych doświadczeń postanawia wyjść naprzeciw zaistniałej sytuacji. Na pewno żaden z bogatej galerii śledczych nie podejrzewał, że staje się obiektem bystrej piarskiej obserwacji. Materiał poznawczy jest bogaty i zużytkowany został z dużą precyzją, bez śladu schematyzmu, który w takiej tematyce grozi szczególnie. Owi Mackiewicz, Praszkirowie, Antosiewicz czy Zimichodowie wędrują do tekstu z bogatym zapleczem przeróżnych psychologicznych motywacji.

Oto Władysław Mackiewicz, późniejszy pułkownik w MSW, o ujmującej twarzy dorastającego chłopca, inteligentny słuchacz doksztalających kursów dla ubeckiej kadry. Nic w nim demonicznego, żadnej patologii czy sadyzmu. Ot, zwykłe dziecko wołyńskiej wsi z żywo zakodowanym w pamięci obrazem majowych nabożeństw, obrzędów i tradycji, do których we wspomnieniach wraca często i chętnie. A jednak jako funkcjonariusz wykonuje swoje obowiązki z gorliwością i oddaniem, a gdy zachodzi potrzeba, nie unika brutalności.

Ideowiec? Pretorianin? Zapewne, choć dziś niełatwo uwierzyć, że byli i tacy.

Inny egzemplarz: porucznik Praszkirow. Wiecznie zmęczony i senny, ideowy komunista, któremu w pewnym momencie wyrwa się takie oto wyznanie: „Socjalizm... nie tak, całkiem nie tak. Swoboda po pracy i żeby człowiek mógł się kobietą nacieszyć jak należy... A tutaj całą dobę te papierki, zyciorys, przestuchanie, zyciorys, podejrzenia o to i o tamto — ile z tego naprawdę ważne? Et, Prorok, mówię wam...”. A potem kapitalna scena, jak ów śledczy zwraca się do przestuchiwanego z prośbą, aby sam napisał i odpowiednio skomponował protokół z własnego przestuchania. Przez ten czas on, Praszkirow, odpocznie, zdrzemnie się trochę.

Oczywiście, nie z samymi Mackiewiczami i Praszkirowami miał Prorok do czynienia. Częściej — jakże by inaczej — pojawiają się ludzkie maszyny do wymuszania zeznań, też jednak nie pozabawione cech indywidualnych. Wyposażone w bogaty arsenał różnorodnych środków zmierzały zawsze tylko do jednego finalnego celu — do wydobycia zeznań i ostatecznego zgnojenia człowieka.

Nie brak wśród nich także sowieckich doradców, wśród których wyróżnił się kapitan Kolesonow, dociekliwy pseudofilozof, łączący harmonijnie brutalny sadyzm z ogarniającą go często tajemniczą zadumą.

Innego typu refleksję wzbudza informacja o dalszych losach ubeckich prominentów. Otóż w latach późniejszych niektórzy z nich wychodzą z ciasnych i skompromitowanych policyjnych okowów, aby wypłynąć na szerokie wody społecznego awansu. Stają się sędziami, adwokatami, lekarzami. Tego i owego uwolniony po latach autor spotyka niekiedy na ulicy, w teatrze, w innych miejscach publicznych; chłodny ukłon, niespokojny błysk w oku, ot życie.

Niby wiadomo, jakimi drogami chadzały niektóre kariery i awanse w PRL, a mimo to nigdy takiej wiedzy za wiele.

Prorok patrzy na dawnych oprawców z melancholią i bez nadziei. Wyraźnie obca jego naturze jest chęć zemsty. Zdobywa się nawet, jakby mimochodem, na konstatację, że przeciw dwuletni okres intermedium — po uwolnieniu w 1947 roku z Wroniek trafia do więzienia ponownie — pozwolił mu ukończyć studia prawnicze i poślubić poznaną na powstańczych barykadach Marię Ciechanowicz, również towarzyszkę więziennego losu w Poznaniu.

Te skromne w założeniu wspomnienia miały być zapewne tylko surowcem, materiałem do przyszłej literackiej obróbki. Inną swoją książkę, „Kepi wojska francuskiego”, pisaną także w konwencji wspomnieniowej, zdołał autor uzupełnić i dopracować. Po wielu cenzorskich kłopotach stała się znaczącym literackim sukcesem. Tej najnowszej na własne oczy niestety już nie zobaczył. W tym jednak kształcie jaki ma, pozostaje i tak ogromnie cennym tekstem faktograficznym, świadectwem wielkiej dojrzałości i rzetelnej wiedzy o mechanizmie działania totalitarnej władzy.

Jerzy KORCZAK

Krajowa edycja „Kultury”

Od lipca 1987 roku niezależne wydawnictwo MYŚL w Warszawie wydaje *KULTURĘ* paryską. Jest to integralny przedruk każdego numeru w normalnym formacie (w białej, a nie kolorowej okładce ze względu na trudności techniczne). Krajowe wydanie ukazuje się z niewielkim opóźnieniem w stosunku do wydania oryginalnego.

Do nabycia za pośrednictwem kanałów kolportażowych.

Krajowa edycja Zeszytów Historycznych

Niezależne wydawnictwo PoMost w Warszawie rozpoczęło reedycję *ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH*. Ukazały się już roczniki 1986, 1987, 1988.

Numerzy *ZESZYTÓW* w roku 1989 są wydawane w miarę ukazywania się edycji oryginalnej. Będą się również ukazywały roczniki wstecz — w najbliższym czasie 1985 itd.

ZESZYTY HISTORYCZNE można nabywać za pośrednictwem kanałów kolportażowych.

Mam pewną znajomość kuchni wojskowej i to jej dwu zupełnie różnych poziomów. Pomiń zło i odległe wspomnienia studenta szkolonego wojskowo na poligonie w Drawsku koło Jaworza latem 1956.

Siedem lat później o świącie przyszedł do mego mieszkania podoficer z pistoletem maszynowym, by doprowadzić mnie do biura werbunkowego na Żoliborzu. W ten sposób znalazłem się na kursie w Głównym Zarządzie Politycznym LWP. Oficerowie polityczni z zasady muszą być członkami partii, jednak w naszej grupie specjalistów — socjologia, prasa, wojna psychologiczna — oprócz mnie było jeszcze paru bezpartyjnych. Ozdobą grupy oficerów był szeregowy dr Wallis, wyróżniany przy każdym meldowaniu: „... oficerowie w liczbie... oraz szeregowy dr Wallis”. Przez pierwsze tygodnie słuchaliśmy wykładów w różnych instytucjach wojskowych. Nasz kolega, podporucznik K., krytyk teatralny podczas przerwy, w każdym gmachu niezwłocznie odnajdywał drogę do miejscowej stołówki lub bufetu, obficie zaopatrzonych. Nauczyliśmy się mieć ze sobą pieniądze i wieczorem obdarowywaliśmy nasze cywilne rodziny. Rok 1963 nie był okresem szczególnych trudności gospodarczych, pamiętam jednak, że w wydawnictwie, gdzie przed i po tym epizodzie pracowałem, rano natychmiast po podpisaniu listy personel rozkładał papiery na biurkach, w każdym pokoju zostawała jedna osoba do odbierania telefonów, a reszta udawała się do kolejki po masło. Prośba dyrekcji brzmiała, by nie robić tego w najbliższym sklepie, ale dopiero w następnym, za bankiem. W naszym sklepie ustawiali się pracownicy banku. Pewien kłopot sprawiało przenoszenie zakupów dokonywanych w wojskowych bufetach, skoro umundurowany oficer nie może wyjść na miasto z siatką lub torbą. Zaczęliśmy do tego używać teczek. Za każdym razem wkładając do teczki jedzenie zamiast książek miałem poczucie, że popełniam nieprzyzwoitość. Parę lat potem opowiedział mi kolega, jak do redakcji, w której pracował przyszedł docent Włodzimierz T. Kowalski z teczką. Gdy docent otworzył teczkę, okazało się, że jest w niej maszynopis, flaszka piwa i prawidła do butów.

Pewnego dnia zawieziono nas do wojskowej wytwórni filmowej Czołówka. Podczas pokazu nagle zerwała się taśma i zapalono na sali światło. Zobaczyliśmy, że podporucznik K. spi uśmiechnięty, przyciskając do nosa świeżo zakupioną pomarańczę.

Po zakończeniu części teoretycznej dostaliśmy przydziały. Zostałem skierowany do gazety *Żołnierz Wolności*, do działu ogólnowojskowego. Byłem podporucznikiem odbywającym ćwiczenia jako publicysta. Publicyści w randze majorów przychodzili do służby na godzinę dziesiątą. Wieszali czapki i szynele na wieszaku i przystępowali do pisania. Dopytywano mnie, na którą przychodzi się do redakcji w prasie cywilnej. Koło południa pu-

Książki

O kaszy mannej

Któregoś dnia w latach sześćdziesiątych pani Słonimska poprosiła w warszawskim kiosku o 25 egzemplarzy *Trybuny Ludu*.

— A pani całe mieszkanie maluje? — Nie, tylko kuchnię.

— Ee... to 15 wystarczy. Przykład ten dowodzi, że wysokość nakładu nie zawsze świadczy o wpływach. Co najmniej dwa razy do roku, przed świętami, w coraz to innym zabiegającym o popularność piśmie pojawia się artykuł z cytatami („weż kopę jaj”) z książki kucharskiej Lucyny Cwierciakiewiczowej. Tak więc okazuje się, że mimo przeszło dwudziestu rozsprzedanych wydań autorka ta pozostała nieznaną, a całą popularność zawdzięcza felietonowi Boya, który najpewniej słyszał o niej przy stole w jadalni, ale nie miał książki w ręku, skoro zniekształcił jej nazwisko.

WSPÓŁCZESNA KUCHNIA POLSKA autorstwa Henryka Dębskiego wydana została przez Interpress w roku 1983 w nakładzie 100 tysięcy oraz po francusku, niemiecku i angielsku. Teraz ukazało się nowe wydanie w dalszych stu tysiącach. Już trzeci zawarty w niej przepis to polędwica wędzona *PO GENERALSKU*.

Mostek cielęcy zawijany *PO KAPITAŃSKU*, bażant *PO ADMIRAŁSKU*, sos *GENERALSKI*, sos *KAPITAŃSKI*, zupa pomidorowa *PO GENERALSKU* zamieniają przypuszczenie w pewność, że rok ukazania się tego dzieła — 1983 — nie był przypadkowy. Mamy przed sobą instrukcję kuchenną z okresu militaryzowania społeczeństwa. Przepis na płucka cielęce *PO KAPITAŃSKU* pozwala zorientować się, co jadł w stanie wojennym prof. A. Sandauer, dożywiany, jak to pokazywała telewizja, z wojskowego kotła. Paragraf o kaszy jęczmiennej *PO KAPITAŃSKU*, gdzie na 20 dkg kaszy używa się 15 dkg boczków wędzono i jeszcze 3 dkg tłuszczu każe uznać opis za wiarygodny.

blicyści przedstawiali materiały redaktorom w randze pułkowników, którzy o tej porze siedzieli zazwyczaj w kawiarni Bellona. Po zapoznaniu się z trybem służby i zszywką gazety dostałem rozkaz udania się na reportaż do odległego garnizonu. Odbyłem kilka takich podróży. Jakies dziesięć lat później, w upalny dzień letni, po paru godzinach lektury w Bibliotece Narodowej na Ochocie wstałem, zostawiając na stoliku otwartą książkę i pobiegłem do pobliskiego baru mlecznego na chłodny cocktail z owocami; w Warszawie były dwa wyspecjalizowane bary, koło placu Unii Lubelskiej i drugi właśnie na dalekiej Grójeckiej, mniejsze i nieco droższe od normalnych, lecz bez zapachu przypalonego mleka i gniewnych wymyślań z zaplecza. Właśnie kończyłem moją porcję, myśląc, że mógłbym ją powtórzyć, gdy w progu dało się słyszeć lekkie lecz stanowcze stuknięcie butów i młody sprężysty major, oddawszy w formie nieco zredukowanej honory wojskowe, wkroczył do wnętrza. Był to z całą oczywistością słuchacz położonej nieopodal Wojskowej Akademii Politycznej im. Feliksa Dzierżyńskiego. Jego ambicje promieniowały z każdego ruchu, odróżniając go od zmęczonych oficerów pułkowych i tyjących urzędników w mundurach wojskowych, spotykanych w Warszawie. Przy ladzie przedstawił swoje zamówienie i usłyszawszy odpowiedź, dostał ataku szału. Krzyczał na cały głos, lecz wypowiedział swój żal w krótkich, jasno wyrażonych zdaniach. — Prasoowanie munduru kosztuje 57 złotych, a pranie munduru z prasowaniem 48 i pięćdziesiąt groszy. W barze mlecznym nie ma mleka. Nie prowadzą. Trzeba Boga, żeby to wszystko zrozumiał.

Pozbawiona fundamentu metafizycznego gazeta codzienna Ministerstwa Obrony Narodowej niezbyt pomagała oficerom w rozumieniu wszystkiego. W roku 1963 było to pismo jeszcze nieco bezbarwne, choć już niemal przygotowane do wykonania wzmoczonych zadań roku 1968; wypadło jeszcze zmienić redaktora naczelnego, ale zespół był już prawie skompletowany. — Wiecie — mówił mi jeden z niedobrowolnych prenumeratorów na prowincji — nas interesuje przede wszystkim informacja, dlatego wolimy czytać *Trybunę Ludu*.

W czasie jednej z podróży zobaczyłem coś, co mogło się podobać. Koszarowy dziedziniec zawsze wydaje mi się miejscem ponurym. Owego ranka po przejściu ze stacji kolejowej przez smutne, zaniedbane miasteczko na północno-wschodnim krańcu Polski, po przekroczeniu bramy koszar znalazłem się na skraju parku, przechodzącego w stadion sportowy. Zdawało się, że jeszcze chwila, a zaczną śpiewać ptaki i fruwać motyle. Nie odstąpiłem od zasady, by niczemu się nie dziwić, ale i tak wieczorem zastępca d-cy pułku do spraw politycznych sam mi opowiedział historię owego parku. Skierowany tutaj po ukończeniu Akademii Politycznej im. ..., w pierwszych tygodniach popadł w przygnębienie.

Nagle przyszedł mu do głowy pomysł, związany z koniecznością użycia cementu. Każdy pułk posiada do dyspozycji znaczną ilość rozmaitych dóbr, między innymi cement, który nie użyty w porę traci wartość i musi być po prostu wyrzucony. W pułku akurat odbywał ćwiczenia architekt. Zaproponowano mu, by zamiast czołgać się w błocie zaprojektował basen. Na następne ćwiczenia pułk zażądał inżynierów, budowlanego i od kanalizacji. Nadeszła stosowna pora roku, by przygotować teren pod budowę. Łamiąc wszelkie reguły, oficerowie i podoficerowie zaczęli ze sobą współzawodniczyć, kto więcej usunie ziemi. Oficerowie, mniej liczni, okazali się nawet lepsi od swych podwładnych. Tyle, że ogarnięci pasją budowlaną prowadzenie zajęć politycznych, odbywających się z reguły po obiedzie, powierzyli klerykom, których cały rocznik z jednego seminarium na złożenie biskupowi wcielono do tego właśnie pułku. — Trzeba przyznać — mówił mój rozmówca — że jak chcą, to mogą to robić lepiej od nas. Zresztą jeden z kleryków rozpoznał nowe powołanie i zamierza po skończeniu służby iść na politycznego. Gdy basen był już prawie gotów, kwatermistrz przypomniał sobie, że szwagier jest kierownikiem terenów zielonych w P. Pojechał do P., gdzie przekazano mu 500 sadzonek róż. Basen został przekazany do użytku dla uczczenia którejś tam rocznicy PRL. Tu dodam, że w innych pułkach dla uczczenia rocznic żołnierze zazwyczaj skopywali trawniki przed domami dowódców i sekretarzy. Inne rocznice w odwiedzionym przeze mnie pułku stanowiły pretekst do budowy dalszych obiektów. — Te prace zmieniły nasze życie. Zamiast, jak dawniej, wypić wieczorem pół litra, siedzimy sobie teraz z kolegami nad kieliszkiem martini z cytryną i lodem i rozmawiamy, jak było dawniej, a jak jest teraz. A martini mamy tu bez narzutu. Na ścianie za plecami mego rozmówcy wisiły dobre reprodukcje Pankiewicza i Bonnarda. Naprawdę. Dwadzieścia dwa lata później Zbigniew Messner, premier PRL, jako osiągnięcie swego życia — jedyne, które umiał wymienić — wspomniął basen i drugą salę gimnastyczną, wybudowane w katowickiej Akademii Ekonomicznej w czasach, gdy był jej rektorem.

Historia budowy basenu, opowiedziana zresztą z pełnym wyliczeniem uczczonych rocznic i podaną ilością przetrzuconych metrów ziemi, została przyjęta w redakcji z jeszcze większą niechęcią niż inne moje relacje. Zakończyłem wreszcie służbę z opinią brzmiącą dokładnie tak:

„Ppor. Dobosz Andrzej jest młodym krytykiem teatralnym. Oficer ten jest punktualny, pilny, życia wojskowego nie zna zupełnie. Żaden z dostarczonych przez ppor. Dobosza materiałów nie nadawał się absolutnie do druku. Wydaje się, że całkowitego niepowodzenia ppor. Dobosz nie należy tłumaczyć niechętnym stosunkiem do naszej rzeczywistości ani nawet do Ludowego Wojska Polskiego, ale kompletną niezajomością życia. Jest najzupeł-

niej oczywiste, że oficer ten nie powinien być nigdy więcej brany pod uwagę jako dziennikarz.

Strzelanie z pistoletu oficerskiego wykonał na niedostatecznie. Natomiast egzamin z regulaminów i musztry zdał na więcej niż dobrze”.

Tę ostatnią notę zawdzięczam temu, że będąc ósmym oficerem wchodzącym na egzamin byłem pierwszym, który w prognozie trzasnął obcasami i zameldował się, czym podniosłem ocenę o jeden.

Wspomnienia regulaminów łączą się w mojej pamięci ze wspomnieniami kasyn i stołówek oficerskich. Jedzenie było obfite, ale jak na mój żołądek zbyt tłuste i monotonnie ostre. Przepis WSPÓŁCZESNEJ KUCHNI POLSKIEJ na żeberka PO KAPITAŃSKU i 15 innych potraw PO KAPITAŃSKU lub OFICERSKU nie skłania do rewizji tej opinii. Prawdziwe zainteresowanie budzi natomiast 31 potraw PO GENERALSKU. Sądziłem najpierw, że marchew PO GENERALSKU jest może tylko nazwą mającą ozdobić, upiększyć dzieło. Chwilami wyrażałem brak tu pomysłu, jak nazwać jeszcze jedną potrawę. W latach 1982-1983, przeglądając odmłodzoną *Politykę*, że nie wspomnę już o innych piśmiokach, zdałem sobie sprawę z czegoś, co nigdy nie przychodziło do głowy czytelnikom Kraszewskiego, Sienkiewicza, braci Brandysów: jak trudno jest pisać po polsku. „Rulon z boczu po obywatelsku” wydaje się świadectwem umęczonej wyobraźni. Przykładem kancelaryjnej polszczyzny jest zalecenie, by „morele wypestkować”, a z jabłek usunąć „gniazda nasienne”. Jakby wyjęta z dyskursu między zastępcą kierownika do spraw ekonomicznych stołówki i inspektorem NIK-u jest „surówka z czarnych jagód”, pod którą to nazwą kryje się coś dobrego znanego polskim dzieciom, co jeszcze u Marii Dąbrowskiej nazywało się jagodami ze śmietaną. Niektóre potrawy nazywane są raczej bezwstydnie, gdy wziąć po uwagę ich zawartość. Oto golonka po staropolsku — 5 dkg koncentratu pomidorowego, indyk po kaszelańsku — 4 dkg koncentratu pomidorowego, bigos staropolski — 4 dkg koncentratu pomidorowego. Trzeba w takich wypadkach cierpliwie i spokojnie powtarzać, że w Polsce w czasach Zygmunta Starego nie było ani PRON-u, ani koncentratu pomidorowego, a nawet pomidorów nie jadano.

Porównane z innymi przepisami potrawy PO GENERALSKU stanowią jednak odrębną klasę potraw. Zaczniemy od zupy, zupy pomidorowej. Do zupy pomidorowej zaleca się w tej książce użycie 60 dkg pomidorów, do zupy pomidorowej PO GENERALSKU kilograma, że nie wspomnę już o włoskich orzechach. Wydana w tym samym 1983 roku w nakładzie o połowę mniejszym i w cenie czterokrotnie niższej książeczka OBIADY U KOŃCZYŃSKICH doradza 40 dkg pomidorów bądź 3/4 puszki soku pomidorowego albo 3 łyżki koncentratu.

Korlet schabowy PO GENERALSKU: 50-60 dkg schabu,

2 dkg grzybów suszonych... zaczyna przypominać tradycję ŚNIADANIA W OBOZIE JERMAKA NA SYBERII. Śniadanie to, urządzone około roku 1906 w restauracji Jelisiejewa w Moskwie, opisał Włodzimierz Gilarowski w książce wydanej po polsku w „Czytelniku” pod tytułem MOJE MIASTO. Śniadanie składało się z dwóch dań: barszczu i pierogów z kawiozem. Dla dwunastu biorących w nim udział właścicieli kopalń srebra na Syberii przygotowano 3.000 pierogów.

Pominę marchew PO GENERALSKU: 60 dkg marchewki (przy wszystkich innych potrawach z m. autor mówi o marchwi, tu głos mu się zmienia i mamy marchewkę), 25 dkg jabłek, 100 ml białego wytrawnego wina... sok z cytryny oraz skórkę cytrynową i pomarańczową do smaku, by zatrzymać się przy potrawie, jak można by przypuszczać, najprostszej: kaszy mannej.

KASZA MANNA PO GENERALSKU

20 dkg kaszy manny	200 g
około 400 ml mleka	405 g
50 ml likieru Maraschino	55 g
jajo	65 g
30 dkg bananów	300 g
2 żółtka	80 g
10 dkg cukru pudru	100 g
150 ml śmietanki kremowej	180 g
3 dkg cukru pudru do śmietanki	30 g, co czyni 1.415 g.

Jest kwestia, czy kasza manna, w której kasza manna stanowi 1/7 wagi i około 1/30 ceny, jest jeszcze kaszą manną. W języku, w którym PZPR jest POLSKĄ ZJEDNOCZONĄ PARTIĄ ROBOTNICZĄ, kasza manna PO GENERALSKU jest kaszą manną.

Wspomniana na wstępie Lucyna Cwierzakiewiczowa czyniła swych czytelników spadkobiercami tradycji. Sprawiała, że każdy u siebie mógł się poczuć jak we dworze. We wstępie do każdej z jej książek powtarza się zdanie, które się zawsze bierze pod uwagę i o którym się chętnie zapomina w myślach i rozmowach: „Stosownie do potrzeb i środków przepisy moje można także praktykować proporcjonalnie, w połowie, w czwartej a choćby nawet i w ósmej części”. Tak więc czyniła nas równymi w godności, zróżnicowanymi co do posiadanych środków. Autorka ta umiała połączyć przywiązanie do dawnych wzorów ze zrozumieniem zachodzących w społeczeństwie przemian demokratyzacyjnych. WSPÓŁCZESNA KUCHNIA POLSKA propaguje tendencje akurat odwrotne. Ale odrzuca mnie od niej nie tyle ideologia, co żalosne wykonanie. Wspomniałem już 3 potrawy z koncentratem pomidorowym. Jest ich tu 88. Do 105 potraw instrukcja nakazuje dodawać ketchup. Muszą go zawierać niemal wszyst-

kie dania PO GENERALSKU, kończąc na jajach sadzonych PO GENERALSKU, a także liczne potrawy kryptogeneralskie, jak rzodkiewki po belwedersku, buraczki po belwedersku czy cebula „à la wojewoda”. Ketchup ma być dodawany do łososia, pstrąga, szczupaka, węgorza, raków, bażanta, kurcząt, gęsi, perliczki, szczypiorku ze śliwkami. Ketchup bywa na ogół łączony z rodzynkami. By przyrządzić opisane 105 potraw, trzeba by użyć 7 kg 94 dkg ketchupu. Owa monotonia sprawia, że ani razu nie przerwałem lektury z racji zaostrego apetytu; zdarzyło mi się to podczas obcowania z książkami kucharskimi po raz pierwszy. Jedyńszą rzeczą — być może — godną w niej uwagi jest kisiel po redaktor-sku z rodzynkami moczonymi w koniaku.

Ketchupem wreszcie mają być „skropione szparagi à la Radziwiłł”. Pomówienie Radziwiłłów, że szparagi jadali z ketchupem było zapewne najdrobniejszą z niegodziwości uczynionych w Polsce w roku 1983.

Wśród bibliofilów polskich znane jest pojęcie książki kucharskiej faszerowanej, o czym słyszałem od pana Juliusza W. Gomułckiego. W wieku XIX, gdy mnożyły się rewizje po domach, Polki wkładały lub wklejały do swoich książek kucharskich pewne papiery: odpisy wierszy poety A.M., listy z zagranicy, teksty pieśni patriotycznych. Obok nich wklejały także nowe przepisy: na *roti à la Fanny Elssler*, na tort Dobosz. WSPÓŁCZESNA KUCHNIA POLSKA, duża i nieatrakcyjna, mogła służyć w latach osiemdziesiątych jako schowek osobom posiadającym podobne papiery w umiarkowanej ilości. Z chwilą gdy te papiery zmieniają swój status prawny, owa zaleta WSPÓŁCZESNEJ KUCHNI traci wszelkie znaczenie.

Andrzej DOBOSZ

Polski Berlin

Nakładem Senatu Berlina Zachodniego ukazało się opracowanie przygotowane przez Grzegorza Ziętkiewicza „Polacy w Berlinie — historia i dzień dzisiejszy”*. Adresowana jest głównie do czytelnika niemieckiego, jednakże zawiera też szereg informacji ważnych dla każdego, kto z Polski przybywa do tego otoczonego murem miasta, a chce się zorientować w kształcie osiadłej tu polskiej emigracji. Broszura wydana została w dwóch językach, jest bardzo dobrze ilustrowana.

Do niedawna jeszcze, do początku lat osiemdziesiątych, Berlin na mapie polskiego wychodźstwa był w zasadzie białą plamą. Wynikało to z faktu,

* Grzegorz Ziętkiewicz, *Polen in Berlin — Polacy w Berlinie*, redakcja John Röhe, Die Ausländerbeauftragte des Senats, Berlin, Dezember 1988, str. 58, ilustr.

że osadnictwo Polaków w Niemczech po drugiej wojnie światowej było stosunkowo nieliczne, rzadko kraj ten był dla naszych rodaków krajem azylowym — przeciwdziałały temu opory psychiczne i to zarówno w kraju, jak na Zachodzie: pozostanie w Niemczech (poza tak wyjątkowymi wypadkami, jak emigracja „wolnoeuropejska” w Monachium) nie uzyskiwało w zasadzie społecznej aprobaty. Po roku 1980 sytuacja zmieniła się diametralnie i wiadać to szczególnie wyraźnie w Berlinie, gdzie powstały aż cztery ośrodki wydawnicze: Wydawnictwo Pogląd, *Archipelag*, Wydawnictwo Veto i ostatnio *Słowo*, pismo wydawane przez pierwszy z planowanej w Niemczech Zachodnich sieci Klubów Inteligencji Katolickiej (drugi działa w Hamburgu, przewidziane jest uruchomienie dalszych). Dwa spośród wymienionych przez Ziętkiewicza pism — *Archipelag* i *Pogląd* — należą już do historii.

Silna jest w Berlinie emigracja „solidarnościowa” — ona to właśnie uruchomiła Towarzystwo „Solidarność”, przy którym działa Wydawnictwo Pogląd (obecnie, po zaprzestaniu wydawania własnego pisma, ma się ono skupić przede wszystkim na publikacjach książek). Wśród jedenastu wymienionych przez autora polskich organizacji w Berlinie nie zmieścił się już nowopowstały Klub Polsko-Niemiecki, który rozpoczął swe prace 25 stycznia, a więc już po skierowaniu broszury do druku. Uwagę zwraca fakt obecności w tym mieście aż pięciu polskich ośrodków artystyczno-teatralnych. Są nimi Berlin Mime Company, Berliner Kunstforum, Polski Teatr Lalki i Maski, Theater Studio Nawrot oraz Transformtheater. W zestawie not biograficznych pozostających w Berlinie polskich dziennikarzy i pisarzy pominął Ziętkiewicz Jerzego Hoffmana — krytyka teatralnego i filmowego z Poznania oraz Andrzeja Stacha — poetę, tłumacza, autora opublikowanej w *Kontakcie* niezwykle interesującej historii opozycji w NRD. Brak też biogramu poety i redaktora *Archipelagu*, Andrzeja Więtkowskiego. Wśród wymienionych przez autora ośrodków masowego przekazu na uwagę zasługuje założona przez niego samego (wraz z pisarką Ewą Marią Słaską, autorką wydanej przez Instytut Literacki powieści „Dochodzenie”) niezależna polska telewizja „Magazyn Wyspa — Insel”, nadająca swe comiesięczne programy w berlińskiej sieci telewizyjnej kablowej; w chwili obecnej, między innymi ze względu na trudności finansowe, program ten został zawieszony, jednakże już wkrótce ma wznowić swą działalność. Jest to inicjatywa o tyle cenna, że Berlin stał się w chwili obecnej miejscem istniejącej inwazji przybyszów z naszego kraju jako miasto nie wymagające wizy, w którym stosunkowo łatwo można uzyskać pracę (oczywiście „na czarno”), jest też jednym z głównych ośrodków dla azylantów i ludzi przyjeżdżających jako przesiedleńcy — dla nich wszystkich tego rodzaju program telewizyjny może stać się istotnym źródłem informacji, a także jednym z ośrodków podtrzymujących więź z Polską. Według przypuszczeń, w Berlinie w okresie wakacyjnym ma przebywać w sumie ponad 60 tysięcy ludzi z Polski, a to już jest dość szeroki krąg odbiorców.

O systematycznym przyroście liczby Polaków w tym mieście świadczą następujące dane: w roku 1979 zarejestrowano tu 3.544 naszych rodaków, w roku 1982 liczba ta wzrosła do 8.500, zaś dane na rok 1987 mówią o 14.203 Polakach zamieszkałych tu na stałe. Dane te oczywiście nie biorą pod uwagę przesiedleńców, którzy przez statystyki zaliczani są do społeczności niemieckiej, choć, rzecz jasna, olbrzymia większość z nich nie potrafi się nawet dobrze po niemiecku wyśłowić, zaś wielu w ten lub inny sposób wiąże się z ośrodkami polskiego wychodźstwa.

Broszurę otwiera zwarty zarys historii Polski oraz przegląd wydarzeń najnowszych zawarty w podrzdziale „Polska w dniu dzisiejszym — permanentny kryzys”. Interesujące jest opracowanie historii obecności Polaków w Berlinie rozpoczęte od XIX stulecia, a zakończone danymi na temat działalności polskiego podziemia w tym mieście w latach 1939-1945.

Nadesłane nowości wydawnicze

- REICHER (Edward).** *W ostrym świetle dnia. Dziennik żydowskiego lekarza 1939-1945.* Str. 157 i 3 nlb. (Wyd. Libra Books, Londyn 1989).
- KRALL (Hanna).** *Wiktor Kulerski — Witold Kulerski — Wiktor Kulerski, kandydat na posła do Sejmu, Solidarność-Grudziądz, 1989.* (Przedruk z *Trudności z wstawaniem*, wyd. „Pokolenie”, Warszawa 1988, wyd. Villa d'Este, Paryż, maj 1989).
- Dar Polski Białorusinom, Rosjanom i Ukraincom na Tysiąclecie ich Chrztu Świętego.** Praca zbiorowa pod redakcją Kazimierza Podlaskiego we współpracy z Andrzejem Drwicem i Janem Jarco. Str. 279 i 9 nlb. (Wyd. Polonia, Londyn 1989).
- PAWŁAK (Grażyna).** *Polityka w ujęciu cybernetycznym. Materiał na spotkanie dyskusyjne w dn. 14 stycznia 1989.* Str. 26. (Wyd. Koloński Klub Dyskusyjny im. J. Mackiewicza, Ewa Dynus-Folek Verlag, Kolonia, maj 1989).
- HENNELOWA (Józefa).** *U nas w rodzinie.* Str. 387 i 5 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1989, cena zł 1200).
- KOZIELECKI (Józef).** *Intelektualiści — miejsce na ziemi.* Str. 109 i 3 nlb. (Wyd. Wszelchnica PAN, Ossolineum, 1989, cena zł 310).
- MŁOSZ (Czesław).** *Metafizyczna pauza.* Wybór, opracowanie i wstęp Joanny Gromek. Str. 202 i 2 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1989, cena zł 800).
- KORCZAK (Jerzy).** *Cóżś ty za pani... O walkach armii „Poznań” 1-19 września 1939 roku.* Str. 526 i 2 nlb. (Wyd. Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1989, cena zł 1200).
- WIERZCHOWSKA (Wiesława).** *Sąd nieocenzurowany, czyli 23 wywiady z krytykami sztuki.* Str. 314. (Wyd. „Film i Literatura” z pomocą Komitetu Kultury Niezależnej, Łódź 1989).
- ZIÓLKOWSKA (Aleksandra).** *Kanadyjski senator.* Str. 159 i 25 nlb. (Wyd. Wydawnictwo Polonia, Warszawa 1989, cena zł 550).
- JASTRUN (Tomasz).** *Węzeł polski. Wiersze stare i nowe.* Str. 107 i 1 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1988, cena zł 350).
- Jeden drugiego brzemiona noście. III pielgrzymka Jana Pawła II do ojczyzny. Gdynia — Gdańsk.* Str. 463 i 1 nlb. (Wyd. Kuria Biskupia Gdańska, Gdańsk-Oliwa 1988).
- FISZMAN (Samuel, opr.).** *The Polish Renaissance in its European Context.* Str. 478 i 4 nlb. (Wyd. Indiana University Press, Bloomington and Indianapolis 1988).
- BROWN (J. F.).** *Poland Since Martial Law.* Str. 32 i 2 nlb. (Wyd. Rand Corporation, Santa Monica, USA, December 1988).
- Language Bridges, rok 1, nr. 1.* Polsko-angielski kwartalnik literacki. Str. 36. (Wyd. Languages Bridges, Richardson, Texas, USA).
- UGGLA (Andrzej Nils).** *Adam Mickiewicz in Sweden.* (Nadbitka z *Kung. Vitterhets Historie och Antikvitets Akademiens Konferens* 19, str. 23-35).
- HERLING-GRUZIŃSKI (Gustaw).** *Journal écrit la nuit. Traduit du polonais par Therese Douchy.* Str. 397 i 5 nlb. (Wyd. l'Arpenteur, Paryż 1989, cena F. 135).
- MICKIEWICZ (Adam).** *Grażyna.* Tłumacz nie podany. Str. 60. (Wyd. Lohengrin-Verlag, Rendsburg 1989).
- LUBIENSKI (Stefan), POPP (Oskar A.), WAGNER (Arfst), KÜHNE (Walter).** *Die polnische Volksseele und die Anthroposophie.* Str. 62. (Wyd. Lohengrin-Verlag, Rendsburg 1989).

KRAJ — BLOK WSCHODNI

2-4-89

Rada Funduszu Inicjatyw Prasowych NSZZ „S” na posiedzeniach 3. III i 2. IV przyznała dotacje i kredyty następującym pismom, wydawnictwom i grupom (wszystkie kwoty w tys. zł): „Albo” (Gdańsk) — 250; „Antyk” (Lublin) — 1.500; „Brulion” (Kraków) — 150; „Dementi” (Wrocław) — 1.500; „Dzwonek” (Bielsko Biała) — 280; „Głos Śląsko-Dąbrowski” — 1.200; „Grupy Oporu ‘S’” (Warszawa) — 3.350; „Hutnik” (Nowa Huta) — 250; Inicjatywa Wydawnicza KWK „Morcinek” — 300; „Jesteśmy” (Górny Śląsk) — 400; „Kukuryku” (Warszawa) — 200; „Lewitacja” (Bielsko Biała) — 600; Małopolskie Wydawnictwo Prasowe — 10.500; „Oś” (Jastrzębie) — 1.200; „Promieniści” (Kraków) — 750; Ruch Młodzieży Niezależnej (Dolny Śląsk) — 1.500; „Solidarność Nauczycielska” (Lublin) — 200; „SMIS” (Stalowa Wola) — 850; „Słowo” (Kraków) — 255; Studencka Agencja Informacyjna (Kraków) — 285; „Sumienie” (Wrocław) — 100; „Tot Art” (Gdańsk) — 400; Towarzystwo Kursów Społecznych (Wrocław) — 150; „Tumult” (Kraków) — 250; Wipek (Wrocław) — 250. — Środki finansowe (w ogromnej większości dotacje) przyznaliśmy przede wszystkim na sprzęt oraz usługi dziennikarskie (warsztaty, agencje), poligraficzne i kolportażowe, a także na dofinansowanie bieżące pism i wydawnictw, zwłaszcza młodzieżowych, kulturalnych i takich, które nie są bezpośrednio związane ze strukturami „S” i nie mogą liczyć na ich stałą pomoc. Kilka wniosków, wcześniej przyjętych, odrzuciliśmy dowiedziawszy się o zmianie planów redakcji w nowej sytuacji politycznej. Zachowujemy rezerwę 3 mln zł na ewentualne reklamacje i odwołania (w terminie do 1. V). Opóźnienie w ogłoszeniu decyzji wynikało z konieczności uzupełniania danych we wnioskach.

29-4-89

Sąd Najwyższy PRL oddalił rewizję nadzwyczajną Rzecznika Praw Obywatelskich w sprawie rent dewizowych. Renty dewizowe będą nadal wypłacane w złotychkach, po kursie oficjalnym.

5-5-89

W 1991 roku ma zostać zorganizowana wielka, pierwsza po drugiej wojnie światowej wystawa malarstwa tworzona przez Polaków za granicą.

7-5-89

P. Andrzej Zięba w *Przeglądzie Tygodniowym* podaje interesujące zestawienie, który z 96-ciu wybitnych Polaków ma poświęcone swojej pamięci pomniki, popiersia etc. Marszałek Rokossowski ma 10 szkół swego imienia i 3 tysiące portretów; na jego temat napisano 9 książek. Generał Karol Świerczewski ma 353 szkoły swojego imienia — wyprzedza on Tadeusza Kościuszkę (313), Mikołaja Kopernika (285), Janka Krasickiego (181), Stanisława Staszica (158). Kościuszkę ma 25 pomników, gen. Świerczewski zaś tylko 20. Jeśli idzie o tablice pamiątkowe, to po dwie mają: Kowalski Aleksander, Sikorski Władysław, Kopernik Mikołaj, Daszyński Ignacy. Romuald Traugutt nie posiada ani pomnika ani tablicy, a tylko jest 38 szkół jego imienia.

12-5-89

Gazeta Robotnicza zamieściła wywiad z dr. Nikołajem Iwanowem z Uniwersytetu Wrocławskiego, zajmującym się problemem Polaków w Związku Sowieckim. Podaje on m.in. że „blisko 300 historyków zajmuje się Po-

lonią w Europie i w Ameryce; Polonią radziecką — 2-3. Znamy małe parafie w Paragwaju, Kanadzie i w USA, a o wielomilionowej rzeszy Polaków w Związku Radzieckim niewiele wiemy... Zawsze były przeszkody natury politycznej — do tej pory. A poza tym — finansowe. Co innego zajmować się Polakami w Stanach Zjednoczonych, a co innego Polakami w Kazachstanie... — nie dostaje się diet w twardej walucie. Do Kazachstanu pojedą tylko naukowcy maniacy”.

18-5-89

Według oświadczenia rzecznika prasowego MON w najbliższym czasie zacznie się wycofywanie jednostek sowieckich, stacjonujących w PRL. W pierwszym rządzie odejdzie szkolny pułk czołgów oraz jednostka samochodowa, następnie szkolny pułk przeciwlotniczy, samodzielną pułk śmigłowców oraz samodzielną brygadę desantową. ■ Oświadczenie wydawców na XXXIV Międzynarodowych Targach Książki w Warszawie: „My, polscy wydawcy z kraju i emigracji, z pierwszego i drugiego obiegu, zgodnie określamy warunki normalnego funkcjonowania ruchu wydawniczego: — konfrontacje w kulturze nie mogą nigdy przybierać formy policyjnych represji; — konfiskaty książek, sprzętu poligraficznego i samochodów powinny być natychmiast wstrzymane, a zabrane mienie powinno być zwrócone właścicielom; — przedmioty kultury są dobrem całego narodu i żadne prawo nie może pozbawić obywateli tych dóbr, powinno natomiast karać zawłaszczających je; — nadzieję budować można na prawie: zniesieniu cenzury prewencyjnej, zniesieniu zakazu przywozu i wywozu książek z Polski, zniesieniu wszelkich — także RSW „Prasa” — monopoli produkcji, zaopatrzenia i kolportażu wszystkich książek”.

21-5-89

Zmarł w Warszawie w wieku 79 lat Marian Buczkowski Ruth, pisarz, żołnierz AK, filolog i socjolog, autor szeregu powieści i przekładów.

27-5-89

P. Barbara Johnson przekazała milion dolarów na konto Fundacji Solidarności Robotniczej, założonej przez Lecha Wałęsę, który w 1987 roku przekazał na tenże cel milion dolarów, przyznanych „Solidarności” przez Kongres Stanów Zjednoczonych. Decyzja ta została podjęta bez konsultowania „Solidarności”. W ub. roku Kongres Stanów Zjednoczonych przyznał Fundacji drugi milion dolarów. Jak dotąd nie zostało ogłoszone sprawozdanie z działalności tego Funduszu, natomiast jest zaskakujące, że Fundusz nie udzielił żadnej pomocy organizacji S.O.S. Solidarność w Paryżu prowadzonej przez dr Alinę Margolis-Edelman, która z największym poświęceniem zajmuje się pomocą dzieciom z Kraju (m.in. dzieciom członków „Solidarności”, które wymagają leczenia specjalistycznego na Zachodzie). S.O.S. „Solidarność” korzysta jedynie z ofiar emigracji polskiej, coraz bardziej malejącej.

3-6-89

Zmarł w Rzeszowie w wieku 85 lat ksiądz dr Stanisław Bełch, kapelan PSZ (1940), współzałożyciel PKSU Veritas (1945), redaktor polskiego wydania „Sumy Teologicznej” św. Tomasza z Akwinu.

ZACHÓD — EMIGRACJA

15-4-89

Na walnym zebraniu S.P.K. w Paryżu wybrano nowy zarząd w osobach: prezes — prof. Tadeusz Domański, sekretarz — Krzysztof Rutkowski.

28-4-89

Zmarł w Los Angeles, CA (USA) w wieku 79 lat Leonidas Dudarew Osse-tyński. Był aktorem, reżyserem, kolekcjonerem książek i obrazów oraz propagatorem kultury polskiej w Ameryce. Był również przedstawicielem Kultury.

5-5-89

Znana fundacja amerykańska Endowment for Democracy przyznała Jackowi Kurońowi Nagrodę Demokracji. W czasie swego pobytu w Stanach Jacek Kuroń apelował, by wszystkie pomoce dla opozycji były kierowane wyłącznie do Lecha Wałęsy. Udzielanie pomocy organizacjom opozycyjnym, które nie uznają działalności Lecha Wałęsy, uważa za rzecz szkodliwą i naruszającą uzyskaną równowagę polityczną. ■ Odbyło się w Londynie posiedzenie głównej komisji Skarbu Narodowego, gdzie przedstawiono sprawozdanie finansowe za rok 1988. Wpływy wyniosły 115.802 funty. Jest to spadek w porównaniu z rokiem ubiegłym o 4.737. Rząd RP na Wygnaniu otrzymał 81.061. Jeśli idzie o Fundusz Pomocy Krajowi, to w roku sprawozdawczym wpłynęło 5.282. Jest to wielki spadek w porównaniu z rokiem 1987, kiedy wpłynęło 16.125.

23-5-89

Ukonstytuowała się nowa Rada Polskiego Towarzystwa Historyczno-Literackiego (podajemy w porządku alfabetycznym): Andrzej Ciechanowiecki; Prof. Tadeusz Domański; Prof. Andrzej Folkierski (prezes T.H.-L.); Ksiądz Prałat Witold Kiedrowski; Anna Łucka; Marc de Montfort (zastępca wiceprezesa T.H.-L.); Zdzisław Najder; Wiridiana Rey; Bolesław Szpięga; Leszek Talko (wiceprezes T.H.-L.); Władysław Tarnowski (skarbnik T.H.-L.); Jerzy Ursyn Niemcewicz; Marie-Thérèse Vido Rzewuska (sekretarz generalny T.H.-L.); Elżbieta Zamojska.

29-5-89

Zmarła w Paryżu Anna Winczakiewiczowa, pisarka, autorka książki pt. „Przeżyłam”, poświęconej gettu i Powstaniu Warszawskiemu.

31-5-89

Ukonstytuował się nowy zarząd Zjednoczenia Polskiego w Wielkiej Brytanii. Prezsem został Artur Rynkiewicz, wiceprezesami: ks. prałat Stanisław Świerczyński, Szymon Zaremba, Czesław Zychowicz, zaś sekretarzem Kazimierz Przedmojski.

2-6-89

W Paryżu odbyło się międzynarodowe kolokwium na temat „La liberté de l'esprit et la condition humaine en Europe” z udziałem m.in. Hélène Carrère d'Encausse, François Fejtö, Marka Haltera, Jacques Rupnika, Aleksandra Smolara, Alain Touraine i Vladimira Volkoffa.

7-6-89

Zmarła tragicznie w Paryżu w wieku 46 lat Barbara Askanas, historyk sztuki, kustosz Muzeum Sztuki Nowoczesnej Paryża, komisarz wystawy „Kultura i jej krag”.

15-6-89

Staraniem Stowarzyszenia Polskiego w Genewie odbył się w Genewie odczyt profesora Jerzego Wojciechowskiego pt. „Światowe znaczenie 'Solidarności'”.

23-6-89

La Wheatland Foundation de New York zorganizowała swoją trzecią doroczną konferencję na temat literatury w Budapeszcie. Konferencja będzie poświęcona literaturze węgierskiej i środkowoeuropejskiej oraz literaturze anglosaskiej w Afryce, Izraelu, Indii i świecie arabskim. W konferencji wezmą udział m.in. Czesław Miłosz i Adam Michnik.

WYPOWIEDZI LECHA WAŁĘSY

Lech Wałęsa w Bydgoszczy: „Mówicie o Janku Rulewskim? Tam, gdzie będą demokratyczne wybory — proszę — wybierzcie Rulewskiego, ale wiedzieć, że tam, gdzie ja będę miał wybór, nie ma dla niego miejsca. Bo kiedy potrzebowałem pomocy, kiedy byłem słaby, on nie pomógł mi. On mnie zdradził!”. (*Polityka*, nr 22 (1674) z 3 czerwca 1989 r.). ■ Dnia 4 maja 1989 r. na konferencji prasowej L. Wałęsa potępił organizatorów niezależnych manifestacji, stwierdzając że „mamy filmy, mamy zdjęcia i jeśli nawet ukryliby się, znajdziemy ich i naród ich powiesi”. Podkreślił kilka-krotnie, że nie należy organizować manifestacji niezależnych, jeśli istnieje możliwość różnych uzgodnień z komunistami (*Solidarność Walcząca*, oddział trójmiasta, Roman Zwiercan, Andrzej Więczar). ■ ...i na Zachodzie, i my jesteśmy przekonani, że choć nadal w Polsce władzę sprawują komuniści, to u steru są dziś zupełnie inni ludzie; ludzie, którzy też chcą. Kapitałiści tylko wtedy nam pomogą, kiedy w Polsce będzie spokój i porządek. Oni muszą być przekonani, że zainwestowanego w Polsce dolara nikt im nie spali. Strajki teraz do niczego dobrego nie prowadzą. Zdają sobie sprawę, że w Polsce jest jeszcze tysiąc trudnych spraw do rozwiązania. Ale robimy wszystko po kolei — najpierw się zorganizujemy, wybierzemy mądrych ludzi do Sejmu i Senatu, pamiętając, że po stronie koalicyjno-rządowej też kandydują ludzie z głową, odpowiedzialni i mądrzy. Dopiero później w spo-koju będziemy rozwiązywać wszystkie nasze sprawy. (Wiec wyborczy „Solidarności” w Raclawicach, PAP). ■ „Chcę powiedzieć Państwu z Gorzowa, że życzyłbym sobie, aby w Senacie była Pani Stefania Hejmanowska i Stanisław Żytkowski, a w Sejmie — dr Włodzimierz Mokry, Stanisław Bożek i Marek Rusakiewicz. Oczywiście jest to moja wielka prośba. Chciałbym, żeby wobec tych problemów, które mamy, była uwzględniona. W przyszłości postaram się bardziej z Wami konsultować i bardziej to robić ładniej, kulturalnie. Dzisiaj już nie mam czasu na to wszystko, więc proszę Was, zatwierdźcie moją propozycję”.

LIST DO WYBORCÓW W SPRAWIE MNIEJSZOŚCI NARODOWYCH I WYZNANIOWYCH

W Polsce żyją z nami Ukraińcy i Białorusini, mniejsze grupy Litwinów, Żydów, Słowaków, Niemców, Czechów, Ormian, Tatarów, prawosławni i grekokatolicy oraz chrześcijanie wywodzący się z Reformacji. To nasza niezwykle ważna i piękna spuścizna po dawnej Rzeczypospolitej wielu narodów. W momencie budzenia się znów nadziei narodowych powinniśmy odrodzić tradycję tolerancji i szacunku w imię wspólnej przeszłości, ale i przyszłości.

Ci ludzie, którzy żyją wśród nas, Polaków, najczęściej z dziada pradziada, dźwigają takie same ciężary. Mają podobne do naszych lęki i nadzieje. Z tym tylko, że im dochodzą specyficzne zmartwienia: o zachowanie w polskim otoczeniu własnej tożsamości religijnej i narodowej, o swoją kulturę, szkoły i świątynie. O swoją godność bez „przebierania się” za Polaków, o wychowanie dla własnej nacji i Kościołów swoich dzieci.

Pamiętajmy o tych naszych bliźnich i współobywatelach szczególnie w obecnej kampanii wyborczej. Nawet w najbardziej zaciętych jej zapasach. Znajdźmy i uszanujmy miejsca tej kampanii, w których mogliby oni wziąć godnie należny im udział. To nasz obowiązek ludzki, moralny, tak dobitnie przypomniany ostatnio światu specjalnym słowem Ojca Świętego o praktycznym poszanowaniu dla mniejszości narodowych. To również nasz obowiązek polityczny, czysto polski: mamy miliony rodaków, po części za naszymi obecnymi granicami, którzy żyją na prawach mniejszości i dla których domagamy się przecież poszanowania ich tożsamości i godziwych warunków publicznego życia.

Było w naszej wspólnej historii wiele konfliktów i wzajemnych krzywd. Żyją one niestety do dzisiaj. Nie pozwólmy jednak, by wzięły te uczucia i „racje” górę nad pojednaniem — w tak ważnej chwili. Nie pozwólmy też nikomu na tym grać!

W Polsce nie ma okręgu bez mniej czy bardziej licznych współobywateli innej narodowości czy wiary. Nasi kandydaci powinni poświęcić im oraz ich sprawom należną uwagę. I to nie tylko w kandydackich obietnicach, lecz i w waszej późniejszej parlamentarnej już pracy!

Będzie jednym z ważniejszych sprawdzianów rzeczywistych kwalifikacji naszych senatorów i posłów — umiejętne, uczciwe i ludzkie zapoczątkowanie w Polsce okresu zamykania rachunków wzajemnych win i krzywd i otwierania okresu nowego, na miarę wymogów bliższego III Tysiąclecia po Chrystusie, godziwego współżycia nad Wisłą obywateli wszelkich narodowości, kultur i wiar.

(—) Lech WAŁĘSA

Warszawa, dn. 27 kwietnia 1989 r.

O MNIEJSZOŚCI UKRAIŃSKIEJ W POLSCE

W powojennych spisach nie pytano o narodowość. Wszystko opiera się więc na szacunkach. Ocenia się, że Ukraińców w PRL jest 300-700 tys., najczęściej podawana jest pierwsza liczba. Sprawę komplikuje fakt istnienia Łemków, przez jednych uważanych za Ukraińców, przez nich samych różnie

(Łemko-Polak, Łemko-Ukrainiec, Łemko-Łemko, przedstawiciel czwartego narodu wschodnio-słowiańskiego). Po przesiedleniach w ramach akcji „Wisła” wielu Łemków znalazło się w tych samych miejscach, co zdeklarowani Ukraińcy, byli tak samo traktowani, więc u wielu z nich wytworzyła się ukraińska świadomość narodowa. Oficjalne Ukraińskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne nieprzychylnym okiem patrzy na separatyzm łemkowski; w kwietniu 1989 roku (bodajże w Koszalinie lub Słupsku) zarejestrowano towarzystwo Łemków w Polsce (nazwy nie jesteśmy pewni).

W trwającej od 15 października 1944 do 5 lipca 1946 roku akcji dobrowolnych przesiedleń (które nie zawsze były w pełni dobrowolne) do Ukraińskiej SSR wyjechało 498 tys. ludzi. Część z nich powróciła do Polski po 1956 roku jako repatrianci (ze zrozumiałych powodów nie wiadomo, jak wielu ich było). W ramach prowadzonej przez Wojsko Polskie Akcji „Wisła” (28 kwietnia - 3 lipca 1946 roku) na Ziemię Odzyskane przesiedlono 147 tys. (według danych oficjalnych) Ukraińców. Na miejscu zadbane o ich rozproszenie, na przykład mieszkańców łemkowskiej wsi Florynka rozlokowano w 30-tu wsiach.

Po 1956 roku część wysiedlonych wracała na swe dawne tereny, gdzie musiała odkupować byłe gospodarstwa od nowych właścicieli — Polaków, co często stwarzało konflikty.

W PRL istnieje jedyne oficjalne stowarzyszenie ukraińskie, pod nadzorem MSW. Jest nim powstałe na zjeździe 16-17 czerwca 1956 roku Ukraińskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne. W tym roku lub na początku 1957 roku powstały bliźniacze towarzystwa białoruskie, litewskie i niemieckie. Działacze i członkowie tego ostatniego rychło jednak wyjechali do Niemiec Zachodnich, jednak towarzystwa (z siedzibą w Wałbrzychu) nigdy oficjalnie nie zlikwidowano. Co jakiś czas niektórych z działaczy UTSK oskarżano o agenturalne powiązania z emigracją ukraińską na Zachodzie.

Towarzystwo ma mniej niż 10 tys. członków. UTSK nie mogło prowadzić działalności gospodarczej. Jego organem jest tygodnik *Nasze Słowo*, zawierający co miesiąc dodatek *Nasza Kultura*. Przez długie lata nakład *Naszego Słowa* to 8 tys. egzemplarzy. Po wyrażonej w 1988 roku zgodzie na prenumeratę na terenie ZSRR nakład wzrósł do 13 tys. i jest możliwość, że będzie się zwiększał nadal. UTSK wydaje także kalendarz.

Oświata

Po 1956 roku utworzono punkty nauczania języka ukraińskiego; ich liczba niestety zmniejsza się i obecnie wynosi około 50. Istnieje pełna ukraińska szkoła podstawowa w Białym Borze (rozbudowywana głównie ze składek społecznych, ma być przy niej także internat) i dogorywające klasy równoległe w podstawówce w Baniach Mazurskich. W Legionicy jest pełne liceum z ukraińskim językiem nauczania, zaś w Górowie Iławieckim w liceum są klasy równoległe. W latach siedemdziesiątych istniały jeszcze klasy równoległe w liceach w Złotorzy i Przemysłu oraz w liceum pedagogicznym w Bartoszycach.

Na Uniwersytecie Warszawskim, w ramach Wydziału Ruscystyki i Lingwistyki Stosowanej jest Katedra Ukrainistyki z pięcioma pracownikami i około 50 studentami (głównie dziewczęta). Na tym samym wydziale jest jeszcze druga katedra Porównawczego Językoznawstwa Słowiańskiego z kilkorgiem pracowników prowadzących zajęcia także na ukrainistycę. W innych miastach są pojedynczy naukowcy, głównie na ruscystycę lub sławistycę, zajmujący się językiem i literaturą ukraińską. W wielu instytucjach historycznych są ludzie — w większości Polacy — zajmujący się historią Ukrainy i stosunkami polsko-ukraińskimi.

Przy Radzie Naczelnej Zrzeszenia Studentów Polskich istnieje Rada Kultury Studentów Mniejszości Narodowych, wydająca nieperiodyczne pismo *Zustriczi (Spotkania)*. Dotychczas wyszło 14 numerów ukraińskojęzycznych i jeden zeszyt (o mocno zwiększonej objętości) zawierający polskie tłumaczenia ważniejszych tekstów z numerów ukraińskich.

Jak dotąd nie powstał nawet Komitet Założycielski Związku Studentów Ukraińskich w Polsce. Białorusini mają już od połowy 1988 roku (zarejestrowane w grudniu 1988 roku) Białoruskie Zrzeszenie Studentów.

Sprawy wyznaniowe

Ukraińcy są katolikami (w obrządku wschodnim, grekokatolickim) i prawosławnymi; są także protestanci, Świadkowie Jehowy itp. *Gros* jednak to katolicy, w PRL bowiem znalazły się tereny Galicji, w której to wyznanie miało zdecydowaną przewagę. Przed 1939 rokiem prawosławie było najsilniejsze na Wołyniu i Polesiu, części Podlasia i Chełmszczyzny, z których większość nie znalazła się w granicach PRL. W 1939 roku grekokatolicka diecezja przemyska (bo zajmujemy się głównie Ukraińcami w PRL) miała 45 dekanatów, 577 parafii, 740 duchownych i 1.159.380 wiernych, zaś Administracja Apostolska Łemkowszczyzny w 1936 roku — 9 dekanatów, 111 parafii, 120 księży i 127.305 wiernych.

Obecnie, w wyniku przesiedleń, strat wojennych, polonizacji i latynizacji oraz obstrukcji władz, w PRL są dwa wikariaty z czterema dekanatami i 82 placówkami duszpasterskimi (nie wszystkie są parafiami). Jest 59 księży (w tym 6 dwuobrzędkowców), z tego 12 należy do zakonu bazylianów, a trzech — do trzech innych zakonów. Dwóch księży urodziło się przed rokiem 1900, siedmiu — przed 1910, 8 — przed 1920. W 1983 roku 23 kleryków świeckich obrządku grekokatolickiego kształciło się w seminarium w Lublinie, kilku kleryków bazylianów — w seminarium w Warszawie.

Z mandatu Stolicy Apostolskiej zwierzchność biskupią nad grekokatolikami sprawują prymasi. Od roku 1984 do Polski przyjeżdżał kilkakrotnie sekretarz Watykańskiej Kongregacji d/s Kościołów Wschodnich, arcybiskup Mirosław Marusyn. W trakcie wizytacji poszczególnych ośrodków sprawował niektóre z funkcji biskupa.

Brak biskupa utrudnia bardzo życie kościelne. Władze, które początkowo (lata 40-te — 50-te) zakazywały nabożeństw w obrządku grekokatolickim, stopniowo zezwalały na nie (choć z wielkimi oporami). W 1981 roku zdjęto zapis cenzorski na używanie nazwy „obrzędek grekokatolicki”. Ostatnio sprawę grekokatolików traktuje się jako wewnętrzny obrządek w polskim kościele katolickim. Nabożeństwa odbywają się w języku staro-cerkiewnosłowiańskim, w tzw. wymowie ukraińskiej („h” zamiast „g”, brak „akanja”, czyli rosyjskiego przejścia „o” w „a”), niektóre modlitwy jak „Ojciec nasz” i „Wierzę w Boga”, we współczesnym języku ukraińskim, podobnie jak kazania i większość pieśni.

Od 1987 roku wydawany jest *Kalendarz cerkiewny* (w 1988 roku wyszedł on w nakładzie 1.300 egzemplarzy). Trwają przygotowania do wydawania nieperiodycznego (choć zaplanowanego jako kwartalnik) *Naukowego Zbiornika*, czyli *Pisma Naukowego*.

Zakony żeńskie mają: bazylianki (6 domów, 22 siostry), służebniczki Niepokalanej Panny Marii (12 domów, 81 siostr) i józefitki (7 domów, 40 siostr).

Co roku odbywają się pielgrzymki młodzieży i starszych na Jasną Górę. W dniach 10-11 września 1988 roku na Jasnej Górze odbyły się uroczystości ku czci 1000-lecia chrztu Rusi. Mszę świętą celebrował i innym nabożeństwem przewodniczył zwierzchnik ukraińskiej Cerkwi katolickiej, kardynał

Lubacziwskij z Rzymu oraz kilku biskupów ukraińskich z całego świata. Uczestniczyło w tych uroczystościach trzech polskich kardynałów i kilku nastu biskupów.

Ukraińska Cerkiew katolicka oficjalnie nie istnieje od 1946 roku, gdy to 8-10 marca we Lwowie odbył się, zorganizowany przez NKWD, tzw. „sobór”, na którym zgłoszono wstąpienie grekokatolików do Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej. W tym samym czasie odbywał się proces aresztowanych przez NKWD biskupów lwowskich, stanisławowskich i wizytatora grekokatolików na Wołyniu. Biskupów diecezji przemyskiej, znajdującej się na terenie Polski, aresztowano 27 czerwca 1946 roku (wraz z częścią kapituły) i wydano władzom radzieckim.

Obecnie w ZSRR istnieje grekokatolicyzm w „katakumbach”. Podobno jest sześciu biskupów, z których dwóch się ujawniło.

W dniu 14 czerwca 1987 roku warszawski klasztor bazyliński odwiedził Ojciec Święty Jan Paweł II.

Grekokatolicy podają, że jest ich w Polsce ponad 200.000.

Prawosławni Ukraińcy mają diecezję nowosądecko-sanocką (od września 1983 roku). Wielu mieszka w pozostałych diecezjach prawosławnych. Danych ilościowych nie udało się ustalić. Nabożeństwa są odprawiane także w języku staro-cerkiewno-słowiańskim, ale często jest to redakcja rosyjska.

Postulaty ukraińskie

1. Ustanowienie biskupa grekokatolickiego i zwrot przejętego po likwidacji Cerkwi majątku. Znajduje się on zarówno w rękach państwa, jak i Kościoła rzymskokatolickiego. Duże nadzieje wiąże Ukraińcy z ustawą o stosunku państwa do Kościoła i konwencją polsko-watykańską.
2. Liceum ukraińskie w centrum kulturalnym PRL, w Warszawie (miałoby mieć internat, bowiem w Warszawie nie ma tylu Ukraińców).
3. Poszerzenie nauki języka ukraińskiego w istniejących szkołach i ustanowienie nowych.
4. Ukraińskie wydawnictwo książkowe i ułatwienia w sprzedaży książek z ZSRR i z Zachodu.
5. Niesprawnianie trudności w organizacji imprez kulturalnych i folklorystycznych.

ZESPÓŁ PROMOCJI WYBORCZEJ
KOMITETU OBYWATELSKIEGO „SOLIDARNOŚĆ”
Tel.: 635-54-96 — Telex: 817764 sol pl.

KRONIKA AUSTRALIJSKA I NOWOZELANDZKA

Polcul Foundation (fundacja popierania niezależnej kultury polskiej) założona w Sydney w roku 1980, na kilka miesięcy przed powstaniem Solidarności, jest chyba jedyną tego rodzaju polską fundacją na emigracji. Celem fundacji jest wyróżnianie indywidualnych osób w Polsce, czynnie zaangażowanych w rozwój niezależnej kultury polskiej (w dziedzinie nauki, literatury, sztuki i innych) lub w ruch praw człowieka i obywatela (niezależne związki zawodowe, niezależne związki rolników, studentów i innych). Dla zaakcentowania przyjaźni i współpracy wyróżniane są z krajów sąsiadujących

ych z Polską lub związanych z nią wspólnym losem osoby szczególnie zasłużone dla rozwoju kultury niezależnej w tych krajach. Dyrektorami fundacji są: Jerzy Boniecki — specjalista w dziedzinie urządzeń przemysłowych (Sydney), Krzysztof Nadolski — adwokat (Sydney), Jan Pakulski — socjolog, wykładowca na uniwersytecie w Hobart, Wojciech Zagała — informatyk (Melbourne) oraz dyrektor honorowy Jan Dunin-Karwicki — wydawca i redaktor *Wiadomości Polskich* w Sydney. Dochody fundacji składają się z odsetków od zainwestowanego kapitału, rocznych składek-dotacji oraz darów i zapisów. W dotychczasowym okresie (niepełnych 10 lat) nagrodzonych zostało 500 osób po 500 amerykańskich dolarów, tj. ogółem wydano na nagrody ćwierć miliona dolarów amerykańskich. O nagrodach fundacji decyduje komisja sędziowska, w skład której wchodzi, obok dwóch dyrektorów fundacji (J. Boniecki i J. Pakulski) następujące osoby z różnych krajów: Stanisław Barańczak (USA), Mirosław Chojecki (Francja), Jerzy Giedroyc (Francja), Gustaw Herling-Grudziński (Włochy), Jan Nowak (USA), Eugeniusz Smolar (Wielka Brytania), Jakub Świącicki (Szwecja).

■ W australijskim roku finansowym 1987/1988 rząd australijski ustalił kwotę imigracyjną na 121 tysięcy osób. W okresie wymienionego roku finansowego ponad milion osób czyniło starania o imigrację do Australii. ■ Profesor Anna Wierzbicka, specjalistka języków słowiańskich, uważana za jednego z dziesięciu żyjących najwybitniejszych językoznawców na świecie, otrzymała nominację na katedrę lingwistyki na Australijskim Uniwersytecie Narodowym w Canberze. Mężem prof. Wierzbickiej jest Australijczyk John Besemeres, który był jednym z założycieli i kilkuletnim kierownikiem Studium Języka Polskiego na Uniwersytecie Macquarie w Sydney. ■ Australia jest krajem o licznej najnowszej imigracji polskiej. W latach osiemdziesiątych przybyło tu około 25 tys. Polaków. Obecnie przybywa na stałe (głównie w ramach łączenia rodzin) około tysiąca osób rocznie bezpośrednio z Polski. Od niedawna rozpoczął się napływ Polaków z Europy, po kilkuletnim pobycie (głównie w Niemczech Zachodnich, państwach skandynawskich i Francji). Z tej kategorii polskich emigrantów przybywa do Australii rocznie około 3 tysięcy, co stanowi w proporcji do około 160-tysięcznej polskiej grupy etnicznej pokaźną liczbę. Polonia australijska jest chyba jedyną, w której wpływ stale przybywających polskich emigrantów (poczynając od 1956 roku) zaznacza się zupełnie wyraźnie. Inaczej jest na przykład w Wielkiej Brytanii, gdzie napływ polskich emigrantów jest bardzo mały, co może stanowić poważny problem dla przyszłości Polonii brytyjskiej. ■ Jak wynika z informacji uzyskanych od polskich firm wysyłkowych w Australii, wartość indywidualnych paczek i bonów dolarowych wysyłanych do Polski przekracza obecnie 12 milionów dolarów australijskich rocznie, a więc na jedną osobę z polskiej grupy etnicznej wypada ponad 75 dolarów. Zakres tej pomocy (nie licząc zorganizowanej akcji pomocy krajowej) wysuwa na czoło w tej dziedzinie australijską Polonię. ■ Kolejny XX Zjazd Delegatów Kół Stowarzyszenia Polskich Kombatantów w Australii, reprezentujący około 1.200 członków w 13 kołach, wybrał nowy krajowy zarząd, ponownie z prezesem Jerzym Misiakiem. Zjazd uchwalił deklarację ideową, w której „wyraża poparcie dla wszystkich polskich ośrodków i organizacji niepodległościowych w świecie i kraju. Szczególne poparcie wyrażamy dla Prezydenta RP Kazimierza Sabbata i Rządu RP na uchodźstwie, reprezentujących dążenie narodu do wolności i stojących na czele największego i najbardziej aktywnego ośrodka emigracji ideowej”. ■ W Canberze, stolicy Australii, odbył się XXIII Zjazd Delegatów Rady Naczelnej Polskich Organizacji w Australii. Nowo wybrane prezydium z prezesem Krzysztofem Łańcuckim (po raz szósty) reprezentuje przekrój wszystkich pokoleń i obejmuje przedstawicieli zarówno dawnej emigracji, jak i popaździernikowej i najnowszej. W uchwalach komisji ideologicznej zjazdu podane zostało: „W akcji niepodległościowej uznajemy przewodnictwo legalnego rządu polskiego na uchodź-

stwie z Prezydentem Rzeczypospolitej na czele. Organizacje wchodzące w skład Rady Naczelnej dążyć będą do przywrócenia Polsce całkowitej wolności i niepodległości, do której Polska ma pełne historyczne prawo! XXIII Zjazd Rady Naczelnej przypomniał o nadal obowiązującej deklaracji ideologicznej, uchwalonej na jednym z poprzednich zjazdów, w której podkreśla się: „Dążymy do utrzymania wspólnego frontu niepodległościowego z wolnymi i niezależnymi społeczeństwami narodów środkowo-wschodniej Europy. Jednym z naszych celów jest, by po odzyskaniu wolności utworzyć z tymi narodami taką strukturę polityczną, która by zabezpieczała nam wspólne utrzymanie niezależnego bytu politycznego i gospodarczego”. ■ Na ogólną liczbę około 200 organizacji 160-tysięcznej australijskiej Polonii ponad 80% należy do Rady Naczelnej Polskich Organizacji w Australii. ■ W okresie ostatniego czterdziestolecia polskie piśmiennictwo w Australii (pomijając prace naukowe i specjalistyczne) reprezentuje ponad 40 autorów blisko setki książek. W dotychczasowym dorobku literackim zwraca uwagę brak literatury powieściowej. Zaledwie cztery pozycje zaliczyć można do tego rodzaju piśmiennictwa. Przeważa zdecydowanie literatura wspomnieniowa. W dorobku pisarzy polonijnych zwraca uwagę duża liczba prac w języku angielskim. ■ W Brisbane, stolicy stanu Queensland, odbył się czwarty Festiwal Polskiej Kultury i Sztuki pod egidą Rady Naczelnej Polskich Organizacji w Australii. W festiwalu wzięło udział blisko siedemset osób, prezentując szeroki przekrój życia artystycznego i kulturalnego australijskiej Polonii. Olbryzią większością stanowiła młodzież urodzona w Australii. ■ Z inicjatywy Fundacji Studiów Polskich w Sydney, wspierającej Sekcję Polską na Uniwersytecie Macquarie (około 80 studentów), przygotowuje się utworzenie Centrum Studiów Polskich przy tymże uniwersytecie. Pierwszym i najbardziej realnym celem centrum, jak podaje biuletyn fundacji, byłaby działalność naukowa, wydawnicza i konsultacyjna na terenie Australii w kontekście spraw Polonii australijskiej. W połączeniu z dydaktyczną i naukową działalnością Sekcji Polskiej osiągnięte byłoby z drugiej strony spopularyzowanie kultury i historii Polski, z drugiej podniesienie prestiżu i wpływu środowiska polskiego w społeczno-kulturalno-politycznym życiu Australii. W ten sposób, nie rezygnując z dotychczas wypracowanych sposobów działania, Sekcja Polska rozszerzyłaby swoją działalność, stając się jednocześnie centrum niezależnej kultury polskiej w Australii. ■ W tym roku przypada 25-lecie działalności Komisji Oświatowej Polonii Australijskiej, której siedzibą jest od 15 lat Sydney. Komisja ta, wchodząca w skład Rady Naczelnej P.O.w.A., zrzesza obecnie około 130 nauczycieli w 36 szkołach i około 2.200 dzieci. ■ Staraniem sydneyjskiej Fundacji Armii Krajowej otwarto w budynku Klubu Polskiego w Ashfield (Sydney) małe Muzeum Wojska Polskiego. Zarząd muzeum nie ogranicza się do zbierania pamiątek wojskowych, lecz kompletuje także dokumentację dotyczącą wybitnych działaczy australijskiej Polonii. ■ Duży zbiór poloników i biblioteka w języku polskim, licząca 22 tysiące tytułów, znajdują się na Australijskim Uniwersytecie Narodowym w Canberze. Również Fundacja Studiów Polskich na sydneyjskim Uniwersytecie Macquarie powiększa swoje archiwum i bibliotekę w języku polskim. ■ Ostatnio ukazały się książki autorów polskich, osiadłych w Australii: Marka Baterowicza „Dama z jamnikiem” (poezje), wydawnictwo Akapit, Sydney; Anny Wiciak-Suchnickiej „Drewniane motyle”, wspomnienia (wojna, wygnanie, osiedlenie), wydane przez londyński Veritas; Stanisława Zochowskiego (jego siódma z kolei książka) „Unia Brzeska w Polsce XVIII wieku”, monografia ks. Cypriana Zochowskiego, metropolity całej Rusi i arcybiskupa połockiego (1635-1693), wydana przez londyńską Poets and Painters Press; Pawła Kopetza „Ciemna jest noc i inne opowiadania”, wydane przez Halrod Press w Melbourne; Krzysztofa Michalaka „Z bumerangiem dookoła świata” (reportaże z czterech kontynentów, dwudziestu trzech krajów, wiele fotografii), wydane w Chicago, drukowane

przez Chemigraph. ■ Kapitał Polskiego Funduszu Dobroczynnego w Nowej Zelandii wzrósł ostatnio do sumy ponad 40 tysięcy nowozelandzkich dolarów. W ubiegłym roku fundusz ten udzielił pomocy finansowej (stypendia studenckie, duszpasterstwo) na sumę około 5 tys. dolarów. ■ Prezesem Stowarzyszenia Polaków w Nowej Zelandii (liczącej ponad 3 miliony ludności) jest obecnie Stanisław Dąbrowski, z młodszego pokolenia, urodzony i wychowany w tym kraju. Stowarzyszenie jest centralną organizacją trzy i pół tysięcznej nowozelandzkiej Polonii, działa głównie w stolicy Wellington, ale posiada oddziały w innych skupiskach Polaków na obu głównych wyspach Nowej Zelandii. Stowarzyszenie, które w ubiegłym roku obchodziło 40-lecie istnienia, stoi na stanowisku zdecydowanie niepodległościowym. Prowadzi działalność zmierzającą do utrzymania języka polskiego i szczenia kultury polskiej poprzez szkoły sobotnie oraz urządzanie imprez kulturalnych i okolicznościowych obchodów.

Jerzy GROTKWAŚNIEWSKI

Melbourne, maj 1989 r.

NOWOŚCI WYDAWNICZE

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 443 —

WITOLD DOWOYNA SYLWESTROWICZ

LISTY NIEWYSLANE

Dziennik z okresu wojny: wrzesień 1939 - kwiecień 1945, napisany przez oficera lotnictwa, który brał udział w kampanii wrześniowej oraz w działaniach bojowych na terenie Francji i Anglii. Od wybuchu wojny do jej zakończenia prowadził *Dziennik* w formie nigdy nie wysłanych listów do żony.

Cena F. 70,00.

Str. 160.

TOM 444 — MAREK NOWAKOWSKI

KARNAWAŁ I POST

Nowy zbiór utworów Marka Nowakowskiego zawiera opowiadania: Karnawał i post; Elegia o umarłym świecie; Pan Julian Wołoszynowski; Folwark zwierzęcy Gogola; O „Wyroku na Franciszka Kłosa”; Pod gwiazdami; Żydowski hrabia; Historia pewnej przyjaźni; Imperatyw; Przystoiga; „Jubileuszowa”; „Kamieniolomy”; Sierota Euro-py; Śmierć; Fabuła.

Str. 192.

Cena F. 85,00.

Bierzemy lekcję demokracji i nie wolno nam oblać wstępnego egzaminu. Dotyczy to wszystkich bez wyjątku. Jak na razie koalicja rządowa zachowuje się godnie, nasza czołówka natomiast robi wrażenie, jakby żałowała, że sukces okazał się tak wielki. Dość żałosne, dość komiczne, dość głupie.

Nie nawołuję do twardej linii w rozmowach z władzą, bo jestem miękki i tolerancyjny, a nade wszystko — nie zwariowałem i wiem, gdzie żyję. Ale nawołuję do umiaru w okazywaniu współczucia. Polityka to nie jest flirt, lecz sztuka wykorzystywania istniejącej możliwości.

Ustalenia okrągłego stołu są ważne, ale nie są Pismem Świętym. Ludzie, którzy obradowali tam przez dwa miesiące mieli dużo dobrej woli, lecz byli ograniczeni ówczesną sytuacją w kraju. I jedni, i drudzy. Ci negocjatorzy nie są żadnymi suwerenami. Suwerenem jest naród, który przecież coś ważnego powiedział 4 czerwca.

Trzeba dochować wierności zasadom okrągłego stołu, to jest kwestia uczciwości, ale trzeba także słuchać głosu Polski. Nie wyobrażam sobie sytuacji, w której wszyscy negocjatorzy będą się kurczowo trzymali blatu jednego stołu, nawet tak szacownego — i nie zwracali uwagi na stan rzeczy po 4 czerwca.

Trzeba się w nowej sytuacji dogadywać do nowych rozwiązań. Rozumnie, spokojnie, szanując realia polskie, ale z pokorą wobec tych milionów ludzi, którzy całkiem wyraźnie okazali swoją wolę w akcie wyborczym. Obie strony uczynią rzecz bardzo głupią i bardzo ryzykowną, jeśli zlekceważą społeczeństwo i tak będą interpretować wyniki wyborów, żeby koniecznie pasowały do ustaleń stołu. Stół to był przełom, wielki impuls w kierunku zmiany. A teraz życie toczy się dalej. I trzeba za życiem nadążać.

Andrzej SZCZYPIORSKI

Gazeta wyborcza z 10 czerwca 1989.

Z ostatniej chwili

Z „Gazety wyborczej”

Eleganckie zapewnienia przywódców „Solidarności” w sprawie listy krajowej nie zmieniają faktu, że naród jednych wybrał, a drugich nie. Sytuacja jest trudna. W krajach demokratycznych nastąpiłaby zmiana rządu. U nas podobne obyczaje nie istnieją od dziesiątków lat, musimy szukać rozwiązań bardziej umiarkowanych. Ale nie mogą być one sprzeczne z wolą większości narodu. Naród wypowiedział się jasno, jednym udzielił mandatu zaufania, innym nie udzielił.

Nic gorszego, jak udawanie, że są u nas dwie jednakowo uprawnione orientacje. To nie takie proste: jedna orientacja wygrała, ale nie ma aparatu władzy, a druga przegrała, lecz wciąż ma aparat władzy. Triumfalizm z naszej strony byłby świadectwem niedojrzałości, lekceważenie woli wyborców byłoby końcem naszego ruchu, brak realizmu w obliczu sytuacji byłby kretynizmem politycznym.

Ludzie głosowali przeciwko historii, przeciwko systemowi, który Polacy odrzucają. Głosowanie miało na pewno w części charakter plebiscytarny, ale nie wolno kwestionować faktu, że naród jednych wybrał, a innych nie wybrał. Zapewnienia Geremka i Onyszkiewicza w kwestii listy krajowej świadczą o elegancji i dobrej woli, ale zbyt wiele takiego Wersalu może się okazać nadużyciem zaufania milionów ludzi.

Ostatecznie władza zdecydowała się na takie wybory, Rakowski i Ciosek to nie są małe dzieci, partia świadomie podjęła polityczne ryzyko. Za to należy się jej uznanie, ale jest jak jest. Sytuacja zaczyna być komiczna, kiedy widzę w TV pogodnego premiera i szalenie zafrasowanego Onyszkiewicza.

Rzecznik rządu zadaje dramatyczne, lecz retoryczne pytanie: — „Jeśli nie reformatorzy, to kto?”. Przecież odpowiedź jest znana. Będziemy wspierali reformatorów z koalicji rządowej. Ale nie potrafię wyobrazić sobie sytuacji, w której będziemy się układali, jak gdyby nic się w kraju nie stało. Bo stało się!



ARKADY

— ARKADY

Polnische Kunst-u. Buchhandlung
Księgarnia & Galeria Polska

2000 Hamburg 36, Alsterarkaden 10,
tel. 346047

prowadzimy sprzedaż wysyłkową,
katalogi wysyłamy bezpłatnie.

Listy do Redakcji

Szanowny Panie Redaktorze, Paryż, 21 maja 1989.

Wygląda na to, że i ja chcę się „załapać” na ogólnej fali ujawniania się, tym bardziej, że akurat tutaj we Francji nie mi za to nie grozi. Jakkolwiek będzie to oceniane, chodzi mi o wyjaśnienie pewnych faktów, żeby nie rodziły się nowe białe plamki. Rzecz dotyczy krakowskiego miesięcznika członków i sympatyków „Solidarności”, noszącego tytuł *Bez Dekretu*. Jego pierwszy numer ukazał się w listopadzie 1984 roku, pomysł zaś zrodził się latem tegoż roku. Założycielami pisma byli — wydawca *Observatora Wojennego* (nazwiska nie ujawniam, bo osoba ta jest w kraju i sama o sobie zdecyduje), Jacek Marchewczyk — działacz „Solidarności”, członek Komisji Krajowej, przebywający obecnie w Paryżu i ja — siła dziennikarska — też w Paryżu. Nie zapominając również o całej wielkiej otoczce pisma. Od drukarzy i kolporterów poczynając (oddanych do granic dziś już niewyobrażalnych), a na autorach, często używających pseudonimów, kończąc. Dzisiaj w *Bez Dekretu* tych nazwisk czy pseudonimów już nie ma. I chyba w tym miejscu powinien im wszystkim podziękować, bo do tej pory nie zdążyłam tego zrobić.

Pismo w założeniu miało być miesięcznikiem z wszystkimi uwarunkowaniami z tego wynikającymi. Otwarte było na wszelkie rozgorączkowane pomysły, nie tylko zresztą polityczne. Cieszyło się, oceniając skromnie, dużą popularnością wśród czytelników. Resztę oceni historia. Po przygotowaniu pierwszego numeru *Bez Dekretu* przypadek zdarzył, że spotkałam Macieja Prusa — poetę, który wrócił po bodaj trzech latach pobytu we Francji i współpracy z *Kontaktem*. „Wciągnęłam” go do miesięcznika. On pociągnął za sobą swojego przyjaciela Radka Nowaka, który, podobnie jak on, wrócił z Paryża. Potem Radek siedział w więzieniu, a później zginął tragicznie. Byłam tzw. redaktor naczelną tego pisma, którego do mojego wyjazdu do Francji ukazało się 16 numerów (to był 13 lipca 1986). Numer siedemnasty był niemal w całości przygotowany do druku. Pismo zostało w rękach Macieja Prusa, a ja, co dość naturalne, zostałam jego przedstawicielką na Zachodzie. Niemniej cykl wydawniczy zaczął się szalenie wydłużać, więc i o pomoc stąd było coraz trudniej. Wreszcie wyjechał i Maciej Prus, przekazując pismo w ręce zespołu, który robi je dzisiaj. *Bez Dekretu* po tej zmianie zmieniło zupełnie formę dziennikarską. Stało się w najlepszym wypadku półrocznikiem. Różni się też merytorycznie, autorsko, graficznie etc. Poza tym nowa redakcja odcięła się ode mnie w sposób mało kulturalny i dziennikarsko nieetyczny. Po prostu zaocznie pozbawiono mnie przedstawicielstwa. Przejął je przebywający w tym samym mieście, w którym i ja, Bogusław Sonik — przynajmniej do czasu pisania tego listu nie odcinający się od znajomości i koleżeństwa ze mną. On też nie uznał za stosowne, żeby mnie o tym fakcie poinformować. W normalnych warunkach cała ta sprawa kwalifikowałaby się do dziennikarskiego sądu koleżeńskiego.

Poza tym jednak istnieje chyba coś takiego jak minimum przyzwoitości. I jeżeli robi się coś innego (o czym wyżej), to zmienia się tytuł, daje się swój własny, a nie podszywa pod cudzy dorobek. I to do tego stopnia, że obecni redaktorzy, odcinając się definitywnie i personalnie, kontynuują

nawet felietony Konrada Strugi, który zawsze był czymś na kształt grafomanii odmalowującej „grafomanię” rzeczywistości. Był moim dzieciątkiem nieznośnym, a teraz stał się dostojny, napuszony i o niczym.

Oczywiście życzę redaktorom pomyślności, ale niekoniecznie pod moim szyldem, którego tak nie lubią.

Z braterskim pozdrowieniem

Maria de HERNANDEZ-PALUCH
(Konrad Struga)

Marsylia, 12 czerwca 1989.

Wielcy Szanowny Panie Redaktorze,

W niezmiernie interesującym szkicu Czesława Miłosza o Józefie Mackiewiczu w jubileuszowym, 500 zeszytce *Kultury* zauważyłem na str. 115 drobną nieścisłość. Ponieważ artykuł ten, jak wszystko, co napisał i napisałem nazw znakomity pisarz i poeta, zostanie kiedyś przedrukowany w jego pismach zbiorowych, warto tę drobnostkę sprostować. Autor pisze o *wypukłych szklach osoby krótkowzrocznej*. Otóż, jeśli osoba ta była istotnie *krótkowzroczna*, to nosiła szklki *wklęsłe*, jeśli zaś używała rzeczywiście szkieł *wypukłych*, to musiała być *dalekowzroczna*.

Łączę wyrazy wysokiego poważania

Józef HURWIC

Monachium, 19 maja 1989.

Szanowny Panie Redaktorze!

W majowym numerze *Kultury* znajduję (str. 169-172) skargę p. Kazimierza Zamorskiego na skrócenie przez rozgłośnie polską Radia Wolna Europa napisanego przez niego nekrologu naszego dawnego Kolegi, śp. Ignacego Klibańskiego. Przyczyna była prosta. P. Zamorski pisał głównie o sobie, zamiast o Zmarłym. Nie sądziliśmy więc, by było rzeczą stosowną nadawanie takiego tekstu.

Łączę wyrazy szacunku

Marek ŁATYŃSKI
Dyrektor Rozgłośni Polskiej
Radia Wolna Europa

Sztokholm, 10 maja 1989.

Szanowny Panie,

W moim liście na temat Niezależnego Stypendium Studentom Akademii Artystycznych w Polsce, który był Pan uprzejmy zamieścić w numerze 1-2/1989 *Kultury*, udało mi się popełnić aż dwa zasadnicze błędy. Wyżej wymienione stypendium nosi nazwę NIEZALEŻNE STYPENDIUM STUDENTOM AKADEMII ARTYSTYCZNYCH W POLSCE, a nie Niezależne Stypendium dla Studentów Szkół Artystycznych w Polsce, jak napisałem w liście. Pieniądze zaś organizatorzy proszą wpłacać wyłącznie na postgiro nr 85 46 47 — 5, a nie na podane przeze mnie omyłkowo konto Solidarności w Svenska Handelsbanken.

Uprzejmie proszę o zamieszczenie tego istotnego sprostowania.

Z poważaniem

Marek MICHAŁSKI

P.S. Inicjatorem i organizatorem tego stypendium jest Bronisław Ścibor.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze, Brwinów, 13 maja 1989.

W numerze 1-2 *Kultury* z 1989 roku pan Stanisław Nowicki opublikował artykuł „Tajemnica Stawiska”. Znalazło się w nim kilka nieścisłości, które chciałbym sprostować. Czuję się do tego upoważniony, ponieważ w latach 1984-1986 pracowałem w muzeum na Stawisku i byłem obecny podczas pierwszej wizyty pana Nowickiego, o ile pamiętam, wczesną jesienią 1985 roku.

Autor „Tajemnicy Stawiska” przede wszystkim ma pretensję do pracowników muzeum o to, że nie udostępnił mu „Dziennika” Jarosława Iwaszkiewicza i widzi w tym skomplikowaną intrygę. Nie demonizujemy. Po prostu wtedy, gdy pan Nowicki odwiedzał muzeum, „Dziennik”, podobnie jak większość korespondencji Iwaszkiewicza, nie był jeszcze „przejęty”, to znaczy znajdował się pod opieką Szymona Piotrowskiego. Tak samo rzecz się miała z większą częścią domu. Gdy muzeum zaczęło się organizować, na początku 1985 roku, miało do dyspozycji jeden pokój i część piwnicy. Powoli (oczywiście zbyt powoli, ale z przyczyn od nas niezależnych) wchodziliśmy w posiadanie kolejnych książek, kolejnych teczek z rękopisami. Część biblioteki (około 10 tysięcy woluminów), przechowywaną w piwnicy, trzeba było inwentaryzować i odsyłać do profilaktycznego odgrzybiania. Korespondencja, wycinki i inne materiały archiwalne, które otrzymywaliśmy w pierwszej kolejności, były na ogół nieuporządkowane. Trzeba było to zrobić. Musieliśmy też dostosować pomieszczenia do nowych funkcji, zapewniając odpowiednie warunki dla przechowywania druków i rękopisów. Rozpoczęliśmy kwerendy w innych muzeach i bibliotekach, zorganizowaliśmy kilka wystaw. Zajmowaliśmy się więc w tym czasie czymś więcej niż tylko „śledzeniem lotu muchy”.

Wracając do sprawy „Dziennika”, powtarzam nie znaleźliśmy go wówczas, nie byliśmy nawet pewni, czy znajduje się na Stawisku, choć ze spisu zrobionego po śmierci Iwaszkiewicza wynikało, że powinien tam być. W końcu „Dziennik” został przejęty w 1987 roku. Trudno więc przypuszczać że dyrektor czytał go potajemnie.

Pan Nowicki, rzeczywiście namówiony przez nas, poszedł do Szymona Piotrowskiego, który dał mu do wglądu maszynopis „Dziennika” z okresu okupacji, będący, jak się zdaje, jego własnością. Było to dla nas prawdziwym zaskoczeniem. Nie wiedziliśmy o istnieniu tej wersji, przygotowanej do druku w pierwszych latach po wojnie. Natomiast, o ile sobie przypominam, krótkie charakterystyki pisarzy okresu dwudziestolecia czytał pan Nowicki już nie u Szymona Piotrowskiego, lecz w muzeum, gdzie rzeczywiście znajduje się taki maszynopis.

Wyjaśniam to tak drobiazgowo, by rozwiać plotki o jakichś niewydanach, a ukrywanych lub nie wiadomo gdzie wędrujących tekstach. Pan Nowicki mówi, że „istnieją niepublikowane jeszcze tomy 'Książki moich wspomnień'” i także ma pretensję, że mu ich nie pokazano. Jest to informacja nieścisła. Iwaszkiewicz planował napisanie drugiego tomu „Książki moich wspomnień”, ale pracę tę zarzucił. Pozostały dwa fragmenty, z których jeden wydrukowała niedawno „Kronika Warszawy”.

Wśród rozmaitych plotek, krążących wokół osoby Iwaszkiewicza i jego domu są takie, na które można jedynie machnąć ręką, ale są i takie, których słucha się z prawdziwą przykrością, dotyczą bowiem sfery prywatności ludzi żyjących. Problem polega na tym, że nie można ich prostować, bo obrona, próbując obalić kłamstwa, musiałaby do nich nawiązywać, a więc powtarzać je, raniąc ludzi, których dotyczą. Zresztą dla publiczności, żadnej sensacji,

nieistotne są już argumenty prawdy. Niestety, tego rodzaju plotki znalazły się również w artykule „Tajemnica Stawiska”.

Stanisław Nowicki wspomina o swoim młodzieńczym artykule, w którym nawoływał do „wymierzania niesprawiedliwości widzialnemu światu”. W swojej „Tajemnicy Stawiska” spełnił ten postulat.

Z wyrazami szacunku i poważania

Piotr MITZNER

17 maja 1989.

NIE TYLKO SPRAWA JĘZYKA

Do napisania tego tekstu zmusił mnie wczorajszy dziennik w RWE. Usłyszałem: „W Krakowie odbyła się demonstracja antyradziecka”. WiP żądał wyjścia wojsk radzieckich z Polski... W drugiej części nie jest to cytaty dosłowny, w pierwszej jest. Dziś w dzienniku RWE o 8-mej powtórzono te sformułowania, nie było to więc przejęcie. A więc co? Jaka MYŚL za tym stoi? Nie wiem, czego naprawdę chcieli chłopcy z WiP-u, ale jeśli rzeczywiście tego, co Państwo podali, to były to żądania sensowne — i nie ANTYRADZIECKIE! Żądania neutralności Polski też nie należy traktować jako antyradzieckiego, lecz obecnie, w stanie zapaści ekonomicznej, jako jedną z niewielu dróg ratunku gospodarki Polski. Przyszywanie etykietek „antyradzieckich” do wszystkich żądań wolnościowych i pro-polskich jest specjalnością Urbana i *Trybuny Ludu*, dlaczego ten język używany jest w RWE? Obecnie TV specjalizuje się w masochistycznym, lecz celowym pokazywaniu hasła na murach typu: „Precz z komuną!” lub „Komuniści to chuje” (dosłownie!). Cel jest chyba taki: „Zobaczcie, daliśmy im swobodę, oto poziom ich argumentów”. Gdyby nawet ktoś mało zrównoważony krzyczał np., że wszyscy Sowietci to świnię i mordercy (a to byłyby chyba naprawdę hasła antyradzieckie), to nie wchodziż w ocenę merytoryczną ich prawdziwości, należałoby (z naszej strony w każdym razie) je wyciszyć. Również dlatego, by nie drażnić niedźwiedzia, gdy nie jest to naprawdę konieczne.

W czasie (i po) rzezi w Gruzji słyszałem: „Minister spraw zagranicznych ZSRR, Edward Szewardnadze, wyraził przekonanie, że sytuacja w Gruzji wraca do normy”. (16 kwietnia, godz. 10-ta). W następnym wydaniu mówiono: „oświadczył...”. Dalej: „Dodatkowo, że zakłady przemysłowe pracują normalnie”. „W Tbilisi ulegają złagodzeniu środki bezpieczeństwa...” (17 kwietnia, godz. 16-ta). „Sytuacja powraca do normy” (*sic!*). Boże, ten język znamy dobrze, wiemy, co on znaczy. Dla nas znaczy pogardę dla prawdy, chęć sflasznienia społeczeństwa. Wy używacie go na serio! Po co? W tym okresie brak było w RWE jakiegokolwiek informacji niezależnych, nie tak już trudnych do zdobycia w 1989 roku (choćby przez telefon!). Boicie się Państwo źródeł niezależnych? Szokuje nas jednak w Polsce również to, że używają Państwo języka oficjalnej propagandy, którego nawet partyjni już nie chcą słuchać.

Przejdźmy do spraw krajowych. Podaję zdania wybrane na chybił trafił, nie dobirane: „Generał Jaruzelski zakończył wizytę robcową w Związku Radzieckim i powrócił do kraju” (29 kwietnia, godz. 17-ta). „Manifestanci obrzucili funkcjonariuszy milicji kamieniami” (4 maja, godz. 14-ta, o demonstracji 3 Maja w Warszawie). Jeśli nie jest dla Państwa ważne, w co wątpię, jakie oburzenie wywołała taka „wiadomość” z RWE w Polsce, to pomyślcie, proszę, ile przez nią stracił słuchaczy. I to Wy, którzyście dla wielu przez lata zagłuszani byli jedynym źródłem informacji wiarygodnej i komentarza zwykle sensownego.

Inne kwiatki: „Na zaproszenie szefa partii i państwa generała Jaruzelskiego” (6 maja, godz. 13-ta). I podobnie sztywno i uroczyście o „Przewodniczącym NSZZ Solidarność Lechu Wałęsę”. Czym zajmował się Lech Wałęsa w poniedziałek? „W poniedziałek 15 maja Lech Wałęsa udał się specjalnie wyczerpanym...” itp. Panowie, przecież oddajecie złą przysługę Lechowi i „Solidarności”, tak ich sztywno, oficjalnie, po PRL-owskiu traktując. Umieszczacie ten ruch dokładnie tam, gdzie go chce widzieć komuch, tj. w zhierarchizowanych (i — w domyśle — skorumpowanych) strukturach „władzy”. Taka namolna propaganda „kandydatów Lecha Wałęsy i Komitetu Obywatelskiego”, jaką ostatnio słyszymy w RWE, też raczej skłania do wyłączenia odbiornika, niż do uważnego słuchania.

Oto prawdziwa historyjka sprzed dwóch tygodni: do pokoju, w którym słucham radia, wchodzi żona. Zmęczona kolejkami, perypetiami okrągłego stołu nie zainteresowana, przygnębiona. Krzyczy: „Czemu słuchasz tych cholernych czerwonych!”. Mówię jej, że to dziennik RWE. Nie wierzy. Dopiero po chwili poznaje. Czy warto nam było dotrzeć do końca zagłuszania, by doczekać się takiego wstydu? Gdy opowiadałem o tym przyjaciółom, pokazali mi *Contre* z wymianą listów pp. Łatyńskiego i Darskiego, którą Państwo znać. Jestem z Wami związany emocjonalnie od dzieciństwa (współpracą też...), uwierzcie więc, że moje uwagi podyktowała chęć zwrócenia uwagi Państwa na realne zmiany w pracy RWE i ich niebezpieczeństwo tak dla Was, jak i dla nas.

Przytoczyłem tu jedynie przykłady ewolucji języka, nie pisząc o opowiedzeniu się rozgłośni po stronie „konstruktywnej opozycji”, jak ich przewalali komuniści. Dzieje się to przez umniejszanie znaczenia czy też ignorowanie argumentów różnych odłamów opozycji *tout court*. To byłby temat dla dłuższego artykułu.

Byliście naszą jedyną radiostacją, bo VoA ciągle nadaje na poziomie „dla tubylców Transylwanii z początku XIX wieku”, BBC jest na nasze (pewnie zdefiniowane) potrzeby „zbyt obiektywne” i planetocentryczne, a RFI (świetne!) jednak za krótkie. Tylko u nich jednak widać dystansik do konwulsji politycznych Wschodu — u Was raczej niepokój, by nie wypaść z „linii porozumienia, głoszonej przez Przewodniczącą NSZZ „Solidarność”. Rzeczywiście, mówią Państwo słowo „Przewodniczący” przez duże P! A społeczeństwo woli Argumenty niż Autorytety. Słuchające społeczeństwo „od czasów wojny” bardzo dojrzało, nie odstrasza nas go namolna propaganda. Jeśli chcecie Państwo, by Was z większym zaufaniem słuchano, nie używajcie też, proszę, tych ukutych przez komunistycznych socjotechników zlepków: „Strona opozycyjno-solidarnościowa” i „rządowo-koalicyjna”. Przecież to brednie, to wie (prawie) każde dziecko w Polsce. A te pojęcia dadzą się wyrazić w zwykłym polskim języku.

Andrzej POMORSKI

Powyzszy list był przesłany do Radia Free Europe ale nie był nadany i autor nie otrzymał żadnej odpowiedzi. List ten naszym zdaniem porusza sprawy bardzo istotne, dlatego więc go publikujemy (Red.).

Stanford, 16 maja 1989.

Szanowny Panie Redaktorze,
Ciekawy artykuł p. Pawła Lidy „Zagrożenie Kościoła katolickiego na Białorusi i Litwie” (*Kultura* nr 4/499) krytycznie ocenia działalność księży, którzy nie posługują się w swej pracy wyłącznie językiem polskim. Księża ci, twierdzi autor, cieszą się specjalnymi względami władz sowieckich, gdyż przyczyniają się do osłabienia Kościoła na naszych dawnych Kresach.

Ponieważ przed kilkoma miesiącami miałem okazję rozmawiać z dwoma księżmi wymienionymi w artykule p. Lidy, księdzem Janem Karpowiczem-Matusiewiczem z Borun oraz księdzem Władysławem Czerniawskim z Wiszniewa, chciałbym uzupełnić i sprostować pewne informacje zawarte w artykule.

Obaj księża byli niespodziewanymi gośćmi w Londynie (pozwolenie na wyjazd otrzymali w ostatniej chwili) w październiku ubiegłego roku na zorganizowanej przez tamtejszą Białoruską Misję Katolicką konferencji z okazji tysiąclecia chrześcijaństwa na Białorusi). Był to pierwszy wyjazd na Zachód dla ks. Matusiewicza i drugi dla ks. Czerniawskiego. Ponieważ ks. Czerniawski był w Rzymie w końcu lat sześćdziesiątych daje to dość chwiejną podstawę do twierdzenia, że „ks. Czerniawski od dwudziestu lat z górą może udawać się za granicę”. Sesja londyńska miała charakter zasadniczo naukowy i zgromadziła specjalistów w większości niebiałoruskiego pochodzenia. Wśród wygłaszających referaty byli i Polacy, p. Michał Giedroyc z Oxfordu („Kościół Wschodni na Białorusi 1300-1458”) i niżej podpisany („Patronat religijny księcia Mikołaja Krzysztofa 'Sierotki' Radziwiłła”).

Ksiądz Jan Karpowicz-Matusiewicz twierdzi, że jest polskiego („szlacheckiego”) pochodzenia, chociaż z rodziny w ostatnich czasach prawosławnej. Pochodzi z Mińska i uważa się za Białorusina. Przygotowanie do święceń i święcenia kapłańskie otrzymał przed kilkoma laty w Kielcach, dokąd jechał na zaproszenie prywatne. Jako proboszcz w Borunach, w dawnym powiecie oszmiańskim, posługuje się trzema językami, polskim, białoruskim i rosyjskim. Białoruski i rosyjski, którymi władza swobodniej niż polskim, jest, jak twierdzi, znacznie lepiej niż polski rozumiany przez większość młodszych parafian.

Parafia boruńska ks. Matusiewicza sąsiaduje na wschodzie z parafią wiszniewską, w dawnym powiecie wołożyńskim, gdzie od 1953 roku działa białoruski marianin, ojciec Władysław Czerniawski. Pochodzi on z Grodzieńszczyzny. Jest wychowankiem szkoły w Druji, prowadzonej przez tamtejszych białoruskich marian. Naukę przerwano w roku 1938 wysiedleniem marian przez władze polskie „z pasa przygranicznego” Czerniawski kontynuował w czasie drugiej wojny światowej w litewskim seminarium w Wilnie. Święcenia kapłańskie otrzymał w roku 1944 i przez kilka lat pracował na Litwie. Wśród kilkudziesięciu księży katolickich pracujących w obecnych granicach Białorusi sowieckiej ks. Czerniawski jest chyba jedynym zagorzałym patriotą białoruskim. Twierdzenie p. Lidy, że ks. Czerniawski „nie dostrzega idącej szeroko rusyfikacji Białorusi, widoczne w zanikaniu języka białoruskiego, widzi natomiast zagrożenie w języku polskim” nie jest zupełnie słuszne. Ks. Czerniawski podkreśla, że Kościół na Białorusi można uratować przed zalewem bezbożnego wschodniego komunizmu tylko przez wprowadzenie języka powszechnie zrozumiałego dla większości miejscowych katolików. W przekonaniu ks. Czerniawskiego tym językiem nie jest już język polski, lecz białoruski. Można sobie oczywiście życzyć, aby ks. Czerniawski bronił swoich racji z większym taktem niż na przykład w niedawno ogłoszonym w białostockiej prasie podziemnej i przedrukowanym w Londynie „Liście księdza o położeniu Kościoła katolickiego na Białorusi”, ale nie można sugerować nieszczerości jego przekonań i agenturalności poczyną. Według takich autorytetów w sprawach narodowościowych jak Leon Wasilewski, Konstanty Srokowski, Alfons Krysiński, katolików pochodzenia białoruskiego, posługujących się potocznie mową białoruską, było na Kresach RP kilkaset tysięcy. Olbrzymia większość tych katolików nie uważała się za Białorusinów. Natomiast świadomych Białorusinów katolików było chyba przynajmniej 80 tysięcy, gdyż tylu katolików zadeklarowało białoruski jako „język ojczysty” w spisie 1931 roku. Białorusini katolicy w RP mieli bardzo niewiele. W diecezji wileńskiej działało kilkunastu księży Białorusinów. Był klasztor i szkoła w Druji. Obecnie Białorusini mają tylko księdza Czerniawskiego w Wiszniewie, kościele o ciekawej tradycji, gdyż jak sam

ks. Czerniawski zwrócił mi (chyba nieprzypadkowo) uwagę, pochowano w nim największego szermierza reformacji w języku białoruskim, Szymona Budnego. Ale to tylko interesujący zbieg okoliczności. Wizja zagrożenia Kościoła, przynajmniej ze strony białoruskiej, jest nieprzekonywująca.

Łączę wyrazy szacunku

Maciej SIEKIERSKI

Lublin, w kwietniu 1989.

Szanowny Panie Redaktorze,

„... istnieje przecież sto rodzajów literatury i każdy z nich zaspokaja inny głód” (Adolf Rudnicki).

Ukazał się w księgarniach zbiorok opowiadań mojej Siostry Marii Szczepowskiej, wydany w „Czytelniku” dzięki staraniom Anny Tatarkiewicz i Klemensa Górskiego (str. 124, nakład 10.000).

Moja Siostra nie chciała być sławną — chciała być czytana, bo sama czytała dużo i chciwie do ostatnich dni przytomności. Dlatego też proszę o pomoc w dotarciu do właściwego czytelnika.

Wielu starań dołożyła, by w bibliotekach warszawskich pozbiierać okruchy twórczości naszego Brata Jerzego Szczepowskiego, o którym napisał Józef Łobodowski: „... Tylko jeden z nich, Jerzy Szczepowski, był autentycznym poetą w stadium fermentu i poszukiwania. Była to interesująca zapowiedź, wkrótce przecięta kulą sowieckiego mordercy w lasu katyńskim” (*Kultura* nr 7-8/1964). Całość Jego dorobku została skonfiskowana w nocy 13/14 kwietnia 1940 roku. W 1990 roku, w piątą rocznicę śmierci mojej Siostry i siedemdziesiątą piątą urodzin Brata, zamierzam pod patronatem Muzeum im. J. Czechowicza wydać dwa bibliofilskie jednoarkuszowe tomiki.

A od niedawna dr Elżbieta Rzewuska, mój Mąż i ja postanowiliśmy spróbować zebrać materiał do antologii twórczości tych, którzy zginęli razem z moim Bratem. Będziemy bardzo wdzięczni za informacje, rady i wskazówki.

Korespondencję prosimy kierować: Irena Szczepowska-Szychowa, Trybunalska 5 m 12, kod 20-113 Lublin.

Irena SZCZEPOWSKA-SZYCHOWA

Paryż, 10 czerwca 1989.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Przed trzydziestu laty opuścił ten padół profesor Stanisław Kościółkowski. Nie uczyniono dotychczas niczego dla uczczenia pamięci tej świetlanej postaci. Możliwości ku temu istnieją nawet w obecnych warunkach. Można by w tym celu założyć przy Bibliotece w Rapperswilu oddzielną kolekcję imienia Profesora, posiadającą własny katalog i własny *ex-libris*. Przyczyniłoby się to pośrednio do wzbogacenia Biblioteki. Przyłączając się do hołdu, posiadacze prywatnych zbiorów, nieraz cennych, które ulegają jednak często rozproszeniu, mogliby je składać do tak utworzonej kolekcji.

Proszę o przyjęcie wyrazów szczerzego szacunku

Szymon SZYSZMAN

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Czytelników nadsyłających nam swoje artykuły i utwory prosimy o pamiętanie, że Redakcja nie zwraca rękopisów nie zamówionych. Wobec nawalu pracy odpowiadać będziemy tylko w niniejszej rubryce.

R.Cz. w Kraju; A.S., RFN; T.B., Anglia; D.P., Szwecja; W.Z., Francja; J.N., USA; Z.J.D. w Kraju; K.M. w Kraju; T.G. w Kraju; E.D.-O., Holandia; K.F.K., Kanada; M.R., USA; A.A. w Kraju. — Z wierszy nie skorzystamy.

J.G. w Kraju; J.K. w Kraju; P.M. w Kraju. — Wybraliśmy kilka wierszy do druku w przyszłości.

K.K. w Kraju. — W recenzji z wyboru wierszy Ryszarda Krynickiego *Niepodlegli nicości* zbyt łatwo piętnuje Pan „zaprzędanie się artysty idei”. Co mogłoby być punktem wyjścia do rozważań o ewolucji poezji Krynickiego, staje się powierzchownym i mechanicznym podziałem na poetę „czystego” i „nieczystego” (czyli zanadto „upolitycznionego”).

M.B., Australia. — *Kultura* nie jest zainteresowana w książkowym wydaniu powieści drukowanej już w odcinkach w gazecie.

M.K., RFN. — Byłoby może prościej, i z większym dla czytelnika pożytkiem, powiedzieć wprost co się sądzi o „skazanych na emigrację”, zamiast przyszywać tę sprawę w dość ubogie piórka narracyjne. Dołączone aforyzmy są bardzo słabe.

M.D., Szwajcaria. — *Desercja* jest tekstem zupełnie bezwartościowym. Nie zwracamy manuskryptów nie zamówionych.

Polak, USA. — Nie reproduujemy w *Kulturze* plakatów.

B.S., Kanada. — Sympatyczne i banalne, tak określiłibyśmy Pana opowiadanie Ferreti.

W.C., USA. — Mało ciekawy ten amerykański *List* prostej wiejskiej kobiety z Polski, użyta w nim gwara ludowa zatłumacza sztucznością.

P.Sz. w Kraju. — Miniaturowe *Nowele polskie* robią wrażenie imitacji *Raportu o stanie wojennym* Marka Nowakowskiego.

L.F., Carlsberg (RFN). — Artykułu „Modelowanie koncepcyjne” nie zamieścimy.

E.W., woj. Rzeszów (PRL). — Pana felietonów nie zamieścimy — bardzo słabe.

J. i K., Warszawa. — *List* Panów otrzymaliśmy. Wyjaśniamy, że Radio Wolna Europa nie jest słyszalne w USA, tak zresztą jak i „Głos Ameryki”, gdyż ustawodawstwo amerykańskie traktuje słuchowiska jako propagandę przeznaczoną wyłącznie na zewnątrz. Zgadamy się, że chyba za dużo jest pracowników i przedstawicieli „Solidarności” na Zachodzie.

J.W., Izrael. — Artykułu pt. „Nes Polin” nie zamieścimy.

SPROSTOWANIE

Do artykułu „Emigracja z socjalizmu” zamieszczonego w *Kulturze* nr 4/499 (kwiecień 1989) wkraść się przykry błąd. Mianowicie zaraz na pierwszej stronie tego artykułu autorzy, Grażyna Pomian i Marek Tabin, składali podziękowanie Annie MORAWSKIEJ, a nie Morawieckiej, jak zostało wydrukowane. Za ten błąd bardzo przepraszamy. (*Redakcja*).

Dr Danuta M. Podkomorska, Winnipeg, MN (Kanada) — na dochodzenie sprawy morderstw na Suwalszczyźnie — \$ 100,00	F. 680,00
K. Skjelfos z matką, Fargelanda (Szwecja) — zamiast kwiatów na grób córki i siostry, Wandy Eweliny T., Seattle, USA — na społeczne stowarzyszenie na rzecz zniesienia kary śmierci w Polsce — Krs 122,00	F. 120,00
Dr Zygmunt Stankiewicz, Sztokholm — z okazji 500-go numeru Kultury z serdecznymi gratulacjami dla P.T.Redakcji — Krs 200,00	F. 195,00
Maria Wal, Brooklyn, NY (USA) — na walkę z Polską Zjednoczoną Partią Robotniczą w Polsce — \$ 50,00	F. 340,00

Dla uczczenia pamięci Tadeusza Andrzejczaka, w drugą rocznicę Jego śmierci, przekazuje A.M., Perth, W.A., Australia:	
— na pomoc dla walczących w Kraju — \$ A 300,00	F. 1.488,00
— na pomoc dla przesładowanych — \$ A 300,00	F. 1.488,00
— na Fundusz Drukarski im. Głowackiego — \$ A 150,00	F. 744,00
— na Fundusz „Kultury”, po raz 14-ty — \$ A 100,00	F. 496,00

Edmund Ludwik Stamborg, San Jose, CA (USA) przekazuje na:	
— Fundusz Drukarski im. Wł. Głowackiego — \$ 20,00	F. 134,00
— KPN — \$ 20,00	F. 134,00
— Fundusz Interwencyjny — \$ 40,00	F. 268,00
— „Solidarność Walcząca” — \$ 20,00	F. 134,00
— Fundusz „Kultury” — \$ 20,00	F. 134,00

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Commission Paritaire N° 60789.

Dépôt légal: 3^e trimestre 1989.

Imprimé en France.

N° d'imprimeur 9759.

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte - Telefon: (1) 39-62-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA

	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
Ceny na rok 1988			
AFRYKA POLUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
ARGENTYNA: « Libreria Polaca », Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
AUSTRALIA: Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32 York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel.: 29 1248	\$ A. 10,00	\$ A. 60,00	\$ A. 110,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: 0222/93 87 222.	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji « Kultury »	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie czeków do administracji « Kultury »	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
DANIA: O. T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji « Kultury » i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
HOLANDIA: Mrs. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, 4382 B L Viissingen. Tel.: (01 184) 14073. Postgiro 1379176.	Fl h 20,00	Fl h 95,00	Fl h 175,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., Tel-Aviv, P.O.B. 29443. Tel.: 621311	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.O. J4W 1S5. Tel.: (514) 465-2362; Baltazar Krasuski, 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; Very rev. D. M. Malinowski, P.O. Box 68, Royston, B.C., VOR 2VO. Tel.: (604)338-80-40; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel.: 545-2115; J. Korwin-Lopuzanski, 90 Hilliard Ave., Ottawa K2E 6C2; « Polish Voice Publishing » Co., 390 Roncesvalles Ave., Toronto, Ont. M6R 2M9; Polish Alliance Press, Ltd. (« Zwiakowiec »), 1638 Bloor St. West, Toronto, Ont. M6P 4A8	\$ can. 10,00	\$ can. 50,00	\$ can. 98,00
NIEMCY: Renata Rosenbusch, Ludwig-Thoma-Str. 36, D-8025 Unterhaching. Tel.: (089) 611 36 57. Księgarnia Wawel, Stephanstr. 11, 5000 Köln, 1. Tel.: 0221/24-61-60	DM 14,00	DM 80,00	DM 150,00
NORWEGIA: Zb. Tyszko, Toppenhaugberget 14, 1353 Baerums Verk. Tel.: 51 20 55	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue de Lilas, C.P. 74, 1211 Genève 7. Tel.: 44-32-51. Nr konta pocztow. 12.14431.	F.S. 13,00	F.S. 70,00	F.S. 130,00
SZWECJA: Norbert Zaba, Kalskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm. Tel.: (08) 660-15-70. Postgirokonto Nr 48 82 34 6.	K.S. 45,00	K.S. 260,00	K.S. 500,00
U.S.A.: S. Dobczynski, Alma Shipping Co., 119 St. Marks Pl., New York, N.Y. 10009. Tel.: 475 8886; Ada Dziewonowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; St. Kwiatkowski 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109. Tel.: (216) 351-8219; Irena Kretowicz, 4254 - 34th St., San Diego, Cal. 92104; Halina Kosciuch, 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore, 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel.: (312) 489-2554; Jan Wojcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia « Nowego Dziennika », 21, West 38th Street, New York, N.Y., 10018. Tel.: (212) 354-0492	\$ US 7,50	\$ US 40,00	\$ US 78,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (01) 370 2210	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
WŁOCHY: Elzbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: 75-67-241	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 480; półroczna — F. 250.
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.

INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 (z Francji)

lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 446 — ZYGMUNT HAUPT

SZPICA

Opowiadania, warianty, szkice

Materiały zebrane po śmierci Autora, które nigdy nie ukazały się w wydaniu książkowym. Wstęp Renaty Gorczyńskiej. Szkic biograficzny opracował syn Autora, Arthur Haupt.

Str. 280.

Cena F. 120,00.

TOM 448 — MARIA DANILEWICZ ZIELIŃSKA

BIBLIOGRAFIA 1981-87

Zawiera pełną bibliografię „Kultury”, „Zeszytów Historycznych” oraz działalności wydawniczej Instytutu Literackiego w latach 1981-87.

Str. 352.

Cena F. 150,00.

TOM 449 — WITOLD BEREŚ, KRZYSZTOF BURNETKO

TYLKO NIE O POLITYCE

Wywiady „Promienistych” ze Zbigniewem Bujakiem, Jackiem Fedorowiczem, Ewą Kulik, Jackiem Kuroniem, Markiem Nowakowskim, Zbigniewem Romaszewskim i Krystianem Waksmundzkiem.

Str. 128.

Cena F. 70,00.

TOM 450 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT OSIEMDZIESIĄTY ÓSMY

zawiera opracowania: J. Jastrzębowski: *Rozmowa o braciach*; K. Podgórski: *Drang nach Szczecin*; J. Nowak: *O proces Bolesława Bieruta i współników*; K. Bieniecki: *Wildhorn*; J. Korczak: *Konspiracja poznańska*; M. Heller: *Kim był Stalin?*; A. L. Miasnikow: *Agonia Stalina*; P. Lida: *Parafie rzymskokatolickie na Białorusi i Ukrainie w 1988 roku — Obsada personalna*; J. K. Zawodny: *Wywiady z oficerami kontrtorpedowców polskiej Marynarki Wojennej w drugiej wojnie światowej* oraz bogate działy: RECENZJE, OKRUCHY HISTORII i LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240.

Cena F. 80,00.

TOM 451 — ANDRZEJ BRAUN

POMNIK

POWIEŚĆ

Str. 112.

Cena F. 65,00.